

KOLORY SZCZĘŚCIA

# ANNA KARPIŃSKA

*Bądź blisko*

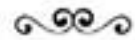
*Życie przybiera różne  
kolory. Nigdy nie jest  
czarno-białe, a czasami  
nawet potrafi zaskoczyć  
paletą barw.*

Prószyński i S-ka

KOLORY SZCZĘŚCIA

ANNA  
KARPIŃSKA

*Bądź blisko*



Prószyński i S-ka

*Pamięci mojej kochanej babci Zofii.*

*Zawsze będziesz w moim sercu*

## Rozdział 1

### MARIA

Wysyłam karetkę. Będzie za pięć minut – usłyszałam w słuchawce głos dyspozytorki medycznej, kiedy w kilku słowach opisałam stan pani Zofii.

Poprosiła mnie o zachowanie zimnej krwi i nieprzerywanie połączenia.

– Proszę ułożyć chorą na wznak i podłożyć poduszkę pod jej głowę – nakazała, zaleciwszy sprawdzanie pulsu.

– Jestem w ciąży, nie dam rady przełożyć jej na sofę – tłumaczyłam. Nadludzkim wysiłkiem próbowałam opanować stres.

– Nie szkodzi. Niech leży na podłodze. Ma pani koc?

Rozejrzałam się wokół i zatrzymałam wzrok na pledzie przerzuconym przez poręcz fotela.

– Tak.

– Proszę przykryć chorą i czekać na karetkę. Powinna zaraz przyjechać.

Dzwonek do drzwi obwieścił przybycie ratowników. Pobiegłam otworzyć, wskazałam drogę do salonu, a kiedy medycy przystąpili do badania, usunęłam się na bok. Serce, które dotąd łomotało jak szalone, pod wpływem dobrych wieści zaczęło zwalniać.

Pani Zofia odzyskiwała świadomość. Otworzyła oczy.

– Słyszysz mnie pani? – Mężczyzna w czerwonym kombinezonie spróbował nawiązać z nią kontakt.

Po chwili starsza pani, osłuchana stetoskopem i po EKG, leżała na sofie. Wyniki były w porządku.

– To zaledwie omdlenie. Wszystko będzie dobrze – uspokoił ją ratownik, sięgając po strzykawkę.

– Małe ukłucie i po sprawie – dodał. – Zostawiam panią w domu, ale zalecam wykonanie badań – zakończył i zamknął torbę. – A pani dobrze się czuje? – Spojrzał znacząco na mój brzuch.

Pod koniec piątego miesiąca bliźniacza ciąża była już widoczna.

– Nic mi nie jest. Czy to może się powtórzyć? – wyszeptalam z niepokojem.

– Nie sądzę. Ciśnienie w normie, EKG nie wykazuje nieprawidłowości. W razie czego jesteśmy po sąsiedzku – dodał z uśmiechem, wskazując brodą w kierunku szpitala odległego od domu pani Zofii o niecały kilometr.

Odetchnęłam z ulgą i postanowiłam nie podejmować tego wieczoru żadnych trudnych tematów. Pamiętałam okoliczności, w jakich moja podopieczna straciła przytomność. I choć poruszony przez nią wątek bardzo mnie zajmował, nie mogłam go dzisiaj kontynuować. Ze względu na jej zdrowie.

W moich uszach wciąż brzmiały wypowiedziane słowa.

– Marysiu, przyjeżdżając do Polski, nie spodziewałam się, że stanę wobec tak trudnego zadania. Że przeszłość da o sobie znać. Pytałaś mnie, czy pokażę ci listy twojej mamy, a ja odpowiedziałam, że może kiedyś. I nieoczekiwanie ten czas nastąpił. Mam je w jednej z szuflad i niebawem ci przekażę. Proszę jednak, byś przy czytaniu zachowała rozwagę i nie wyciągała pochopnych wniosków. A przede wszystkim nie myślała źle o Teresce i kimś jeszcze... Marysiu, po prostu musisz poznać prawdę.

Dalszy ciąg nie nastąpił, pani Zofia zasłała. I choć paliła mnie ciekawość, musiałam ją poskromić. Najwyraźniej przyjaciółka sprzed lat mojej zmarłej mamy Teresy chciała mi przekazać treści, które mogły zakłócić obraz, który nosiłam w sercu. I dodać coś jeszcze, o tajemniczym „kimś”, jak wspomniała.

Nie miałam pojęcia, o kogo może chodzić.

Postanowiłam skupić się na bieżących zadaniach, na zaparzeniu herbaty i przygotowaniu kilku kanapek, bo od obiadu minęło już trochę czasu. Wprawdzie niedziela dobiegała końca, a jutro czekał mnie zwykły dzień w pracy, ale postanowiłam spędzić noc u pani Zofii, by zareagować w razie kolejnej zapaści. Na szczęście moja rodzina wybyła z domu i nie oczekiwała obsługi. Władek siedział u swojego brata na wsi, Kalina wyjechała z rodziną chłopaka, Krzyśka, za miasto.

Trochę mnie uwierało, że porzuciłam dom opieki, który szefowa Wiesia zostawiła pod moim

nadzorem, na cały weekend, by wraz z Julianem odświeżyć nieco rodzinne gniazdo pani Zofii, ale wieści, które przekazała mi dyżurująca Klaudia, łągodziły wyrzuty sumienia.

– Niczym się nie przejmuj. Wszyscy pensjonariusze są zdrowi, a Julian sprowadził elektryka.

– Jakiego znów elektryka? Co się stało?

– Jakieś spięcie czy coś. Sam ci powie. W każdym razie wszystko działa – dodała, odłożyła słuchawkę i pobięła do swoich zajęć.

Julek, do którego zadzwoniłam, potwierdził awarię i uspokoił.

– Marysiu, niczym się nie martw. Dobrze, że Klaudia po mnie zadzwoniła. Problem zażegnany. A co u was? Farba wyschła?

– Owszem. Miałam tu małe zawirowanie, ale już wszystko w porządku. Później ci opowiem, bo teraz muszę wracać do pani Zofii. To samotne zamieszkanie w rodzinnym domu nie jest chyba dobrym pomysłem. Osiemdziesięciolatki z okładem nie powinno pozostawiać się bez opieki, gdy ma pokój w takiej instytucji jak nasza...

– Co się stało?

– Zemdląła, Julek, i wzywałam pogotowie. Skończyło się dobrze, ale co następnym razem?

Trochę jej nie rozumiem. Płaci za dom starców, gdy ma swój własny?

– Sam nie wiem... – odparł ostrożnie. – Po trzydziestu kilku latach przyjechała z zagranicy, pochowała syna, który mieszkał w Polsce. Widocznie potrzebowała powrotu do korzeni, nawet za cenę pozostawienia rodziny drugiego syna w Niemczech. Tak czy siak, zrobimy, co możemy, żeby jej pomóc. Dostanie ładny pokój na piętrze u siebie, do którego czasami będzie zaglądać. A tobie się podoba?

– Tak. Julek, dziękuję, że pomagasz. Ale teraz muszę już wrócić do pani Zofii. Widzimy się jutro w pracy – pożegnałam naszego rehabilitanta, z którym ostatnio bardzo się zżyłam. Może nawet za bardzo.

Moja podopieczna niebawem odzyskała wigor i jeszcze zanim zakończyłam rozmowę z Julkiem, opanowała kuchnię. Jajka na twardo dochodziły, a kilka kromek chleba zdążyła posmarować masłem. Nie pozwoliła się odsunąć od deski do krojenia, mimo że pośpieszyłam z pomocą.

– Sięgnij po kiszzone ogórki! – Wskazała na lodówkę.

– Pani Zofio, może ja dokończę? Proszę usiąść i odpocząć – próbowałam pohamować te kulinarne zapędy.

– Już dobrze. Nic się nie stało. Czy mamy majonez?

Niemożliwa jak zawsze. Niemniej jednak jej organizm wysłał wreszcie namacalny sygnał, że starsza pani powinna unikać stresu. Obiecałam sobie solennie, że doprowadzę ją na gruntowne badania, by zapobiec kolejnym niespodziankom. Ale priorytetem na teraz było spędzenie wieczoru w spokojnej atmosferze.

Pani Zofia miała jednak inne plany. Zamierzała wrócić do tematu, który podjęła przed zasłabnięciem. I zrobiła to mimo moich protestów.

– Marysiu, dobrze się czuję, więc pozwól mi dokończyć, co zaczęłam. I żadnego ale – zaprotestowała gestem na próbę odmowy. – Nie wiadomo, kiedy znowu będziemy miały okazję porozmawiać tête-à-tête, nie marnujmy zatem szansy.

Zamilkłam przy szklance melisy i zamieniłam się w słuch. Pani Zofia sięgnęła po zdjęcie mojej mamy i zerknęła na nie przepraszająco.

– Teresko, muszę wyjawić Marysi prawdę – powiedziała. – Na moim miejscu postąpiłabyś tak samo.

Nie przerywałam rytuału rozmowy ze zmarłą przyjaciółką. Nie ponaglałam, chociaż targały mną coraz większe obawy o to, co usłyszę. Wyobraźnia podpowiadała niestworzone scenariusze. Czyżby mama kogoś skrzywdziła? A może zdradziła tatę albo przyczyniła się do czyjegoś nieszczęścia? Za chwilę miałam poznać prawdę.

Popłynęły słowa.

– Jak wiesz, byliśmy z Tereską najlepszymi przyjaciółkami przez całe dziesięć lat. Do czasu mojego wyjazdu do Niemiec. Pracowała u mnie w komisie, była skromna, cicha i potrafiła słuchać. Nie przeszkadzała nam trzynastoletnia różnica wieku ani fakt, że ja miałam dzieci, a oni z Zenonem zmagali

się z bezpłodnością. Niewiele mogli zdziałać. W latach siedemdziesiątych możliwości medycyny były w tym zakresie niewielkie. Nie to co teraz. Twoi rodzice zaczęli myśleć o adopcji, ale chcieli wychowywać dziecko od maleńkości, a procedury adopcyjne nie dawały dużego pola manewru. Zresztą, z tego, co się orientuję, i w dzisiejszych czasach to skomplikowany proces.

Po sierpniu osiemdziesiątego roku pojawiły się możliwości wyjazdu na Zachód – ciągnęła pani Zofia. – Tomasz z Joanną postanowili przenieść się na stałe do Niemiec. Alex był malutki, namówili mnie do wspólnego wyjazdu, a ja, głupia, się zgodziłam. Wiem, że już wspominałam ci o tym, ale chcę powrócić do jednej z ostatnich rozmów z Tereską.

Tamtego dnia zakończyłyśmy pracę i zaprosiłam ją do kantorka. Nie wiedziałam, jak mam jej powiedzieć, że zamykam komis i pozbawiam ją źródła utrzymania, a nas obu wspianiałej przyjaźni, bo podświadomie zdawałam sobie sprawę, że odległość niszczy najsilniejsze więzi.

Przyszła jakaś taka rozświetlona, uśmiechnięta, jak gdyby otoczona aureolą szczęścia. A ja miałam uderzyć ją jak obuchem. Nie potrafiłam zdobyć się na długi wstęp, więc postawiłam na szczerość.

„Teresko, likwiduję komis i przenoszę się z rodziną Tomasza do Niemiec. Jest mi bardzo przykro, że stracisz źródło utrzymania. Przepraszam”.

Dostrzegłam w jej oczach błysk zawodu, ale jak się okazało, nie z powodu pracy.

„Zosiu, przykro mi, że nie będę cię miała blisko siebie”, powiedziała. „Pracę sobie znajdę”.

Wtedy puściły nam nerwy i popłynęły łzy. Płakałam nad rozstaniem z Tereską, pozostawieniem Arkadiusza, domu i starych kątów, których nie opuszczałam od dnia urodzin. Może powinnam wtedy zrezygnować i zostać? – Pani Zofia na moment przerwała monolog, by otrzeć wilgotne oczy. Jednak wkrótce przypomniała sobie o celu naszej dzisiejszej rozmowy, bo opanowała emocje, odchrząknęła i powróciła do głównego wątku. – Mimo niedobrych wieści Tereska nie przestawała emanować radością. Nie musiałam długo czekać, by poznać jej źródło.

„Zosiu, będę mamą!”

Nigdy dotąd nie słyszałam takiego jej wybuchu.

„Który to tydzień?”, zapytałam, ściskając jej dłoń.

„Nie jestem w ciąży”.

„To znaczy...?”

„Mamy zaadoptować dziecko pewnej nastolatki, która urodzi za dwa miesiące. Jest uczennicą szkoły u zakonnic i wszystko wskazuje na to, że zrzeknie się, a właściwie jej rodzice, prawni opiekunowie, zrzekną się prawa do dziecka. Nawet nie wiesz, jak czekam na ten moment!”

Wiedziałam, bo nieraz rozmawialiśmy o maleństwie, którego Tereska tak pragnęła.

„Wspaniale! Wiesz, jakiej płci będzie dziecko?”

„Dziewczynka! Moja mała księżniczka...” Przyjaciółka rozmarzyła się każdą komórką ciała.

„Wybrałaś już imię?”, ciągnęłam z obawą, że dopóki maluch nie zawita pod dach Tereni i Zenka, wszystko jeszcze może się zdarzyć.

„Maria. Marysia”.

Zapytałam, kim jest nastoletnia matka i z jakiej pochodzi rodziny.

„Ma na imię Jadzia. Wpadła z kolegą z liceum. Jej rodzice są dobrze sytuowani, ale nie chcą skandalu. Podobnie jak rodzice jej chłopaka Tadeusza”.

Wyjechałam z Polski po kilku tygodniach, zostawiwszy Teresce swój adres. Urządzenie nowego mieszkania w Augsburgu pochłaniało mnóstwo czasu, i bardzo dobrze, bo przynajmniej odsuwało myśli od emigracji. Drażnił mnie jednak niezrozumiały niemiecki w sklepach, tęskniłam, cały czas zastanawiając się nad sensem wyjazdu. Lecz mały Alex potrzebował opieki, więc gdy Tomasz z Joanną poszukiwali miejsca na otwarcie warsztatu samochodowego, mój wnuk i ja penetrowaliśmy pobliskie place zabaw i lodziarnie.

Kochałam wnuka, ale męczyły mnie sprzeczne uczucia. Wprawdzie komis już nie istniał, ale dom pozostał, a w nim mój młodszy syn. Serce ciągnęło do przeszłości, myślałam o przyjaciółce.

Aż wreszcie nadszedł list. Pierwsza korespondencja z Polski.

Z wrażenia pognałam do swojego pokoju, drżącymi palcami rozdarłam kopertę.

„Zosiu, mam już swoją Marysię w domu. Kniaziowie wywiązali się z obietnicy i jestem mamą.

Czuję wdzięczność i ogromną radość. Co prawda nie rozumiem, jak można dobrowolnie pozbyć się tak cudownej istoty, ale przynajmniej mogę się nią cieszyć. Poznałam jej matkę Jadzię, a nawet młodocianego ojca. Zagubione dzieciaki, i tyle.

Maleńka jest przeurocza. Ma długie, ciemne kręcone włoski i uśmiech Giocondy. Oboje z Zenkiem kochamy ją całym sercem.

A u Ciebie wszystko w porządku? Zdołałaś pokonać trudy aklimatyzacji? Napisz, proszę, bo tęsknię. T.”

Słuchałam opowieści pani Zofii i kolejne puzzle trafiły na swoje miejsca. Tą Marysią byłam ja, adoptowana córka Teresy i Zenona. Moi prawdziwi rodzice zaś to Jadwiga i Tadeusz Kniaziowie, rodzice Aleksandry.

A zatem byłyśmy z Olą siostrami.

Nie potrafiłam pojąć, dlaczego pani Zofia postanowiła zburzyć mój świat dokładnie w tym momencie, kiedy nosiłam dzieci Aleksandry i Janka Boryków.

## Rozdział 2

### MARIA

Po opanowaniu pierwszego szoku dostrzegłam przerażone spojrzenie mojej rozmówczynie Zofii i jak przez mgłę usłyszałam jej zaniepokojony głos.

– Marysiu, czy wszystko w porządku? Napij się wody. – Pani Zofia podała mi szklanekę.

Chwyciłam ją i łapczywie wychyliłam wodę do dna.

Tymczasem staruszka biła się w piersi za ujawnienie prawdy. Nie potrafiła sobie darować swojej decyzji i, jak powtarzała w kółko, narażenia mnie na tak wielki stres.

– Mogłam poczekać, aż urodzisz, ale, stara i głupia, nie wytrzymałam! Przepraszam cię, Marysiu! Już ci lepiej? – pytała.

Byłam tak skołowana, że nie miałam siły ani zaprzeczać, ani jej uspokajać. Aleksandra, której dzieci nosiłam pod sercem, okazała się moją siostrą, jej mama, pani Jadwiga, poznana kilka dni temu na cmentarzu przy grobach, moją biologiczną matką. A moi ukochani mama i tata przez całe życie nie znaleźli w sobie odwagi, żeby powiedzieć mi prawdę.

Czułam się oszukana, zupełnie jak mała dziewczynka, której odmówiono obiecanej wyprawy do cyrku. I miałam ochotę wyplakać swój żal.

– Kochanie, jeszcze raz najmocniej cię przepraszam! – Pani Zofia stała przede mną bezradna, nie wiedząc, czy ma mnie przytulić, czy raczej zachować dystans. – Płacz, dziecko, płacz... Gdybym przewidziała...! – Przysiadła na obrzeżu fotela.

Podawała mi kolejne chusteczki.

Deszcz łez był tyleż gwałtowny, co krótki. Wprawdzie nie zaświeciło po nim słońce, ale pomógł w opanowaniu pierwszego wstrząsu.

– Wybaczysz mi? – usłyszałam zaleźniony głos gospodyni.

– Ja się nie gniewam – odparłam. – Po prostu przeżyłam szok. Możemy powrócić do rozmowy?

Pani Zofia nie przejawiała chęci, ale w obliczu mojej stanowczości uległa. Górę wzięły wyrzuty sumienia.

– Marysiu, kiedy usłyszałam na cmentarzu, że Jadwiga Książ jest matką Aleksandry, i skojarzyłam fakty z przeszłości, wszystko stało się jasne. Lecz mimo to może nie wpadłabym na wasze koneksje, gdyby nie listy Tereski, które w ostatnich dniach jeszcze raz przeczytałam po latach. Nie mogło być mowy o pomyłce. Biłam się z myślami, czy ujawnić ci prawdę, a nawet, jeśli pamiętasz, nie dałam ci do przeczytania tych listów. Jednak sytuacja mnie przerosła. Gdy okazało się, że jesteś surogatką, która nosi dzieci Aleksandry i jej męża, zламаłam się. Tyle że fatalnie wybrałam moment. Powinnam poczekać do rozwiązania...

Mimo totalnego bałaganu w głowie, poczucia zawodu, który pośmiertnie zafundowali mi rodzice, i podświadomego żalu do Oli, że to ja, a nie ona, zostałam jak zbędne bocianie jajo wyrzucona z rodzinnego gniazda, musiałam stawić czoła rzeczywistości. Dałam radę dzięki myśli o Kalinie, której w odzyskaniu sprawności i wstaniu z wózka inwalidzkiego miała pomóc droga operacja w szwajcarskiej klinice. Gdyby nie konieczność zgromadzenia ogromnych pieniędzy, nigdy nie zgodziłabym się nosić dziecka Boryków, a tym samym nie spotkała Aleksandry i jej matki. Jak się okazało – również mojej. Zdrowie córki było jednak najważniejsze i żadne niechlubne sprawy z przeszłości nie mogły przesłonić celu, do którego dążyłam.

Wyprostowałam plecy gotowa zaakceptować każdą najgorszą prawdę. Byleby tylko Borykowie zapłacili obiecane sto dwadzieścia tysięcy złotych i zniknęli mi z oczu. Nie sądziłam, bym wobec ujawnionych faktów mogła nadal przyjaźnić się z Olą jak gdyby nigdy nic. W mojej głowie pulsowało pytanie, czy wynajmując mnie na surogatkę, znała nasze siostrzane powiązania. Jeśli tak, miałam prawo czuć się wykorzystana i oszukana.

Pogrążona w myślach nie słyszałam, co mówi do mnie pani Zofia. Wyławiałam sens z ruchu jej ust i gestykulacji. Nie do końca go wyłapywałam, ale przyznałam jej rację.

– Bardzo dobrze pani zrobiła – powiedziałam. – Przynajmniej poznałam prawdę, chociaż ta



okazała się bolesna. Nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczę rodzicom, głównie mamie, że całe życie tkwiłam w kłamstwie.

– Marysiu, nie chciałabym się wymądrzać, już dosyć narozrabiałam, ale przeczytaj, proszę, listy Tereski. Może spojrzysz na sytuację łaskawszym okiem. – Starsza pani podała mi ściśnięty gumką pakiet zaadresowanych do siebie kopert. – Nigdy nie spotkałam kobiety tak pragnącej dziecka jak ona, tak zakochanej w swojej córeczce, którą chowała od urodzenia. Co z tego, że nie nosiła cię pod sercem? Byłaś jej dzieckiem. I tylko jej. Nie biologicznych rodziców. Przeczytaj i pomyśl – powtórzyła. – Wyrób sobie zdanie.

Brzmiało to przekonująco, ale moje serce pozostawało twarde jak skała. Nie miałam ochoty drażnić tematu i pragnęłam wyłącznie powrotu do domu.

Pani Zofii nie trzeba było słów. Bezbłędnie odczytała moje intencje.

– Możesz mnie spokojnie zostawić i jechać do siebie – powiedziała. – Jutro rano wracam do domu opieki. Nie będę cię już angażować. Dziękuję tobie i Julianowi za remont i dobre serce, ale nie mam prawa ciągle zawracać wam głowy. Gdybyście jednak chcieli kiedyś tu przyjechać, drzwi tego domu będą dla was zawsze otwarte.

Zdecydowałam się wziąć taksówkę i przespać noc we własnym łóżku. Potrzebowałam ciszy i spokoju. Zresztą potrzebowały ich także dzieci, które na moje nerwy reagowały nadmierną ruchliwością.

Po dwudniowej nieobecności zastałam w domu duchotę i chyba ze trzydzieści stopni. Plułam sobie w brodę, że przed wyjściem nie zaciągnęłam żaluzji. Słabo izolowane mury bloku chłonęły upał niczym gąbka, podobnie jak szerokie okna, niewspółmiernie duże w stosunku do niewielkich gabarytów mieszkania.

Rzuciłam kurtkę w kąt i w pierwszej kolejności pobiegłam, by solidnie wywietrzyć pokój. Niestety, nie poczułam oczekiwanego powiewu; powietrze stało w bezruchu. Lodówka ziała pustką, na szczęście po kolacji nie miałam ochoty na jedzenie. Tyle że nie kupiłam wody, więc musiałam zadowolić się kranówką. Minęła chwila, zanim popłynęła zimna. Łapczywie wychyliłam szklankę do dna i opadłam na fotel, by przejrzeć nieodebrane wiadomości w komórce.

Kilka było od Kaliny. Do niektórych dołączyła fotki znad jeziora. Uśmiechnęłam się na widok szczęśliwej buzi córki barszkującej w wodzie z Krzyśkiem, przełknęłam ślinę, zobaczywszy, z jakim apetytem pałaszują placki ziemniaczane oferowane przez plażowy bar, ale najbardziej urzekły mnie zdjęcia Kaliny robione przez jej chłopaka. Z sercem, z miłością.

Na moment przepełniło mnie ich szczęście. A co dopiero będzie, kiedy moja córka stanie na nogi?, pomyślałam, zanim powróciły do mnie niedawne rewelacje, na nowo pozbawiając mnie energii.

Musiałam się zregenerować, bo jutro czekała praca.

Niełatwo było zebrać się z fotela i opanować nagłą senność. Porzuciłam przeglądanie esemesów i szurając, powlekłam się do łazienki. Zasnąłam, kiedy tylko głowa spoczęła na poduszce.

Jeśli jednak myślałam, że noc przegoni demony, bardzo się myliłam.

Wstałam świtem, wciąż z obrazem listów mamy do pani Zofii i ich zaskakującą zawartością w duszy. Z jednej strony ciągnęło mnie do lektury, z drugiej obawiałam się jeszcze większego zawodu. Żal do rodziców wypierał moją nieskończoną miłość do nich. Mówiąc kolokwialnie: byłam na nich wściekła za nieszczerłość i miałam ochotę wykrzyzczeć swój zawód całemu światu. Tyle że ten świat nie miał zamiaru mnie słuchać. Gorzej: nie miałam absolutnie nikogo, komu mogłabym wypłakać się w rękaw, pożalić, do kogo przytulić, odetchnąć w jego obecności.

Na Władka nie mogłam liczyć od co najmniej kilku miesięcy. Od kiedy stracił pracę za pijaństwo, żył własnym życiem i dobrze, jeśli nie przeszkadzał. Kalinki nie mogłam obciążać moimi sprawami. Honorata, moja niegdyś najlepsza przyjaciółka, na wieść o ciąży zastępczej odwróciła się ode mnie, pani Wiesia akurat wzięła urlop dla podratowania zdrowia. Aleksandra... Pewnie jest dla mnie miła dlatego, że noszę jej dzieci, stwierdziłam w duchu. W obliczu nowych okoliczności nie miałam pojęcia, jak ułożą się nasze stosunki.

Pani Zofia? Nie, między nami musiało się uleżeć. Była heroldem złych wieści, miałam do niej irracjonalny żal.

W drodze autobusem do pracy jak zawsze zerknęłam na rzekę. Płynęła leniwie, błękitnym nurtem spajając dwa brzegi miasta. Lipcowy poranek zwiastował kolejny upalny dzień, a synoptycy przewidywali bardzo gorące lato. Przepiękne dla tych, którzy mogli korzystać z jego uroków, niekoniecznie jednak dla kobiet w bliźniaczej ciąży. Żeby jeszcze obaj chłopcy, których nosiłam pod sercem, mieli dobre wyniki!

Odpywając w rewiry niepokojących myśli, niemal przeoczyłam mój przystanek. Na szczęście nieco uspokojona mogłam podjąć trudy dnia. Julian już czekał w kuchni, by zaparzyć dla mnie cappuccino z serduszkami. Nie oponowałam na kolejny, wymalowany na powierzchni kawy przejaw jego sympatii.

– Ty już w pracy? Chyba zaczynasz o dwunastej? – zapytałam.

– Przyjechałem wcześniej, bo mamy deratyzację w przychodni i odwołali zabiegi – wspomniał o drugim miejscu pracy. – Pomyślałem, że mogę ci się przydać.

– Julek, nie ma takiej potrzeby.

– Źle wyglądasz – powiedział bezceremonialnie.

– Dziękuję.

– Marysiu, przecież wiesz, o co mi chodzi. Do powrotu szefowej będę do twojej dyspozycji. Po przyjacielsku. Nie odmawiaj, proszę.

Musiałam się rozeźmiać, po raz pierwszy od wczoraj.

– A zatem dobrze. Gdybym nagle padła, przejmiesz moje obowiązki. Chodź do pokoju pani Wiesi, pokażę ci papiery i wyjaśnię, co jest czym. – Zachęciłam gestem dłoni.

Musiałam przyznać, że pracowało mi się z Julkiem całkiem dobrze.

Iza po próbie samobójczej, po – o nieba! – odejściu męża do innej kobiety, powracała do zdrowia, ale musieliśmy na nią poczekać jeszcze kilka dni. Lucyna właśnie poszła na urlop, a Klaudia przepracowała weekend, więc należały się jej dwa dni wolnego. Faktycznie, nie dałabym rady, gdyby nie pomoc Juliana.

Ruszyłam do domu po dwudziestej drugiej i ledwie zdążyłam na ostatni autobus.

– Naprawdę nie chcesz, żebym podholował cię do mieszkania? – zapytał Julian, żegnając się na przystanku.

Ścisnęłam jego rękę i podziękowałam za cały dzień.

– Do jutra.

Następnego ranka ledwie wstałam. Odczuwałam bliżej nieokreśloną słabość i zawroty głowy. Wychodząc z łazienki, poczułam skurczowe bóle w podbrzuszu. Oparłam dłonie o futrynę, gorączkowo myśląc, gdzie jest telefon. Między moimi nogami pojawiło się niepokojące ciepło. Kiedy dostrzegłam krew, odmówiły mi posłuszeństwa, a ciało osunęło na podłogę.

Ostatkiem sił dobrnęłam do komórki i zadzwoniłam po pogotowie. Po czym wybrałam numer Aleksandry.

– Mam krwawienie, zadzwoniłam po karetkę – poinformowałam, ocierając płynący z czoła pot.

Miałam jeszcze tyle zdrowego rozsądku, by otworzyć zamknięte na klucz drzwi. Usłyszałam, że wchodzi ratownicy, ale odpowiedź Aleksandry już do mnie nie dotarła.

## Rozdział 3

### ALEKSANDRA

Telefon od Marii, którą ambulans zabierał właśnie do szpitala, był najgorszą rzeczą, jaka mogła wydarzyć się w tej chwili. A usłyszane w tle polecenie lekarza, by przygotować salę operacyjną, sprawiło, że mój niepokój sięgnął zenitu. Coś niedobrego działo się z moimi dziećmi, z Marią, tymczasem za kilka godzin miałam lecieć do Rygi na pogrzeb mojego ukochanego przyjaciela, pisarza, którego książki tłumaczyłam od lat. Niemal ojca.

Siedziałam za kierownicą samochodu, który miał mnie zawieźć na lotnisko, zdawszy sobie sprawę, że muszę powiadomić Janisa o odwołaniu przyjazdu. Decyzję o pozostaniu podjęłam natychmiast, chociaż serce pękało mi z bólu, przepełnione żalem po śmierci Krastsa. Tak bardzo pragnęłam oddać mu pożegnalny hołd, po raz ostatni wyszeptać nad jego grobem słowa o przywiązaniu, przyjaźni i wdzięczności za to, jaki był i co dla mnie zrobił.

W pierwszym odruchu chciałam zadzwonić do męża i poprosić o wsparcie, ale wydarzenia ostatnich dni uświadomiły mi, że nasze małżeństwo już nie istniało. Istniała za to Arleta w ciąży i zapowiedź rychłego rozwodu. Rozstanie nastąpiło mimo naszych dzieci, które za niecałe cztery miesiące miały pojawić się na świecie. O ile los okaże się łaskawy, a lekarze będą potrafili je uratować...

Szarpnął mną potworny strach o życie maluchów. Przez doświadczenie kilku poronień wiedziałam, co oznacza płamienie i przygotowywanie sali operacyjnej. Czyżby Maria, nasza surogatka, miała podzielić mój los?

Wobec nawału nieszczęść nie znajdowałam siły do działania. Serce waliło zbyt szybko, mózg przestał pracować. Otworzyłam okna i włączyłam klimatyzację na full, próbując wyrównać oddech.

– Spokojnie, zaraz będzie ci lepiej – przemawiałam do siebie uspokajająco.

I rzeczywiście, po chwili myślałam już racjonalniej. Powróciła energia.

W pierwszej kolejności sprawdziłam, który szpital ma dzisiaj dyżur. Kolejnym krokiem był telefon do Janisa.

Odebrał od razu i pośpieszył z zapewnieniem, że przyjedzie po mnie na lotnisko.

– Nie mogę przylecieć – wyszeptalam. – Mam poważne kłopoty rodzinne. – Z trudem powstrzymałam łzy. – Nawet nie wiesz, jak mi przykro.

Na łączach zaległa cisza.

Rozumiałam, jak zabrzmiały moje słowa. Nie licząc ogromnego żalu, było mi wstyd, że zawiodłam na całej linii. Może powinnam się wytłumaczyć bardziej szczegółowo, ale moje gardło nagle odmówiło posłuszeństwa.

– Sasza, co się dzieje? – Janis odzyskał głos.

– Porozmawiamy później. A teraz... Czy mógłbyś kupić ode mnie duży wieniec z napisem: „Dla Ciebie, Krasts, mój Mistrzu i Przyjacielu”? Przepraszam cię raz jeszcze, ale muszę kończyć. – Ostatnie słowa ugrzęzły mi w krtani.

– Dobrze. Trzymaj się. Cokolwiek to jest, dasz radę – dodał.

Tembr jego głosu nieoczekiwanie dodał mi odwagi. Kiedyś Janis mnie zauroczył, a teraz wsparł.

Dość tego, nie ma na co czekać, pomyślałam. Odpaliłam silnik i pojechałam do dyżurującego szpitala, do którego karetka odwiozła Marię.

Pielęgniarka zrobiła wielkie oczy, kiedy spytałam o kobietę w ciąży.

– Kim pani jest? Matką dzieci? Nie rozumiem... Mogę pani powiedzieć tyle, że przed półgodziną przyjęliśmy pacjentkę Marię Leśniewską, ale informacji o jej stanie zdrowia udzielamy wyłącznie rodzinie. Jest pani spokrewniona z pacjentką?

– Nie. Ale powtarzam: ona nosi moje dzieci, więc...

– Zapraszam do gabinetu lekarza – przerwała mi pielęgniarka i z dziwną miną wskazała pokój numer dwanaście.

Przed gabinetem kłębiło się tylu ludzi, że szanse na wejście były znikome. Musiałam uciec się do kontaktów prywatnych i zadzwoniłam do doktora Witaja. Doskonale znał historię moich starań

o dziecko, jak również opiekował się ciążą Marii.

Telefon nie odpowiadał, więc wystukałam numer lekarskiej dyżurki na ginekologii.

– Doktor operuje. Proszę zadzwonić później – poinformował mnie damski głos.

Nie zdążyłam zapytać, kogo operuje, choć pewnie i tak bym się nie dowiedziała. Pozostawało czekać na kontakt.

Byłam niemal pewna, że właśnie tracę dzieci.

„Milena, nie wyleciałam na Łotwę. Maria zasłabła, pojawiła się krew, teraz jest w szpitalu. Witaj operuje, pewnie ją. A ja umieram z rozpacz”, wysłałam wiadomość do przyjaciółki.

„Gdzie jesteś?”, odpisała natychmiast.

„W szpitalu wojewódzkim. Piję trzecią kawę”.

„Zaraz będę”.

Nie pozwoliła mi kupić czwartej filiżanki i nie sadziła się na dyrdymały, że wszystko będzie dobrze i mam się nie przejmować. Chwyła moją dłoń i tkwiła przy mnie, kiedy raz po raz zerkałam na wyświetlacz komórki w oczekiwaniu na wiadomość od Witaja. Z każdą minutą coraz bardziej zdenerwowana i niecierpliwa.

– Jak to już długo trwa? – wybuchnęłam. – Mila, przecież gdyby dzieciom nic nie zagrażało, dałby mi znać!

– A może operuje inną kobietę? – podsunęła.

– Jaką inną? Sama słyszałam, jak ratownik, który przyjechał po Marię, prosił o przygotowanie bloku!

– Oła, Witaj zaraz zadzwoni... – Milena było bezbronna wobec moich niepokojów.

Ale miała rację. Na dźwięk dzwonka i zobaczywszy, kto dzwoni, zerwałam się na równe nogi.

– Panie doktorze...! – zawołałam stłumionym głosem.

– Przepraszam, że dopiero teraz, ale miałem zabieg – usprawiedliwił się Witaj. – A jeżeli chodzi o panią Marię, to jak pewnie pani wie, przyjęliśmy ją na oddział i przeprowadziliśmy badania. Wszystko w normie, ale zatrzymamy ją na obserwację. Plamienie ustało, niemniej musimy być ostrożni.

– Dziękuję – wykrztusiłam. – Czy mogę się z nią spotkać?

– Absolutnie nie. Leży na patologii i nie zalecamy kontaktu. Przepraszam, ale wzywają mnie obowiązki.

Opadłam na krzesło i poczułam na sobie wyczekujący wzrok Mileny.

– I co? – usłyszałam po chwili.

– Dobrze. Jest dobrze – odparłam szeptem, zachłysnąwszy się nagłą ulgą.

Mój samolot właśnie startował do Rygi.

Napisałam do Marii krótkiego esemesa.

„Jestem w szpitalu, ale nie mogę do Ciebie wejść. Napędziłaś mi strachu. Wspaniale, że wszystko w porządku. Daj znać, czego Ci trzeba, dowiozę. A.”.

„Przepraszam za fałszywy alarm i nerwy. Podobno plamienia się zdarzają i nie muszą zwiastować najgorszego. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałam Ci żadnych planów. Odezwę się w razie potrzeby. Dziękuję. M.”.

Nie mogłam mieć do niej pretensji, a jednak. Mimo woli moje myśli poszybowały w kierunku Krastsa. O tej porze leciałabym nad Litwą, a na dole Janis odbierałby wieniec...

– Masz trochę czasu? – zagadnęłam przyjaciółkę, która taktownie przeczekwała wymianę esemesów.

– Oczywiście. Chcesz, żebym pojechała z tobą do domu?

Skinęłam potakująco głową.

– Zadzwonię do Kacpra. – Milena wyłowiła komórkę z torebki i oddaliła się na kilka minut. Wróciła zwarta i gotowa. – Jestem do dyspozycji. Dziewczynki odbierze mój mążonek – oznajmiła.

No i się wysypało przy bunkrowanym przez wiele lat winie z Asyżu, które kupiliśmy z Jaśkiem na wycieczce do Włoch siedem lat temu. On aż do tej pory nie pozwalał go tknąć, traktując jak największą relikwię przeznaczoną na specjalną okazję. Czerwone, lokalne, dostępne wyłącznie na miejscu, podobno ósmy cud świata. Teraz jednak, kiedy nasze małżeństwo legło w gruzach, żadna

specjalna okazja – no, może poza rozwodem – nie miała się wydarzyć. Bo chyba nie narodziny naszych dzieci, w stosunku do których, jak mi niedawno wykrzyczał, czuje się jak reproduktor? Prawdziwe dziecko urodzi mu Arleta, jego nowa sekretarka.

– Wyobrażasz sobie, że on chce sprowadzić tę pannicę do naszego domu? Mamy być jedną wielką rodziną czy co? Powinien mieć trochę godności i zniknąć mi z oczu! – pomstowałam, smakując zawartość kolejnego kieliszka.

– Nie poznaję Jaśka. Przecież całe życie był dobrym, troskliwym mężem, dbał o ciebie, o firmę. A i z twoimi rodzicami miał dobry kontakt. – Milena najwyraźniej powątpiewała w zasłyszane rewelacje.

– A jednak. Dowiedziałam się, że czuł się niedoceniany przez mojego ojca, który zostawił mi zaledwie czterdzieści procent udziałów w firmie, podczas gdy mnie sześćdziesiąt. Przecież tak ciężko w niej harował! Dotknęło go, kiedy wuj Kazimierz powstrzymał mnie od przekazania mu moich udziałów. Pewnie boi się też, że straci dom. Miła, to są tylko pieniądze. Ja straciłam więcej: miłość, bezpieczeństwo, poczucie własnej wartości. Jasiek zostawia mnie dla innej! – wykrzyczałam w chwili, gdy powinnam żegnać Krastsa na zawsze.

Właśnie!, zerknęłam na zegarek.

Była piętnasta trzydzieści (na Łotwie godzina później). Zamiast upajać się winem, należałoby teraz siedzieć w kościelnej ławce w Rydze na pogrzebie przyjaciela.

– Właśnie chowają Krastsa – mruknęłam.

– Nawet nie wiesz, jak mi przykro. Polecisz po pogrzebie?

– Tak. Przekazał na moje ręce list i książkę, które mam oddać Janisowi. Nie pytaj, o co chodzi, bo nie wiem. Pewnie o to, żeby jego ulubiony asystent dokończył albo choć przejrzał powieść. A poza tym muszę położyć kwiaty na grobie.

Emocje goniły emocje. Maria, dzieci, śmierć Krastsa i wreszcie groźby Jaśka, że sprowadzi kochankę do naszego domu.

Zamarłam na dźwięk klucza w zamku.

– Idą... – wyszeptałam w oczekiwaniu na męża z Arletą.

– Siedź. Ja to załatwię. – Milena wstała i ruszyła do przedpokoju. Po chwili wróciła z Jaśkiem.

– Przyjechałem po kilka rzeczy. Nie będę wam przeszkadzał. – Pobiegnął na piętro, by za moment wyjść z domu z wypchaną walizką.

## Rozdział 4

### ALEKSANDRA

Brzęczyk telefonu terkotał od dłuższego czasu, zanim zdecydowałam się sprawdzić, kto budzi mnie w środku nocy. Po przeżyciach wczorajszego dnia zasnęłam późno i wpadłam w objęcia ciężkiego, męczącego snu.

Pobudkę zafundowała mi mama.

– Pewnie cię obudziłam?

– Trochę – odparłam niezbyt przytomnie.

– Odsypiasz pogrzeb? Przepraszam, myślałam, że jesteś już na nogach.

Zerknęłam na zegarek. Wskazywał jedenastą.

– Nie poleciałam do Rygi.

– A co się stało?

Mogłam przewidzieć, że będzie zaniepokojona.

Sporo, chciałam powiedzieć. Tyle że nie miałam ochoty na telefoniczne wywody.

– Mamo, źle spałam i jeszcze nie zdążyłam dojść do siebie. Możemy odłożyć tę rozmowę na później?

Zgodziła się natychmiast, zdecydowanie zbyt szybko. A z tego wynikało, że niebawem wpadnie na wizję lokalną.

Od momentu, kiedy wspomniałam jej o wyprawdzie Jaśka i jego dziecku z Arletą, często dzwoniła i deklarowała pomoc, ja jednak robiłam skuteczne uniki. Musiałam przemyśleć swoją sytuację w samotności i przeżyć żałobę po Krastzie. Zazwyczaj mama bywała dyskretna i nienarzucająca się, jednak dzisiaj intuicja podpowiadała mi, że nie odpuści.

Nie myliłam się. Za niecałą godzinę zadzwoniła do drzwi. Taktownie nie wspomniała o szlafroku, w którym wciąż paradowałam, ani o podkrążonych oczach. Zniosła do kuchni świeżo upieczoną tartę ze szparagami i zapytała, czy zjem ją zaraz, czy później. W pierwszym odruchu chciałam odmówić, ale smakowity zapach pobudził apetyt.

Przypomniałam sobie, że od wielu godzin nie miałam niczego w ustach.

– Chyba się skuszę – odparłam i poprosiłam o chwilę na wizytę w łazience.

Po powrocie zasiadłam do zastawionego stołu. Mama czekała grzecznie, nie nagabując o zwierzenia.

– Jak zwykle wspaniała! – Z rozkoszą pochłonęłam pierwszy kawałek i dołożyłam sobie kolejny.  
– Ty nie jesz?

– Jestem po śniadaniu – odparła i przystąpiła do natarcia. – Córuś, powiesz mi, co się dzieje?

– Oprócz tego, że Jasiek wyprawdził się z domu i oczekuje dziecka z sekretarką? – spytałam zadziornie. – Czy oprócz tego, że umarł Krasts, a ja nie mogłam polecieć na pogrzeb, bo Maria trafiła do szpitala?

– O Boże! Co z nią? Co z dziećmi?

– Chyba wszystko będzie dobrze. Została na obserwacji. Przepraszam za wybuch.

Mama spojrzała z troską i chwyciła mnie za rękę jak dawniej, w rodzinnym domu, kiedy nie mogłam zasnąć. Ciepło jej dłoni rozlało się jak wówczas po całym moim ciele, sprowadzając spokój i odganiając demony. Wprawdzie nie byłam już małą dziewczynką, ale wciąż jej jedyną ukochaną córeczką, która choć czasami krnąbrna i niedostępna, potrzebowała bliskości mamy. Broniałam się z przyzwyczajenia, ale kiedy ujarzmiła mnie spokojem i miłością, doceniałam jej obecność.

Tak było i teraz. Rozkleiłam się zupełnie.

Siedziała przy mnie w milczeniu, gładząc po włosach i podsuwając mi kolejne chusteczki. Wystygłą herbatę zastąpiła gorącą melisą.

Cierpliwość się opłaciła. Otarłam łzy, przemyłam oczy zimną wodą i mogłam rozmawiać.

– Ostatnio zbyt dużo zważyło ci się na głowę – podsumowała, gdy już streściłam jej wydarzenia ostatnich dni. – Kochanie, jak ci mogę pomóc? Wiesz, że oboje z Leopoldem zrobimy wszystko, żeby ci

ulżyć. Ale oczywiście jeśli nie chcesz się z nim spotykać, nie nalegam.

Faktycznie, obecność nowego przyjaciela w życiu mamy, zaledwie rok po śmierci taty, nieco mnie zaskoczyła, żeby nie powiedzieć: wywołała mieszane uczucia. Lecz teraz nie był to mój największy problem.

Nagle uświadomiłam sobie, że mogę poprosić mamę o przysługę. W najbliższych dniach chciałam lecieć do Rygi, a w tym czasie ona mogłaby mieć oko na Marię... Nie chciałam zostawiać Marysi bez opieki. Ze strzępów rozmów wysnułam wniosek o jej nie najlepszych stosunkach z mężem.

– Mamo, jeżeli proponujesz pomoc, to chyba skorzystam – powiedziałam ostrożnie.

– Mów. Jestem do dyspozycji. – Z radością wyraziła gotowość.

– Krasts zostawił mi list i swoją książkę na przechowanie, i poprosił, żebym po jego śmierci przekazała je Janisowi. Mogłabym przesłać je pocztą, ale skoro nie byłam na pogrzebie, powinnam chociaż pójść na cmentarz. Przy okazji spotkam się z Janisem. Mogłabyś w czasie mojej nieobecności zająć się Marią?

Byłam pewna, że mama zgodzi się bez problemu, ale w jej oczach dostrzegłam popłoch.

– W jaki sposób? Olu, to dorosła kobieta. Nie będzie miała nic przeciwko?

– Mamo, chodzi o sytuację ekstremalną. Będiesz na miejscu, zareagujesz w razie nieszczęścia, gdyby ponownie pojawiło się płamienie albo inne komplikacje. Teraz Marysia jest sama, jej mąż i córka wyjechali. Chyba nie popełnię wielkiego faux pas, jeśli udostępnię na krzyż wasze numery telefonów?

Mina mamy zdradzała zaskoczenie graniczące z konsternacją. Nie pojmowałam tej reakcji.

– Jeżeli nie możesz, to poproszę Milenę... – zawiesiłam głos w oczekiwaniu, że opanuje nerwy, które odmalowały się na jej twarzy pełną paletą barw.

Nigdy nie widziałam jej tak wzburzonej, mimo że sytuacja wydawała się klarowna. Po prostu chciałam, żeby Maria miała poczucie bezpieczeństwa i zapewnioną pomoc w razie wyższej konieczności.

– Olu, oczywiście, że zajmę się panią Marią, gdy będziesz w Rydze. – Mama doszła do względnej równowagi. – Tym bardziej, że...

– Tak?

– Kochanie, wybaczone, nie wiem, jak zacząć... A zwłaszcza dzisiaj, kiedy przeżywasz tak trudne chwile... Tyle że chyba żaden moment nie jest dobry na wyznanie prawdy...

– Nie rozumiem...

– Olu, kiedyś popełniliśmy z tatą ogromny życiowy błąd. Oddaliśmy naszą pierwszą córkę do adopcji. Miała na imię Marysia.

W pierwszej chwili pomyślałam o zbieżności imion, ale oczy mamy zdradziły, że nie tylko o to chodzi.

– To znaczy, że Maria...?

– Tak. Ona jest naszą córką. – Zdanie zostało wypowiedziane pewnym i zdecydowanym głosem, z podniesioną głową. – Boże, dlaczego musieliście się spotkać w takich okolicznościach? – Tym razem mama schowała twarz w dłoniach.

Gwałtownie wstałam z fotela i zupełnie jak Jasiek zaczęłam przemierzać pokój wszerz i wzdłuż. Powstrzymałam się jedynie od zawinszowania sobie kieliszka koniaku.

Mama ponownie opanowała nerwy. Nie bacząc na moje spacerowanie, rozpoczęła opowieść.

– To było trzydzieści siedem lat temu. Kiedy zaszłam w ciążę, oboje z Tadeuszem chodziliśmy do liceum. Takie papużki nierozłączki, zakochana para. I stało się, wpadliśmy. Nie wiedzieliśmy, co robić. Cięża nastolatki w tamtych czasach była piętnowana i dyskryminowana społecznie. Dziewczyny w ciąży usuwano ze szkoły, nie mówiąc już o wstydzie i wykluczeniu. Rodzice nas obojga uradzili, że urodzę po kryjomu, a dziecko pójdzie do adopcji. Byliśmy zaszczuci i przegadani przez starszych, mądrzejszych. Jakoś mi się udało donosić ciążę bez skandalu, a rodzice załatwili resztę. Nie dopuszczali nas ani do prawników, ani do papierów, ale i tak dowiedziałam się, że córkę, którą urodziłam, zaadoptowali Teresa i Zenon Krawczykowie. Później zdaliśmy z Tadeuszem maturę, dostaliśmy się na studia i niebawem pobraliśmy. Po dziewięciu miesiącach urodziłam ciebie, a o Marysi zapomniałam.

– Jak mogłaś?

– Nie mam pojęcia. Sumienie czasami mnie gryzło, ale wypierałam niewygodne wspomnienia. Nie miałam kontaktu z adopcyjnymi rodzicami Marysi, a nasi milczeli. Byliśmy bardzo młodzi i myśleliśmy o kolejnych dzieciach, ale natura nie pozwoliła. Zostałaś naszą jedyną i ukochaną córeczką. Kto mógł przypuszczać, że los w tak nieoczekiwany sposób z nas zakpi i postawi na twojej drodze Marię?

Boże mój, moje dzieci nosiła moja rodzona siostra! To świetny pomysł na książkę, na reportaż, myślałam w popłochu, ale żeby takie sytuacje zdarzały się w życiu?

– Czy ona wie? – zdobyłam się na pytanie.

– A skąd? Ja sama zorientowałam się dopiero przed kilkoma dniami, kiedy spotkałyśmy się na cmentarzu. Pamiętasz, była przy grobie swojej adopcyjnej matki, kiedy my odwiedziłyśmy tatę. Zastanawiałam się, czy w ogóle ci powiedzieć... Ale doszłam do wniosku, że skoro jest matką zastępczą i w sprawę wtrącił się los, powinnaś poznać prawdę. Przepraszam.

Nie wiedziałam, czy mama przeprosza za grzechy przeszłości, czy za ukrywanie prawdy. W każdym razie nie byłam w tej chwili gotowa, by ją rozgrzeszyć. Wiedziałam, że ja nigdy nie oddałabym dziecka. No i niespodziewanie straciłam status ukochanej jedynaczki.

Moje serce zalała fala żalu za utraconym dzieciństwem. A co, jeśli miłość rodziców do mnie podszyta była wyrzutami sumienia wobec pierwszej córki?

– Mamo, nie wiem, co powiedzieć – bąknęłam. – Poza tym, że czuję się zawiedziona. I jak mam spojrzeć w oczy Marii? Czego się spodziewałaś, ujawniając prawdę? Że nagle wpadniemy sobie w objęcia? Załatwiającie to między sobą. I chyba powinnyśmy zakończyć rozmowę.

Mama wstała i zgarnęła z poręczy fotela górę od kostiumu.

Zanim wyszła, zadałam jej ostatnie pytanie.

– Żałujesz?

Skinęła głową.

Pożegnałam ją i zamknąwszy drzwi, osunęłam się na podłogę, a razem ze mną cały znany mi do tej pory świat. Oto odkryłam prawdziwe oblicze moich rodziców.

Poruszałam się po pustym domu, który stawialiśmy z Jaśkiem, jak widmo, myśląc o dzieciach noszonych przez moją siostrę. Nie odpisałam Milenie, która zapytała w esemesie, jak się czuję. Dopiero wiadomość z dalekiej Rygi sprawiła mi trochę radości. Była jak ręka wyciągnięta do tonącego.

„Krasts pochowany – pisał Janis. – Było mnóstwo ludzi, nawet zza oceanu przyjechali Eriks i Gabija z dziećmi. Chcą zagospodarować spadek po ojcu. Ja zabrałem rzeczy i wróciłem do swojego mieszkania; bardzo tu -pusto i smętnie. Brakuje mi go. Mimo gorącego lata i tłumu turystów na ulicach panuje cisza. Odwiedziłem knajpkę, w której często dyskutowaliśmy z Krastsem o książkach. Znajomy kelner podał mi dwa kieliszki Riga Black Balsam, tego wina z czerwonej porzeczeki, które braliśmy zawsze. Wychyliłem za nas obu. Sasza, brakuje mi również Ciebie. Szkoda, że nie mogłaś przylecieć, choć rozumiem, że powstrzymał Cię ważny powód. Czy poradziłaś sobie z problemami? Jak się masz? Tęsknię za Krastsem i Twoją obecnością. Chwile, kiedy byliśmy wszyscy razem, zachowam w pamięci na zawsze. Gdy będziesz miała ochotę przyjechać, daj znać. Odbiorę Cię z lotniska i jeśli tylko przyjmiesz zaproszenie, ugoszczę Cię u siebie. Nic dodać. Trzymaj się i mam nadzieję – do zobaczenia”.

Zatęskniłam za Łotwą, mimo że już bez Krastsa. Tym razem wyjazd musi dojść do skutku, postanowiłam.

Zamówiłam bilet na najbliższą sobotę.



## Rozdział 5

### ALEKSANDRA

W czwartek odebrałam Marię ze szpitala i zawiozłam ją do domu. Lekarz zalecił jej spokojny tryb życia i nakazał dbać o ciążę.

Władek i Kalina jeszcze nie wrócili, w lodówce było tylko światło. Zanim jednak pobiegłam po zakupy, przewietrzyłam mieszkanie i zaciągnęłam żaluzje.

Przyzwyczajona do jednorodzinnego domu z ogrodem, z trudem znosiłam panujący w mieszkanku zaduch. Gdyby nie sytuacja z Jaśkiem, zaprosiłabym Marię do siebie, ale obawiałam się, że będzie pod moją nieobecność narażona na wizyty Jaśka i Arlety. Tym bardziej, że jeszcze nie była wtajemniczona w naszą rodzinną sytuację.

Może zresztą i dobrze, że nie miałyśmy okazji o tym porozmawiać?, dumałam. Bo w głębi duszy nie wyobrażałam sobie zamieszkiwania z kobietą, która okazała się moją siostrą. Od dwóch dni nosiłam w sobie ogromny żal do rodziców za to, co zrobili w przeszłości, i żałowałam, że mama ujawniła mi prawdę. Całe moje dotychczasowe życie legło w gruzach. Powinnam mieć za złe mamie i tacie, że pozbawili mnie obecności rodzeństwa, jednak przeważył egoizm. Ukochana jedynaczka, wychuchana księżniczka spadła z tronu.

Zdawałam sobie sprawę, że i dla Marii cała sprawa przestanie być wkrótce tajemnicą. Jeśli nawet nie dzięki mnie, to na pewno dzięki mamie. O konsekwencjach myślałam z przerażeniem.

Cholera jasna, ja jestem zwyczajnie zazdrosna!, zdumiona analizowałam negatywne uczucia, które zalewały mój umysł z siłą wodospadu. Nie powinno być tak, że trzydziestopięcioletnia kobieta znienacka dowiaduje się, że ma siostrę, która w dodatku nosi jej dzieci!

Rodzice zawiedli mnie na całej linii. Och, jakże ja ich w tej chwili nienawidziłam! Odrzucałam połączenia od mamy, nie odpowiadałam na wiadomości, z wyjątkiem jednej, w której poprosiła o numer telefonu Marysi. Zapewniła mnie przy okazji, że zaopiekuje się nią, gdy będę w Rydze, a w kwestii wiadomego tematu obiecała milczenie.

Takie rozwiązanie było do przyjęcia. Ale dalszy ciąg naszych relacji musiałam przemyśleć. Chwała Bogu Maria jeszcze o niczym nie wiedziała.

– Olu, nie musisz się mną aż tak przejmować. – Próbowała mi pomagać w ogarnianiu mieszkania.  
– Od dwóch dni nie mam żadnych skurczów, a tym bardziej plamienia. Poradzę sobie.

– Usiądź i pozwól mi działać – odparłam, trochę zbyt obcesowo. – Napij się wody, a ja przygotuję listę zakupów. Kiedy wraca Władek?

– Czy ja wiem? Kalina przyjeżdża w niedzielę.

– Ale Kalina nie pójdzie do sklepu.

– Bardzo cię przeproszam. – Maria niespodziewanie się rozkleiła. – Cała ta sytuacja to moja wina. Nie powinnam była pomagać pani Zofii w remoncie.

– Rzeczywiście lepiej byłoby, gdybyś bardziej na siebie uważała – odparłam. – Może to już czas, żeby iść na zwolnienie?

– Może i masz rację. Ale na razie posiedzę w domu do końca przyszłego tygodnia i zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie.

– Dobrze. To ja idę na zakupy. – Złapałam za torbę.

Nie wiedziałam, czy Maria zauważyła ostrość w moim głosie, której nie zdołałam pohamować.

W windzie oddychałam głęboko, próbując opanować stres.

Niestety, po wyznaniu mamy mój stosunek do Marii się zmienił. Ale tak czy siak nie przestała ona nosić moich dzieci, a ja musiałam o nie dbać bez względu na to, jak potoczą się nasze losy.

Wkrótce przytachałam kilka wypchanych siatek i obiad z pobliskiej restauracji.

– Nie musiałaś. – Zażenowana gospodyni wypakowywała wiktuały. – Zjemy razem?

Wykręciłam się nawałem przygotowań przed wyjazdem na Łotwę i po chwili z ulgą zasiadłam w samochodzie. Maria była zaopatrzona na kolejnych kilka dni, miała się nie ruszać do pracy i dbać o dzieci. Przekazałam jej telefon do mamy.

Mogłam lecieć na spotkanie z Krastsem na cmentarzu.

Z przyjemnością pozostawiłam za sobą rodzinne zagadki, szpitalne epizody, niewiernego męża i robotę nietkniętą od dłuższego czasu. Autostrada do Warszawy śmignęła mi jak sen, a lotniskowa sala odpraw powitała dobrze znaną atmosferą. I mimo że moja podróż prowadziła do miejsca opustoszałego po Krastzie, czułam przyjemną ekscytację. Byle dalej stąd.

Schodziliśmy na ziemię w pełnym słońcu.

– Rigas Starptautiska Lidosta – przeczytałam półgłosem i poczułam się jak w domu. Sięgnęłam do luku po torbę i podążyłam do wyjścia.

Bez problemu dostrzegłam górującą nad tłumkiem oczekujących sylwetkę Janisa, jego zmierzwioną blond czuprynę, a po chwili także uniesioną rękę.

– Jak lot? – zapytał, przejmując mój skromny bagaż.

– Krótki i słoneczny – odparłam. – Dziękuję, że przyjechałeś.

Rzucił mi uśmiechnięte spojrzenie i zaprowadził na parking.

Sześć kilometrów do miasta przemknęło zdecydowanie zbyt szybko. Oczy cieszyły dobrze znane widoki. Choć miejscami Ryga wymagała dopieszczenia, zachwycała charakterem i klimatem wielowiekowej tradycji. Drewniane domy stały obok secesyjnych kamienic, mosty łączyły brzegi rozlanej Dźwiny, a starówka pamiętała czasy średniowiecza.

To tutaj przyjechałam w trakcie studiów na półroczną wymianę studencką, tu zakochałam się w Janisie, tu przeżyłam rozczarowanie. Teraz siedziałam obok mojej dawnej miłości w samochodzie. Przystałam na propozycję, by zrezygnować z hotelu, ponieważ czasy naszych wlotów i upadków już dawno minęły. Za to połączył nas Krasts.

Omiatając wzrokiem ulice, myślałam, czy kiedykolwiek jeszcze tu przyjadę. Mistrz miał nie napisać już żadnej książki, więc moja rola tłumaczki również się zakończyła. Miałam jeszcze wprawdzie na tapecie jego ostatnie nowele, ale to wszystko.

– Jesteśmy na miejscu – dotarł do mnie głos Janisa.

– Uhm... Już wracam. – Ocknęłam się z zadumy.

– Tu jest twój pokój – usłyszałam po chwili. – W łazience zostawiłem czysty ręcznik. Może czegoś się napijesz? – Janis wcielił się w rolę dobrego gospodarza. – Zapraszam na obiad. Mamy tu w pobliżu niezłą knajpkę.

Nie miałam specjalnej ochoty na ociekające śmietaną i tłuszczem z boczku zeppelin, ale dałam się namówić.

– Chodźmy na cmentarz – poprosiłam po uczcie.

Na straganie przy bramie kupiłam wiązankę białych róż i podążyłam za Janisem.

Kluczyliśmy po cmentarnych alejkach, by w końcu przystanąć przed świeżym grobem. Pokrywały go wieńce, nad którymi górował drewniany krzyż. Podeszłam i położyłam na nim rękę, jak gdybym za pośrednictwem dotyku mogła połączyć się ze zmarłym.

Janis stał obok w milczeniu. Nie przeszkadzał.

– Wiesz, że bardzo go kochałam? Był dla mnie jak ojciec – podzieliłam się z nim swoimi uczuciami.

– Ja też.

Postaliśmy jeszcze trochę. Nawet nie zauważyłam, kiedy Janis otoczył mnie ramieniem i przytulił. Odwzajemniłam uścisk.

Wreszcie dwie sieroty po Krastzie, przywarłe do siebie, dotarły do samochodu. Ale udziału w kolacji w lokalu odmówiłam.

– Musimy porozmawiać – oświadczyłam. – Mam do ciebie pewną sprawę.

Janis spojrział zdziwiony, a ja natychmiast zorientowałam się, że pojął moje słowa opacznie. Musiał pamiętać naszą miłość sprzed lat i sposób, w jaki ją zakończył. Zapewne nie miał ochoty wracać do tematu, podobnie zresztą jak ja.

Oboje ułożyliśmy sobie życie po niefortunnym rozstaniu, a teraz liczył się tylko Krasts. Musiałam oddać Janisowi jego list i książkę.

– Mam ci coś do przekazania. Wracajmy do domu.

Jeżeli myślałam, że sprawa zostanie załatwiona szybko i bezproblemowo, bardzo się pomyliłam. Janis posadził mnie w fotelu i poprosił o chwilę cierpliwości. Na stół wjechała butelka wina i kryształowe -kieliszki. A wkrótce po nich duży wazon z bukietem róż.

– Co to takiego? – zapytałam.

– Sasza, przepraszam. To za dawne grzechy, których nigdy sobie nie wybaczę. Wiesz, że w tamtych czasach, kiedy wróciłaś z Polski po świętach, kupiłem ci zaręczynowy pierścionek? I powinienem był ci go dać, ale Inga właśnie obwieściła, że urodziła moje dziecko. Nie utrzymywaliśmy kontaktów od kilku dobrych miesięcy. Byliśmy razem, zanim poznałem ciebie, a tu nagle takie coś. Biłem się z myślami, co robić, ale zostałem ojcem. Więc...

– Rozumiem. Janis, to stare dzieje. Teraz chyba powinniśmy porozmawiać o Krastsie – przerwałam mu. Nie miałam ochoty słuchać tłumaczeń.

– Posłuchaj, Sasza. Kochałem cię jak szalony, ale zdecydowałem, że zostanę z Ingą dla dobra Skelego. Przykro mi, że sprawiłem ci zawód.

– Czy możemy nie wracać do przeszłości? – spytałam. Choć w głowie tłukła się myśl, że lata temu przeszła mi koło nosa największa miłość mojego życia.

Bo Jasiek się nią nie okazał.

– Nie, nie możemy. Sasza, ja wiem, że już nigdy tu nie przyjedziesz. Że to ostatnia okazja, żeby się wytłumaczyć. Powinienem ci wtedy dać ten pierścionek i poprosić cię o rękę – kontynuował. – Mam zresztą tutaj. – Janis otworzył pudełko, w którym zaśniło błękitne oczko osadzone w srebrnej obrączce.

– Ładny, ale dziś nie na miejscu – stwierdziłam. – No dobrze, skoro już rozmawiamy szczerze... Miałam sześć poronień, aż w końcu wynajęliśmy z mężem surogatkę i w połowie listopada spodziewamy się bliźniąt. Nie przyjechałam na pogrzeb Krastsa, ponieważ Maria, matka zastępcza, trafiła do szpitala. Jest już w porządku, ale muszę o nią dbać, jeśli ma donosić ciążę. Pragnę tych dzieci, ale jednocześnie bardzo się niepokoję, bo jeden z chłopców źle rokuje. Prawdopodobnie urodzi się niepełnosprawny albo umrze przed porodem. Poza tym mój mąż znalazł sobie kochankę i właśnie spodziewają się dziecka. A żeby było ciekawiej, dwa dni temu wyszło na jaw, że Maria jest moją siostrą, którą oddali do adopcji jej i później moi nastoletni rodzice. Teraz chyba rozumiesz, dlaczego mało mnie interesuje pierścionek, którego nie dałeś mi przed laty.

Mina Janisa świadczyła, że padł w obliczu usłyszanych rewelacji.

– Nalać ci jeszcze? – zaproponował, a ja wyciągnęłam dłoń z kieliszkiem.

Długo rozmawialiśmy, zanim zdecydowałam się przekazać mu kopertę z listem od Krastsa. Puzderko z pierścionkiem stało na stole, ja nieco się rozluźniłam. Było naprawdę miło, ale noc zajrzała przez okno. A na jutro zaplanowaliśmy już wyjazd do domu pisarza nad morzem.

– Przywiozłam coś dla ciebie. – Wyjęłam wreszcie z torebki niebieską kopertę. – Prosił, by ci to dostarczyć po jego śmierci.

Janis otworzył, niestarannie drąc papier, i pogrążył się w lekturze. Nie spuszczałam z niego wzroku. Coraz bardziej zaintrygowana obserwowałam, jak zmienia się jego twarz.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, gdy skończył.

– Za chwilę wrócę – odparł.

Sięgnął po papierosa i wyszedł na balkon.

## Rozdział 6

### MARIA

Stracę dzieci!

Nie potrafiłam wyrzucić tej myśli z głowy, gdy karetka na sygnale wiozła mnie do szpitala. Krew spływająca drobną strużką pomiędzy nogami nie pozostawiała wątpliwości, że dzieje się coś złego, a krótka dyspozycja ratownika, by przygotowano salę operacyjną, przerażała. Brzmiało to groźnie. Czyżby właśnie miała się zakończyć moja batalia o narodziny bliźniąt Oli i pana Janka? Zawiodłam na całej linii. Nie powinnam nadwerężyć się przy remoncie u pani Zofii, bardziej dbać o siebie i ciążę.

Odruchowo gładziłam brzuch i wypowiadałam bezgłośnie słowa modlitwy, nie wiedząc, czy Bóg wysłucha kobietę, która pozwoliła zapłodnić się metodą in vitro.

– Zrobiłam to dla Kaliny, potrzebowałam pieniędzy na operację córki – szeptałam, próbując usprawiedliwić się przed Opatrznością, której karząca dłoń właśnie mnie dopadła.

Nie byłam do końca szczerą w tej rozmowie z Bogiem. Tak bardzo pragnęłam donosić dzieci, że w tym momencie zawarłabym pakt choćby i z samym diabłem. Nie tylko z uwagi na kolejne pięćdziesiąt tysięcy, które Borykowie mieli mi wypłacić do końca ciąży. Skutecznej, zakończonej narodzinami dzieci. Lub dziecka, bo obie z Aleksandrą zdawałyśmy sobie sprawę, że zdrowie, a nawet życie jednego z bliźniaków jest zagrożone.

Zawiodłam również na polu zawodowym. Szefowa pozostawiła w moich rękach dom opieki, a ja nie mogłam stawić się w pracy. Moją jedyną nadzieją pozostawał Julian.

Wysłałam mu z karetki wiadomość, wraz z serdeczną prośbą.

„Jadę do szpitala, krwawię. Czy mógłbyś mnie zastąpić? Przepraszam. M.”

„Jasne. Daj znać, kiedy będę mógł do Ciebie zadzwonić. Trzymaj się. J.”, odpisał.

Godziny badań i oczekiwania na wyniki ledwie przeżyłam. Poddawałam się im bezwolnie jak szmaciana lalka, raz po raz próbując odczytać z oczu lekarzy diagnozę. Przypuszczałam, że Ola, która siedziała w szpitalnym korytarzu, przeżywa to samo. Obie bałyśmy się o dzieciaki, ale to ja sprawiłam, że mogłyśmy je stracić.

Momentu, w którym przyszedł do mnie doktor, nie zapomnę do końca życia. Był spokojny, ale... Oni zawsze trzymają fason, pomyślałam. Nawet wówczas, kiedy mają do przekazania hiobowe wieści.

– Pani Mario, na razie możemy się nie przejmować – usłyszałam i z ulgą wypuściłam powietrze.

– Przez kilka dni poleży pani u nas, a potem panią wypuszczę. Wypiszę zwolnienie. Mamy jeszcze cztery i pół miesiąca do porodu, to sporo czasu. Musi pani o siebie dbać.

Aleksandra zapewne również dostała informację od lekarza, bo zapytała w esemesie, czy czegoś nie potrzebuję. A po dwóch dniach przyjechała i zawiozła mnie do domu. Przyznam, że po rozmowie z panią Zofią i wieściach o moim pochodzeniu czułam się nieswojo w towarzystwie Oli. A ona była taka opiekuńcza! Wywietrzyła mi mieszkanie, zrobiła zakupy, przekazała telefon do swojej mamy (która, jak niedawno się dowiedziałam, była także i moją), przeproszała, że musi wyjechać do Rygi i pozostawić mnie bez opieki. Jednocześnie było mi wstyd, że na Władka też nie mogę liczyć.

Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, bo bez przerwy sprawiałam Oli kłopoty. Ona straciła przyjaciela i przeze mnie nie poleciała na jego pogrzeb. A ja brałam po dwanaście tysięcy złotych miesięcznie za noszenie ciąży i tysiąc na życie.

Patrzyłam, jak krząta się po moim niewielkim mieszkanku, podgrzewa obiad, i próbowałam dostrzec w niej siostrę. Jeśli naprawdę nią była, nie łączyło nas zewnętrzne podobieństwo. Ona jasna blondynka, ja brunetka z kręconymi włosami. No, może jedynie szczupła sylwetka... A może pani Zofia się myliła? Może jej rewelacje o mojej adopcji miały się z prawdą?

W torebce miałam listy mamy, które zamierzałam przeczytać wieczorem. Miały mi wyjaśnić wszelkie wątpliwości.

Pożegnałam Aleksandrę na kilka dni. I bardzo dobrze. Potrzebowałam spokoju, a i ona chwili czasu beze mnie. Dostrzegłam jej z trudem powstrzymywane zniecierpliwienie, ale rozumiałam je doskonale. Sześć poronień i perturbacje w związku ze mną.

– Będę na siebie uważać – obiecałam. – I zadzwonię do pani Jadwigi, jeżeli cokolwiek się wydarzy. Szczęśliwej podróży. – Zamknęłam za Ołą drzwi.

Jednak zamiast się położyć, sięgnęłam po maminią korespondencję. Ciekawość i niepokój wzięły górę nad zmęczeniem.

Nie było tego wiele. Mama najwyraźniej była powściągliwa w słowach, również tych na piśmie. Rzeczywiście – w pierwszym liście do Zofii podzieliła się swoją radością z powodu zaadoptowania mnie i wymieniła nazwisko państwa Kniaziów, którzy w imieniu młodych rodziców załatwiali sprawę oddania mnie mamie i tacie. To po pierwsze. Po drugie w kolejnych listach to niezbyt popularne nazwisko uzupełniły imiona Jadwigi i Tadeusza, nie pozostawiając żadnych wątpliwości w kwestii rodzinnych koneksji. Mama pisała wprost, że współczuje „tym małolatom, którzy jeszcze nie wiedzą, jakiego skarbu się pozbawili”, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będę w stanie zapomnieć o oddanej dziewczynce.

Zofia w odpowiedzi uspokajała, że z pewnością będą kiedyś mieć kolejne dzieci. A dzięki takiemu obrotowi sprawy „zyskałaś, Teresko, ukochaną córeczkę i nie powinnaś zamartwiać się o cały świat”.

Mama przyznawała jej rację i opisywała moje postępy w jedzeniu, chodzeniu, siusianiu do nocnika, pierwszą samodzielną przejażdżkę na rowerze.

Czytałam i miałam ochotę na więcej, lecz korespondencja w pewnym momencie się urywała. Tak czy inaczej, wodziłam wzrokiem po linijkach tekstu, który miałam do dyspozycji, i słyszałam głos mojej mamy. Była moja od zawsze i tak miało pozostać na wieki wieków.

Nieważne, że matka Aleksandry, pani Jadwiga, mnie urodziła. Nieważne, że jej mąż Tadeusz był moim biologicznym ojcem. W trakcie lektury przestał mnie wreszcie dręczyć syndrom ptaka wyrzuconego z gniazda. Ja miałam własne gniazdo, od początku, w skromnym mieszkanku adopcyjnych rodziców, których kochałam nad życie. I zdałam sobie sprawę, że miłości wyczytanej z tych kilku listów do pani Zofii niejedynemu człowiekowi nie zaznaje w całym swoim życiu.

Odczułam niezwykłą wdzięczność do losu i niesłuchaną tęsknotę. Tak bardzo pragnęłam porozmawiać z mamą i usłyszeć jej głos. Ona wiedziałaby, jak mnie wesprzeć, podtrzymać na duchu w kwestii dalszego życia z Władkiem, utwierdzić w przekonaniu, że robię dobrze, nosząc cudze dzieci za pieniądze. Los jednak uczynił po swojemu i zostawił mnie z tym wszystkim samą.

Mimo zjedzenia obiadu, który przyniosła Ola, poczułam głód. Nawet nie zauważyłam, że kilka godzin minęło jak strzelił, bo lipcowe słońce nie zamierzało zachodzić i przed ósmą wieczorem świeciło pełnym blaskiem. Nabrałam apetytu na kanapki i z przyjemnością wyciągnęłam z lodówki produkty, których potrzebowałam, żeby przygotować ucztę w stylu mamy. Wstawiłam jajka na twardo, pokroiłam pomidora na cieniutkie plasterki, posypałam drobno pokrojoną cebulką. Na talerzu obok, w równych rzędkach ułożyłam ogórka i rzodkiewkę. Sięgnęłam po wędlinę, ser i majonez.

Po chwili smarowałam nim pajdy chleba i okładałam je smacznosciami. Na talerzu urosła ich spora sterta.

– Kto to wszystko zje? – roześmiałam się głośno, spoglądając na swoje dzieło, szczęśliwa, że nie dolega mi ból w podbrzuszu.

Odpowiedź na moje retoryczne pytanie nastąpiła niebawem. Dzwonek do drzwi zaanonsował gościa.

W pierwszej chwili pomyślałam o Władku, ale on miał klucz i zawsze robił z niego użytek. Kalina również nie zjawiałaby się na piętrze. Zazwyczaj dzwoniła z dołu domofonem. Zapewne któryś z sąsiadów z pytaniem o klucz od suszarni, pomyślałam i otworzyłam, nie zerknąwszy przez wizjer.

W pierwszej chwili nie poznałam elegancko ubranej kobiety. W kolejnej pamięć powróciła. Na korytarzu stała pani Jadwiga Kniaż.

– Przepraszam za najście. Mogę? – zapytała moja biologiczna matka, która nie uważała za stosowne się przedstawić.

Postanowiłam machnąć ręką na konwenanse.

– Proszę, pamiętam panią. Poznałyśmy się na cmentarzu. Właśnie przygotowałam kolację.

Nie uszło mojej uwagi, że omiotła wzrokiem „salon” i przysiadła na brzegu fotela. Zdecydowała się przyjąć propozycję napicia się herbaty, którą zaparzyłam w dzbanku. Miałam nadzieję, że zachowuję

się wystarczająco kurtuazyjnie.

Na widok kanapek mój gość speszył się nieco.

– Czy pani się kogoś spodziewa? Czyżbym przysłała nie w porę?

– Zrobiłam je dla siebie. Proszę się częstować. – Podsunęłam talerz. – I bardzo dziękuję, że nie miała pani nic przeciwko udostępnieniu mi numeru swojego telefonu. Ale nie oczekiwałam wizyty. – Uznałam, że najlepiej sprawdzi się oficjalna konwencja.

– Ola prosiła, żebym zajrzała. Widzę, że wszystko w porządku. – Pani Jadwiga zerknęła na mój brzuch.

– Taką mam nadzieję. Z cukrem? – zapytałam.

– Dziękuję – odmówiła gestem. Również kiedy zaproponowałam jej kanapkę.

Przez moment milczałyśmy.

Jej reakcja na cmentarzu świadczyła, że zorientowała się w naszych koneksjach. Nie zdziwiłam się zatem, że wykorzystwała wyjazd Oli jako pretekst do odwiedzin. Nabrałam powietrza, gotowa na tłumaczenia. Nie miałam wprawdzie ochoty ich słuchać, ale sytuacja zobowiązywała.

Pani Jadwiga opanowała stres.

– Pani Mario, łączy nas o wiele więcej niżeli dzieci Olki i Jaśka – usłyszałam.

– Wiem.

– Nie rozumiem... Co pani wie?

– Znam prawdę. Jestem pani córką oddaną do adopcji tuż po urodzeniu.

Takie postawienie sprawy przytłoczyło mojego gościa i zbiło go z pantafelku.

– Kto pani powiedział?

– Pani Zofia. Chociaż nie ma to znaczenia.

Kobieta, która siedziała teraz przede mną, nie była tą samą, która wkroczyła do mojego mieszkania pół godziny wcześniej. Jej gładka, wypieszczona przez kosmetyczkę skóra nagle zwiotczała i pobladła, a ramiona opadły. Przez moment nawet jej współczułam. Gdy zdała sobie sprawę, że skrzętnie skrywane tajemnice z przeszłości wyciekły, musiała poczuć ogromny zawód.

– Czy mogę mówić pani po imieniu? – zapytała.

Moja biologiczna matka pyta mnie o takie rzeczy!

– Oczywiście. Mam na imię Maria – odparłam.

– Nie miałam pojęcia, że wiesz – usłyszałam. – Cóż, będziemy musiały zmierzyć się z tym tematem.

Oczywiście. Mleko już się wylało.

– W rzeczy samej – powiedziała. – Może jednak poczęstuje się pani kanapką?

## Rozdział 7

### ALEKSANDRA

Jakiś czas czekałam na powrót Janisa, ale nie skończyło się na jednym papierosie.

Najchętniej poszłabym sobie, ale zgodziłam się zamieszkać u niego na czas pobytu w Rydze, więc miałam związane ręce. Tyle że zezłościło mnie jego zachowanie. Skierowałam się do swojego pokoju.

Po kilku minutach do drzwi zapukał gospodarz. Zastał mnie w trakcie pakowania walizki.

– Sasza, przepraszam. Musiałem ochłonać. Wróć, porozmawiamy – dotarł do mnie jego głos.

– Nie musisz się z niczego tłumaczyć. Postanowiłam zamówić pokój w hotelu.

– Poczekaj. Bardzo cię proszę, nie odchodź.

Nie miałam pojęcia, co robić. Sytuacja zrobiła się niezręczna. Najwyraźniej list Kratsa bardzo poruszył Janisa. Może nie powinnam go zostawiać sam na sam z myślami?

Podszedł i delikatnym, lecz stanowczym ruchem zamknął wieko walizki.

– Nigdzie nie pójdziesz. Jesteś mi potrzebna – starannie wypowiedział kolejne sylaby. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Nie pozwoliłam się długo prosić, a on nie zwlekał z wyjaśnieniami. Usadził mnie w fotelu naprzeciwko francuskich drzwi balkonowych, sam zaś zajął miejsce vis-à-vis mnie i sięgnął po kopertę.

„Janis, czytasz list ode mnie, co znaczy, że nie będziemy już mieli okazji porozmawiać w cztery oczy. Zastanawiam się, czy Aleksandra jest przy Tobie, i mam taką nadzieję, bo to na jej ręce złożyłem ostatnie skierowane do Ciebie słowa. Ogromnie mi zależało, by się nie zawieruszyły i trafiły pod właściwy adres.

Przyznam, że napisanie ich sprawiło mi ogromną trudność, bo chociaż jestem, a właściwie byłem, pisarzem, nie potrafiłem poradzić sobie ani ze składnią, ani z uczuciami. Jak się okazało, łatwiej opisywać problemy fikcyjnych bohaterów niż swoje własne.

Wielokrotnie siadałem przy biurku i wyrzucałem kolejne kartki do kosza. Raziły mnie słowa, które nie oddawały tego, co czułem, paraliżował strach, że nie zechcesz doczytać do końca. Proszę Cię o cierpliwość i wyrozumiałość dla starego matola, jakim byłem, i o szansę na wytłumaczenie.

Zazwyczaj nie robiłem tak długich wstępów, ale wyznanie prawdy przychodzi mi z trudem.

Janisie, kiedyś przeżyłem kilka miesięcy w związku z pewną kobietą. Ja byłem po studiach, ona już pracowała. Ale nie ułożyło nam się i każde z nas poszło swoją drogą.

Los mi sprzyjał, wkrótce poznałem Elenę. Dopadła nas strzała Amora, kupiłem pierścionek zaręczynowy. Niestety dzień przed poproszeniem jej o rękę zjawiła się moja była z dzieckiem na rękę. Byłem przerażony. Zresztą akurat Ty jesteś chyba w stanie to zrozumieć?

W tamtych realiach nie myślało się o testach genetycznych, ograniczyłem się zatem do zapytania, czy to ja jestem ojcem. Ona przytaknęła; oczywiście uwierzyłem, tylko co z tego? Najbardziej zajmowało mnie, jak wybrnąć z tej niewygodnej sytuacji. Powiedziałem Sigicie o moich małżeńskich planach. Zrozumiała, ale poprosiła o pomoc finansową. Jako początkujący -pisarz niewiele mogłem jej zaoferować, na szczęście się -dogadaliśmy.

Ożeniłem się z Eleną i przez kolejne lata lawirowałem, odkładając zaskórniaki dla nieślubnego dziecka. A po jakimś czasie moja była wyszła za mąż i dobrowolnie zrezygnowała z mojego wsparcia. Ulżyło mi, wreszcie mogłem przestać oszukiwać w kwestii finansów.

Jednak sumienie uwierało, bo nie byłem z Eleną szczery. Miałem dziecko, o którym nic nie wiedziała. Człowiek to jednak zwierzę, które potrafi się przystosować do każdych warunków. Mimo że łyże jak pies, potrafi to wyprzeć.

Elena urodziła Eriksa i Gabiję, stworzyliśmy wymarzoną rodzinę z dwojgiem dzieci. Tamtym chłopcem się nie interesowałem. Być może kilka razy otarliśmy się o siebie na ulicy, ale zdusiłem w sobie chęć bliższych kontaktów z pierworodnym. On miał już innego ojca. Dzisiaj mógłbym powiedzieć, że się o nie starałem, ale nie byłaby to prawda. Odczuwałem raczej wdzięczność do losu, że pozwala mi wieść szczęśliwe życie z Eleną, a Sigicie pozostawać w udanym związku.

Z czasem zupełnie zapomniałem o grzechach przeszłości. Życie biegło, dzieciaki pokończyły studia i wyjechały za ocean, ale Elena zachorowała na białaczkę. Mocowaliśmy się z chorobą w nierównej przegranej walce. A krótko po pogrzebie dostałem list od Sigity...

Ona również umierała, więc postanowiła napisać. Nie, nie o sobie. O Tobie. Że odziedziczyłeś po mnie literacki talent i próbujesz sił jako autor. Że zostałeś laureatem kilku konkursów, jesteś świetnym redaktorem. Nie prosiła o nic.

Zobaczyłem się z nią przed śmiercią, starannie wybrawszy moment, w którym nie miałem szans Cię zastać...

Po raz pierwszy od lat spotkaliśmy się na jej pogrzebie. Naturalnie nic o tym nie wiedziałeś. Stałem z dala od grobu, chowając się jak szczur za jednym z nagrobków. I wtedy zakiełkowała myśl, żeby zatrudnić Cię jako mojego sekretarza. Dzieci znalazły swoje miejsce w życiu, Elena w zaświatach, czułem się samotny. Wiem, że w tym momencie powinienem napisać, że bardzo chciałem Cię poznać, przytulić do serca i przeprosić. Za to, że nie byłem dobrym ojcem, a właściwie wcale mnie nie było. Byłbym jednak nieszczerzy, a na to mnie nie stać. Sam stoję dzisiaj przed bramą Świętego Piotra i powinienem przystąpić do szczerej spowiedzi.

Trochę meandruję, ale już wracam do wątku.

Zatem Twój widok niekoniecznie mnie wzruszył. Dostrzegłem oznaki naszego zewnętrznego podobieństwa, ale zainteresowałem się Tobą wyłącznie jako początkującym pisarzem. Przyjaciele z wydawnictwa polecali Twoje usługi, więc poprosiłem ich o kontakt. Podjęliśmy współpracę i... okazało się, że jesteś moim alter ego. Z czasem awansowałeś na wspaniałego przyjaciela, pomocnika, prawą rękę. Człowieka, bez którego nie potrafiłem się obyć.

Był przy mnie syn, który nie miał pojęcia o naszych powiązaniach.

Wielokrotnie chciałem Ci wyznać prawdę, niestety okazałem się słaby i bojaźliwy. Na tyle marny, by czerpać z kontaktów z Aleksandrą i z Tobą, nie ci nie dając w zamian. Ot zły, stary człowiek.

Piszę ten list, gdy już niewiele mogę. Zaledwie zapewnić Cię o swojej miłości do Ciebie, która pojawiła się zbyt późno. Przeprosić za brak ojca. Choć wiem, że nie zrekompensuje Ci to krzywdy, postanowiłem podarować Ci swój dom w Jurmale, oszczędności na koncie i scedować na Ciebie prawa autorskie do moich książek. To niewiele, bo książki łotewskich pisarzy nie przynoszą takich zysków jak amerykańskie hity. Mieszkanie w Rydze przepisałem na Gabiję i Eriksa, bo chociaż od dawna trwam poza nawiasem ich życia, też są moimi dziećmi. Elena nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym ich pominął. A poza wszystkim: gdybym ich pozbawił spadku, zapewne skończylibyście w sądzie.

Janisie, mój synu, przepraszam. A jeśli na koniec naszej wspólnej drogi mogę mieć do Ciebie prośbę – dokończ moją książkę, którą przekazała Ci Aleksandra. Jestem pewien, że zrobisz to lepiej ode mnie.

Do widzenia. Twój ojciec.

PS

I jeszcze jedna sprawa: niech Aleksandra zajrzy do skrzynki i przeczyta mejl od mojego notariusza. Przesłał go jej dzisiaj; to dlatego wypytywał Cię, kiedy przyjedzie do Rygi. Pragnę, żeby uczestniczyła w otwarciu testamentu.

Saszo, oddaj mi przysługę i pozostań na Łotwie przez dzień czy dwa. Notariusz wie, co robić”.

Janis złożył kartkę.

Żadne z nas nie było w stanie przerwać ciszy, która zapadła. Duch Krastsa krążył nad nami, zajmując myśli nas obojga. Nie, nie zastanawiałam się, czy zszokowała mnie jego spowiedź – zwyczajnie mi go brakowało. Powinien siedzieć tu, między nami, rozmawiać, częstować łotewskim balsamem, roztaczać swój urok, zagarniać nas do siebie.

Pierwszy odezwał się Janis.

- Dokończę tę książkę.
- Chyba powinienes – odparłam.
- Wypijesz kieliszek wina?
- Poproszę.
- A może więcej?



– Wystarczy.

Podobnie jak prawdy, którą poznałam przed chwilą, dodałam w myślach.

## Rozdział 8

### ALEKSANDRA

Żałuję tylko jednego. – Po kolejnej dłuższej chwili milczenia Janis postanowił podzielić się ze mną refleksją. Spojrzałam z ciekawością. – Że nie wyjawiał prawdy za życia. Dziś czuję się pozbawiony ojca po raz drugi.

– Nie wiem dlaczego – powiedziałam. – Krasts już się nie wytłumaczy. Zapewne powodował nim wstyd, a może i obawa, że mu nie wybaczysz. Chciał cię mieć przy sobie do końca. I tak właśnie się stało.

– Mimo wszystko mam do niego żal. I chyba nie przejmę po nim schedy. Nie licząc książki od pisarza, którego cenilem. Nie od ojca.

Rozumiałam to rozgoryczenie. Ja również krótko przed przyjazdem tutaj dowiedziałam się, że rodzice ukryli przede mną istnienie siostry. Ale nie ja byłam teraz ważna. Musiałam dać Janisowi czas na otrzeźwienie i zaakceptowanie faktów.

– Wiesz już, kiedy otwarcie testamentu? – zapytałam, zmieniając temat.

– Jutro o szesnastej. Tobie najwyraźniej też coś zostawił. – Janis nawiązał do treści dopisku.

Nie spodziewałam się niespodzianki, co najwyżej kilku książek. Mimo to uwierała mnie perspektywa spotkania z rodziną Krastsa w sprawie podziału jego majątku.

Notariusz skontaktował się z nami godzinę później. Podał dokładny adres kancelarii i zaprosił do siebie.

Biłam się z myślami, jak postąpić. Czy spełnić życzenie zmarłego? Czy nie zakłócę rodzinnego miru? Zadzwoiłam w tej sprawie do wuja Kazimierza; ufałam w jego doświadczenie i jego niemal rodzinny układ z tatą i mamą. I choć Janek po śmierci taty zatrudnił w firmie innego prawnika, ja zwracałam się do mojego przyszywanego wujka z każdą wątpliwością. Jak do ojca.

– Idź na otwarcie testamentu, skoro jesteś w Rydze – doradził. – Dowiesz się, co wymyślił dla ciebie pan Mihelsons. Gdybyś się nie pojawiła, spadek i tak by nie przepadł, ale przynajmniej poznasz treść zapisu. Prześlij mi wypis, zastanowię się, co dalej.

Po krótkiej wymianie zdań z wujem Kazimierzem zdecydowałam, że jutro stawię się u notariusza.

Tego wieczoru odpuściliśmy sobie z Janisem dalszą rozmowę i zniknęliśmy każde na swoim balkonie. On na balkonie zachodnim, ja na tym od wschodu, wychodzącym na podwórze. Oboje popalaliśmy chyłkiem papierosy, pogrążeni we własnych myślach. Przed snem zadzwoniłam jeszcze do Marii i upewniwszy się co do jej dobrego samopoczucia, zajęłam łazienkę. Potem długo przewracałam się w łóżku; sen nie nadchodził. Wprawdzie nie działo się nic niepokojącego w kwestii ciąży, ale pozostawione w Polsce życie dało o sobie znać. Dobiła mnie wiadomość, że mama ujawniła Marii prawdę.

Nie potrafiłam skupić się na treści czytanej do poduszki książki. Jako wsparcie w gąszczu niedopowiedzeń i kłamstw pozostawała mi wyłącznie Milena, do której mimo późnej pory zdecydowałam się zadzwonić.

Odebrała i zaczęła od pytań o Rygę. Pominęłam krajoznawcze wrażenia i przeszłam do rzeczy.

– Jutro idziemy do notariusza na otwarcie testamentu Krastsa, bo podobno coś mi zapisał – oznajmiłam. – No i nie wiesz najważniejszego, bo i skąd? – dodałam. – Maria jest córką moich rodziców oddaną do adopcji zaraz po narodzinach. A Janis okazał się synem Krastsa. Teraz nawet nie gadamy. On pali na jednym balkonie, ja na drugim.

– Dobrze się czujesz? – zainteresowała się Milena, gdy już odzyskała głos.

– Żyję.

– Maria naprawdę jest twoją siostrą?

– Wpadli jako nastolatki, pozbyli się dziecka i wymazali je z pamięci. Sprawa wyszła niedawno. Milena, jestem w kompletnym dołku – poskarżyłam się. – Sama nie wiem, czy wracać do domu, czy wyjechać na koniec świata. Ale chyba jednak złapię samolot i po jutrzejszej wizycie

u notariusza przylecę do Warszawy.

Moja przyjaciółka milczała.

– Jesteś tam? – zapytałam.

– Może jednak zostać na dzień czy dwa... – usłyszałam w końcu jej radę. – Złapiesz dystans do tego, co czeka cię w kraju. Maria, Jasiek, mama... Daj sobie chwilę czasu, pokręć się po mieście. Może z Janisem? Z tego, co słyszę, przeszłość dopadła was oboje. Nie sądziłam, że to powiem, ale... Może będziecie sobie nawzajem potrzebni?

Milena od samego początku mojej znajomości z Janisem nie przepadała za przystojnym Łotyszem. A od momentu, kiedy zamiast pierścionka zaręczynowego dostałam czarną polewkę, totalnie go znenawidziła. Jednak po latach przyjęła moje zapewnienia, że wymazałam z pamięci związane z nim emocje.

– Może i masz rację? – zastanowiłam się. – Rzeczywiście, warto zostać na Łotwie, bo nieprędko nadarzy się kolejna okazja. Odwiedzę mistrza na cmentarzu, pojedę nad morze, pokręcę się wokół jego domu. Zrobię kilka zdjęć na pamiątkę...

Rozmowa z przyjaciółką trochę mnie uspokoiła, ale przede wszystkim pozwoliła ułożyć plan działania. Postanowiłam, że rano wynajmę pokój w hotelu na dwie doby, o szesnastej stawię się u notariusza, a kolejnego dnia pojedę do Jurmały. Lipcowa pogoda rozpieszczała słońcem, dzień nad morzem kuśił.

Świtem spakowałam walizkę i powiadomiłam Janisa o zamiarze wyprowadzki.

– Sasza, dlaczego nie chcesz zostać? Przepraszam, że wczoraj zamknęłam się na balkonie, musiałem pomyśleć...

– Wszystko w porządku – odparłam. – Ja również chcę być sama. Muszę zebrać myśli przed powrotem.

Kancelaria mieściła się przy głównej Alberta iela. Notariusz zaczekał do chwili, kiedy zjawili się wszyscy zainteresowani: dzieci Krastsa, Janis i ja. Czułam się wśród nich niezręcznie, ale polegałam na wuju Kazimierzu.

Po przydługim wstępie wymaganym przez prawnicze procedury notariusz przeszedł do odczytania testamentu.

„Ja niżej podpisany zostawiam swoim dzieciom Gabii i Eriksowi mieszkanie w Rydze, synowi Janisowi oszczędności, jakie zgromadziłem na koncie, i prawa autorskie do moich książek, a dom letni w Jurmale przekazuję jako współwłasność Janisowi i Aleksandrze Boryk, mojej tłumaczce i przyjaciółce. Gdyby wystąpiły jakiegokolwiek wątpliwości co do mojego pokrewieństwa z Janisem, załączam test, który rozwiewa wszelką niejasność”.

Spotkanie nie dobiegło końca, jednak szok wywołany ostatnią wolą zmarłego sprawił, że wyłączyłam się całkowicie. Dom w Jurmale!

Krasts nie powinien pozbawiać rodziny schedy, myślałam w popłochu. I gdyby nie słowa wuja Kazimierza, żebym nie podejmowała żadnych decyzji, zanim się z nim nie skonsultuję, natychmiast zrezygnowałabym ze spadku, który mi się nie należał.

– Czy zgadzacie się państwo z wolą spadkodawcy? – Głos notariusza przywrócił mnie do rzeczywistości. – Jest mi niezbędna do sporządzenia aktu poświadczenia dziedziczenia i zawiadomienia sądu o zmianie właściciela nieruchomości w księgach wieczystych.

Spodziewałam się schodów, ale okazało się, że dzieci Krastsa są przygotowane na taką sytuację.

– Jeśli o to panu chodzi, nie będziemy podważać testamentu. – Gabija wzięła sprawę w swoje ręce. – Ojciec poinformował nas, że ma jeszcze jednego syna. I że pragnie częścią majątku obdarować swoją tłumaczkę. Więc chociaż nie rozumiemy jego postępowania, oboje z bratem nie wnosimy sprzeciwu. Nie mamy zamiaru prać rodzinnych brudów. Niech pozostali spadkobiercy – spojrzęła na nas z niechęcią – wezmą, co im ojciec zapisał.

– Co państwo na to? – Notariusz zwrócił się do Janisa i do mnie. – Czy przyjmujecie spadek?

Janis zachnął się w pierwszym odruchu, ja za radą wuja Kazimierza zamierzałam poprosić o wypis. Jednak sytuacja wymagała szybkiego działania. Zdawałam sobie sprawę, że jej przeciąganie sprawi problem nam wszystkim.

– Tak, przyjmuję – usłyszałam niespodziewanie głos Janisa.

– Ja również – oznajmiłam.

Jak słusznie przypuszczałam, po podpisaniu papierów nie poszliśmy we czwórkę na kawę. Krótkie, nic nieznaczące „do widzenia” miało zakończyć nasze kontakty.

Dałam się namówić Janisowi na spacer nad Dźwiną.

– Czego się spodziewałem? – zagadnął retorycznie na bulwarze, kiedy usiedliśmy na ławce przy statku wycieczkowym. – Że przyrodnie rodzeństwo przygarnie mnie z otwartymi ramionami i powie: „Cześć brat, kopę lat!”. Albo: „Fajnie cię poznać!”?

– Janis, oni i tak zachowali się wspaniale. Nie podważyli spadku. Wiesz, ilu nieprzyjemności uniknąłeś?

– Powinienem się go zrzec.

– Dlaczego? Przecież jesteś synem Krastsa. A w dodatku byłeś jego prawą ręką, sekretarzem, przyjacielem. Trwałeś przy nim do końca. Kochałeś go. Ja to co innego. Po załatwieniu formalności przekażę ci moje udziały w Jurmale. Mnie nic się nie należy.

– Jeśli o to chodzi, nie musisz. – Po raz pierwszy od przyjazdu dostrzegłam na twarzy Janisa uśmiech. – Twoja obecność nigdy mi nie będzie przeszkadzać. Znajdzie się w nim miejsce dla nas obojga.

Wątpiłam w to. Wstałam z ławki i pozwoliłam odprowadzić się pod drzwi hotelu.

– Szkoda, że nie wracamy do mnie i że odmówiłaś pójścia na kolację. Ale rozumiem. Przyjadę po ciebie jutro o jedenastej.

Wieczorem odzyskałam namiastkę spokoju. Wujowi napisałam, że nie musi się martwić moim spadkiem, Maria zawiadomiła mnie, że ma się dobrze. Milenę uspokoiliłam esemesem.

„Krasts zapisał mi – na spółkę z Janisem – domek w Jurmale. Czuję się niesprawiedliwie wyróżniona, ale przyjął. Pomyślę, co z tym zrobić. Jutro jadę nad morze i wracam. A.”

Z mamą się nie kontaktowałam, a na jej wiadomości odpisywałam lakonicznie. Wciąż jeszcze nie miałam ochoty z nią rozmawiać. No i zastanawiałam się, czy Jasiek odważył się sprowadzić do naszego domu Arletę.

Wątpliwości w tej kwestii rozwiął pan Artur, nasz ogrodnik.

„Wiem, że państwa nie ma, ale trawa urosła i musiałem ją przyciąć. Na chwilę wyłączyłem alarm i wyjąłem kosiarkę z garażu. Informuję, w razie gdyby ktoś pomyślał, że wokół domu kręci się obcy człowiek, i wszczął alarm”.

Wspomnienie męża i jego kochanki w ciąży całkowicie mnie rozłożyło. Z siłą wodospadu powróciły rodzinne sprawy, chwilowo przyćmiwszy ryzykie przeżycia.

Janis potwierdził ustalenie na jutro. Ponownie wyraził żal, że nie spędzimy razem dzisiejszego wieczoru. A ja w głębi duszy wyrzucałam sobie decyzję o wyprowadzce do hotelu. Na własne życzenie pozbawiłam się miłego towarzystwa, skazawszy na potok myśli, w momencie kiedy Jasiek zapewne dogadzał sobie z Arletą. To nie ja powinnam posypywać głowę popiołem!, zbuntowałam się.

Wstałam wcześniej, bo mimo wszystko udało mi się szybko zasnąć. Po hotelowym śniadaniu, które jak zawsze sprawiło mi ogromną przyjemność, poszłam na cmentarz. Upał jeszcze nie dawał się we znaki, a wokół pachniało latem. Większość kwiatów na grobie Krastsa miała się całkiem dobrze.

Zapaliłam znicz i spytałam: „Dlaczego?”. Krasts nie odpowiedział, ale swoje zrozumiałam i podziękowałam.

– Ja też ciebie kochałam – wyszeptalam, zanim przed odejściem sprawdziłam, czy lekkie powiewy wiatru nie duszą ognia.

Palił się równiutko.

Wróciłam do hotelu gotowa na wyjazd do Jurmały. Janis już czekał na parkingu.

Od niskiej białej bramy, która prowadziła na posesję Krastsa, dzieliło nas zaledwie dwadzieścia kilometrów. Droga nie była długa. Farba łuszczyła się na sztachetach, podobnie jak i ta niebieska na od dawna niemalowanym domu.

Zanim weszłam do środka, przemknęłam wąską ścieżką obok wschodniej ściany budynku i przez chwilę chłonołam długo oczekiwany widok na pełne morze. Do wody prowadziła znajoma ścieżka wśród

traw i krzewów dzikiej róży. Zrzuciłam sandały, by gołą stopą dotknąć gorącego piasku.

Oddychałam. Po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę głęboko. Nie opierałam się, kiedy dołączył do mnie Janis. Otoczył mnie ramieniem.

– Tego widoku nigdy nie zapomnę – wyszeptałam.

– Nie musisz. Należy do ciebie.

Westchnęłam, bo nie był to czas ani miejsce, żeby rozstrzygać życiowe kwestie. Chociaż Janis miał rację. Z trudem przyszłoby mi pożegnać Jurmałę na zawsze.

## Rozdział 9

### MARIA

Zgodnie z zaleceniem lekarza i wystawionym przez niego zwolnieniem siedziałam w domu i ograniczałam nadmierną aktywność. Do czasu powrotu szefowej, którą teoretycznie zastępowałam, moje obowiązki przejął Julian. Codziennie zdawał mi relację z wydarzeń w domu opieki. Mimo upałów nasi starszycy czuli się dobrze, Iza wróciła do pracy.

– Jak się czuje? – dopytywałam, świadoma, że po nieudanej próbie samobójczej z powodu odejścia męża do innej mogła nie odzyskać pełnej kondycji.

– Czy ja wiem? Nie znam się na kobietach. Powiem tak: wypełnia swoje obowiązki. Ale Marysiu, powiedz mi lepiej, ja ty dajesz sobie radę – odwrócił pytanie. – Może w czymś ci pomóc? Zrobić zakupy, załatwić coś?

– Dziękuję – odmówiłam. Aleksandra zaopatrzyła moją lodówkę, a ciężowe dolegliwości ustąpiły. – Mam wyrzuty sumienia, że zwałam ci na głowę tyle obowiązków, a jednocześnie zawiodłam panią Wiesię. Zostawiła mi pod opieką dom, a ja...

– No coś ty? Musiałaś iść na zwolnienie. Siła wyższa, dobro dzieci.

Rzeczywiście, nosiłam je na własne życzenie. Pozwolenie, by zakontraktowano mój brzuch, sprawiło problem wielu osobom. Niedobrze się czułam z tą świadomością. Kasowałam pieniądze, podczas gdy pracować musieli inni.

– Za kilka dni kończy mi się zwolnienie i wracam do pracy – powiedziałam.

– Oby nie przedwcześnie! Ja daję radę, a szefowa wszystko rozumie i każe ci odpoczywać. Wrócisz, kiedy będziesz mogła – odparł Julian. – Przepraszam, ale muszę iść na masaż. Obowiązki wzywają.

Mnie nie wzywały żadne i było mi z tym fatalnie. Przeciągające się nicnierobienie sprawiło, że do akcji wkraczały niepokojące myśli, mało sprzyjające relaksowi.

Aleksandra raz po raz atakowała mnie telefonami z pytaniem, czy wszystko w porządku. Co miałam jej mówić? Że z ciążą tak, a gorzej jest z psychiką? Nie, o tym nie mogłam jej wspomnieć.

Od wizyty pani Jadwigi nie przestawałam myśleć o tamtej rozmowie. I jakkolwiek bym się przekonywała, że więzy krwi nie mają żadnego znaczenia, a moi adopcyjni mama i tata byli tymi jedynymi, mózg drażyło męczące pytanie: „Co by było gdyby?”. W jakim miejscu znajdowałabym się dzisiaj, gdyby Jadwiga i Tadeusz mnie nie oddali? Nastolatki z dzieckiem nie byli być może najlepszym materiałem na rodziców, ale żeby tak łatwo pozbyć się kłopotu? Pewnie nakłonili ich do tego kroku dorośli.

I tak miałam szczęście, że trafiłam do porządnego domu. Zyskałam kochających mamę i ojca, nigdy nie brakowało mi miłości. Kto jednak wie, czy przy innych wiatrach z czasem nie stałabym się ukochaną córeczką moich prawdziwych rodziców? I teraz nie musiałabym tkwić u boku Władka i za pieniądze nosić dzieci własnej siostry.

Jakkolwiek wyglądała przeszłość, winnymi mojej rodzinnej sytuacji byli Jadwiga i Tadeusz. To oni wytyczyli koleje mojego losu. Lecz teraz przypadek sprawił, że odzyskałam wpływ na rzeczywistość.

Tyle że nie miałam żadnego pomysłu, jak rozwiązać ten węzeł gordyjski. Najchętniej porozmawiałabym szczerze z Aleksandrą, jednak nie wiedziałam, czy ona także jest świadoma sytuacji. Przez telefon jej głos brzmiał normalnie, choć w trakcie jej ostatniej wizyty dostrzegłam symptomy zniecierpliwienia. No cóż, byłam świeżo po szpitalu, więc pewnie denerwowała się ciążą, wzruszyłam ramionami. A poza tym przeszkodziłam jej w wyjeździe na pogrzeb Krastsa. Miała prawo czuć się zawiedziona, podobnie jak ja podenerwowana trudnościami w noszeniu ciąży Boryków.

Wczoraj wpłynął kolejny przelew od pana Jana i dodatkowe tysiąc złotych od Oli, gdy ja zastanawiam się, dlaczego porzucili mnie biologiczni rodzice!, napomniałam się w duchu. Głupia, głupia, głupia! Moja córka potrzebuje pieniędzy na operację, więc powinnam powściągnąć emocje i wywiązać się z umowy. To w tym momencie najważniejsze!

Gdyby tak jeszcze racjonalne myślenie potrafiło wyeliminować uczucia...

Wieczorem zadzwoniła Kalina.

– Mamuś, czy mogę zostać jeszcze trzy dni? Proszę! Przyjeżdżają kuzyn Krzyśka z dziewczyną, chcę ich poznać!

Przy takim entuzjazmie odmowa nie wchodziła w grę. Zresztą nie było powodu odmawiać. Po co podcinać skrzydła własnemu dziecku swoim zachmurzonym obliczem?

– Oczywiście, że możesz – odparłam. – O ile tylko rodzice Krzyśka nie mają nic przeciwko.

– Pewnie, że nie! Oni są fantastyczni! Kiedy tylko stanę na nogi, jadę z nimi do Dubrownika! Wiesz, że na tamtejszej starówce jest mnóstwo stromych schodów i wąskie uliczki? Wózkiem się nie wjedzie. Ale wierzę w operację i już się szykuje. A co u ciebie?

– Wszystko w porządku – odparłam, przełykając kluczę w gardle. – Baw się dobrze, córuś. I dziękuję za przepiękne zdjęcia!

Kalina wierzyła, ale los operacji leżał w moich rękach.

Otworzyłam komputer i po raz kolejny przyjrzałam się historii przelewów, zwracając uwagę zwłaszcza na ten ostatni, opiewający na dwanaście tysięcy złotych. Wykonany z konta Jana Boryka. Obym tylko nie straciła tej ciąży!, intuicyjnie przyłożyłam dłoń do wypukłości brzucha. I czym prędzej odsunęłam myśl o matczynych uczuciach do zajmujących go dzieci. Kalina miała plany, a ja musiałam jej pomóc w ich realizacji.

Postanowiłam, że do rozwiązania nie podejmę z Aleksandrą i jej mamą tematu sprzed lat, by nasze emocje nie zaszkodziły maluchom. Miałam jednak przemożną potrzebę porozmawiania z kimś o swojej sytuacji. Nie mogłam wiecznie marudzić Milenie, ale Honorata nadal nie dawała znaku życia, co oznaczało tylko jedno: ciąża na zamówienie odsunęła ją ode mnie na dobre.

Pozostawał mi Julian, tyle że roztrząsanie tematów ciężowo-rodzinnych z najlepszym, nawet najbardziej życzliwym kolegą z pracy nie wydawało mi się stosowne.

Wreszcie zdecydowałam się zadzwonić do pani Zofii. Na wstępie przeprosiłam za milczenie.

– Wszystko rozumiem, Marysiu – usłyszałam. – I mam wyrzuty sumienia, że dałam ci listy Tereski i w ogóle nawiązałam do sprawy adopcji. Nie przepraszaaj za milczenie, przyjmij moją skruchę. Bardzo się o ciebie niepokoję. Jak się czujesz?

Te słowa podniosły mnie nieco na duchu. Wspomniałam o wizycie Jadwigi Kniaziowej i krępującej atmosferze po jej wyznaniu.

– Czy Ola wie o wszystkim? – zainteresowała się pani Zofia.

– Nie mam pojęcia. Jej matka nic o tym nie mówiła, a ja nie pytałam.

Po drugiej stronie usłyszałam głębokie westchnienie.

– Powiedziałaś, że jesteś sama. Więc może skorzystasz z pokoju, który tak pięknie pomalowaliście z Julianem? Jest bardzo gorąco, a w ogrodzie pod drzewami panuje miły chłód. Miałabyś dom do swojej dyspozycji. U mnie odezwały się zadawnione bóle w kolanie i mam masaże dwa razy dziennie, więc siedzę w Jesiennej Przystani. No i oczywiście pani Ludmiła robi najlepsze obiady pod słońcem. – Starsza pani z dużą przesadą pochwaliła kulinarne zdolności naszej kucharki. – Wiesz, że Barbara z Teodorem zaprosili wszystkich pensjonariuszy na kolację? Oczywiście w naszym domu, ale zamówili catering. Teodor jest byłym wojskowym, więc chyba ma trochę grosza przy duszy – zmieniała temat – a Baśka zdolności organizacyjne. Podobno będą kwiatki na każdym stole i mamy się elegancko ubrać. Ciekawe, co się szykuje. Może zaręczyny?

– Kiedy ta kolacja, pani Zosiu? Ja nie zostałam zaproszona – stwierdziłam zawiedziona.

– Bądź spokojna. Barbara własnoręcznie przygotowuje zaproszenia. Dostaniesz w swoim czasie.

– Myśli pani, że Teodor zamierza wręczyć Baśce pierścioneł?

Wzajemnej sympatii starszych państwa nie sposób było nie zauważyć, ale żeby tak radykalny krok?

– Kto wie? O ile dzieci im pozwolą.

– Nie rozumiem...

– Na jakim ty świecie żyjesz, kochana? Kto chce się dzielić spadkiem z nowym współmałżonkiem mamy czy taty? A zresztą zobaczymy, co będzie. W każdym razie z pewnością dobra kolacja – usłyszałam szczery śmiech. – I obyś mogła przyjść, bo zdążyłam się za tobą stęsknić.

Ja również tęskniłam za panią Zofią i wszystkimi naszymi dziadkami. Za pracą, ruchem i trochę za Julianem. Ale te tęsknoty chowałam w najgłębszych zakamarkach duszy. Byłam mężatką, nie wypadało pozwolić sobie na drżenie serca na widok innego mężczyzny. Wolałam myśleć, że żywię do niego zwykłe przyjacielskie uczucia, a on dba o mnie z dobroci serca.

Obiecałam pani Zofii, że jeśli tylko zostanę zaproszona, spotkamy się na kolacji u Barbary i Teodora. Ta myśl podniosła mnie na duchu i pozwoliła przetrwać dalszą część dnia.

Zapasy w lodówce powoli topniały. Ale gdy zabrakło mi kilku podstawowych produktów, nawet się ucieszyłam. Zyskałam pretekst, żeby wyjść z domu. Kilkudniowy areszt mężczyźni, ale jednocześnie wywoływał lęk przed jakąkolwiek aktywnością. Co, jeśli źle się poczuję na ulicy? Zacznę krwawić i sytuacja się powtórzy?

Aleksandra sygnalizowała, że jutro wraca, Władek milczał. Nie potrafiłam go zrozumieć. Przecież o ciąży zastępczej zdecydowaliśmy oboje, obiecywał wsparcie, a teraz nie dość, że na własne życzenie stracił pracę, to jeszcze uciekł na wieś do Marcina i Marzeny. Zupełnie się mną nie przejmował. Może i pomagał bratu w gospodarstwie, ale przy okazji na pewno dobrze się bawił przy niejednym kuflu piwa. Nic nie zapowiadało jego szybkiego powrotu.

Odważyłam się i wyszłam do pobliskiego osiedlowego minicentrum handlowego. W niewielkim pasażu pod szklanym dachem mieścił się market spożywczy, piekarnia, warzywniak, rzeźnik, lumpeks, salonik prasowy i kilka punktów usługowych. Nie musiałam zatem daleko chodzić, by załatwić zakupy pierwszej potrzeby. Jednak mimo krótkiego dystansu dokuczały mi mięśnie nóg i myśl, co przyniosą kolejne miesiące ciąży. Przerazona ograniczyłam się do wizyty w piekarni.

– Poproszę pół krojonego zakopiańskiego. – Wskazałam na wypieczony okrągły bochenek z makiem na chrupiącej skórce.

– Może być ten? Przed chwilą sprzedawałam drugą połówkę temu panu. – Ekspedientka wskazała oczami na stojącego opodal mężczyznę.

Mimo woli podążyłam za jej wzrokiem i zobaczyłam Juliana.

– No oczywiście. Ty tutaj? Też lubisz zakopiański? – Pokryłam zmieszanie słowotokiem.

– Kupiłem dla ciebie. Wspominałaś kiedyś o tej piekarni – odparł.

Rozmowę kończyliśmy już na zewnątrz.

– Dlaczego dla mnie? Julian, nie musiałeś mi kupować chleba. Jak widzisz, wychodzę z domu.

Zerknął bezradnie na dwie duże, wypakowane po brzegi torby.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale pani Zofia powiedziała, że kończą ci się zapasy – usprawiedliwił się. – A że jesteś sama w domu, pomyślałem... Kupiłem trochę owoców, kilka soków, wodę, nic takiego. Zaniosę do ciebie i zmykam. Gdybym zapytał, z pewnością byś odmówiła.

– Chodź! – Z uśmiechem wsunęłam dłoń pod jego ramię. – Dziękuję, ale oczywiście zapłacę. Napijemy się herbaty.

– I zjemy lody. – Julian wyraźnie odzyskał dobry humor. – Są bakaliowe, lubisz?

– Lubię wszystkie – odparłam i nagle opanowało mnie dawno pogrzebane uczucie szczęścia.

Szłam ulicą z przystojnym przyjacielem, który w dodatku pomyślał o mojej pustej lodówce. A za chwilę mieliśmy jeść lody, które dla mnie kupił.

W mieszkaniu wyjął z jednej z toreb niewielki bukietik stokrotek.

– Niezobowiązujący dowód przyjaźni – powiedział, wręczając mi kwiatki.

Kwiaty od mężczyzny, nawet jeśli tylko kolegi, bardzo mnie ucieszyły. Władek od dawna nie pamiętał o jakichkolwiek miłych gestach.

Julian pomógł mi rozpakować torby i mimo oporów przyjął pieniądze za zakupy. Zadał o pucharki do lodów i rozłożył serwetki. Jego opiekuńczość nieco mnie krępowała.

– Słyszałam, że Teodor i Barbara stawiają uroczystą kolację? – zapytałam, nawiązując do wiadomości zasłyszanej od pani Zofii.

– Podobno. To wielkie wydarzenie nadzoruje szefowa.

– Wróciła?

– Jeszcze nie, ale dzwoni codziennie. Pyta o ciebie.

– Wiem. I bardzo mi nieprzyjemnie, że zostawiłam was w potrzebie. Wrócę, kiedy tylko lekarz



się zgodzi. Aleksandra zawiadomi mnie jutro o terminie wizyty.

Rozmawialiśmy, a czas biegł tak szybko, że nie zauważyłam, kiedy po herbacie nie pozostał ślad. Postanowiłam zaproponować kilka kanapek i wtedy wszedł Władek.

„Wszedł” to za mało powiedziane. Wtargnął jak tajfun i stanął przed nami w bojowym nastroju.

– A więc to jest ten twój kochaś? – wrzasnął, a ja zaniemówiłam.

– Poznaj Juliana, mojego kolegę z pracy – wykrztusiłam, gdy wrócił mi głos.

– Tak to się teraz nazywa? Zachciało ci się podrywać ciężarne mężatki? – Mój mąż chwycił Juliana za poły koszuli.

Ten wstał i bez trudu wyswobodził z uścisku.

– Julian Duliński. – Spojrzał na Władka z góry. – Odwiedziłem Marię. Rozmawiamy. Miło mi pana poznać – odparł spokojnie, tonem, który nie pasował do zimnego stanowczego spojrzenia stalowych oczu. – Nie będę państwu przeszkadzać. Marysiu, gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń – dodał, nie spuszczając przeciwnika z oczu.

– Mnie jest mniej miło – wycedził Władek. – Skoro pan tutaj wszedł, wie, gdzie jest przedpokój i drzwi. Żegnam.

Było mi wstyd i czułam się poniżona. Mój mąż po raz pierwszy w życiu zniżył się do poziomu podłogi. Do tej pory uważałam go za prostego człowieka, teraz jednak był zwyczajnie grubiański.

– Dlaczego to zrobiłeś? – naskoczyłam na niego, kiedy tylko usłyszałam odgłos zamykanych drzwi.

– Jaaa? To ty łajdaczysz się z jakimś młokosem, kiedy mnie nie ma! Nie masz sobie nic do zarzucenia?

– Cofnij te słowa! – wysyczałam.

– Bo co mi zrobisz?

Opadły mi ręce.

Jakiegokolwiek słowa usprawiedliwienia niepełnionych czynów i tak nie przyniosłyby efektu. Nie rozumiałam człowieka, którego poślubiłam. Nie chciałam dłużej z nim żyć. Tylko dokąd uciec?

## Rozdział 10

### ALEKSANDRA

Usiadłam na wydmie i wlepiłam wzrok w horyzont. W oddali majaczyły statki stojące na redzie. Fale delikatnie uderzały o brzeg, melodyjnie wygrywając pieśń morza.

– Nie jest ci zimno? – Janis przyniósł z domu kolorowe poncho, często używane przez Krastsa.

Mimo że wieczorna chłodna bryza docierała do lądu powoli, w powietrzu czuć było koniec upalnego dnia.

Sięgnęłam po poncho, narzuciłam na ramiona i otuliłam się nim starannie.

– Trochę jakby tu był. – Wciągnęłam znajomy zapach. Oczami wyobraźni zobaczyłam Krastsa siedzącego w tym samym miejscu co ja, tonącego w kolorach meksykańskich wzorów i snującego opowieści.

– Lubił morze. Był ciut jak Hemingway. – Janis wpasował się w nurt moich wspomnień. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przekazał nam ten dom. Myślałaś już, co z nim zrobimy?

– Jeszcze nie. Przejdziemy się? – Odsunęłam od siebie trudne sprawy i zmieniłam temat.

Wybrzeże bardzo przypominało nasze polskie. Nic dziwnego, zatoka Bałtyku. Stopy pieścił biały, czysty piasek, a fale wyrzucały muszelki. Z zacięciem zbieraczka sięgałam po kolejne i wrzucałam do woreczka. Szliśmy brzegiem, wracaliśmy spacerowym pasażem. Wzdłuż niego ciągnęły się drewniane przedwojenne domy przypominające architekturą nasze nadmorskie kurorty, liczne restauracje i kafejki, sklepiki z pamiątkami. Zawsze lubiłam odkrywać kunszt ich zdobnictwa i podziwiałam barwy, jakimi wykańczano elewację. Odkrywałam klimaty Sopotu czy Ustki, chociaż Jurmała miała swój niepowtarzalny urok.

Minęliśmy ulubioną kawiarenkę Krastsa i mimo pierwszego odruchu, żeby wstąpić na kawę, poszliśmy dalej. Do jego, teraz już naszego, domu. Po przekręceniu klucza i postawieniu nogi w przedpokoju oboje poczuliśmy się nieswojo.

– Otworzę okna. Warto przewietrzyć. – Janis próbował zamaskować zakłopotanie aktywnością.

– A ja zajrzę do lodówki. Pewnie trzeba w niej trochę posprzątać – odparłam, kierując się do kuchni.

Janis wypakował walizki z samochodu i zapytał, czy zamówić pizzę.

– Możesz. Dla mnie z szynką i pieczarkami. Nie wiesz, gdzie Krasts trzymał pościel na zmianę?

– Nie mam pojęcia. Oczywiście jeśli ją znajdziesz, nie zmieniaj jej na moim łóżku. Sam to zrobisz.

Nawet nie miałam takiego zamiaru. Zbyt długo dbałam o dom i wygodę Jaśka, żeby teraz obsługiwać kolejnego faceta.

– Możesz się nie obawiać – wymamrotałam pod nosem, żeby Janis nie usłyszał.

Rozstawił na stole talerze i rozkładał sztuczki do pizzy

– Byłem w piwniczce i przyniosłem wino – oznajmił. – Nie masz nic przeciwko, że naruszyłem zapasy?

– Dlaczego pytasz?

– Bo oboje je odziedziczyliśmy i powinnaś wyrazić zgodę.

Sytuacja rzeczywiście była niezręczna. Nawet poncho, którego jeszcze nie zdążyłam zdjąć, należało do nas obojga.

– Nie wygłupiaj się i otwórz wino!

Pizza wkrótce nadjechała; napelnialiśmy kolejne kieliszki.

W pewnym momencie przeprosiłam Janisa i poszłam na górę zarezerwować lot na pojutrze. No i jeszcze Maria. Wciąż siedziała w domu na zwolnieniu, musiałam dopilnować, jak się czuje.

W sercu zaszczypała świadomość, że jest moją siostrą. I że nie mam żadnego pomysłu, jak sobie poradzić z tym faktem. Na szczęście ona o niczym jeszcze nie wie, a to daje mi trochę czasu do namysłu, pomyślałam. Tyle że ten czas nie jest nieograniczony. Mama może się wysypać w każdej chwili.

Zawołałam do Janisa, że zaraz wracam, i wybrałam jej numer.

– Jestem w Jurmale. Odziedziczyliśmy na spółkę z Janisem dom nad morzem – zaczęłam, ale

zanim zapytałam o Marię, mama zdała mi relację z własnej inicjatywy.

– Oleczko, byłam u niej.

– I co? Powiedziałaś?

Na moment zamilkła.

– Nie – oznajmiła po chwili. – Wszystko u niej w porządku. Krasts zostawił wam dom nad morzem? – zmieniała temat.

– No właśnie. Nie mam pojęcia, co z tym począć. Właściwie jeszcze nie rozmawialiśmy z Janisem na ten temat. Wracam za dwa dni. Zrobiłaś Marii zakupy? – drażyłam.

– Niczym się nie martw. Zadzwoń do niej jutro.

– Rozmawiałam z mamą – wyjaśniłam Janisowi powód swojej kilkuminutowej nieobecności. – Zajmuje się Marią, jak wiesz, zastępczą matką moich dzieci. Pozostały jeszcze cztery trudne miesiące do porodu.

– To znaczy twoją siostrą?

Pożałowałam, że w chwili słabości wyjawiałam Janisowi swój sekret. Akurat teraz nie miałam ochoty pamiętać, że mam siostrę, a tym bardziej że nosi ona moje dzieci. Na szczęście mama trzymała w tej kwestii język za zębami.

– Nie wracajmy do tego. – Skrzywiłam się. – Powinniśmy porozmawiać o Jurmale.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Nie wiem. Może jednak odłożymy tę rozmowę na później?

– Dobrze. Jeśli pozwolisz, przeprowadzę się tutaj i pomieszkam do jesieni. Spróbuję dokończyć książkę Krastsa i dopracować nowele. Jeżeli twoje wydawnictwo okaże się nimi zainteresowane, to możesz je przetłumaczyć. Sasza, co się dzieje? – Położył dłoń na mojej dłoni.

Zauważyłam, że jestem nieswoja i nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Wpadłam w wir nieszczerości. Cieszyło mnie, że mama nie wspomniała Marii o naszym pokrewieństwie, ale Janisowi należała się chwila prawdy.

– Zabukowałam bilet do Polski na pojutrze – powiedziałam. – Oczywiście możesz tu mieszkać. Przepraszam, ale teraz nic więcej nie ustalimy, dopóki nie załatwię w Polsce moich domowych spraw.

A potem wybiegłam z pokoju. Musiałam odetchnąć.

Rano poprosiłam, żeby Janis mnie odwiózł do Rygi. Przesiedziałam w hotelu cały dzień, nie odbierając telefonów. Marii to nie dotyczyło, ale ona nie dzwoniła.

W czwartkowy poranek stawiałam się na lotnisku, gdzie przed odprawą dopadł mnie Janis.

– Napiszesz, co wymyślisz w sprawie naszego domu w Jurmale? – zapytał.

– Oczywiście – odparłam.

– Sasza, zawsze możesz na mnie liczyć – usłyszałam.

Skwitowałam tę deklarację uśmiechem.

– Jak wtedy, kiedy zostawiłeś mnie na lodzie?

– Tamto wtedy już nie istnieje. – Wcisnął mi w dłoń niewielki bukiet stokrotek. – Po stokroć przepraszam. Dobrego lotu – dodał i odszedł, ani razu się nie odwróciwszy.

Może mi się wydawało, ale chyba przystanął za szybą hali przyłotów, by na mnie popatrzeć.

Wylądowałam w Warszawie, busik przewiózł mnie na parking. Odnalazłam swój samochód i dalszą drogę przebyliśmy razem. Z radiem, przy dobrej pogodzie. Chciałam, żeby się nie kończyła, bo kolejne kilometry przybliżały mnie do pustego domu ze skoszonym trawnikiem (czy może domu, w którym zamieszkał Jaś z Arletą), do Marii, do moich dzieci, o których życie i zdrowie się obawiałam. Serce ścisnęło się coraz bardziej. Wracałam do rzeczywistości, która przerażała.

Tak bardzo pragnęłam zastać w domu Jaśka i dostać od niego filiżankę herbaty. A jeszcze bardziej zamówione na moją cześć sushi albo pizzę. Cokolwiek, co połączyłoby nas przy wspólnym stole, pozwoliło nam porozmawiać i wyjaśnić sobie niesnaski ostatnich dni. Krasts umarł, ale przecież nie nasza miłość!, pozwoliłam sobie na złudzenia. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że nasze drogi z Jaśkiem się rozchodzą. Arleta? Żadna Arleta nie jest w stanie tego zmienić! Przecież zaledwie kilka dni temu Jasiek przelał dwanaście tysięcy na konto Marii, więc chyba zależy mu na naszym dziecku? Na dzieciach, skorygowałam w myśli, mimo że życie jednego z chłopców było zagrożone.

Jednak gdy postawiłam samochód na podjeździe, w oknach dostrzegłam ciemność.

Wprowadziłam auto do garażu i zadzwoniłam do Marii.

– Wróciłam z Rygi. Jak się czujesz?

Odparła, że dobrze, ale wyprowadziła się z domu.

– Dokąd? O co chodzi? – zapytałam zdumiona.

Uspokoiła mnie, że to nic takiego, i poprosiła o telefon jutro.

– Naprawdę wszystko jest w porządku? – niepokoiliam się.

– Tak, tak. I dziękuję za przelew.

Byłam zbyt zmęczona, żeby rozbierać jej słowa na czynniki pierwsze. Padłam w małżeńskim łóżku, w którym nie było Jaśka.

Stokrotki od Janisa zwiędły.

## Rozdział 11

### ALEKSANDRA

Pierwszy poranny telefon zamierzałam wykonać do doktora Witaja i umówić Marię na wizytę. Nasza wczorajsza rozmowa wytrąciła mnie z równowagi. Chciałam jak najszybciej wyjaśnić sytuację.

Doktor zgodził się przyjąć nas nazajutrz, mimo soboty.

– Proszę podjechać o dziesiątej i zadzwonić do drzwi. Zejdę do gabinetu – zaprosił.

Maria długo nie odbierała telefonu, a mnie usłużna wyobraźnia podsunęła jej obraz leżącej w kałuży krwi. Na szczęście doczekałam się połączenia.

– To ja, Marysiu – oznajmiłam. – Jak się czujesz? – Z punktu zapytałam o zdrowie.

– Teraz już dobrze.

– A skąd ta nagła wyprowadzka? Możesz rozmawiać?

Zapytała mnie, czy mam czas, i zaprosiła do siebie.

Przełknęłam ostatnie łyki kawy i pojechałam pod wskazany adres.

Ulica mieściła się na niewielkim osiedlu domków jednorodzinnych za kościołem. Numer widniał na drewnianym piętrowym budynku z zielonymi, nieco już zniszczonymi okiennicami. Ścieżka prowadziła przez kutą żeliwną bramę, z obu stron porośniętą dzikim winem, pod same drzwi. Domek czarodzieja lub Baby-Jagi, pomyślałam z uznaniem, chłonąc bajkowy klimat posesji.

W środku panował nobliwy nastrój, tak charakterystyczny dla starych wnętrz: antyki, perskie dywany, regały pełne książek, mnóstwo tkanin i kolorowych poduszek. Nie preferowałam takiego stylu, ale byłam oczarowana. A najbardziej ucieszył mnie fakt, że zastałam Marię na nogach.

Herbatę zaserwowała mi w porcelanowym imbryczku i delikatnej japońskiej filiżance.

Z podziwem rozejrzałam się wokół i wyraziłam zachwyt.

– No, no, no, Marysiu, trafiłaś do przedwojennego rajku. Widzę, że ogród też niczego sobie. – Zerknęłam przez okno na wybujałą roślinność, składającą się głównie z pokaźnych drzew, gęstych krzewów i trawy po kolana. – Do kogo należy to cacko? Zrobiłaś sobie wakacje?

Prawda okazała się dużo bardziej trywialna. Maria wyprowadziła się z domu z powodu Władka, co zdecydowała się wyznać.

– Nie wspominałam wcześniej, ale nie układa mi się z mężem od dłuższego czasu. Krótko mówiąc: nie pracuje, pije, nie wspiera, przeniósł się do rodziny brata na wieś, a ostatnio wyszło z niego grubiaństwo. Wyrzucił z naszego mieszkania Juliana, mojego kolegę z pracy, który zrobił mi zakupy, a mnie oskarżył o romans. Musiałam uciec, choćby z uwagi na ciążę. Pani Zofia, pensjonariuszka domu opieki, pozwoliła mi zamieszkać u siebie. Chwilowo.

Znałam dyskrecję Marii i jej wstrzemięźliwość w mówieniu o sobie, więc doceniłam tę szczerość. Ja niestety nie rewanżowałam się jej tym samym. Usprawiedliwiałam się oczekiwaniem na odpowiedni moment. Zwyczajnie nie byłam gotowa na trudną rozmowę o naszej przeszłości, bo obawiałam się, że silny wstrząs może zaszkodzić dzieciom.

Mama milczy na ten temat, pomilczę i ja, postanowiłam.

– Bardzo tu ładnie – zauważyłam. – Chłodno jak na taki upał za oknem i przytulnie. Zamierzasz wrócić do męża?

– Moje plany kończą się na terminie porodu. To w tej chwili najważniejsze. Niebawem ściągnę tutaj Kalinę, o ile zrozumie mój krok. A Władek niech sobie siedzi na wsi i mi nie przeszkadza. A poza wszystkim: dziękuję za kolejny przelew. Przekaż to panu Janowi, dobrze? Jestem ogromnie wdzięczna wam obojgu.

Gdybym tylko miała z nim kontakt, pomyślałam, modląc się, żeby Maria nie zauważyła rumieńca na mojej twarzy. Od wyjazdu do Rygi Jasiak nie dzwonił, nie pisał, milczał. Dobrze, że chociaż powstrzymał się przed zakwaterowaniem kochanki w naszym domu. Oczywiście, że miałam do niego ogromny żal, ale i cień nadziei na pojednanie. W końcu niejedno małżeństwo pokonywało nie takie kłopoty, a my dodatkowo spodziewaliśmy się dzieci, na które mój mąż wciąż płacił.

Uczepiłam się tej myśli. A każdy mijający dzień łagodził niechęć do Janka.

Nie byłam chyba stworzona do tego, by nienawidzić, raczej do wybaczenia. No i zawsze mogło się okazać, że to nie Jasiek jest ojcem dziecka Arlety. Miałam nadzieję, że wróci do domu, wszystko wyjaśni. I jeszcze będzie normalnie.

– Wywiązujemy się z umowy – bąknęłam. – A jak się czuje Kalina?

Na wspomnienie córki Maria pokraśniała.

– Wspaniale. Już drugi tydzień siedzi z Krzysztofem i jego rodzicami w ich letnim domu nad jeziorem i jest szczęśliwa. Trochę się obawiam, jak zareaguje na naszą wyprowadzkę...

– Nie mam doświadczenia z własnymi dziećmi, ale mam niezły kontakt z dziewczynkami Mileny – powiedziałam. – Są różne, ale obie bardzo fajne. Jedenastolatka Natasza jest bardziej wyważona, Lenka to żywioł. Obie bardzo się kochają i dopełniają...

– Jak to siostry.

Głos Marii mnie zmroził.

Czy nas również łączyłaby podobna więź, gdyby los pozwolił nam żyć pod jednym dachem? Jaki los?, natychmiast skarciłam się w duchu. Przecież to rodzice pozbyli się Marii po urodzeniu. Moi ukochani rodzice, których zawsze tak uwielbiałam! Kolana taty z „tak pan jedzie po obiedzie”, dłonie mamy, które wyczarowywały warkocze na mojej głowie. Nasze wspólne wyjazdy, zdjęcia, przytulanki przy oglądaniu porannych niedzielnych filmów dla dzieci, wszystkie moje uroczyste fetowane urodziny przy kopiastych tortach i fajerwerkach. Wiele chwil szczęścia, które nagle przyblakło w obliczu wieści z przeszłości.

Nie wiem, czy byłabym szczęśliwsza ze starszą siostrą, ale z pewnością nie przeżywałabym teraz chwil zwątpienia, zmuszona do przewartościowywania rodzinnego życia.

– Racja – odparłam. – Ale wiesz, jestem jedynaczką, więc brakuje mi tego rodzaju doświadczeń.

– Podobnie jak mnie. To na którą jutro do doktora Witaja? – Maria zręcznie zakończyła śliski temat.

– Będę u ciebie o wpół do dziesiątej.

Dobra wizyta, w ciekawym domu i otoczeniu, a przede wszystkim Maria w niezłej kondycji, dumalam w drodze powrotnej. Bo zmęczona odmówiłam mamie zaproszenia na obiad. Zdawałam sobie sprawę, że nie obyłyby się bez drażenia trudnych tematów, a te wolałam odłożyć. Również efektów pobytu w Rydze jeszcze nie poukładałam sobie w głowie. Dom w Jurmale cieszył, ale intencje Krastsa zastanawiały.

– Co miałaś na myśli, bracie, obdarowując nim mnie i Janisa? Czy tylko przywiązanie do nas? A może chciałeś nas połączyć po latach? – rozważałam półgłosem w aucie.

W pewnym sensie Krastswi się udało. Ani ja, ani Janis nie chcieliśmy sprzedawać Jurmały. Domek nad Zatoką Ryską, przy plaży, z widokiem jak milion dolarów jeść nie wolał. Mogliśmy korzystać z niego oboje w różnych terminach. I tego, przynajmniej na razie, zamierzałam się trzymać. Gabija i Eriks z pewnością by się go pozbyli, a cenne pamiątki znalazłyby miejsce na śmietniku. Bo czy komuś byłyby potrzebne latami gromadzone książki? Żeby nie wspomnieć o ulubionych filiżankach czy zbiorze łyżek do butów zajmujących poczesne miejsce w szklanej szafce w przedpokoju.

Rozważania o Jurmale wprawiły mnie w dobry nastrój. Zapragnęłam ponownie się tam znaleźć, tym bardziej że upalna pogoda sprzyjała marzeniom o piasku i morskich falach. Nie miałabym nawet nic przeciw obecności Janisa. Nie powinnam zaprzętać sobie nim głowy, ale myśli nie chciały mnie słuchać.

Mój były przystojny Łotysz nie pozwalał o sobie zapomnieć. Napisał esemesa, kiedy wylądowałam w Warszawie, trzy godziny później zapytał, czy bezpiecznie dojechałam, dziś rano życzył mi dobrego dnia. Odpowiadałam zdawkowo, mimo że jego troska sprawiała mi przyjemność.

Ludzie mówią, że stara miłość nie rdzewieje. I jak w każdej ludowej mądrości jest w tym trochę prawdy, a trochę naciągania. Rachunek prawdopodobieństwa, pół na pół.

Tęskniłam zatem za Janisem. Może dlatego, że kojarzył mi się z Rygą, z Krastsem? Tak czy siak, świadomość posiadania przyjaznej duszy, choćby i daleko, pomagała przetrwać.

Postawiłam samochód na podjeździe i wsparłam głowę na zagłówku, zastanawiając się, co przyrządzę na obiad. Tyle że zapomniałam zrobić zakupy. Skarciłam się pod nosem za roztargnienie, zarządziłam odwrót i zamaszyście zaczęłam wycofywać auto.

I omal nie wpadłam na Jaśkowego dżipa.

Omiotłam spojrzeniem wnętrze samochodu, ale nie dostrzegłam Arlety.

– Widzę, że wróciłaś. Mogę wejść? – usłyszałam polubowny ton.

– Właśnie jechałam po zakupy na obiad, ale proszę. – Wskazałam mu drogę do drzwi, jak gdyby ją zapomniał.

Nieznane do tej pory klimaty, pomyślałam podejrzliwie.

Jasiek z kurtuazją otworzył przede mną drzwi.

– Czy mogę zajrzeć do swojego pokoju, by zabrać kilka rzeczy? – zapytał.

A potem pomógł mi w przyniesieniu kawy z kuchni. Aż się bałam, co knuje.

– Olu, jak ci się udał wyjazd do Rygi? – zagadnął na dobry początek.

– No cóż, odwiedziłam grób Krastsa, spotkałam się z jego przyjaciółmi.

Celowo użyłam liczby mnogiej, by nie dawać pretekstu do dywagacji na temat Janisa. Jasiek znał historię naszego dawnego romansu i mógł ją wykorzystać przeciwko mnie.

– Po co przyjechałeś? – zapytałam ostro.

– Porozmawiajmy spokojnie. Na wstępie chciałem cię przeprosić za pomysł sprowadzenia Arlety do naszego domu. Mówiłem to w nerwach, więc zapomnijmy. Zauważyłaś, że zrealizowałem przelew dla Marii?

– Oczywiście. Bardzo dziękuję, że pamiętałeś.

– No właśnie. A teraz chciałbym porozmawiać o nas...

– Wracasz do domu?

Mojemu pytaniu towarzyszył sarkazm, który musiał się pojawić, kiedy dostrzegłam rozbiegane spojrzenie. Jasiek z pewnością nie przyszedł mnie przeproszać.

– Oluś, chcę cię zawiadomić, że niebawem dostaniesz pozew rozwodowy. Wiem, jak cię ranię, i bardzo mi z tym źle. Sama jednak rozumiesz, spodziewam się dziecka z Arletą. Z tobą również, wiem – przyznał wielkodusznie – i zamierzam na nie łożyć. Ale po prostu niech każde z nas pójdzie własną drogą. Sprawiedliwie podzielimy majątek, zostaniesz w domu, spłacisz mnie i jakoś się dogadamy. Proponuję ustalić podział przed rozprawą, wtedy wszystko pójdzie sprawniej.

Słowa powoli docierały do mojej świadomości. Mój mąż już dawno pogrzebał nasze małżeństwo, a teraz próbował dzielić majątek.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem, jak gdybym ujrzała trolla.

– Jasiek, ty naprawdę chcesz zrujnować wszystko, co nas do tej pory łączyło? Dla młodej dziewczyny, którą znasz raptem od kilku miesięcy?

– Ona będzie matką mojego dziecka! – obruszył się.

– A ja nie?

Zamilkł.

– Rozumiem. W takim razie do zobaczenia w sądzie – oznajmiłam. Drżałam na całym ciele. – Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała, ale jak widać, myliłam się.

– Jest jeszcze jedno... – Przełknął gorzką pigułkę wyrzutów i powrócił do realizacji swojego planu.

Ciekawe, co to takiego?, pomyślałam. Miałam ochotę jak najszybciej pozbyć się go z domu.

– Zostawiam ci ofertę kupna twoich udziałów w firmie. Proponuję naprawdę dobrą cenę. Przemyśl to.

Zamiast cisnącego się na usta „wynoś się!” pożegnałam się z Jaśkiem i spokojnie zamknęłam drzwi.

Zdałam sobie sprawę, że to ostateczny koniec.

## Rozdział 12

### MARIA

Władek próbował kontynuować awanturę, ale zamknęłam się w pokoju Kaliny i nakryłam głowę poduszką. Mimo tradycyjnego wychowania, jakie odebrałam, nakazującego kobiecie i mężczyźnie trwać po sakramencie małżeństwa u boku drugiego do końca życia, na dobre i złe, straciłam nadzieję na porozumienie z mężem. Władek przekraczał wszystkie granice przyzwoitości i z każdym tygodniem udawał, że coraz mniej zależy mu na mnie i rodzinie. Miałam być zadowolona, że jeszcze nie podniósł na mnie ręki?

Może walka z nim przychodziłaby mi łatwiej, gdyby nie zagrożona ciąża i umowa z Borykami.

Odnosiłam wrażenie, że mój mąż traktuje misję matki zastępczej jak fanaberię. A tego, że założyłam własne konto, na które przelewałam pieniądze na operację Kaliny, po prostu nie mógł ścierpieć. Tymczasem ja zwyczajnie musiałam wykonać ten ruch, ponieważ nie miałam zaufania do Władka. W każdej chwili mógł sięgnąć po kasę, której teraz, kiedy nie pracował, ciągle mu brakowało. Jednocześnie zarzucił poszukiwania zajęcia i siedział na garnuszku Marcinów.

Byłam cierpliwa, nie ciosałam mu kołków na głowie, ale nie mogłam pozwolić się poniżać i narażać siebie i ciąży.

Przypomniałam sobie o propozycji pani Zofii, która oferowała mi pobyt u siebie. Pora nie była jeszcze zbyt późna na telefon. Gdy tylko pokrzykiwania Władka ucich-ły, wybrałam numer.

– Ależ oczywiście, kochanie, że propozycja jest aktualna. Możesz przyjechać w każdej chwili – usłyszałam. – Klucz jest pod wiadomą donicą przy schodach. Przy tych upałach dobrze ci będzie w cieniu drzew. Tylko pamiętaj, nic tam nie rób! Zabraniam ci sprzątać, myć okna, wrywać chwasty czy co tam sobie wymyślisz do roboty. W szopie na tyłach ogrodu znajdziesz krzeselka turystyczne, leżak i stół. Korzystaj z całego wyposażenia. Bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się u mnie pomieszkać – zakończyła pani Zofia w szampańskim nastroju.

Moja starsza przyjaciółka sprawiała wrażenie bardzo podnieconej. Jej podniecenie wzrosło jeszcze, gdy zapytałam, czy do mnie dołączy.

– Kochanie, jutro i pojutrze rano mam jeszcze zabiegi w domu opieki, ale w sobotę po południu z radością przyjadę. Tylko broń Boże nie przygotuj dla mnie kolacji! Zamówimy hamburgery! – powiedziała takim tonem, jak gdyby przez całe życie żywiła się fast foodami.

Z salonu dobiegał dźwięk z telewizora, co oznaczało, że emocje mojego męża opadły i mogę już wyjść. Zanim jednak to zrobiłam, wyjęłam z szafy kilka swoich rzeczy i sięgnęłam na pawlacz po walizkę.

– Gdzie ty się wybierasz? – Władek ze zdziwieniem spojrzał na bagaż, który ciągnęłam za sobą. – Wyjeżdżasz?

Bez słowa zabrałam z lodówki kilka produktów, zapakowałam chleb i dwa banany. Resztki zostawiłam mu na kolację.

Kiedy zamawiałam taksówkę, wyrwał mi telefon.

– Co ty robisz? – Zawalczyłam jak lwica i odebrałam swoją własność. – Wiesz, że jestem na zwolnieniu lekarskim z powodu zagrożonej ciąży. Przy tobie mi się nie polepszy. Wyprowadzam się na jakiś czas, by chronić siebie i dzieci. Przed tobą! – wykrzyczałam, świdrując go spojrzeniem. – I nie próbuj mnie zatrzymać, bo zacznę krzyczeć głośniej – dodałam, w strachu przed podniesioną ręką.

Opuścił ją i prychnął niezadowolony.

– Gdzie jedziesz?

– Niedaleko. Tam, gdzie mnie nie znajdziesz. Ale możesz się nie obawiać, nie do Juliana. To tylko mój kolega z pracy. Przepraszam, taksówka czeka. – Zamknęłam za sobą drzwi.

Skąpany w słońcu dom pani Zofii, jeśli nie liczyć cienia rzucanego przez korony wysokich drzew, przywitał mnie zielonymi okiennicami i bujną roślinnością. We wnętrzu panował przyjemny chłód. W porównaniu z naszym bocianim gniazdem w bloku, panującymi tam duchotą i ciasnotą, oferował klimat, jakiego nigdy nie zaznałam.



Usiadłam w głębokim fotelu, by chwilę odpocząć po drodze i porozkoszować się ciszą. Władek nie krzyczał, telewizor nie miał głośów ani reklam.

Jak to dobrze, że ogarnęliśmy z Julianem nawarstwiony latami kurz i odświeżyliśmy kuchnię i pokój na górze!, pomyślałam. Podobnie jak pani Zofia w trakcie naszej pierwszej wizyty przechadzałam się po salonie i z namaszczeniem przesuwałam dłonią po tapicerce starych kanap i foteli. Spoglądałam na wiszące na ścianach obrazy, z westchnieniem kontemplując dobry nastrój.

Jak wspaniale, że Władek nie zna tego adresu! Mogłam spokojnie zaparzyć herbatę i sięgnąć po jedną ze stojących na regale książek. Wzięłam pierwszy tom *Rodziny Whiteoaków*, ulubionej swego czasu powieści Zofii, którą obiecała mi podarować. Miałam przed sobą niemałe przedsięwzięcie czytelnicze: szesnaście tomów rodzinnej sagi kanadyjskich imigrantów na przestrzeni stu lat przedstawionej przez pisarkę Mazo de la Roche. Byłam ciekawa, czy jest rzeczywiście tak zajmująca, jak reklamowała gospodyni, i wreszcie mogłam się o tym przekonać.

Powieść wciągnęła mnie od pierwszych stron i pomogła się wyciszyć. Najchętniej wyłączyłabym komórkę, ale mogły dzwonić Kalina albo Aleksandra.

Telefon od Oli odebrałam dopiero rano. Rutynowo zapytała mnie o samopoczucie, poinformowała o jutrzejszej wizycie u doktora Witaja i zaniepokojona zagadnęła o moją wyprowadzkę z domu. Wspomniałam jej o tym wczoraj dość lakonicznie.

– Jeśli chcesz, przyjedź – zaprosiłam i podałam adres.

Zgodziła się ochoczo. Zanim zdążyłam nastawić wodę na herbatę, jej samochód stał już przed bramą posesji.

Nie było sensu ukrywać moich stosunków z Władkiem i prawdziwego powodu separacji.

Podziękowałam Oli za kolejny przelew, poprosiłam, by podziękowała także mężowi. Zarumieniła się, ale udałam, że tego nie widzę.

Bardzo pochlebnie wyrażała się o domu pani Zofii, była jak zwykle uprzejma i przyjazna. Niemniej zauważyłam w jej oczach zmianę. Żywiej reagowała, kiedy wspomniałam o Kalinie, rozgadała się na temat córek swojej przyjaciółki Mileny, zaszepiła, gdy zaczęłyśmy rozmawiać o siostrzanym związku Nataszy i Lenki.

Przez moment pomyślałam nawet, że wie o naszym pokrewieństwie, ale chyba się pomyliłam. Po prostu marzyła o dzieciach, kochała je i ich temat zawsze wywoływał u niej szybsze krążenie krwi.

Patrzyłam na nią inaczej niż dotychczas. W końcu miałam przed sobą rodzoną siostrę. Szukałam podobieństw, ale szczerze powiedziawszy, zbyt wiele ich nie znalazłam. A może jednak zaszła pomyłka i wcale nie jesteśmy siostrami?

Ten wniosek nieco mnie uspokoił. Nosząc dzieci Aleksandry, wolałam myśleć, że padłyśmy ofiarą jakiejś nieprawdopodobnej historii. I że za chwilę nasze życie powróci na utarte tory.

Pożegnałyśmy się do jutra, do porannej wizyty u ginekologa.

Najpierw zbadał mnie tradycyjnie. Nie skomentował niczego, poprosił, bym położyła się na kozetce i poddała badaniu USG.

– Oba płody żyją, chociaż jeden jest znacznie mniejszy od drugiego. Części ciała są już na tyle wykształcone, że maluszki przypominają noworodki. Razem ważą około dwóch kilogramów – relacjonował, wodząc głowicą po moim brzuchu. – Według mnie ciąża nie wydaje się zagrożona, ale trzeba uważać.

Obie z Aleksandrą odetchnęłyśmy, ale to ona zadała pytanie.

– Panie doktorze, czy są widoki, że obaj chłopcy urodzą się zdrowi?

Odchrząknął, co zabrzmiało groźnie.

– Przyznam, że wzięwszy pod uwagę wyniki badań prenatalnych, rzecz jest mało prawdopodobna. Muszą panie liczyć się z dużym upośledzeniem jednego z chłopców. Przykro mi.

– Może jednak medycyna się myli?

– Pani Olu, zawsze możemy wierzyć, ja jednak przestrzegalbym przed nadmiernym optymizmem.

– A drugi maluch? – wyszeptała przez łyżę.

Witaj wyraźnie się ożywił.

– Wszystko z nim w porządku. Dziecko rozwija się prawidłowo.

Wstałam z kozetki z ciężkim sercem i wyszłam na korytarz. Czułam się wybrakowana. Nosłam dziecko, które najprawdopodobniej urodzi się naznaczone wieloma chorobami i zniekształceniami. W najlepszym przypadku zespołem Downa. O najgorszych wersjach wolałam nie myśleć.

Po chwili Aleksandra wyszła z gabinetu i usiadła na krześle obok.

Wzrokiem zapytałam, czego się dowiedziała.

– Na zdrową dwójkę nie ma szans – szepnęła ze łzami w oczach.

## Rozdział 13

### ALEKSANDRA

Odwiozłam Marię do jej nowej przystani na Tulipanowej i przyjąłam zaproszenie na herbatę. Mimo że gardło miałam ściśnięte z żalu, musiałam z nią porozmawiać. Ona również odczuwała taką potrzebę. Chwilowo jednak stres wziął górę.

Weszliśmy do domu w milczeniu i zaczęliśmy się kręcić po kuchni. W trakcie ostatniej wizyty zauważyłam, gdzie przechowywane są filiżanki i imbryczek. Sięgnęłam po nie, pozostawiając Marii wybór herbaty.

– Wypijesz zieloną, owocową czy może jakieś zioła? – dopytywała.

– Zrób, jaką chcesz. Wszystko mi jedno – odparłam zniecierpliwiona.

Jak gdyby w tym momencie najważniejszy był gatunek herbaty!

Spuściła oczy i zamilkła ponownie. Wiedziałam, że to irracjonalne, ale byłam zła na los, który Maria mimowolnie uosabiała. Musiała wyczuć moje emocje, po-nieważ kiedy usiadliśmy przy stole, czekała na mój ruch.

– Witaj nie pozostawił żadnych wątpliwości. Chłopiec albo urodzi się chory, albo nie przeżyje porodu – wyrzuciłam z siebie frustrację. – Tamci z kliniki mamili nas, że wszystko może się zdarzyć, ale nie byli szczerzy. Witaj nigdy mnie nie czarował i tak samo postąpił tym razem. Trudno mi się pogodzić z diagnozą, ale trzeba myśleć o drugim dziecku. Pozostały jeszcze cztery miesiące. Uważam, że powinnaś przedłużyć zwolnienie lekarskie i pozostać w domu. Najlepiej tutaj lub u mnie.

– Olu, bardzo mi przykro...

– Tobie? A co ja mam powiedzieć? Ty masz córkę, ja po raz siódmy przeżywam ciążowe huśtawki. Teraz wprowadzie nie własne, ale problemy są tak samo przejmujące, jeśli nie bardziej. Omal nie straciłaś ciąży! – Nie potrafiłam pohamować potoku oskarżeń. – Przepraszam! – Zdałam sobie sprawę ze swojego zachowania i opanowałam złość.

Maria siedziała przede mną jak przed prokuratorem.

– Tak bardzo się boję, że stracę ich obu! – Lęk przesłonił łzami moje oczy.

– Ja też – usłyszałam. – Zrobię wszystko co konieczne. Wezmę zwolnienie, będę o siebie dbać i się modlić.

– Dużo chyba nie wymodlisz, bo Kościół zabrania in vitro. Może to kara za grzechy?

– Nie mów tak! Kościół może zabrania, ale czy Bóg? Olu, sama jestem przerażona, bo choć może wydawać się to nieprawdopodobne, traktuję te dzieci jak własne. Nie bój się, nie zamierzam rościć sobie do nich praw. Po prostu rosną we mnie i czuję ich ruchy. Nie chcę tych uczuć porównywać z twoimi, ale na swój sposób też kocham maluchy i bardzo przejmuję się ich losem. Wiem, że zgodziłam się na zapłodnienie dla pieniędzy, więc jeśli nie wywiążę się z zadania, oddam wszystko.

To nawiązanie do kasy rozsierdziło mnie jeszcze bardziej.

– Mario, czyżbyś miała mnie za bezduszną zamożną kobietę, która kupuje sobie dziecko?

– Raczej mam siebie za nieudolną matkę zastępczą. Przypuszczam, że pan Jan tak właśnie myśli. Wydaje pieniądze na inwestycję, która być może się nie powiedzie.

Nie zamierałam rozmawiać z nią o Jaśku, ale skoro w emocjach dobrnęliśmy do tego tematu, wyrzuciłam z siebie prawdę.

– Pan Jan nie jest już zainteresowany naszymi dziećmi – wycedziłam. – Wyprowadził się z domu do kobiety, która zaszła z nim w ciążę. Czekam na pozew rozwodowy. Ale nie martw się, on wywiąże się z umowy i będzie płacił do końca.

Oczekiwałam czegoś w rodzaju „bardzo mi przykro” lub „przepraszam, nie wiedziałam”, jednak nic podobnego nie nastąpiło. Maria patrzyła zaskoczona, co dało mi czas na opanowanie nieoczekiwanej szczerości.

– Ty uciekłaś przed swoim mężem, mój zwiął przede mną – zakończyłam, dopijając ostatnie łyki herbaty z pokrzywy. – W pewnym sensie jedziemy na tym samym wózku.

– Nie wiem, co powiedzieć...

Na dzisiaj tematy do rozmowy zostały wyczerpane, więc zaczęłam się zbierać.

– Witaj uważa, że możesz wrócić do pracy, ale jeśli tylko cokolwiek wzbudzi twoje wątpliwości, idź na zwolnienie. Będę dzwonić i zawsze w razie potrzeby przywiozę ci zakupy lub pomogę w jakikolwiek inny sposób. Jeżeli wypadnie mi wyjazd, przyślę do ciebie mamę.

Maria sprzeciwiła się zdecydowanie.

– Nie ma takiej potrzeby. Niebawem przyjedzie Kalina, mam kolegę, który mi pomoże. Nie angażuj mamy bez potrzeby.

Ciekawe, dlaczego ta kwestia tak ją poruszyła?, zastanowiłam się.

– Czy podczas ostatniej wizyty była dla ciebie niemiła? – zapytałam.

– Skądże! Po prostu nie chcę sprawiać kłopotu.

Udałam, że to przyjmuję, ale coś musiało być na rzeczy. Przy najbliższej okazji postanowiłam rzecz wyjaśnić u źródła. Mama zarzekała się, że nie ujawniła Marii historii z adopcją, więc powód musiał być inny. Obawiałam się, że dotknęła czymś moją surogatkę. Mimo że zaakceptowała ciężą zastępczą, nigdy nie była temu pomysłowi przychylna.

Poranna diagnoza doktora Witaja sprawiła, że weekend zapowiadał się fatalnie. Samotny, co najwyżej w towarzystwie jednej z nowel Krastsa, która czekała na przetłumaczenie. W osiedlowym sklepie kupiłam sobie litrowe lody na osłodę i wróciłam do domu, przed którym zastałam samochód Adamczyków.

No proszę, po burzy wyszło słońce!

– Ciociu, pojedziesz z nami nad jezioro? Prosimy, prosimy! – Wpadłam w otwarte ramiona Nataszy i Lenki, które grały w kometkę na podjeździe.

Wobec takiego entuzjazmu trudno mi było odmówić. Mimo że najchętniej schowałabym się w mysiej dziurze i przetrawiła stres z pucharkiem lodów i kieliszkiem wina.

Do córek dołączyła Milena. Jej spojrzenie także nie przewidywało sprzeciwu.

– Pakuj się, zabieramy cię w ciekawe miejsce – zarządziła. Spokojnie czekała, aż znajdzie klucz w przepastnej torbie.

– Nie jestem przygotowana. Nie mam nastroju. Witaj powiedział...

Moja przyjaciółka wiedziała doskonale, że byliśmy z Marią u ginekologa, ale słuchała.

– Opowiesz mi na miejscu. A teraz biegnij do szafy i spakuj torbę. Weź koniecznie kostium kąpielowy – poleciła.

Posłusznie powlekłam się na górę, niespecjalnie przekonana.

Wyjechaliśmy z miasta, wzięwszy azymut na północny wschód. Ciekawe, pomyślałam. Domek znajomych moich przyjaciół, do którego zazwyczaj jeździmy, jest usytuowany na południu.

– Dokąd mnie porywacie? – Z zainteresowaniem śledziłam widoki za oknem.

Dziewczynki piszczały z zachwytu i gestem sznurowały usta. Kacper prowadził, cichy, dyskretny i spokojny niczym brytyjski kierowca. Milena była podekscytowana, ale nie chciała uchylić rąbka tajemnicy.

– Zaraz zobaczysz. Jeszcze tylko kilka kilometrów.

Niebawem zjechaliśmy z głównej szosy i pod kołami samochodu poczułam szutrową drogę, która doprowadziła nas do lasu. Gęste dotąd zabudowania przerzedziły się, pola ustąpiły miejsca sosnowym zagajnikom, które przeistoczyły się w wysoki las.

Podziwiałam okazałe świerki, wypatrując w poszyciu jagód.

Kiedy znaleźliśmy się na piaszczystej, dziurawej, pokrytej wystającymi korzeniami drodze, Milena zapowiedziała, że dojeżdżamy do celu. Widok jeziora wśród drzew, które nagle wyrosło przed maską samochodu, nie budził wątpliwości.

– Ciociu, ciociu, chodź zobaczyć nasz pokój! – Lena chwyciła mnie za rękę i poprowadziła w kierunku zielonego drewnianego domu, pokrytego gontem, którego barwa przypominała leśne runo.

Nasz pokój? Co to może oznaczać?

– Kupiliście ten cudowny dom? – odgadłam.

– Taaak! – zawołała moja przyjaciółka. – Trzy pokoje, jedna łazienka, taras i dojsście do jeziora! – przedrzeźniała ton agentów z telewizyjnych programów o handlu nieruchomościami. – Kacperek

zarobił, ja wynalazłam. Powiedz, że piękny! – zapała z zachwytem.

– Przecież mówię! – potwierdziłam z przekonaniem.

Bo rzeczywiście było na czym zawiesić oko. Skromny budynek zachwycał prostotą i klimatem. Z zachęcającego do biesiad tarasu prowadziły schody na pomost, przy którym stała niewielka łódka.

Dziewczynki nie pozwoliły mi zachwycać się elewacją i widokiem zbyt długo. Zaciągnęły na piętro i wprowadziły do pokoju pod skosem, w którym stały dwa drewniane łóżka.

– To jest moje – obwieściła Natasza. – A Lenki to drugie. Ty też będziesz miała swój pokój – dodała, przytulając się do mnie. – I wujek Janek. Bo mamy pokój gościnny.

Może jednak bez wujka Janka, pomyślałam, ale posłałam dziewczynkom uśmiech pełen aprobaty.

Posesja rzeczywiście była urocza. Niewielka, otoczona płotem, przytulna, z kompletnym wnętrzem.

Milena nie potrafiła powstrzymać radości. Gdy tylko córki pobiegły na teren, oprowadziła mnie po wszystkich pomieszczeniach.

– Kuchnia jest nieco przestarzała, ale na początek wystarczy. – Zaprezentowała drewniane szafki, które lata świetności miały za sobą. – I ten narożnik trzeba by wymienić.

– Daj spokój. Wszystko tu do siebie pasuje – odparłam naprawdę zachwycona.

Poczułam się niemal tak jak w domku Krastsa w Jurmale. I nagle za nim zatęskniłam.

Ciekawe, czy Janis jest tam teraz?, zadałam sobie pytanie i siłą woli powstrzymałam się od sięgnięcia po komórkę. Tym bardziej, że Milena zaplanowała właśnie prezentację łazienki i „mojego” pokoju.

– To twoje łóżko i szafa. Oczywiście również i Jaśka – dodała uprzejmie.

Pogoda pozwoliła nam na kąpiel w jeziorze, a nawet, mimo popołudniowej pory, udało mi się wystawić twarz do słońca i pochwycić kilka promieni. Wieczorem poczytałam dziewczynkom do snu. Nigdy nie przepadałam za przygotowaniami do grilla, więc chętnie odstąpiłam ten przywilej gospodarzom.

Przyszłam na gotowe zaopatrzona w poncho Krastsa, które przywiozłam z Jurmały. Na dworze panował przedwieczorny chłód.

– Mamy piwo, wino, a nawet coś mocniejszego.

Moi przyjaciele byli przygotowani na każdą ewentualność.

– A ja łotewski balsam. – Wyjęłam brązową butelkę z zawieszonym ziołowym alkoholem. – Spróbujecie?

Słońce schowało się już za drzewami. Zapaliliśmy świece i nagle zrobiło mi się ciepło na duszy.

Nawet nie zauważyłam, kiedy Kacper zostawił nas same. Siedziałam zagapiona w spokojną tafelę wody, w głowie trwała gonitwa myśli.

– Chcesz pogadać? – przerwała mi kontemplację Milena.

– Dostałam na spółkę z Janisem dom od Krastsa – mruknęłam. – Od Janka niebawem otrzymam papiery rozwodowe. A Witaj powiedział mi dzisiaj, że jeden z chłopców urodzi się całkowicie niepełnosprawny. O ile przeżyje poród – wyrzuciłam z siebie.

– Boże jedyny...!

– Mój mąż chce odkupić ode mnie udziały w firmie, robota mi nie idzie, nie wiadomo, czy Maria donosi ciążę. To już wszystko.

Te rewelacje chyba przytłoczyły Milenę, ale nie dała za wygraną. Przegadałyśmy wszystkie kwestie od a do zet. Mało to, moja przyjaciółka tchnęła we mnie isierkę nadziei.

Drugiego energetycznego kopa dostałam od Janisa, kiedy wreszcie dorwałam się do telefonu. Wyświetlacz sygnalizował aż siedem nieodebranych wiadomości.

Odczytałam ostatnią.

„Sasza, wiem, że jestem natrętny, ale martwię się o Ciebie. Działam, by wynająć swoje ryzykowne mieszkanie i przeprowadzić do domu Krastsa. Z naszej rozmowy wywnioskowałam, że nie masz nic przeciwko temu. Zamierzam pomalować elewację i trochę uporządkować wnętrza, żeby wyglądało na

Twój przyjazd. Bo przyjedziesz jeszcze w te wakacje, prawda? Nie śmiem wypytywać o Twoje sprawy. Napisz, daj znać, jeśli będziesz miała potrzebę i ochotę. Czekam. Janis”.

## Rozdział 14

### ALEKSANDRA

Miło było przeczytać te słowa, ale nie przewidywałam pobytu na Łotwie w najbliższym czasie. Odświeżenie elewacji i zajęcie się wnętrzem nie wskazywało, by Janis myślał o sprzedaży domu. Cieszyło mnie również, że zamierza w nim pomieszkać przez dłuższą chwilę, bo opuszczone siedlisko szybko marnieje. Tymczasem ja pragnęłam, by dom zmarłego przyjaciela trwał, i ani przez moment nie pomyślałam o nim jako o przeznaczonym na sprzedaż. Był świadkiem naszych spotkań, niejednej ważnej rozmowy, bliskim sercu miejscem. Jego podział w przyszłości był odległą sprawą. Na dziś miał przechowywać pamięć o Krastsie.

„Bardzo się cieszę, że zamierzasz odświeżyć dom – odpisałam. – Kosztami podzielimy się po połowie. Chętnie zobaczę efekty, ale nie wiem, czy w te wakacje. Dyskretnie pytasz, co u mnie. Za cztery miesiące Maria urodzi, o ile ciąża przebiegnie pomyślnie. Rokowania dla jednego z chłopców są bardziej niż złe: o ile przeżyje, będzie upośledzony. Dziwię się, że ja przeżyłam tę informację. Ale widać człowiek znajduje w sobie siłę, o której nie miał pojęcia... Mój mąż zapowiada rozwód. Niebawem spodziewam się pozwu. Z faktem, że Maria jest moją siostrą, wciąż nie potrafię sobie poradzić. Ona o niczym nie wie. Jednak sprawy nie można wiecznie zamiatać pod dywan. W końcu przeszłość dopadnie nas obie.

Zajrzałam do nowel Krastsa i od przyszłego tygodnia zamierzam się za nie zabrać. Jego śmierć sprawiła, że wydawca popędza mnie, abym przetłumaczyła książkę jak najszybciej, co mnie cieszy. Przynajmniej będę miała zajęcie, które odciągnie myśli od bieżących spraw.

Pozdrawiam Cię serdecznie, Aleksandra”.

Na odpowiedź nie czekałam długo.

„To przystępuję do prac! Pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć. Kasą się nie przejmuj. Janis”.

Tego wieczoru byłam tak zmęczona, że zasnęłam natychmiast po przyłożeniu głowy do miękkiej poduszki. Gdyby nie pukanie do drzwi, spałabym zapewne do południa.

– To ja, Olu. Wszystko w porządku?

Milena zapraszała na śniadanie.

Na stole znajdowały się ugotowane na miękko jajka, przypieczone na patelni parówki, sałatka warzywna (przygotowana na wyjazd). A na słodko prawdziwy miód i konfitura z wiśni.

Zapachniało rodziną.

– Ciociu, siadaj obok mnie. – Lenka wskazała mi krzesło.

– A dlaczego tam? Ja przygotowałam miejsce obok siebie – zaprotestowała Natasza.

Nastąpiło przetasowanie i po chwili miałam obie siostry po obu stronach siebie. Wszędzie unosił się zapach kawy z ekspresu i docierający z zewnątrz aromat igliwia.

Druga kawa na tarasie z widokiem na jezioro zrobiła robotę.

– Tu jest pięknie – smakowałam napar, oczarowana chwilą.

Kacper z dziewczynkami sprzątał po śniadaniu.

– Obiecał im łowienie ryb – roześmiała się Milena. – Nie wiedzą jeszcze, bidulki, jakie to nudne zajęcie!

– Czy ja wiem? Muszę ci wyznać, że w dzieciństwie nieraz wyprawiałam się z wujem Kazimierzem na ryby. Może nie na szczupaki, ale przywoziliśmy wiadra karas-ków i okonków. Nasza gospodyni, pani Janina, potrafiła wyczarować z nich cudowne chrupiące rybne chipsy. A do nich frytki i surówkę z kapusty. Cymes! Szykuj patelnię!

Niemal poczułam zapach tamtych ryb smażonych w chrupiącej panierce.

Wprawdzie dziewczynki nagabywały mnie, bym dołączyła, ale brak miejsca na łódce był wygodnym pretekstem do odmowy.

Słońce zalewało świat lipcowym żarem, woda w jeziorze była nad wyraz przyjemna, a kąpiel wymarzona.

– Tylko nie wypływaj za daleko! – usłyszałam dochodzący z brzegu głos Mileny.

Zagarniałam ramionami wodę, kierując się na środek jeziora. Oddychałam głęboko i czułam, że

wszystkie złe myśli pozostawiam daleko za sobą. Ale powróciłam do brzegu ostatkiem sił.

– Czyś ty zwariowała? Jak mogłaś tak daleko wypłynąć? – Milena była bezlitosna dla moje głupoty. – Wołałam, wołałam, a ty nic! Wyłaż wreszcie i trochę odpocznij! – Rzuciła mi ręcznik.

Miło, że się martwiła, ale w tym momencie nie to było najważniejsze.

Wycierałam ciało, z mokrych włosów strzepywałam krople wody, zastanawiając się, co by było, gdybym pozostała na środku jeziora.

Jeszcze nie teraz, pomyślałam i poszłam się przebrać.

Wróciłam gotowa, by pomóc Milenie usmażyć rybki, które przyniosły dziewczynki.

– Bardzo wam dziękuję za cudowną wycieczkę! – żegnałam się z całą rodziną, gdy zostałam odwieziona pod dom po wspaniałym weekendzie.

Kacper, wtajemniczony przez żonę w moje sprawy rodzinne, nie wypytywał o Jaśka, za co byłam mu niezmiernie wdzięczna. Również mało rzadko wspominały wujka. Chyba godnie go zastąpiłam przy koszykówce i planszówkach? Nawiasem mówiąc, to ja zawsze grałam pierwsze skrzypce na naszych wspólnych wyjazdach.

– Trzymaj się i nie myśl o żadnych głupotach. Wszystko się ułoży – szepnęła mi do ucha Milena, żartobliwie grożąc palcem.

– Jasne. Macie bardzo piękny dom nad jeziorem – odpowiedziałam i pokiwałam całej czwórce na pożegnanie.

Odpowiedziały mi cztery uniesione ręce.

Po cudownym weekendzie nastąpił jednak dołujący niedzielny wieczór. Żeby wyleczyć dżumę cholery, sięgnęłam po ofertę odkupienia przez Jaśka moich udziałów.

Nigdy nie wnikałam w firmowe finanse, ale wiedziałam, że interes taty zapewnia nam znakomity standard życia. Jaś musiał zarabiać grube pieniądze, skoro dwanaście tysięcy złotych miesięcznie dla Marii nie stanowiło problemu. Dlatego kiedy dostrzegłam kwotę stu sześćdziesięciu tysięcy za sześćdziesiąt procent udziałów, wydała mi się nieco zaniżona. Moje odczucia potwierdził wuj Kazimierz, z którym spotkałam się następnego dnia.

– Jestem prawnikiem, nie ekonomistą. Musimy zatrudnić biegłego, który dokona wyceny firmy – stwierdził. – Bo rozumiem, że ze spadkiem po panu Mihelonsie poradziłaś sobie we własnym zakresie?

Przedstawiłam mu wolę Krastsa i zamknęliśmy temat po oświadczeniu wuja, że pozostaje do mojej dyspozycji, gdyby jednak Janisowi przyszło do głowy mnie oszukać.

– Nie będzie takiej potrzeby – stwierdziłam. – Ale dziękuję. A wracając do firmy, pomożesz mi zatrudnić biegłego?

– Nie pozwolę, żeby Jan przejął za bezcen twoją schedę po Tadeuszu. – Wuj Kazimierz przypieczętował swoje słowa uderzeniem dłonią w blat biurka. – Niczego mu nie obiecuj, do niczego się nie zobowiązuj. Skieruj go do mnie. Jeśli chcesz, mogę cię również reprezentować w sprawie rozwodowej.

Czy chciałam? Oczywiście, że tak, skoro już ma do niej dojść. Nagle myśl o rozwodzie nabrała realnych kształtów.

– Dziękuję, wujku. Niczego nie zrobię bez twojej rekomendacji.

– A co u mamy? – zapytał, kiedy nasze spotkanie dobiegało końca.

– Wszystko w porządku – odparłam, mimo że nie byłam na bieżąco.

Wybierałam się do niej na kolację dopiero wieczorem, z zamiarem zasięgnięcia języka w interesującej mnie wiadomej sprawie.

– Pozdrów ją ode mnie. – Wuj odchrząknął, spuszczaając wzrok.

– Oczywiście. – Cmoknęłam go w policzek i wyszłam z kancelarii.

Przez moment wydawało mi się... Nie, to niemożliwe.

Mama i pan Leopold, czekający z późnym obiadem, wyglądali na nieco zniecierpliwionych.

– Podgrzeję zapiekankę – powiedziała mama. – Mam nadzieję, że jeszcze będzie dobra, bo robię to już po raz drugi.

– Przepraszam, mamuś, ale u wuja Kazimierza trochę mi zeszło – próbowałam się



usprawiedliwiać. – Jakie zapachy!

Wyczułam szpinak i czosnek. A może to szparagi?

– Jadziu, daj spokój. Twoja zapiekanka zyskuje z każdym podgrzaniem – usłyszałam męskie wsparcie. – Siadajmy. – Pan Leopold wskazał mi miejsce i podał serwetkę.

Jak widać, jest nieźle zadomowiony, pomyślałam z przekąsem.

Pomógł mamie w przyniesieniu brytfanki i rozstawieniu szklanek do wody. Ja nie miałam nic do roboty.

– Mówisz, że odwiedziłaś wujka Kazimierza? – zagadnęła mama po nałożeniu każdemu zapiekanki. – Co u niego?

Prawdę powiedziawszy, nie miałam pojęcia. Nie poszłam do kancelarii pytać go o życie zawodowe ani tym bardziej osobiste. Skwitowałabym zapewne tym zdaniem pytanie mamy, gdyby nie obecność pana Leopolda, który wciąż pozostawał dla mnie obcym ciałem w rodzinnym domu.

– Chyba wszystko w porządku. Jest aktywny zawodowo i wygląda na zdrowego – odparłam oględnie. – Mogę prosić o sos?

Kurtuazyjna wymiana zdań przeistoczyła się po chwili w rozmowę na tematy ogólne, niewnoszące niczego. Pan Leopold był kulturalnym, dobrze wychowanym mężczyzną i niewątpliwie darzył mamę uczuciem. Bardzo powoli przyzwyczajałam się do myśli, że zastąpi u jej boku tatę, ale akurat dzisiaj miałam potrzebę porozmawiać z nią w cztery oczy. Lecz kiedy po konkretach nadeszła pora na kawę i ciasto, a pan Leopold wygodniej usadowił się w fotelu, straciłam nadzieję.

Tymczasem los wyciągnął do mnie przyjazną dłoń.

– Przepraszam, to syn. Muszę odebrać. – Mężczyzna mamy poderwał się na dźwięk telefonu. – Zapomniałem o wizycie u lekarza – powiedział po chwili. – Jadziu, zobaczymy się jutro. Do widzenia, pani Olu – dodał i pognął do przedpokoju.

– Coś poważnego? – zapytałam mamę uprzejmie.

– Nie mam pojęcia. Oby nie – odparła, wyglądając przez okno.

Zostałyśmy same, jak chciałam. Mama była trochę nieswoja, pewnie z powodu nagłego wyjścia pana Leopolda, ja zdecydowana wyjaśnić drażliwą kwestię. Nie zaczęłam jednak z grubej rury, oddawszy pole gospodyni.

– Jak było w Rydze? – zapytała wyraźnie spięta. – Nie pisałaś, nie dzwoniłaś.

– Mamo, Krasts zapisał mnie i Janisowi dom w Jurmale. Na spółkę. I tyle w temacie. W sobotę byłam u Witaja i dowiedziałam się, że jeden z chłopców nie ma szans na normalne życie. Jeśli urodzi się żywy. Przyznaj, to nie są informacje na telefon.

– Co dalej?

– Nie wiem. Maria też jest załamana, obie przeżywamy. W ogóle mam zły czas. Jasiek złożył pozew, chce odkupić za bezcen moje udziały w firmie, a ja bardzo martwię się o dzieci. W dodatku Maria wyprowadziła się z domu, bo mąż ją nęka. Nie zauważyłaś niczego podczas swojej wizyty?

Mama zmieniła się na twarzy i zaniemówiła na chwilę.

– Po prostu rozmawialiśmy...

– O czym? Mamo, czy ty jej powiedziałaś? – Doznałam olśnienia.

Niechęc Marii, wstrzemięźliwość mamy, gdy napomknęłam o surogatce... Wszystko trafiło na swoje miejsce.

– Córuś, tak. Nie powinnam była, przepraszam.

– Przecież cię o to pytałam! Skłamałaś!

– Stchórzyłam. Ale właśnie naprawiłam ten błąd!

– Czyli Maria wie...

Od nagłego objawienia zakręciło mi się w głowie.

## Rozdział 15

### MARIA

Nie wiedziałam, co robić.

Diagnoza doktora Witaja pozbawiła nadziei nas obie. Ola odwiozła mnie na Tulipanową, ale nasza rozmowa przy herbacie nie należała do przyjemnych. Rozumiałam jej rozgoryczenie i lęk o dzieci, w końcu też doświadczałam podobnych emocji. I czułam nieprawdopodobny wstyd za moją nieudolność jako matki zastępczej. Gdyby Borykowie zatrudnili inną kobietę, może spisałyby się lepiej?

Czekały nas cztery długie miesiące, w trakcie których wszystko mogło się zdarzyć.

Byłam gotowa całkowicie poświęcić się ciąży: poprosić lekarza o zwolnienie, wyhamować, ale ginekolog pozwolił mi wrócić do pracy. Nakazał jedynie obserwować organizm i reagować w razie jakiegokolwiek nieprawidłowości.

Aleksandra zaoferowała pomoc swoją i pani Jadwigi. Tej drugiej jednak (nie potrafiłam myśleć o niej jak o matce) nie miałam ochoty oglądać. Nasza pierwsza rozmowa nie należała do przyjemnych. Odebrałam panią Kniaziową jako osobę wyniosłą i niezadowoloną z faktu, że prawda wyszła na jaw. Zresztą czego mogłam się spodziewać, kiedy swoim nieoczekiwanym pojawieniem się zburzyłam jej ustabilizowane życie rodzinne?

W pewnym sensie nawet ją rozumiałam. Nie chciałabym być teraz na jej miejscu i wyjawiać swojej jedynaczce skrętnie ukrywanych przez lata grzechów młodości. Nie sądziłam bowiem, by targały nią wyrzuty sumienia wobec mnie.

Aleksandra jeszcze o niczym nie wiedziała, a przynajmniej nie dawała tego po sobie poznać. Zdawałam sobie jednak sprawę, że niebawem nadejdzie moment, w którym nas obie skonfrontuje się z przeszłością. Mimo to postanowiłam nie przyspieszać biegu wydarzeń i zaczekać na ruch Oli.

Teraz najważniejszy był każdy dzień, który przybliżał mnie do rozwiązania, i dzieci. Wśród nich także moja Kalinka, która niebawem miała powrócić z wczasów pod gruszą. Miałam nadzieję, że zrozumie, dlaczego przeprowadziłam się do pani Zofii, i zgodzi się ze mną zamieszkać. Na szczęście wciąż trwały wakacje, więc odległość od szkoły nie stanowiła problemu. Starłam się nie myśleć, jak rozwiążemy sprawę po rozpoczęciu roku szkolnego, zwłaszcza że moja rezydentura na Tulipanowej nie do końca była określona. Nie mogłam przecież sprowadzić się tutaj na stałe. I tak byłam wdzięczna za wyciągniętą dłoń i propozycję spędzenia w pięknym domu z ogrodem jakiegoś czasu.

Wbrew sugestiom pani Zofii, żebym nie czekała na nią z kolacją, postanowiłam nie posłuchać i zaskoczyć ją czymś smacznym. Wprost nie mogłam doczekać się jej wizyty.

W pobliżu nie było większego marketu, zatem musiał mi wystarczyć lokalny sklep i niewielki warzywniak. Bez specjalnego wyboru, ale zdobyłam kurze udka, fasolkę szparagową i młode ziemniaki. Kupiłam również śmietanę trzydziestkę, którą z braku miksera zamierzałam ubić starą, ale jarą trzepaczką, jakiej całe życie używała mama, a jabłka na szarlotkę zerwałam w ogródku.

Proste dania nie przysporzyły mi kłopotu, za to napełniły kuchnię aromatem pieczonych pałek z kurczaka w sosie śmietanowym z odrobiną musztardy, cytryny i garścią ziół. Posypane tymiankiem i estragonem ziemniaki dochodziły w piekarniku. Musiałam się powstrzymać, by nie pochłonąć fasolki szparagowej obojga kolorów, najlepszej właśnie w lipcu. Z dodatkiem bułki tartej i polana masłem drażniła powonienie.

Na szczęście męka pokus miała się wkrótce zakończyć. Pani Zofia już do mnie jechała. Wyjmując jablecznik z piekarnika, spojrzałam w okno w oczekiwaniu na nadjeżdżającą taksówkę.

O Boże!, dostrzegłam przerażona, jak Julian pomaga mojemu gościowi wyjść z auta.

Wyglądałam jak czarownica, ale nie miałam pojęcia, dlaczego się tym aż tak przejęłam. Przecież to tylko Julian i pani Zofia. Przeczesałam włosy szczotką, przeciągnęłam tuszem po rzęsach i użyłam błyszczyka. Już lepiej, stwierdziłam. Zła wiadomość była taka, że ugotowałam zbyt mało jak na trójkę stołowników. Najwyżej zjem połowę porcji, pomyślałam i pobiegłam do przedpokoju.

– Mamy jedzenie od Chińczyka! – Pani Zofia gestem zaprezentowała piramidę styropianowych pudełek piętrzących się w ramionach Juliana. – Jesteś głodna?

– Jasne! – oznajmiłam, by sprawić jej przyjemność. – A wam proponuję coś domowego. O ile zechcecie – zastrzegłam się.

– To znaczy mnie też? – zapytał Julian.

– Wchodź i nie zadawaj niemądrych pytań. Może wody z miętą? – Wyjęłam z lodówki zmrożony płyn, doskonały przy upalnej pogodzie.

Zjedli, pochwalili, a ja pozachwyciałam się chińską kuchnią. Wspólny mianownik stanowiła szarlotka ze śmietaną.

Pani Zofia zapragnęła poobiedniej drzemki.

– Nie obrażacie się, jeśli zostawię was na jakiś czas?

Przenieśliśmy się z Julianem do ogrodu, by odpocząć po jedzeniu w cieniu rozłożystej jabłoni.

– Wracasz do pracy? – zapytał, sącząc kawę.

I uświadomił mi konieczność powzięcia decyzji.

– Tak – odparłam. – W poniedziałek będę. Mam nadzieję, że problemy z ciążą nie powrócą. A jak idą przygotowania do kolacji Teodora i Barbary? – Przypomniałam sobie o manewrach dwojga pensjonariuszy.

– O niczym innym nie słyszę! Mam dla ciebie zaproszenie. – Julian sięgnął do kieszeni. – Nie wyobrażają sobie imprezy bez ciebie. Przyjdziesz?

– Oczywiście. O ile pozwoli mi samopoczucie.

– No właśnie, a jak tam zdrowie? – zapytał z troską.

– Nie mówmy o tym, proszę. Dziękuję, że przywiozłeś panią Zofię. I w ogóle za wszystko. – Moja ręka powędrowała w kierunku jego dłoni, ale wycofała się szybko.

– Marysiu, wiesz, że zrobiłbym dla ciebie dużo więcej. Gdybyś tylko pozwoliła...

– To nie tak, Julek – przerwałam mu. – Mówiłam ci już, że nie jestem odpowiednią kobietą dla ciebie. Proszę, nie pakujmy się w trudne układy, dla dobra nas obojga. Jesteś wspaniałym facetem i ułożysz sobie życie z kobietą, która cię pokocha, a ty ją. Ja już tkwię w związku – dodałam. – A ty...

Zamilkłam przerażona, że wstanie z krzesła i odejdzie, ale on wciąż siedział i wpatrywał się w moje oczy. Uciekałam spojrzeniem, ale wzrok Juliana działał na nie jak magnes. Nie powinnam pozwalać sobie na słabość, ta jednak nie pytała mnie o zdanie.

Uległam, kiedy wstał i niebezpiecznie przybliżył usta do moich. Oddałam pocałunek. A kiedy spłoszona myślałam, co dalej, Julian zaczął się żegnać.

– Niewiele o mnie wiesz, Marysiu, bo i skąd? Ale jedno mogę ci powiedzieć: nie jestem pierwszym lepszym młokosem, którego serce zabiło mocniej dla mężatki. Może kiedyś będzie okazja o tym porozmawiać, ale nie teraz. Przepraszam, muszę już lecieć. Dziękuję za pyszny obiad i za ten pocałunek. Do zobaczenia w poniedziałek.

Siedziałam zdumiona naszą nagłą bliskością i smakiem ust Julka, ale jeszcze bardziej jego ostatnimi zdaniem i irracjonalną za nim tęsknotą.

Musiałam zwariować, stwierdziłam.

Samochód Juliana odjechał. Ulicą przechadzała się para z wózkiem dla bliźniąt i dzieckiem na czterokołowym rowerku. A mnie ścisnęło się serce. Wyobraziłam sobie Aleksandrę, która do końca mojej ciąży nie będzie mogła kupić odpowiedniego wózka, a właściwie żadnego, bo kto wie, jak potoczą się losy jednego z maluchów.

Matko jedyna, ja go chorego już pogrzebałam!, pomyślałam z przerażeniem. Aż zakryłam usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

Nie zauważyłam, kiedy za moimi plecami pojawiła się pani Zofia i z mowy ciała odczytała emocje.

– Chodź, kochanie, porozmawiamy. – Zachęciła mnie gestem i poprowadziła do salonu.

Nie miałam ochoty na zwierzenia, ale słowa popłynęły same. I te, które wypowiedział doktor Witaj, i te dotyczące mojej relacji z Władkiem.

Starsza pani przytuliła mnie i kołysała, dopóki się nie uspokoiłam.

– Kochana, możesz mieszkać u mnie, jak długo zechcesz.

Nie dopytywała o szczegóły, po prostu próbowała zaradzić kłopotom.

– Ale jak to? Nie mogę siedzieć pani na głowie. A poza tym powinnam porozumieć się z mężem.

– Po pierwsze będzie nam chyba łatwiej, jeśli zechcesz mówić mi po imieniu. – Pani Zofia rozładowała atmosferę uśmiechem. – To jak? Jestem Zosia. – Wyciągnęła rękę. – A po drugie przecież siedzi przede mną córka Tereski, mojej najlepszej w życiu przyjaciółki, czyli jak gdyby moja własna, której nigdy nie miałam. Zgodzisz się korzystać z mojego domu?

Czy ja się zgodzę? Z największą przyjemnością! Tyle że pozostawali jeszcze Władek i Kalina.

– Muszę pomyśleć, Zosiu. – Ta bezpośredniość z trudem przeszła mi przez gardło. – Przepraszam, jeśli mój brak deklaracji uznasz za kręcenie nosem. Chodzi o sprawy rodzinne. Jeżeli Władek nie przestanie mnie szykanować, skorzystam na pewno. Z uwagi na ciążę i Kalinę.

Po tej rozmowie z Zofią nerwy trochę odpuściły. Poczułam powiew bezpieczeństwa i spojrzałam w najbliższą przyszłość z większym optymizmem. Znalazłam przystań z dala od męża, który szczęśliwie nie znał mojego adresu. Próbował wprawdzie dzwonić, ale nie odbierałam. Owszem, brakowało mi rzeczy pozostawionych w domu, niemniej dawałam sobie radę. Na półkach miałam do dyspozycji masę książek, za oknem zieleni.

Spędziłyśmy we dwie cały następny dzień. Sądziłam, że w poniedziałek rano pojedziemy razem do Jesiennej Przystani. Jednak Zofia wybrała się tam już w niedzielny wieczór, zaproszona przez nowych przyjaciół na brydża.

Siedziałam z książką na tarasie, dopóki ciemność nie zamazała liter. Julian przysłał mi esemesa ze słoneczkiem, Kalinka kolejne zdjęcia z dopiskiem: „Tęsknię”. Napisała do mnie również, o dziwo, bratowa Władka.

„Szwagierka, musimy porozmawiać. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała czas”.

Zaintrygowana wiadomością od Marzeny złapałam odruchowo za telefon, ale stwierdziłam, że już za późno na kontakt. Pewnie ma Władka po dziurki w nosie i chce, żebym przekonała go do powrotu, pomyślałam, odkładając komórkę na nocny stolik.

## Rozdział 16

### ALEKSANDRA

Wstałam z silnym postanowieniem popracowania nad nowelami Krastsa. Po pierwszej kawie ocknęłam się po niezbyt udanej nocy, po drugiej stanęłam na nogi.

Wuj Kazimierz był zajęty szukaniem biegłego, który wyceni firmę, Maria wróciła do pracy, a ja mogłam zasiąść do komputera i wsiąknąć w świat mojego mistrza. Potrzebowałam tego jak ryba wody.

Wyłączyłam telefon, by zapewnić sobie komfort i skupienie. Wszystkie inne sprawy musiały poczekać.

Udało mi się zabarykadować na kilka godzin, niemniej jednak gdy w pewnym momencie dostrzegłam na ekraniku komórki mnogość nieodebranych połączeń i litanię esemesów, zrobiłam krótką przerwę na zapoznanie się z ich treścią.

Pochodziły głównie od Jaśka.

„Co ty wyprawiasz? – pisał w pierwszym mój mąż. – Nasyłasz na mnie biegłego? Czy naprawdę nie możemy załatwić sprawy między sobą, bez angażowania osób trzecich?”

Kolejne dotyczyły naszego spotkania. Jaś zapraszał mnie do swojego gabinetu.

„Mam dużo pracy i klientów, więc nie mogę spotkać się z Tobą w domu, a uważam, że powinniśmy porozmawiać. Możesz przyjechać o czternastej? Godzinę później muszę uczestniczyć w odbiorze pawilonu handlowego”.

Ponieważ nie odbierałam, zniecierpliwienie Jaśka eskalowało.

„Postanowiłaś się nie odzywać? Zatem dobrze: będę w naszym domu po siódmej. I proszę, przemyśl raz jeszcze wystawianie ciężkich dział, bo wszystkie nasze interesy możemy załatwić polubownie. Do wieczora”.

Mój mąż był wyraźnie rozsierdzony, a ja w pierwszym momencie nie bardzo wiedziałam, o co mu chodzi. Domyśliłam się, że wuj Kazimierz zadziałał bez zwłoki na podstawie wszelkich moich pełnomocnictw. Ale w czym problem?, dumałam. Czy to naprawdę powód do aż takich nerwów? Przecież rzetelny podział firmy nakazuje zwykłą uczciwość. Mnie propozycja stu sześćdziesięciu tysięcy za potentata budowlanego na lokalnym rynku wydawała się zaniżona.

Mieliśmy teren, budynki, park maszynowy, doskonałe wyniki finansowe, o których często wspominał tato, renomę, mnóstwo klientów i zamówień na budowę nowych domów, wręcz osiedli. Sto sześćdziesiąt tysięcy nie kosztowało nawet najmniejsze mieszkanie, które budował Tadbud. Jasiak chciał mnie zbyć ochłapem z pańskiego stołu. Choć do tej pory nie myślałam o pieniądzach, musiałam zacząć, skoro mój mąż postawił na rozwód i życie z inną kobietą oraz ich dzieckiem.

Jedna z wiadomości była od wuja Kazimierza. Po jej odczytaniu przerwałam tłumaczenie. Prosił o pilny kontakt, a najlepiej o wizytę w kancelarii.

– Cholera jasna! – klęłam pod nosem, ogarniając się przed wyjściem. – A praca szła mi tak dobrze!

Po raz kolejny musiałam opuścić ukochany świat książek, by wdepnąć w bagienko bieżących spraw. Mimo to pognałam natychmiast. Nasz prywatny doświadczony prawnik nie wzywał mnie bez powodu.

– Dobrze, że jesteś – powitał mnie z ulgą. – Musimy zacząć działać.

Sięgnęłam po szklankę z wodą i zajęłam miejsce naprzeciwko biurka.

– Wysłałam biegłego do wyceny firmy, ale prezes – oczywiście wuj miał na myśli mojego męża – go nie wpuścił.

– Czy to jest zgodne z prawem?

– Niestety tak. Zarząd firmy nie musi nikomu udostępniać ksiąg. Biegły może wycenić firmę na podstawie rocznych sprawozdań i bilansów składanych w Krajowym Rejestrze Sądowym, ale będzie to jedynie wycena szacunkowa. Rzetelnej trzeba dokonać na miejscu. A my chcemy, żeby była zgodna z rzeczywistością i określała realną wartość majątku, prawda?

– No tak. Uważasz, że Janek powinien go wpuścić?

Powalony moją ignorancją wuj Kazimierz aż sapnął.

– Ola, to jasne, że biegły musi tam wejść i wycenić majątek – powiedział. – Żeby nam nic nie umknęło i żebyś ty dostała swoją część. Posłuchaj, kwota, którą zaproponował twój mąż, jest poważnie zaniżona. On chce cię oszukać. Biegły nawet bez wchodzenia na teren firmy szacuje jej wartość na co najmniej dziesięć milionów złotych, a prawdopodobnie mamy do czynienia z wyższą kwotą. Rozumiesz chyba, że w tej sytuacji musimy uczynić wszystko, żeby mógł zrobić wycenę u źródła. Zanim jednak wyjaśnię ci, jak zamierzamy tego dokonać, weź telefon i wejdź do swojego banku.

Nie miałam pojęcia, skąd ten pośpiech i twarde, nieznoszące sprzeciwu słowa. Niemniej bez szemrania wykonałam polecenie.

– Co mam robić?

– Załóż prywatne konto i przelej na nie połowę pieniędzy, które macie na wspólnym rachunku. Zerwij lokaty i połowę ich wartości również przelej na nowe konto.

– Nie wiem, czy mogę...

– Możesz. Nie doradzałbym ci kroków niezgodnych z prawem. Masz co przelewać? – zapytał, świdrując mnie wzrokiem.

– Są wszystkie pieniądze – odparłam, przerażona nagłą akcją, którą nie do końca rozumiałam. Wykonywałam polecenia w ciszy, którą przerywały sporadyczne westchnienia.

Wuj wpatrywał się we mnie w napięciu. Kiedy po wykonanych operacjach skinęłam głową, wstał i nalał sobie odrobinę koniaku.

– Może mi wytłumaczysz, po co to wszystko? – wyszeptalam, ale on tylko wychylił zawartość kieliszka i głęboko odetchnął.

– Olu, kiedy dzisiaj twój mąż nie wpuścił biegłego do firmy, zyskałam pewność, że nie zamierza uczciwie podzielić majątku – oświadczył po dłuższej chwili. – Wybacz, że to mówię, ale uczestniczyłem w niejednym rozwodzie i wiem, jak ludzie potrafią się zachowywać. Zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze. Przełałaś właśnie na swoje konto połowę waszych oszczędności. A co by było, gdyby Jan zrobił to z ich całością? Przecież potrzebujesz pieniędzy. Co sąd miałby dzielić, gdyby rachunek bankowy ział pustką?

Nagle poczułam nad sobą opiekę anioła stróża w osobie wuja Kazimierza. Mimo to wypierałam, że Jasiek chce mnie oszukać.

– A jeśli on nie złoży pozwu o rozwód? – zapytałam.

– Już go złożył. Leży w biurze podawczym. Olu, popatrz prawdzie w oczy. Twój mąż chce się z tobą rozwieść i nie ma wielkiej ochoty dzielić się firmą. Chcesz mu na to pozwolić? Pamiętaj, że Tadeusz nie bez powodu przekazał ci sześćdziesiąt procent udziałów, którymi możesz teraz zadysponować.

Przypomniałam sobie ostatnie esemesy od Jaśka. „Nasyłasz na mnie biegłego?” „Możemy wszystkie nasze sprawy załatwić polubownie”. „Będę w naszym domu o siódmej”.

– Jeszcze z nim porozmawiam – odparłam. – Przecież możemy się dogadać.

Wychodząc, zobaczyłam w oczach wuja Kazimierza politowanie, ale udałam, że go nie dostrzegam. Postanowiłam dać Jaśkowi jeszcze jedną szansę.

Przygotowując się do kolacji z mężem, zadbałam o ładny wygląd, upiekłam jego ulubioną zapiekankę, postawiłam kieliszki do wina i świece. Krążąc po domu, sondowałam swoje uczucia do niego i ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie drży mi serce.

Odczułam za to jego miły skurcz, kiedy odczytałam wiadomość od Janisa i zobaczyłam wymalowany ganek w domku w Jurmale.

„Przepraszam, że nie uzgodniłem koloru desek, ale po prostu wybrałem taki, który był do tej pory. Przy kolejnym malowaniu się poprawię”.

Miętowa zieleń prezentowała się znakomicie. Wiązanka polnych kwiatów w glinianym wazonie była przeznaczona dla mnie.

„Maki, chabry i rumianki. Lubisz? Alternatywą były dzikie róże z wydmy. Po te polne musiałem zrobić dłuższy spacer”.

Zapach dochodzącej w piekarniku zapiekaneki przywołał mnie do kuchni. A zaledwie w biegu podziękowałam Janisowi za pamięć, dzwonek do drzwi zaanonsował gościa.

Jasiek wszedł do domu pewnym krokiem. Od razu wywęszył smakowitości.

– Czyżbym czuł owoce morza? – Obdarzył mnie czułym uśmiechem głodnego mężczyzny.

– Niewiele dzisiaj jadłam, więc posilimy się oboje – odparłam, wnosząc na stół formę z tartą. –

Nalejesz wina?

O dziwo, mój mąż chętnie pośpieszył w kierunku barku. Przez moment nawet wydało mi się, że moja obecność sprawia mu przyjemność.

– Ładnie wyglądasz – pochwalił, rzucając mi pełne uznania spojrzenie.

– Dziękuję.

Zapadła cisza.

Nałożyłam nam obojgu po trójkącie tarty. Jedliśmy w milczeniu.

– Może włączę Nat King Cole'a? – zaproponował Jaś.

Zobaczywszy aprobatę w moich oczach, podążył w kierunku gramofonu, wybrał winylowy krążek. Po chwili salon wypełnił niski głos amerykańskiego wokalisty.

– Pracujesz? – zapytał kurtuazyjnie mój mąż.

– Trochę. Niełatwo się skupić.

– Wiem, Olu. Mamy trudny czas. Ja też nie bardzo potrafię skoncentrować się na pracy – usłyszałam.

Omal nie zakrztusiłam się kolejnym kęsem.

– Jakież kłopoty w firmie? A może Arleta źle znosi ciężę?

Nie planowałam tej złośliwości, ale słowa węże wydobyły się z moich ust bez udziału woli.

– Przyszedłem porozmawiać o nas. Pozwól mi skończyć – zastrzegł, zignorowawszy mój wtęret o jego nowej narzeczonej. – Złożyłem pozew o rozwód, którego konsekwencją będzie podział majątku. Chodzi o dom, oszczędności, samochody. I oczywiście o firmę. Złożyłem ci propozycję kupna twoich udziałów. Co o niej sądzisz?

Boże złoty, więc wszystko sprowadza się wyłącznie do pieniędzy! On nawet nie pyta o dzieci!

– Jaś, jestem skłonna sprzedać ci swoją część, ale po wycenie biegłego – odparłam. – Zatrudniłam kogoś, kto niebawem pojawi się w firmie i jej dokona. Ja nie chcę być dłużej współwłaścicielką, więc zrobię to z przyjemnością. Uważam, że po tylu latach masz prawo pierwokupu.

W oczach Jaśka zobaczyłam złość, którą bez skutku próbował opanować.

– Nie udawaj, że nie wiesz – powiedział. – Ten twój biegły próbował dzisiaj dostać się do firmy.

Ola, Tadbud jest dziełem twojego ojca, co oczywiste, ale także moim. Nigdy nie osiągnąłby takiej wartości, gdyby nie ja. Z jego efektów finansowych korzystałaś całymi latami. Nie możesz mi go sprzedawać jak komuś obcemu.

– Dlaczego? Bo teraz potrzebujesz pieniędzy na nową rodzinę? Sądzisz, że możesz mnie tak po prostu odstawić na boczny tor?

– Nie mieszaj w to Arlety!

– Dobrze. – Powstrzymałam wybuch. – Ale wpuść biegłego, niech wyceni firmę. A potem pogadamy.

– A co, jeśli tego nie zrobię? – Mojemu mężowi puściły nerwy.

– Pomoże mi prawnik.

– Ukochany wujek Kazimierz? Zawsze dbał o interesy twojego tatusia, a mnie, roboczego wołu, miał w nosie. Ojciec nie żyje, teraz firma to ja! Beze mnie byłaby niczym! Ciesz się, że w ogóle chcę ci cokolwiek zapłacić, bo nigdy się nią nawet nie zajmowałaś i nie masz o niej zielonego pojęcia! Przez całe życie interesowałaś się wyłącznie dziećmi, których nigdy nie urodziłaś! Dziękuję za tartę, ale jeżeli myślałaś, że coś nią załatwisz, to się pomyliłaś.

Już nigdy w życiu nie będę z nim rozmawiać!, obiecałam sobie, gdy Jasiek zatrzasnął drzwi. No, chyba że za pośrednictwem adwokata!

## Rozdział 17

### MARIA

Wbrew sugestiom Zofii, by wziąć taksówkę, pojechałam do pracy autobusem. Poczułam się niezręcznie, bo zostawiła mi nawet pieniądze, z których jednak nie zamierzałam korzystać. Wystarczy, że mieszkałam w jej domu, oddychałam powietrzem w jej ogrodzie, spałam w jej łóżku. I tak nadużywałam uprzejmości gospodyni.

Władek kilka razy dzwonił, ale nie odbierałam telefonu w obawie przed inwigilacją. Wysłałam mu wiadomość, że znalazłam sobie wygodne miejsce i nie musi się martwić o mnie i dzieci. Poprosiłam o spokój, który pozwoli mi donosić ciążę.

„Porzućmy wszystkie sporne kwestie, skoncentrujmy się na celu – napisałam. – Muszę zebrać pieniądze na operację Kaliny, więc organizuj sobie czas po swojemu. Mam nadzieję, że dobrze Ci u Marcinów, a jeśli nie, to znajdź pracę w mieście. Władek, nie odpuszczę. Minęło już pięć miesięcy, jest coraz bliżej do rozwiązania. Gdybyś chciał wrócić do domu i mi pomóc, ja również wrócę. Daj znać, co postanowiłeś”.

Napisałam list w polubownym tonie, chociaż nie wierzyłam w nośność własnych słów. Mimo to potęga przysięgi małżeńskiej „na dobre i na złe” tkwiła z tyłu głowy, nie dając o sobie zapomnieć.

Wprawdzie pamiętałam, że mój mąż podniósł na mnie rękę, ale próbowałam wykrzesać z siebie resztki uczucia. Nie tego pierwszego, sprzed lat, kiedy ulegliśmy wzajemnej fascynacji, a tego późniejszego, dojrzałego, naznaczonego wspólnymi doświadczeniami, wypadkiem Kaliny i próbami pokonania nieszczęścia.

Zdawałam sobie sprawę, że niejedno małżeństwo rozpada się w obliczu rodzinnej tragedii. Nasze przetrwało, więc tym bardziej nie potrafiłam pogodzić się z faktem, że teraz, o krok od operacji Kaliny, Władek się poddał. A jeszcze bardziej przerażało mnie, że ja emocjonalnie chyba też.

A może to moja wina? Powinnam go bardziej mobilizować do pracy, nie pozwalać mu na wieczorne schadzki z kumplami w pubie. No i zdecydowanie nie powinnam całować się z Julianem. Co prawda trudno było mu się oprzeć, ale i szkoda byłoby położyć na szali stałość rodziny. Każdy psycholog doradziłby mnie i Władowi terapię małżeńską, a ja doszłam do tego wniosku sama, bez wydawania pieniędzy na wizyty u specjalisty.

Zaopatrzona w tę pozytywną konkluzję dotarłam do pracy, nakazawszy sobie dystans wobec Juliana. Atmosfera domu opieki, dla niektórych przygnębiająca, mnie napełniała radością. A widok koszącego trawę pana Bogdana i jego miłe powitanie dodały sił.

– Wypijesz kawę? – W kuchence zastałam Izę w wyjątkowo dobrym nastroju.

Jak na osobę, która próbowała popełnić samobójstwo po odejściu męża, wyglądała na całkiem zadowoloną. Nie bardzo wiedziałam, jak się zachować, pytać ją o zdrowie czy pominąć temat milczeniem. Na wszelki wypadek pozwoliłam jej mówić.

– Wiesz, że ta nowa baba Januszka poroniła? – zakomunikowała, wprawiając mnie w jeszcze większą konsternację.

Natychmiast odczułam skurcz w podbrzuszu i usiadłam na taborecie, by opanować zawroty głowy. Iza jednak nie przestawała wyrzucać z siebie nagromadzonego żalu do męża i jego kochanki.

– Dobrze jej tak i jemu też. Sprawiedliwość jest na świecie.

Przemogłam niechęć do jadu sączącego się z ust koleżanki, ale miałam ochotę wyjść. Jak ona może? Dlaczego cieszy ją cudza krzywda? A już zwłaszcza gdy chodzi o życie i zdrowie dziecka.

– A jak ty się czujesz? – Porzuciłam myśl o uświadomieniu Izie niestosowności złych emocji.

– Nie będę się znowu truć, jeśli o to pytasz – odparła. – Nabrałam nadziei, że Januszek do mnie wróci. Przecież on był z nią wyłącznie z powodu dziecka, prawda? Ta kobieta próbowała złapać go na brzuch, ale plan się nie powiódł – dodała z satysfakcją.

– Jestem w ciąży – wypaliłam.

– To wspaniale!

– Noszę bliźniaki, z których jeden, według diagnozy lekarzy, nie przeżyje albo będzie



niepełnosprawny. Kilka dni temu przeraziłam się, że stracę obu. Miałam płamienie i myślałam, że to już koniec.

Filiżanka zawisła w powietrzu, nie dotarłszy do ust.

– To straszne. Głupio mi, że wspomniałam o stracie ich dziecka. Ale tak bardzo bym chciała, żeby Januszek do nas wrócił... – Z trudem hamowała łzy.

– Wiem. – Iza nie broniła się przed uściskiem. – Jak ci mogę pomóc? – zapytałam, kołysząc ją w objęciach.

– A ja tobie? – Zerknęła na krągłości pod sukienką. – Może przejmę część twoich obowiązków? I przepraszam, że zawracałam ci głowę swoimi sprawami, nie wiedziałam.

– Iza, sytuacja jest dużo bardziej skomplikowana, ale porozmawiamy o tym później, dobrze?

Rozmowę przerwało nam nadejście Juliana. Zdążyłam jedynie szepnąć koleżance, by nie roznosiła informacji o moim stanie po całym domu opieki. Przywitałam się z Julkiem zdawkowo i skierowałam do szefowej.

Pani Wiesia, jak zwykle, siedziała nad papierami. Przeglądała liczne faktury i przygotowywała zamówienia do kuchni. Mimo urlopu, z którego właśnie wróciła, wyglądała na zmęczoną. Ja również nie tryskałam energią.

– Przepraszam, zawiodłam – zaczęłam od progu. – Miałam zająć się domem podczas pani nieobecności, ale nie wyszło.

Kazała mi usiąść przy ławie, a sama zajęła miejsce naprzeciwko.

– Marysiu, to oczywiste, że się na ciebie nie gniewam. Julian ogarnął doskonale wszystkie sprawy. Co u ciebie? Masz siły, by wrócić do pracy?

Czułam się w obowiązku zapoznania szefowej ze stanem mojego zdrowia. Nie ukrywałam niczego. Ostatnie miesiące ciąży mogły obfitować w kolejne zwolnienia lekarskie.

Pani Wiesia wysłuchiwała w skupieniu. Sięgnęła po papiery i zaczęła mówić.

– Bardzo mi przykro, że masz problemy z ciążą, i chciałabym ci jakoś pomóc, ale sama nie jestem w najlepszej kondycji. Szwankuje mi serce, mąż nalega, żebym przeszła na emeryturę. Do tej pory nie brałam tego pod uwagę, ale kto wie, czy nie będę zmuszona. Prawdę powiedziawszy, od jakiegoś czasu myślę o tobie jak o swojej następczyni. Znasz ten dom od podszewki, od czasów, kiedy pracowała w nim jeszcze twoja mama, masz doskonale podejście do pensjonariuszy i serce. I jest Julian, który mógłby ci pomóc. Chyba dobrze się dogadujecie?

Skinęłam głową.

– Nie bądź taka przerażona! – roześmiała się pani Wiesia na widok mojej miny. – Jeszcze nie przekazuję ci berła, zaczekam do porodu. Najchętniej sprzedałabym ten dom, ale wiem, że nie masz pieniędzy. Mogłabym zatem zatrudnić cię na stanowisku dyrektorki. O ile byś zechciała – zastrzegła się.

Byłam zaskoczona, a jednocześnie pękałam z dumy. Ale nie zabierałam głosu, czując, że szefowa jeszcze nie skończyła.

– Nie wiem jedynie, czy pensja by cię zadowoliła. Dom ostatnio przynosi coraz mniejsze zyski. Ceny rosną, a my nie możemy podnosić opłat, bo ludzie są mało zamożni. Patrz. – Podała mi pakiet faktur. – Energia w górę, kuchnia drożeje. Nawet za wywóz śmieci podnieśli. Przy naszych kilkunastu pensjonariuszach ledwie wychodzimy na swoje.

Mimo zniechęcającego tonu czułam, że rosną mi skrzydła. Miałam zostać dyrektorką domu opieki! Rzeczywiście znałam go od podszewki, czułam bluesa, lubiłam naszych pensjonariuszy. No i potrzebowałam pracy, która u nowego właściciela wcale nie była sprawą oczywistą.

– Pani Wiesiu, z ochotą przystanę na tę propozycję – odparłam. – Tym chętniej po rozwiązaniu. Dziękuję. Trudno mi jednak wyobrazić sobie ten dom bez pani.

Szefowa machnęła ręką z pobłażliwym uśmiechem.

– Oddam to moje dziecko w dobre ręce – podsumowała.

A ja pomyślałam o bliźniakach, które za cztery miesiące miały trafić do Aleksandry. Byłyśmy w nieco innej sytuacji, ale poczułam z panią Wiesią osobliwą więź.

– Jesienna Przystań nigdy nie przestanie być pani dzieckiem – odparłam. – Będziemy czekać z utęsknieniem na wizyty naszej ulubionej szefowej.

Z chłopcami będzie zupełnie inaczej, pomyślałam. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak oddaje noworodki Oli i... natychmiast o nich zapominam. Po porodzie nasze drogi się rozejdą. Nigdy nie trafię na salę matek z dziećmi. Maluchy powędrują na oddział noworodkowy, mnie lekarze przechowają na jakiejś ogólnej i jak najszybciej wypiszą do domu. Aleksandra zabierze swoje szczęście do domu, a o mnie zapomni. Czy kiedykolwiek pozwoli na odwiedzinę?

Odegrałam niepokojące myśli, które nie miały prawa się pojawiać. Po raz któryś zapomniałam, dlaczego zgodziłam się być surogatką. Musiałam przypomnieć sobie o operacji Kaliny i kolejnym przelewie od Boryków, który niebawem miał trafić na moje konto.

Podziałało jak kubeł zimnej wody.

– Marysiu, dziękuję – dotarły do mnie słowa pani Wiesi. – A teraz biegnij do kuchni, bo widzę przez okno, że przyjechali z warzywniaka. Sprawdzisz, czy przywieźli towar zgodnie z zamówieniem?

Byłam już w drzwiach, kiedy dyrektorka przywołała mnie do siebie.

– I jeszcze jedno – powiedziała półgłosem. – Gdybyś potrzebowała zwolnienia, oczywiście bierz. Razem przeczekamy trudne chwile.

Frunęłam do kuchni jak na skrzydłach. Ktoś docenił moją pracę! Ktoś docenił mnie!

– Pani Ludmiło, przyszedłam sprawdzić towar – zagadałam do kucharki. – Co się tutaj dzieje?

Barbara, nasza pensjonariuszka, rzuciła mi zalężnione spojrzenie znad deski pełnej surowych pierogów.

– Przygotowujemy na sobotę. – Obie kobiety, przestraszone, czekały na moją reakcję.

– Pani Basiu, w kuchni może przebywać wyłącznie personel – napomniałam i puściłam do nich oko. – Dużo jeszcze macie? – ściszyłam głos.

Gestem pokazały, że kończą.

Powinno im zaserwować pogadankę o higienie, ale odpuściłam. Popukałam w szkiełko zegarka, bez słowa nakazując pośpiech, by szefowa nie przyłapała ich na niesubordynacji.

Zatem na imprezie Barbary i Teodora miały być samodzielnie przygotowane pierogi! Nie wnikałam, co jeszcze. Najważniejsze, że na twarzy naszej Baśki gościł szeroki uśmiech.

Zanim zdążyłam dojść do pokoju Zofii, telefon zasygnalizował wiadomość.

„Mamusi, w środę wracam. Tęsknię za Tobą, chociaż tutaj jest naprawdę bardzo przyjemnie. Będzie mi brakować kąpieli w jeziorze. W domu pewnie gorąco?“, napisała Kalina.

„Z pewnością, ale ja teraz mieszkuję u pani Zofii – odpisałam, zdobywszy się na szczerość. – I jeśli się zgodzisz, zamierzam zabrać Cię do siebie. Drzewa w ogrodzie dają cień, a w domu o grubych murach panuje przyjemny chłód. Jakiś czas możemy tu pobycć obie”.

„Bardzo chętnie, bo Krzysiek jedzie z rodzicami do Chorwacji. Co u taty, bo nie mogę się z nim skontaktować?”

„Wszystko w porządku. Porozmawiamy później, jestem w pracy. Kocham Cię i również tęsknię”, wysłałam ostatniego esemesa i schowałam komórkę do kieszeni.

Rozejrzałam się wokół, poszukując wzrokiem Juliana, ale gdzieś zniknął.

– I dobrze – mruknęłam pod nosem. Plan unikania go realizował się sam.

Z końca korytarza dobiegły mnie słowa szefowej skierowane do Izy.

– Julka nie będzie przynajmniej do końca tygodnia. Zabiegi odwołane, bo na cito nie załatwię innego rehabilitanta. Zawiadam wszystkich zainteresowanych.

## Rozdział 18

### ALEKSANDRA

Przepraszam, ktoś dzwoni od drzwi – przerwałam rozmowę z Mileną. – Połączę się później.

Na schodach zastałam listonosza, który wygrzebał z torby list polecony.

– Dzień dobry. Pani Aleksandra Boryk? – potwierdził dla formalności.

Skinęłam głową.

– Pan Jerzy na urlopie? – zapytałam o naszego stałego listonosza, zanim złożyłam wyraźny podpis na stosownym druku.

– Do końca lipca. Tutaj. – Mężczyzna wskazał na odpowiednią rubryczkę. – Dziękuję – pożegnał się uprzejmie.

Chciałam zaproponować mu szklankę wody, ale nie zdążyłam.

Mimo przedpołudniowej pory słońce operowało ostro. Najwidoczniej listonoszowi na zastępstwie bardzo się śpieszyło.

Pismo było z sądu. W pierwszej chwili drgnęło mi serce, jak zwykle przy urzędowej korespondencji, ale szybko zorientowałam się, co zawiera przesyłka. Otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej odpis pozwu o rozwód.

Jan Boryk domagał się rozwodu z Aleksandrą Boryk bez orzekania o winie.

– Niedoczekanie twoje! – wyszeptałam zirytowana tą arogancją.

Wybrałam numer Mileny.

– Wracam do ciebie – oznajmiłam, a później zarzuciłam ją potokiem epitetów pod adresem Jaśka.

– Porzucił mnie dla innej kobiety, z którą spodziewa się dziecka, a ja mam brać połowę winy na siebie? Żeby nie wspomnieć o naszych nienarodzonych dzieciach! Łajdak!

– Co zamierzasz?

– Muszę porozmawiać z wujem Kazimierzem. I to najlepiej od razu. Wierz mi, że wczoraj jeszcze próbowałam dogadać się z Jaśkiem, ale szkoda zachodu. Sama nie wiem, czy płakać, czy się wściekać. Przez całe dorosłe życie byliśmy razem. Wystarczało mi jego towarzystwo. Nie licząc ciebie, nie mam żadnych znajomych. I on zostawił mnie na lodzie w takiej sytuacji!

– Wiem, kochana, że ci ciężko, ale jeszcze zaświeci słońce nad Jurmałą.

– Dlaczego nad Jurmałą? – zdumiałam się.

– A tak mi się powiedziało – odparła. – Czy to nie tytuł jednego z opowiadań Krastsa?

– Rzeczywiście! – Oświeciło mnie.

Bo już myślałam, że nawiązanie do Janisa.

Milena próbowała mnie podnosić na duchu, ale nie miałam ochoty na zdawkowe słowa pociechy.

Była w pracy, więc okoliczności nie pozwalały na dłuższą rozmowę.

– Zadzwoń do ciebie wieczorem – usłyszałam i zakończyłyśmy połączenie.

Zerknęłam na pozew, namacalny dowód mojej małżeńskiej klęski.

Wuj Kazimierz znalazł czas, by spotkać się ze mną w kancelarii w ciągu godziny. Bez słowa położyłam na jego biurku sądowe pismo i opadłam ciężko na fotel.

– Jaś chce rozwodu bez orzekania o winie – oświadczyłam.

– A ty?

– Nigdy w życiu! To on mnie opuścił.

– Jesteś zdecydowana się rozwieść?

– Po tym, co zaszło, jestem.

– Zależy ci, żeby szybko załatwić sprawę? – drażył.

– Owszem, choćby ze względu na ciągnięcie się po sądach.

– W takim razie powinnaś przystać na jego warunki.

– Opuścić?!

Wuj postawił na stoliku szklankę z wodą i zamknął moją dłoń w swoich. W oczach dostrzegłam współczucie, ale z ust popłynęły twarde słowa.

– Olu, pozwól, że przedstawię ci twoją sytuację – usłyszałam. – Rozwód bez orzekania o winie będzie szybki, jak sobie życzysz. Ma szansę zostać orzeczony nawet na pierwszej rozprawie. Nie macie dzieci, więc sytuacja jest dość prosta.

– Ale Maria...

– W świetle prawa nigdy nie będziecie mieć wspólnych dzieci – przerwał mi wuj Kazimierz. – Ojcem tych jeszcze nienarodzonych jest Jan, ale matką surogatka. Ty możesz jedynie adoptować maluchy po narodzinach. A w trakcie rozwodu nie masz prawa ubiegać się o alimenty na nie. Te mogłyby zostać orzeczone dla Marii Leśniewskiej. Widzę to zatem następująco: ty zgadzasz się na rozwód bez wskazywania winnego, porozumiewacie się w sprawie podziału majątku. Pani Maria rodzi, ty adoptujesz dzieci i dopiero wówczas, już jako matka adopcyjna, występujesz do Jana o alimenty. To najprostsze rozwiązanie.

– Przecież Jaś się nigdy nie zgodzi na oddanie mi sześćdziesięciu procent firmy! – bąknęłam. – Czarno widzę to dogadywanie się.

– Akurat w tej kwestii twój mąż nie ma nic do powiedzenia. Jesteś ich jedyną właścicielką i możesz nimi dysponować. Podzielicie dom, samochody, pieniądze z konta, lokaty. Rozumiem, że trudno jest schować do kieszeni urażoną dumę i żal, a na dodatek jeszcze się z Janem układać, ale wierz mi, że jeśli wasze małżeństwo jest nie do uratowania, lepiej skrócić męki. Mogłabyś oczywiście nie przyjąć propozycji Jana i dowieść jego winy, ale to wiąże się z wydłużeniem procesu rozwodowego. Dlatego zastanów się nad moją propozycją, Olu. Może masz ochotę zejść na dół na mały lunch? – Wuj Kazimierz zmienił temat.

Odmówiłam uprzejmie.

– Dziękuję, wujku. Zapewne masz rację... Dam ci znać, co postanowiłam – odparłam, zgarniając torebkę.

W drodze do samochodu zaparkowanego kilka przecznic dalej analizowałam naszą rozmowę. „Jeśli wasze małżeństwo jest nie do uratowania, lepiej skrócić męki”. Tylko jak przejść nad tym do porządku dziennego, gdy człowiek widzi wokół same trzymające się za ręce pary, młodych ludzi z wózkami, rodziców strzelających fotki swoim pociechom. Naszym dzieciom nigdy nie będzie dane rodzinne szczęście. O ile w ogóle uda mi się je adoptować. Wuj ma rację: ich prawowitą matką jest Maria, a ojcem Jaś. A kim jestem ja? Nikim.

Znienacka ogarnęła mnie niewyobrażalny strach. A jeżeli Maria nie zechce mi oddać dzieci? Co, jeśli mój mąż potraktuje ją jako kartę przetargową w walce o moje udziały? Zapłaci jej, byleby tylko mnie z nich ograbić!

Oddam mu wszystko!, postanowiłam. Niech sobie bierze, tylko zostawi mi dzieci.

– Olka, czy ty siebie słyszysz? – Milenie, która po południu wpadła do mnie, żeby wysłuchać moich racji, opadła szczęka. – Jadłaś dziś cokolwiek? – zapytała. – Zamówić sushi czy pizzę? – dodała na jednym oddechu.

Po półgodzinie salon wypełnił zapach capricciosy, a ja wreszcie poczułam głód. Po drugim kawałku pizzy odzyskałam zdolność myślenia i słuchania.

Milena wyczekała, aż stanęłam na nogi, i przypuściła atak.

– Olka, nie musisz dzisiaj rozstrzygać poważnych kwestii, ale skoro już zostawiłam dziewczynki Kacprowi i przyjechałam do ciebie, to chociaż mnie wysłuchaj. Okej?

Kiwnęłam głową.

– Uważam, że wuj Kazimierz ma rację. Zgódź się na rozwód na warunkach Jaśka, ale udziałów w firmie nie odpuszczaj. Ile ty zarabiasz na tych swoich tłumaczeniach? Potrzebujesz pieniędzy do życia, dla twojej nowej rodziny! Będziesz mieć małe dziecko, pójdiesz na urlop macierzyński, przerwiesz pracę.

– Dzieci – zaoponowałam. Jeszcze nie przestałam liczyć na cud.

– Przepraszam, dzieci. Jaś zachował się jak ostatni... No dobra, ale chyba nie posunie się dalej? Wyciągnij do niego rękę, to go udobrucha. Rozumiem, że jesteś od niego zależna, ale on od ciebie też. To dobre pole, żeby się dogadać.

Zabrzmiało sensownie. Zdroworozsądkowy ton przyjaciółki nieco mnie uspokoił, a argumenty

trafiły do przekonania. Może rzeczywiście niepotrzebnie panikuję, zamiast podejść do tematu racjonalnie.

– A może zaczekać ze sprzedażą udziałów do rozwodu? – zaczęłam głośno myśleć.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Milena zrobiła przepraszającą minę. – Trochę wybiegłam przed szereg i bez twojej zgody porozmawiałam na ten temat z Kacprem. Wiesz, on jako księgowy w dużej firmie zna się trochę na finansach i może doradzić...

Miałam się na nią gniewać za zainteresowanie moimi sprawami i chęć pomocy?

Dostrzegła aprobatę w moich oczach, więc ciągnęła:

– Kacper uważa, że powinnaś jak najszybciej pozbyć się udziałów. Przecież Jasiak pozostaje prezesem i podejmuje wszystkie decyzje. Może próbować zaniżyć wartość firmy, na przykład wyprzedać część majątku ruchomego czy jak to się nazywa. Mam nadzieję, że oszukiwać cię nie będzie, ale należy i to wziąć pod uwagę. Zainwestuje pieniądze na swoje nazwisko i wartość firmy spadnie. Wybacz, że to mówię, ale widziałam go niedawno w restauracji z Arletą. Wyglądał na bardzo zaangażowanego. Przepraszam, Oluś, chcę tylko cię przestrzec i wzmocnić, byś sięgnęła po swoje. Twój ojciec chciałby tego z pewnością.

Trafiła mnie prosto w serce. W ferworze problemów niemal zupełnie zapomniałam o nowej miłości mojego męża. Nagła świadomość jego zdrady i jego szczęścia w oczekiwaniu na potomka dopadła mnie niczym strzała i przygięła do ziemi.

Sięgnęłam po szklankę z wodą i wychyliłam jej zawartość do dna. Nieoczekiwana suchość w ustach ustąpiła.

– Dobrze się czujesz? – dotarło do mnie pytanie Mileny. – Powiedziałam coś nie tak?

– Nie, nie – zaprzeczyłam. – Podziękuj Kacprowi. Rzeczywiście muszę jak najszybciej rozstrzygnąć kwestię udziałów – dodałam, już pewniejsza i zdeterminowana.

– A jak się czuje Maria? – Moja przyjaciółka zmieniła temat.

– Dobrze. Dzwonię do niej codziennie.

– Ona wie?

Obie doskonale zdawałyśmy sobie sprawę, czego dotyczy pytanie.

– Nie mówiłam ci? Mama jej powiedziała – odparłam. – Ale jakoś nie potrafię zebrać się wobec niej na szczerść. Wygląda na to, że ona też nie. Unikam również kontaktów z mamą. Wyobrażasz sobie: oddać dziecko do adopcji? Trzeba być potworem!

– Olka, nie znasz okoliczności...

– Jakie okoliczności mogą skłonić do takiego kroku?! Oboje z tatą byli młodzi, mieli rodziców, którzy powinni byli im pomóc, a nie pozbywamy się kłopotu i szlusu! Tyle że zamieciony pod dywan temat niespodziewanie ujrzał światło dzienne. A mnie los pokarał za ich grzechy. Niby dlaczego nie mogę urodzić? Nic nie dzieje się przypadkiem. Mam żal do rodziców – wykrztusiłam. – Dali mi wszystko, ale żyliśmy w kłamstwie. Nie wiem, jak mam się zachowywać wobec Marii, więc siedzę cicho i czekam na jej ruch. Wstyd mi za nich.

– Daj spokój – mruknęła Milena. – Żadnej w tym twojej winy. Przyjdzie czas na rozmowę. A teraz skup się na firmie. Dopóki nie jest za późno.

Moja Milena, moja przyjaciółka, mój skarb! Co ja bym bez niej poczęła?

Już miałam jej to powiedzieć, ale komórka zasygnalizowała nadejście esemesa.

„Olu, Jan wciąż nie wpuszcza bieglego do firmy. Musimy zwołać zgromadzenie wspólników i odwołać go z funkcji prezesa. Przyjedź do kancelarii jak najszybciej”, przeczytałam wiadomość od wuja Kazimierza.

– To mecenas – zakomunikowałam Milenie. – Nie wiem, o co mu chodzi, ale muszę zjawić się u niego natychmiast.

## Rozdział 19

### ALEKSANDRA

W gabinecie wuja byłem ostatnio tak częstym gościem, że zanim przygotował papiery, nalałam sobie wody i zajęłam znajome miejsce w fotelu.

Nie tłumaczył, dlaczego mnie wezwał ponownie, tylko położył na stoliku kilka dokumentów, jak się domyślałam – do podpisu – i przeszedł do rzeczy.

– Olu, wspomniałem ci, że Jan ponownie odprawił bieg-łego. Cóż, nie wykazuje chęci do współpracy. Postanowiłem, o ile wyrazisz zgodę, podjąć nadzwyczajne środki w kwestii jego oporu.

W milczeniu czekałam na dalszy ciąg.

– Jan, jako prezes, ma prawo odmówić przedstawienia biegłemu firmowych dokumentów firmy, dlatego musimy odwołać go ze stanowiska.

– W jaki sposób?

– Zwołać zgromadzenie wspólników i pozbawić go funkcji.

Nic z tego nie rozumiałam. Jakie znów zgromadzenie?

W kolejnych zdaniach wuj Kazimierz wyłożył swój plan.

– Właścicielami Tadbudu jesteście oboje i razem tworzyacie zgromadzenie wspólników, w którym ty, właścicielka ponad połowy udziałów, masz decydujący głos i moc sprawczą. Zgromadzenie odwoła zatem prezesa i powoła nowego, czyli ciebie, a ty wpuścisz biegłego, który dokona wyceny.

– Ala ja nie zamierzam zostawać prezesem firmy ani jej prowadzić! Przecież się nie znam na budowlance! – Strategia wuja wprawiła mnie w przerażenie.

On jednak pozostał spokojny.

– Pozwól mi dokończyć, Oluś. Mówię tylko, jakie mamy możliwości manewru, jeśli Jan nie zaniecha oporu. Przypuszczam, że groźba pozbawienia go władzy w firmie podziała jak zimny prysznic. Postraszymy go zgromadzeniem i osiągniemy swoje. Biegły musi przejrzeć dokumenty, żeby dokonać oceny rzeczywistej wartości majątku. Czy mogę działać?

Boże mój, do czego to doszło?, myślałam. Nieoczekiwanie wkraczałam na drogę prawnych zawilości, a jednocześnie na wojenną ścieżkę z własnym mężem.

– A jeżeli nie sprzedam mu udziałów i Jaś będzie utrudniał adopcję? – Dała o sobie znać obawa o dzieci.

– Mało prawdopodobne. Przecież z tego, co wiem, spodziewa się dziecka z niejaką Arletą Kiejdan. Może oczywiście straszyć, rzucać kłody pod nogi, ale poradzimy sobie. O ile Maria Leśniewska nie stanie okoniem.

– Mam nadzieję – dodałam cichutko.

Wuj spojrzał zatroskany.

– Nie słyszę pewności w twoim głosie.

Podniosłam palcami kąciki oczu, by powstrzymać łzy. I zamiast odpowiedzieć, zadałam mu pytanie, które pozornie nie miało nic wspólnego z treścią rozmowy.

– Kiedy poznałeś moich rodziców?

– A co to ma do rzeczy?

– Znacie się od dawna? – Nie ustępowałam.

– Od jakichś trzydziestu kilku lat, jeśli to dla ciebie tak istotne – odparł zdziwiony. – Tadeusz prowadził firmę, ja zaczynałam w kancelarii Nowaków. Poznaliśmy się przy którejś ze spraw. A o co chodzi?

Z trudem przeszło mi przez gardło kolejne pytanie, ale relacja z moim prawnikiem bazowała na szczerości.

– Wiesz, że rodzice w młodości oddali córkę do adopcji?

Pokręcił przecząco głową.

– To właśnie Maria – wypaliłam. – Teraz rozumiesz złożoność sytuacji?

Odetchnęłam z ulgą, że mam to wyznanie za sobą.

Wuj myślał przez chwilę, krążąc po gabinecie. Wyłączył telefon, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

– Czy ona wie? – zapytał w końcu.

– Mama jej powiedziała.

– Czy biorąc Marię na surogatkę, byłaś świadoma waszego pokrewieństwa?

– Nie.

– Rozmawialiście o tym? Sądzisz, że może ci robić problemy?

– Do tej pory się nie odważyłam. Cały czas się zbieram.

– Może powinnaś? Lepiej by było, gdybyście po porodzie pozostały w dobrych stosunkach, w razie jakichś zawirowań. Zrobisz, jak uważasz, Olu – zastrzegł się wuj. – Zresztą to sprawa bardziej dla psychologa niż dla prawnika. My musimy teraz poskromić Jana. Zgadzasz się, żebym w twoim imieniu zagroził mu zwołaniem zgromadzenia wspólników?

Tym razem już nie zwlekałam. Wobec nawału problemów chętnie oddałam w jego ręce chociaż ich małą część.

– Wujku, tylko bardzo cię proszę, wystaw mi rachunek za swoją pracę – powiedziałam na pożegnanie.

W odpowiedzi pokręcił głową i pogroził mi palcem.

– Biegnij do siebie – dodał. – A kiedy zobaczysz się z mamą, pozdrów ją ode mnie.

Może rzeczywiście wizyta u mamy nie jest najgorszym pomysłem?, pomyślałam. Niemniej wizja spotkania z panem Leopoldem nie nastrajała optymistycznie.

Mimo wszystko skierowałam się do rodzinnego domu. Szeroka ulica, która prowadziła w kierunku północnego wylotu z miasta, wiodła wzdłuż osiedli dom-ków jednorodzinnych. Na kolejnych skrzyżowaniach i przejściach dla pieszych ruch korkowały światła. Włączyłam radio, by umilić sobie czas i zafundować chwilę relaksu, i wzięłam namiar na cukiernię ulokowaną w handlowym kwadracie w centrum dzielnicy. W drodze do mamy często zaglądałam do niewielkich niedrogich sklepików z odzieżą, a nawet do lumpeksów dających możliwość pobuszowania w ciuchach, których sterty kryły czasem prawdziwe cacka. Wchodziłam też do kwaciarni, by za każdym razem opuszczać je z kolejną zdobyczą, nieważne, czy z bukietem do wazonu, czy kwiatem w doniczce. Jasiak śmiał się, że nie musi wyjeżdżać za granicę, by poczuć klimat Południa. Nasza oranżeria na werandzie kwitła przez cały rok, a salon wypełniała zieleń.

Także mój mąż często przynosił mi kwiaty, westchnęłam ze smutkiem do nieodległych czasów, które już nigdy nie miały powrócić.

Ostatnie skrzyżowanie na światłach, zakręt w lewo, potem jeszcze jeden i zaparkowałam przed rzędem sklepów. I dobrze, bo łyzy zakłócały mi ostrość widzenia. Wzięłam łyk wody z butelki, która tkwiła w schowku na drzwiach, i poprawiłam włosy. Miałam zamiar zadzwonić do mamy, żeby się zapowiedzieć, ale machnęłam ręką i postanowiłam zrobić jej niespodziankę. Powędrowałam do znajomej kawiarenki po ciasto.

Przy jednym ze stolików siedziała Maria.

– Co ty tutaj robisz? Nie spodziewałam się... – zareagowałam idiotycznie.

W końcu miała prawo pić herbatę, gdzie chciała.

Wyglądała na bardzo zmieszana. Zaczęła się nawet tłumaczyć, jak gdyby zrobiła coś złego. A może na kogoś czekała?

– Przyszłam po brownie z malinami dla Kaliny. Dzisiaj wraca, chciałam jej zrobić przyjemność. No i przysiadłam przy szklance herbaty – wyjaśniała pośpiesznie.

– Mogę się dosiąść? – Wskazałam na wolne krzesło.

Zaprosiła mnie gestem.

– A może jesteś z kimś umówiona? – zapytałam.

– Nie, nie. Nigdy nie chodzę do kawiarni, to tylko dzisiaj usiadłam...

– O nic nie pytam.

– Wiesz, to może wyglądać tak, jakbym szastała pieniędzmi od was. A ja tylko chciałam tym brownie powitać Kalinkę po dwóch tygodniach nieobecności. Na co dzień nie kupuję tak drogiego ciasta.

Naprawdę obawiała się oskarżeń o rozrzutność?

– Marysiu, może zamówię kawałek i tobie? – zaproponowałam, zobaczywszy, że ten dla Kaliny leży zapakowany w kartoniku. – Poproszę dwa kawałki brownie. – Skinęłam na kelnerkę, nie czekając na odpowiedź. – Co tam w pracy? – zagadnęłam. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak – podchwyciła Maria. – Pod koniec tygodnia mamy małą imprezę. Dwoje naszych pensjonariuszy urządza kolację z powodu, jak przypuszczamy, swoich zaręczyn. Musiałam się trochę zaangażować, nie na tyle jednak, by to zagroziło ciąży.

I znowu usprawiedliwienie!

Czułam, że wyrósł między nami gruby mur. I domyślałam się, z jakiego powodu – braku szczerości. Jeśli tak mają wyglądać nasze kolejne wspólne miesiące, musiałam zadziałać. Nie sądziłam, że nastąpi to tak wcześnie, ale sytuacja wymagała podjęcia kroków.

– Marysiu, powinniśmy porozmawiać – powiedziałam czym prędzej, aby rozum mnie nie powstrzymał.

Z jej oczu wyczytałam, że domyśla się tematu.

– Mama powiedziała mi o twojej adopcji. To znaczy, że oddała cię do adopcji – popłynęły słowa, a ja poczułam ulgę. – Jesteśmy siostrami.



## Rozdział 20

### MARIA

Zdanie, które usłyszałam z ust Aleksandry, pulsowało w głowie, jak gdybym jego treść usłyszała po raz pierwszy w życiu. Dopóki jej nie wyartykułowała, starałam się wypierać myśl o naszym pokrewieństwie i skupiać na sprawach dla mnie najważniejszych: na ciąży i Kalinie. Jednak nieoczekiwanie nadeszła chwila prawdy. Miałam tylko nadzieję, że nie zepsuje ona stosunków między nami i pozwoli na realizację umowy. Może byłam egoistką, ale zbyt mi zależało na zdrowiu dzieci, by rozgrzebywać przeszłość. Mimo że zdawałam sobie sprawę, że ta prędzej czy później mnie dopadnie.

– Wiem – odparłam. – Twoja mama oznajmiła mi to w trakcie ostatniego spotkania.

– Nasza mama – powiedziała Ola z naciskiem. – Ja również dowiedziałam się niedawno. Przepraszam, że zwlekałam z rozmową. Nie wiedziałam, jak zacząć.

Niepotrzebnie biła się w piersi.

– Przecież to nie twoja wina.

– Wstyd mi za rodziców. Uwierzysz czy nie, ale po tej informacji zupełnie inaczej na nich spojrzałam. Nie potrafię rozmawiać z mamą jak dawniej, tracimy kontakt.

Co mogłam powiedzieć? Użalać się nad nią z powodu nadwreżenia wizerunku rodziców idealnych, którzy zapewnili jej dostatni byt i zapewne dużo miłości? Współczuć zamieszania, którego przyczyną byłam? A może w ogóle pominąć temat milczeniem?

Zdecydowałam się zachować powściągliwość. Aleksandra jednak nie zamierzała kończyć.

– Mario, proszę, powiedz cokolwiek. Sytuacja między nami bardzo się skomplikowała, ale tylko od ciebie zależy, czy zechcesz traktować mnie jak siostrę. Bo dla mnie już nią jesteś.

Fakt naszego pokrewieństwa nadal nie docierał do mojej świadomości. Zwłaszcza że byliśmy do siebie kompletnie niepodobne fizycznie. Ona trzy lata młodsza, delikatna blondynka z prostymi włosami do ramion, ja brunetka z nieokiełznaną bujną czupryną. Jasna karnacja Oli stanowiła jawne przeciwieństwo mojej śniadej cery. A co, jeżeli zaszła pomyłka i rodzice Aleksandry oddali do adopcji inną córkę? Postanowiłam podzielić się wątpliwościami.

– Czy siostry mogą być aż tak różne jak my?

– Masz trochę czasu? – odpowiedziała Ola pytaniem.

– Muszę być na Tulipanowej przed czwartą – odparłam. – Wprawdzie Kalina wraca dopiero wieczorem, ale zapowiedziała się Marzena, bratowa Władka. Chce o nim ze mną porozmawiać.

– Pozwolisz, że zabiorę cię do siebie na godzinkę? – Ola spojrzała z nadzieją. – Chcę ci coś pokazać. Potem odwiozę cię do domu pani Zofii.

Nie miałam argumentów, by odmówić, zresztą wzbudziła moją ciekawość. Zapytałam tylko o obecność pana Jana.

– Od czasu naszej ostatniej rozmowy nic się nie zmieniło. Nie wrócił do domu. Pewnie jest razem ze swoją nową narzeczoną, tak że możesz się nie obawiać – odparła. – Zaczekaj, kupię jeszcze kawałek ciasta na wynos.

Upalne tegoroczne lato dawało się we znaki, a ja nie przestawałam wypatrywać upragnionej zmiany pogody. Na szczęście w klimatyzowanym samochodzie Oli było czym oddychać, podobnie jak w przestronnym domu. Zewnętrzne rolety chroniły salon przed słońcem, a zadaszony taras od strony ogrodu zapewniał przyjemny cień. W sąsiadującym z tarasem oczku wodnym szemrała woda, pokonując kolejne schodki kamiennej kaskady i kojąc przyjemnym dla ucha szelestem. Przy okazji każdej wizyty tutaj odkrywałam coraz to piękniejsze zakamarki. I starałam się nie pamiętać o swojej klitce na osiedlu.

– Jestem! – Tok myśli przerwało mi nadejście Oli.

Przyniosła wodę z cytryną i lodem oraz kilka kawałków ciasta z cukierni. Kazała mi się rozgościć i opuściła mnie jeszcze na chwilę, by wrócić z albumem na zdjęcia.

– Częstuj się. Muszę coś znaleźć... – powiedziała, kartkując opasy tom pokryty gustownie przecieraną skórzaną okładką. – Mam!

Przysiadła obok mnie i wskazała na czarno-białą fotografię młodej kobiety, a ja dostrzegłam na

niej siebie. Musiałam zmienić się na twarzy, bo Aleksandra triumfalnie uniosła album i posłała mi uśmiech.

– Teraz już rozumiesz, że nie może być mowy o żadnej pomyłce?

– Kim jest ta pani? – zapytałam.

– Babcia Anastazja, ze strony taty. Jako jedyna w rodzinie miała czarne kręcone włosy i śniadą cerę. Ojciec ich po niej nie odziedziczył. Był niebieskookim blondynem, jak ja. Że też wcześniej nie pomyślałam o waszym podobieństwie! Chyba dlatego, że od kiedy pamiętam, babcia była siwa i w ogóle rzadko do niej jeździliśmy. Mieszkali z dziadkiem na drugim końcu Polski. Pomagali prowadzić pensjonat ciotce, siostrze taty. Nam bliżej było do morza niż do gór.

Popłynęły wspomnienia. Ola opowiadała o wakacjach i nielicznych wizytach u dziadków.

– Wydawało mi się, że twoi rodzice poznali się jeszcze w szkole średniej...? – zdziwiłam się.

– No tak. Oboje chodzili do bardzo dobrego liceum w naszym mieście. Tyle że tato przyjechał tu z końca świata i zamieszkał w bursie. I właśnie wtedy... – urwała.

– Narobili sobie kłopotu.

– A ich rodzice zawiedli – dokończyła Ola. – Chyba nie masz wątpliwości, że jesteś klonem babci Anastazji?

Rzeczywiście, podobieństwo było uderzające, ale co z tego? Stało się. Lata temu przygarnęli i wychowali mnie ludzie, których od urodzenia traktowałam jak swoich jedynych rodziców. I których kochałam.

– Olu, miałam wspaniałych mamę i tatę – powiedziałam. – Żałuję, że już nie żyją i nie mogę im zadać pytania, dlaczego nigdy nie powiedzieli mi prawdy. Przecież to w niczym nie zmieniłoby mojego stosunku do nich. Byli dobrymi, kochającymi ludźmi. I nie zrobili nic złego.

Niepotrzebnie wartościowałam adopcję. Poruszyłam czułą strunę.

Aleksandra spuściła oczy.

– To prawda – wyszeptła z wypiekami na twarzy. – To moi rodzice postąpili karygodnie. Nie oddaje się dziecka ot tak.

Tyle że obie zdawałyśmy sobie sprawę, że jakiś powód był. I obie nie bardzo byłyśmy w stanie pojąć jego wagę.

– Marysiu, ze wszystkich osób, które wtedy były zainteresowane, żyje tylko mama. Nie ma już taty ani dziadków z obu stron. Musimy z nią porozmawiać, bo ja nie zamierzam zamiatać sprawy pod dywan. Jesteś moją siostrą.

Ola miała dobre serce i czyste intencje, ale ja nie zamierzałam spotykać się z panią Jadwigą.

– Co było, minęło – odmówiłam stanowczo. – Nie zamierzam ingerować w wasze życie, a moje musi toczyć się dalej. Jestem z domu Krawczyków, i tak pozostanie. Grzebanie się w przeszłości żadnej z nas nie przyniesie korzyści. Czy możemy już nie wracać do tego tematu? – poprosiłam.

Jednak nawet wobec tak bezkompromisowego stanowiska Aleksandra pozostała nieugięta. Uśmiechnęła się szeroko i porwała mnie w objęcia.

– Nigdy nie pozwolę ci odejść, Marysiu! Wystarczy, że nie miałam cię w dzieciństwie, chociaż czasami pragnęłam rodzeństwa – zawołała. – Faktycznie, w pierwszym momencie, kiedy przyparta do muru mama wyjawiała mi prawdę, odczułam utratę pozycji jedynaczki, ale szybko uporałam się z traumą. Tak się cieszę, że wyjaśniłyśmy sobie najważniejsze sprawy i nie mamy już przed sobą tajemnic! I nie odsuwaj się ode mnie, proszę, nawet jeśli masz żal do rodziców. Nie będę naciskać, żebyś pokochała mamę, ale mnie nie odrzucaj.

W jej oczach dostrzegłam łzy.

Siedziała tuż obok, ale ja jeszcze nie byłam w stanie odwzajemnić jej uścisku. Mimo to zrobiło mi się jej żal i jednocześnie poczułam dziwną tkliwość. Czyżby jednak namiastka siostrzanych uczuć?

– W takim razie dajmy sobie szansę – odparłam, próbując opanować nagle wzruszenie. – Ale teraz się zbieram. – Zerknęłam na zegarek, który pokazywał jeszcze sporo czasu do spotkania z Marzeną.

– Dosyć doznań na dzisiaj.

Mój organizm domagał się wypoczynku i uspokojenia.

– Już chcesz jechać? Może jednak przygotuję lekki lunch? – Ola była zawiedziona. – Dopiero co

się odnalazłyśmy.

– Przed nami całe życie. No i muszę zadbać o dzieci.

Argument podzielał.

Na Tulipanowej ułożyłam się w salonie na sofie i natychmiast zasnęłam. Obudziło mnie nadejście szwagierki.

– Ładnie teraz mieszkasz – pochwaliła od drzwi. – Nigdy nie byłam w tych stronach. Ledwo odnalazłam adres.

– Ale Władowi go nie zdradziłaś?

– Zgodnie z prośbą. Wpuścisz mnie? – zapytała, a ja uświadomiłam sobie, że rozmawiamy w przedpokoju.

– Przepraszam! I zapraszam do ogrodu, tam chłodniej. Tylko przygotuj herbatę, kawę... A może wodę z lodem?

Zaopatrzone w płyny powędrowaliśmy na krzesła pod rozłożystą lipę. Jeszcze niedawno kwitła, przyciągając rzesze pracowitych pszczoł, teraz już tylko pachniała miodem i dawała schronienie w cieniu gęstej korony.

– Jestem tu tylko chwilowo, żeby przeczekać upały – wyjaśniłam. – Pomieszkuję u jednej z pensjonariuszek domu opieki, pani Zofii, kiedyś najbliższej przyjaciółki mamy, a teraz mojej. Bardzo miła i jak widać, życzliwa osoba. Nie chciałabym jednak, żeby Władek wiedział, gdzie przebywam – podkreśliłam po raz kolejny.

Marzena skosztowała brownie i zerwała się z krzesła.

– Na śmierć bym zapomniała! – zawołała. – Przywiozłam ci resztkę czereśni prosto z drzewa, trochę pierwszych wiśni i worek ogórków z gruntu. Masz tu jeszcze trzy słoiki kiszonych. – Postawiła dary na stoliku i przeszła do rzeczy. – Maryśka, przyjechałam, żeby się dowiedzieć, co się u was dzieje. Z Władka trudno cokolwiek wyciągnąć, ty mieszkasz sama. Właśnie, a gdzie Kalina?

– Jeszcze na wakacjach. Dzisiaj wraca.

– Aha. Wiesz, mnie tam nie przeszkadza, że Władek ciągle u nas przesiaduje, chociaż za dużo chleją z Marcinem. Ale też w pole pójda, zerwą owoce, nakarmią zwierzaki, więc jakiś tam pożytek jest. Niemniej wiadomość, że się wyprowadziłaś, trochę mnie ruszyła. Co się stało? Czy mogę ci jakoś pomóc?

Jeśli nawet na początku miałam obawy i nie wiedziałam, do jakiego stopnia szczerości mogę się posunąć w rozmowie ze szwagierką, i tak musiałam brnąć w tę rozmowę. Mimo że mogła przecież przyjechać na przeszpiegi i działać na moją niekorzyść. Ale skoro już zdecydowałam się podać jej adres na Tulipanowej...

– Nie możemy dogadać się z Władkiem – oznajmiłam. – Stracił pracę, nie stara się o nową, jest dla mnie nieprzyjemny, zamiast mnie wspierać. Nie wychodzi z pubu, a ja potrzebuję spokoju, ponieważ jestem w ciąży wysokiego ryzyka. Kiedy Zofia zaproponowała mi gościnę, nawet się nie zastanawiałam. Kalinka dołączy do mnie dzisiaj.

– To znaczy, że za jakiś czas wróciście do domu?

– Nie wiem jeszcze, co zrobię. Nie mogę siedzieć tu wiecznie, ale życie z Władkiem pod jednym dachem trochę mnie przeraża. On się bardzo zmienił.

– Maryśka, kiedy facet jest niegrzeczny, trzeba dobrze się na niego wydrzeć, dzielić ścierą przez łeb i spokój. – Marzena pokiwała głową z politowaniem. – Marcin boi się mnie jak Święty Michał diabła. A najbardziej tego, że może nie dostać obiadu.

Gdyby to było takie proste!

– Ty zawsze byłaś za delikatna i za grzeczna – ciągnęła. – A obaj Leśniewscy – nawiązała również do swojego męża – lubią sobie porozrabiać. Póki przy kufelku, nic nie mówię, ale gdyby mój Marcin zaczął się oglądać za babami, toby oberwał! – podniosła głos.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Moja szwagierka ugryzła się w język. Takich słów zapewne nie miała w planie.

– No dobra, wymusnęło mi się – westchnęła. – Ale właściwie przyjechałam, żeby ci o tym powiedzieć.

Utkwiłam w niej pytające spojrzenie.

– Włodek coraz częściej zagląda do Celiny, naszej sąsiadki. Na początku jeszcze się trochę krygował. A to polecał jej pomóc przy sianokosach, a to narąbał drzewa. Ona jest sama z dzieckiem, więc chodzili z Marcinem i pomagali wdowie. Ale doszło do tego, że Włodek jeździ z nią do sklepu po zakupy, a i odwiedza ją czasem wieczorową porą. Ochrzaniałam go za to nie raz, ale nic sobie nie robi z moich krzyków. Ja tam nikomu do łóżka nie zaglądam i nie wiem, czy między nimi do czegoś doszło, ale łądactwa pod moim dachem tolerować nie będę! Ani pilnować dziada! Załatwiajcie swoje sprawy sami. Najlepiej zabierz go do domu, poślij do roboty i niech pilnuje rodziny!

Marzena była mistrzynią prostego podejścia do życia. Jest problem? Najlepiej załatwić go od ręki, oczyścić atmosferę, utemperować męża i do przodu. Nie warto było wprowadzać jej w szczegóły mojego małżeńskiego kryzysu, opowiadać o podniesieniu na mnie ręki, problemach z ciążą, że chyba przestałam Władka kochać, więc jego wady, na które dawniej przymykałam oko, nagle urosły do rangi kataklizmu. Bez sensu udowodniać, że i jemu przestało na mnie zależeć, a co gorsza, na zdrowiu Kalinki. Mimo to byłam wdzięczna szwagierce, że zainteresowała się naszym losem. A może po prostu, wbrew temu, co mówi, ma już dosyć kłopotliwego gościa, który swoim przykładem demoralizuje Marcina?

Jeśli spodziewała się gwałtownej reakcji: płaczu, złości i złorzeczeń, musiała się solidnie zawieść.

– Marzenko, dziękuję, że przyjechałaś. I przykro mi, że Włodek sprawia wam kłopot. Jest jednak dorosły i odpowiedzialny za siebie. Porozmawiam z nim, ale nie ręczę, że coś z tego wyjdzie. Pożegnaj go i niech wraca do domu, bo ja po niego nie pojedę. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale sama widzisz, że uciekłam przed nim aż tutaj. Żeby powróciły dawne relacje, musiałby się mocno postarać. Może to i lepiej, że znalazł sobie nowy obiekt uczuć?

– Maryśka, co ty mówisz? Chcesz zostać sama z niepełnosprawną córką? Przecież zawsze lepszy gorszy mąż niż żaden!

– Muszę dotrzeć do końca ciąży – odparłam. – A potem się zobaczy. Czy będę mieć siłę, czy oboje będziemy chcieli do siebie wrócić.

Zadziwiłam moją szwagierkę, która chyba z wrażenia pozostała jeszcze przez chwilę.

– Jeszcze raz proszę, żebyś nie ujawniała Władkowi mojego obecnego adresu – powtórzyłam na koniec. – Jeśli chce, niech do mnie dzwoni – dodałam.

Odprowadziłam Marzenę do furtki, przed którą zaparkowała.

– Czy może pan odjechać kilka metrów? Nie wykręcę – zwróciła się do wysiadającego z drugiego auta mężczyzny.

Z przerażeniem patrzyłam na Juliana, który pozdrawiał mnie gestem i szerokim uśmiechem.

## Rozdział 21

### MARIA

Pojawił się na Tulipanowej w najbardziej nieodpowiednim momencie. Marzena mogła wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Sama na jej miejscu, na widok przystojnego młodego faceta, który serdecznie wita się z zamężną kobietą, miałabym kosmate myśli. Tym bardziej, że zaledwie kilka minut wcześniej nie wykazałam zainteresowania domniemanym romansiem Władka z samotną wdową.

Chciałam zawołać: „To nie tak, jak myślisz, Marzenko!”, ale się powstrzymałam.

– Julek, mój kolega z pracy. Marzena, moja szwagierka – dokonałam prezentacji.

– Zjawiłem się nie w porę? – zapytał niezbyt fortunnie, bo Marzena zbierała się do odjazdu.

– Właśnie znikam – odparła głosem, który nie zwiastował niczego dobrego. – Pozdrowić od ciebie Władka? – zagadnęła mnie z miną niewiniątka, nie spuszczać wzroku z Juliana.

Czułam się jak przyłapaną na gorącym uczynku.

– Wracaj bezpiecznie do domu. – Zignorowałam ostatnie pytanie i pomachałam na do widzenia.

Marzena wystartowała z piskiem opon, najgłośniejszym, jaki mogła wycisnąć ze swojej przechodzonej astry.

Byłam zła na Juliana. Po pierwsze wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że powinniśmy trzymać dystans, po drugie wybrał najgorszy moment na odwiedzin. Mogłam sobie z łatwością wyobrazić, co teraz myśli sobie o mnie Marzena. Pewnie wreszcie zrozumiała mojego męża, jego ewakuację z domu na wieś i smalenie cholewek do Celiny. A co ma biedak robić, gdy Maryśka układa sobie życie z młodszym przystojnym facetem, i to będąc w zastępczej ciąży? Co prawda nie zastała nas in flagranti, ale od czego wyobraźnia?

– Po co przyjechałeś? – zapytałam nieco zbyt obcesowo.

– Chciałem pogadać. Wpuścisz mnie do domu?

– Nie mogłeś wcześniej zadzwonić?

– Próbowałem kilka razy. – Spuścił oczy. – Nie odbierałaś, a ja się niepokoiłem, więc...

Miałam wyłączony telefon.

– Może po prostu nie chciałam odbierać! – prychnęłam.

Twarz Julka stężała. Napięta skóra na kościach policzkowych zdradzała determinację.

– Daj mi kilka minut – poprosił. – Muszę wyjechać na jakiś czas i nie wiem, kiedy wrócę.

Zabrzmiało groźnie.

Uległam, zaniepokojona w głębi duszy. Wcale nie chciałam, żeby zniknął na zawsze.

– Wejdz – odparłam. – Zadzwoń tylko do Kaliny. Muszę wiedzieć, o której się jej spodziewać.

Doświadczona sytuacją sprzed kilku minut nie chciałam, żeby córka zastała mnie w towarzystwie Juliana. No i miałam zamiar przygotować coś smacznego na powitalną kolację.

– Właśnie miałam do ciebie dzwonić – usłyszałam w komórce jej głos. – Rodzice Krzyśka musieli dziś pilnie wyjechać do Warszawy, więc zmiana planów. Wszyscy wracamy jutro. Przepraszam – dodała Kalina z udawanym poczuciem winy. – Nie gniewasz się?

Wyczułam, że darowany dodatkowy dzień wakacji sprawia jej radość, której nie chciałam mieć.

– Mam nadzieję, że jesteście grzeczni?

– Mamo! – Ton był pełen wyrzutu. – O co nas podejrzewasz?

– Kalinko, też byłam kiedyś młoda i co nieco pamiętam. Bądź rozsądna.

– Dam ci znać, kiedy przyjedziemy – padło po chwili milczenia. – To ty dbaj o siebie, mną się nie martw.

Moja córka zakończyła połączenie.

Rozmowa z Kaliną sprawiła, że niemal zapomniałam o Julianie, który siedział obok i spokojnie czekał na swoją kolej.

– Przyjedzie jutro, jak pewnie słyszałeś – westchnęłam. – Coraz mocniej dociera do mnie, że mam już córkę nastolatkę – myślałam głośno. Po cichu marzyłam o kawie. – Kalina ma szesnaście lat i jest zakochana. Cieszę się, że rodzice Krzyśka zabrali ją ze sobą na lotnisko, ale co będzie, jeśli mydlana

bańka pęknie? Pierwsze zauroczenie minie, a moje dziecko zostanie ze złamanym sercem. W dodatku na wózku.

– Przecież gromadzisz pieniądze na operację.

– Nie pokryją nawet połowy kosztów zabiegu. Oczywiście liczę, że do niego dojdzie, ale gwarancji sukcesu nie ma, z pieniędzmi czy bez nich. Julian, czy szesnastoletni chłopak jest w stanie zadeklarować dziewczynie miłość do końca życia? – zmieniłam temat na nurtujący mnie w tej chwili najbardziej. – Kalina jest wrażliwa i wyjątkowo dojrzała jak na swój wiek. Nie chciałabym oglądać zawodu w jej oczach, jeśli drogi jej i Krzyśka się rozejdą. Och, wybaczyć! Ktoś, kto nie ma dzieci, nie jest w stanie zrozumieć trosk rodzica.

Julian przeszył mnie badawczym spojrzeniem, a potem pomaszzerował do kuchni. Wrócił z dwiema filiżankami kawy z ekspresu na tacy. Dopełniliśmy je mlekiem.

– Pewnie masz rację, Marysiu. – Podjął rozmowę w miejscu, w którym ją przerwaliśmy. – Syty głodnego nie zrozumie. To jednak nie nasz przypadek. A ja przyjechałem, by ci o czymś powiedzieć.

Zaniepokoił mnie nieco, a co najmniej zainteresował. Zamilkłam. Widziałam, że niełatwo mu zacząć, ale najwidoczniej potrzebuje coś z siebie wyrzucić.

– Mam dwunastoletniego syna – powiedział w końcu.

– Nie musisz mi się spowiadać! – zareagowałam, trochę zbyt gwałtownie jak na koleżankę z pracy i matkę.

Każdy ma prawo do własnego życia, chociaż trochę mnie zabolalo, że jako ojciec, a być może i mąż, Julek próbuje się z mną zbliżyć.

Przytrzymał moją dłoń i stanowczym spojrzeniem poprosił o cierpliwość.

– Pięć lat temu wydarzył się wypadek. Po udanych wakacjach wracaliśmy samochodem z Wybrzeża do domu. Moja żona Michalina siedziała z przodu, Jagódka z Antkiem przysnęli w swoich krzeselkach na tylnym siedzeniu. Zawsze lubiłem prowadzić w nocy, więc zrobiłem to i tym razem. Było chłodniej niż za dnia, mniejszy ruch na drodze i pora snu dzieciaków, więc niemal gwarancja spokoju. Wierz mi, zmęczone potrafiły być marudne. Jagódka dopiero co, w sierpniu, skończyła dwa lata, Antek był od niej pięć lat starszy. W okolicy Człuchowa wjechaliśmy w las. Michalina przycichła, z trudem panowała nad sennością. Na szczęście ja zaopatrzyłem się w kawę na ostatnio mijanej stacji benzynowej i popijałem ją drobnymi łykami.

Do Białego Boru, kolejnego miasteczka po drodze, mieliśmy dwadzieścia kilometrów. Nastawiłem swoją ulubioną stację radiową, która nadawała niemal samą muzykę, bez zbędnych słów. Byłem szczęśliwy: słyszałem posapywanie dzieciaków i żony. W pewnym momencie zauważyłem nadjeżdżający z naprzeciwka samochód, więc wyłączyłem długie światła, których używałem nocą na dłuższych i pustych odcinkach drogi. I już, już mieliśmy się minąć, gdy na swoim pasie dostrzegłem auto. Jakiś szaleniec wyprzedzał, jadąc wprost na mnie. Nie zdążyłem zareagować. Powinienem był skręcić do rowu, ale wszystko działo się tak szybko, że usłyszałem tylko zgrzyt metalu i poczułem potworny wstrząs. Nie wypuściłem kierownicy, która, jak się potem okazało, wygięła się na zewnątrz, w stronę okna, jak gdyby była z plasteliny. Odruchowo zerknąłem na Michalinę, na dzieci; wciąż spały, więc trochę mi odpuściło. Jednak zanim zdążyłem wysiąść z samochodu, dosięgło nas potężne uderzenie z tyłu. Ktoś wjechał w mój bagażnik z niewyobrażalnym impetem. Nie zauważył? Zagapił się? Jako że zdążyłem już odpiąć pasy, siła uderzenia wbiła mnie w kierownicę i pozbawiła przytomności.

Obudziłem się w szpitalu, żeby się dowiedzieć o śmierci Jagódki. Zabiłem swoją dwuletnią córeczkę! Nie chciałem dalej żyć. Mimo upływu czasu wciąż mam pod powiekami tamten wypadek i to, co po nim. Chyba nigdy nie uda mi się wymazać go z głowy.

Michalina odeszła ode mnie, kiedy tylko załatwiła sobie pracę w Anglii, i zabrała Antka. Nawet się jej nie dziwiłem. Lecz mimo że straciłem wszystko, musiałem żyć dalej. Byle jak, z poczuciem żalu, winy i nienawiści do samego siebie. Moja żona złożyła pozew, nasze małżeństwo dobiegło końca. O syna nie walczyłem. W końcu zabiłem jedno dziecko, nie mogłem odebrać matce drugiego.

Po roku Michalina znalazła miłość w ramionach Jamesa, angielskiego nauczyciela wuefu, i niebawem została mamą Alice. Lecz aż do teraz nie wiedziałem, że jakiś czas temu Antoś trafił do Gdyni, do babci, i od tamtej pory zajmuje się nim moja była teściowa.

Ja, nieświadomy tego, przesyłałem pieniądze, listy i pocztówki dla syna na angielski adres. I pewnie wciąż tkwiłbym w przeświadczeniu, że chowa się na Wyspach, gdyby nie wyższa konieczność: babcia zachorowała i poprosiła mnie o opiekę nad Antkiem. Wziąłem dwa tygodnie urlopu i jadę do nich. Niewykluczone, że zostanę tam dłużej. Muszę rozeznąć się w sprawie na miejscu.

– Tak bardzo mi przykro...

Historia Juliana poruszyła mnie do głębi. Nie powinnam była gadać o rodzicielstwie, napomniałam się w duchu.

– Czuję się wyróżniona, że mi powiedziałaś – bąknęłam. – Jedź i nie martw się pracą. Poradzimy sobie.

– Nie przyjechałem po to, żeby wypłakiwać się na twoim ramieniu. – W takim razie po co?, nie zrozumiałam. – Przy tobie po raz pierwszy od pięciu lat poczułem, że żyję – wyjaśnił. – Wiem, że i ty jesteś w trudnej sytuacji, ale... Czy mogę czasami do ciebie zadzwonić?

– Oczywiście. Naprawdę, bardzo ci współczuję. – Podeszłam do Julka i zarzuciłam mu ręce na szyję.

Nie wiadomo dlaczego dodałam, że będę za nim tęsknić.

## Rozdział 22

### ALEKSANDRA

Żałowałam, że Maria musi wrócić na Tulipanową i nie możemy porozmawiać dłużej, ale i tak byłam szczęśliwa, że jej adopcja przestała być tabu. Zburzyliśmy mur nieszczerości i niedomówień.

Na początku nie chciała wracać do przeszłości, która jej zdaniem nie miała wpływu na dzień dzisiejszy i nasze relacje, ale nie odpuściłam. Poprosiłam, by spróbowała traktować mnie jak siostrę i postanowiła dać nam szansę. Stanowczo odmówiła jednak spotkania z mamą. To akurat rozumiałam aż nadto dobrze. Sama miałabym ogromny żal, o ile nie nienawidziłabym kobiety, która usunęła mnie ze swojego życia.

Nie zamierzałam zmieniać Marii ani zaburzać jej dob-rych wspomnień o rodzicach adopcyjnych. Do tej pory byli dla niej jedynymi i ukochanymi. Było jej tylko przyk-ro, że nie może ich już zapytać, dlaczego nic jej nie powiedzieli.

Miałam nadzieję, że z czasem uda nam się zbliżyć i obie poznamy prawdziwe siostrzane uczucia. Nie, wcale nie ze względu na moje obawy przed jej zachowaniem po porodzie. Poznałam ją dostatecznie dobrze, by wierzyć w jej dobre intencje. Nie lękałam się, że zechce zatrzymać dzieci. Podkreślała zresztą przy każdej okazji, że nie ma takiego zamiaru.

Wróciwszy do domu, natychmiast chwyciłam za telefon i wybrałam numer Mileny.

– Zrobiłam to! Porozmawiałam z Marią o naszym pokrewieństwie! Jestem lekka jak motylek! – Zarzuciłam przyjaciółkę lawiną wykrzykników.

– I co ona na to?

– Dobrze. Pierwsze lody przełamane. Nawet nie wiesz, jak się cieszę!

– W takim razie ja również. Musimy kiedyś zaaranżować babskie spotkanie. Chciałabym lepiej poznać siostrę mojej najlepszej przyjaciółki.

– Przecież już ją znasz, z domu opieki. A swoją drogą, jak się czuje twoja ciocia?

Staruszka przebywała w Jesiennej Przystani.

– Nieźle. W ubiegłym miesiącu obchodziła dziewięćdziesiątkę. Staram się ją odwiedzać i podrzucam jej książki. Gabryśka wciąż dużo czyta, głównie pozycje historyczne. Niestety z chodzeniem słabo. Bardzo lubi Marię, a zresztą kto jej tam nie lubi? Trafiła ci się fajna siostra – powiedziała Milena z uśmiechem.

Uspokojona zabrałam się do tłumaczenia. Troski utrudniały skupienie, nic dziwnego, że przerywana praca nie przynosiła efektów. Teraz jednak, kiedy Jasek złożył pozew o rozwód i wiedziałam, że niebawem nie będę mogła liczyć na comiesięczny zastrzyk gotówki, przyszła pora na poważne zastanowienie się nad finansową przyszłością. Przekłady z pewnością nie będą w stanie zapewnić mnie i dzieciom godziwego bytu. A nawet bytu na średnim poziomie. Dob-rze chociaż, że w przypadku adopcji należał mi się urlop macierzyński. Dzięki wujowi Kazimierzowi pracowałam na samozatrudnieniu i miałam prawo do świadczeń.

Swego czasu Jaś pełnym politowania spojrzeniem obserwował, jak zakładałam działalność gospodarczą i płacę składki do ZUS-u.

– Zmarnowane pieniądze – pokpiwał. – Lepiej byś sobie kupiła za nie kolejną kieckę, a nie wspierała różnych darmozjadów, którzy doją państwo. Mało przynoszą pieniędzy?

Teraz jednak moja przezorność wzięła górę. Cóż, mój mąż nie przewidział, że się zakocha w młodszej i zostawi mnie na lodzie. Nawiasem mówiąc, ja zresztą również nie przewidywałam takiego obrotu spraw.

Coś na kształt zasiłku miałam zatem zapewnione. A ponadto na moim prywatnym koncie spoczywała połowa naszych małżeńskich oszczędności. Niemała sumka, choć i ona kiedyś się skończy. Każdy dzban ma dno.

Zdawałam sobie sprawę, że sama nie utrzymam domu, więc z bólem serca brałam pod uwagę jego sprzedaż i podział pieniędzy. Przy maluchach przydałby mi się, oczywiście, zagospodarowany ogród, wygodne łazienki, przestronne pomieszczenia. A już myśl o porzuceniu mojej ukochanej



oranżerii na rzecz niewielkiego balkonu w bloku czy mizernej działki przy skromniejszym domku do remontu, bo na taki zapewne będzie mnie stać, wprawiała w przygnębienie.

Za niecałe cztery miesiące Maria ma rodzić, dumałam. Zbliży się czas niemowlaków, a nie jakichś przeprowadzek. Świadomość, że będę samotną matką, dotarła do mnie wreszcie z siłą wodospadu. Jasiak nieraz dawał mi do zrozumienia, że będzie płacić Marii do końca ciąży, ale nie życzy sobie uczestniczyć w życiu maluchów. Do potencjalnych alimentów na ich rzecz była daleka droga – w pierwszej kolejności musiałabym chłopców adoptować, a dopiero później wystąpić do sądu. A sąd nierychliwy...

Daj Boże korzystny wyrok!, zakląłam rzeczywistość.

Moje mizerne wpływy z tłumaczeń stopnieją po narodzinach dzieci do zera, stwierdziłam. Zresztą czy jest sens ciągnąć to zajęcie?

Myśli o porzuceniu go nawiedzały mnie już od dłuższego czasu. Dopóki żył Krasts, do pracy napędzała mnie nasza zażyłość. Ale teraz? Łotewski rynek książki jest niewielki, podobnie jak obszar tego miłego mi skądinąd państwa, a tamtejsi autorzy raczej niszowi. Nie licząc Krast-sa, na polskim rynku przebiło się niewielu. Potencjalne możliwości przekładania literatury litewskiej blokował mi brak kontaktów. Krótko mówiąc: moja zawodowa przyszłość nie malowała się w jasnych kolorach.

Jak długo będę mogła żyć z oszczędności?

Wuj Kazimierz ma rację: powinnam zawalczyć o firmę i sprzedać udziały. A pomyśleć, że omal oddałam je Jaškowi za bezcen, byleby tylko nie sprawiał mi problemów przy adopcji chłopców! Swoją drogą: nie potrafię zrozumieć prawa, które za ojca dzieci uznaje dawcę nasienia, a za matkę kobietę, która je rodzi. Przecież zostały poczęte z mojego jajeczka...

Rozważania przerwał mi dźwięk telefonu i trzy czerwone serduszka na wyświetlaczu, wskazujące, że dzwoni mój mąż.

– Słucham? – odebrałam, spiąwszy się w sobie w przewidywaniu niezbyt przyjemnej rozmowy.

Jasiak z pewnością nie zamierzał pytać o moje samopoczucie.

Zaczął bez „dzień dobry” i jakichkolwiek grzeczności.

– Ostro grasz – wycedził. – Tak to sobie umyśliliście z Kazimierzem? Skądinąd niezły sposób: postraszyć mnie zgromadzeniem współników. W porządku, jeden zero dla was. Biegły właśnie grzebie w firmowych papierach i zagląda we wszystkie kąty. Dostaniesz tę swoją wycenę!

Po chwili powściągnął emocje i uderzył w bardziej przyjazne tony.

– Olu, uważam, że zbyt dużo mamy ostatnio wrażeń. I chyba powinniśmy porozmawiać. Chcę kupić od ciebie udziały, a ty chcesz je sprzedać. Spotkajmy się w pół drogi.

Ciekawe, co ma na myśli?, w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka.

– Znaczy w Złotej Oberży? – udałam idiotkę myślącą, że chodzi o knajpę między domem a firmą.

– Nie żartuj. Dogadamy się. Ty trochę opuścisz, ja nieco dołożę i dobijemy targu. Gra? – Jaś wyraźnie podkulił ogon.

Nie znałam jeszcze wyceny, ale szacowałam firmę na jakieś dziesięć milionów. Tymczasem mój mąż zaproponował mi sto sześćdziesiąt tysięcy za większościowy pakiet udziałów. Ciekawe, ile zamierzał dołożyć? Sto tysięcy, dwieście? Bo chyba nie cztery miliony?

W ostatnich miesiącach przesłałam szybki kurs rozgryzania Jaška. A w kwestii negocjacji miałam coraz grubszą skórę. Przede wszystkim straciłam do niego zaufanie. Nie nabierałam się już na polubowne nutki w głosie. Milena miała rację, zagrzewając mnie do walki o rodzinę, którą mój mąż opuścił.

– Nigdy nie przypuszczałam, że będziemy stać po dwóch różnych stronach barykady – zaczęłam ostrożnie. – Już sam fakt, że znalazłeś sobie tę Arletę, ugodził mnie w samo serce, a teraz jeszcze walka o pieniądze... Ciekawe, kiedy nastąpi koniec tych upokorzeń?

– Daj spokój.

– Cóż, chciałam tylko wiedzieć, na czym stoję, zanim przystąpię do negocjacji. Wiesz, żałuję, że straciłam tyle lat na życie z tobą, ale przeżyję jeszcze kilka spotkań. I radzę, byś zaoferował mi dobrą cenę za moje udziały. Od teraz jesteś dla mnie wyłącznie kupcem – zakończyłam.

Zapowiedział, że spotkamy się w najbliższych dniach, i zakończył połączenie.

Zasadniczy ton, na jaki się zdobyłam, kosztował mnie sporo nerwów. Ukołam je kieliszkiem

wina i miseczką wiśni, które kupiłam na targu. Ich kwaśny smak neutralizowały nutki słodocy.

Jak to w życiu.

Wyłączyłam komórkę i usiadłam przed komputerem. Szczytywałam tekst opowiadania Krastsa, coraz bardziej zagłębiając się w treść. Przedstawiało historię bardzo podobną do mojej: porzucona przez męża kobieta usiłuje poradzić sobie z emocjami po rozstaniu.

W sumie banalna historia, pomyślałam. Klasyczna. Podzieliłam los wielu kobiet, jak bohaterka.

Tłumaczyłam ciekawą zakończenia. Doszłam do momentu, kiedy Andra stoi nad brzegiem rozszalałego morza i targają nią tragiczne myśli o samobójstwie.

Zastygłam w bezruchu. Poczułam, że mistrz chciał mi coś przekazać. Chłonełam kolejne wersy.

„– Co pani robi tak późno nad brzegiem morza? Wszystko w porządku? – do Andry podszedł mężczyzna zbierający bursztyny.

Poszukiwał ich w kępach wodorostów, które żywioł wyrzucił na brzeg.

Potwierdziła, jednak z niewystarczającym przekonaniem, by mężczyzna wziął jej słowa za dobrą monetę.

– Wracam właśnie do domu – powiedział. – Tam, za wydumą. Żona czeka z kolacją. Zapraszam na herbatę i ryby. Syn dzisiaj złowił – zachęcił.

Powinna odmówić, ale jakaś siła pchnęła ją do rybackiej chaty. Być może czuła, że znajdzie tam szczęście”.

O co ci chodziło?, pomyślałam. Przestałam stukać w klawisze komputera, podparłam brodę splecionymi dłońmi i spojrzałam w okno. Że swoje szczęście odnajdę w chatce niedaleko plaży? Że nie powinnam się załamywać i o siebie walczyć?

Teraz, kiedy Krasts był już w zaświatach, mogłam się tylko domyślać.

Mimo wszystko uśmiechnęłam się szeroko do wspomnień i zatęskniłam za Jurmałą.

Najwyraźniej myślami ściągnęłam Janisa, który przesłał mi krótką wiadomość. Spodziewałam się ciepła, tymczasem przeczytałam lakoniczne pytanie.

„Sasza, trochę mi się pokomplikowało. Czy pozwolisz, żeby ktoś na jakiś czas zamieszkał ze mną w naszym wspólnym domu po Krastzie?”

## Rozdział 23

### ALEKSANDRA

A więc jednak ludzie się nie zmieniają, a historia lubi się powtarzać...

Prośba Janisa sprawiła, że poczułam ścisk w sercu. Wróciły wspomnienia sprzed lat, gdy zamiast spodziewanych oświadczeń dostałam obuchem w głowę. Choć od tamtego czasu minęło wiele lat i do niedawna spędzałam szczęśliwe życie u boku Jaśka, poczucie upokorzenia i zawodu, jakie zafundował mi Janis, nigdy nie wyparowało. Wprawdzie on przechował pierścionek, który chciał mi wówczas wręczyć, i zapewniał o przepelniającej go miłości do mnie, ale wybrał Ingę, matkę swojego dziecka.

Z trudem poradziłam sobie ze złamanym sercem. Wybrałam, jak mi się wydawało, bezpieczeństwo u boku męża i nie zerkałam na innych mężczyzn, chociaż miałam niejedną okazję. Ponowne spotkanie z Janisem poruszyło jednak czułą strunę, a nawet – ku mojemu przerażeniu – przywołało przyblakłą sympatię. Broniłam się przed nią, jak mogłam.

Krasts, piszący sercem, na ogół milczał na temat uczuć. Dlaczego zatem zostawił nam dom na spółkę w Jurmale? Czyżby dostrzegał, że wciąż nam do siebie blisko? Czy to dlatego Andra, bohaterka jego ostatniego opowiadania, znajduje szczęście w rybackim domku?

– Jeżeli nawet wymyśliłeś sposób, by nas skojarzyć, próżny trud – wyszeptalam do nieobecnego nie bez żalu.

Niestety, delikatny płomyczek uczucia, który ledwie zatlił się w moim sercu od nowa, właśnie zgasł.

Nie miałam sił, by dźwignąć zawód ponownie. A w duszy cieszyłam się z powodu mojej wstrzemięźliwości w okazywaniu uczuć – nie wysłałam Janisowi jakichkolwiek sygnałów, że na mnie działa.

I tak ma pozostać, zdecydowałam.

Postanowiłam nie odpowiadać na esemesa i poczekać na rozwój wypadków. W końcu to on miał do mnie interes. Ciekawe, czy on chce sprowadzić do Jurmaly kolejną miłość życia?, dumałam.

Podburzona wizją kobiety w moim domu poczułam niespodziewany przyływ sił i dokończyłam tłumaczenie opowiadania. Zgodnie z moim przewidywaniem kobietę z plaży połączyła z rybakim miłość.

Nieoczekiwany u Krastsa happy end.

Pudło, mistrzu!, pomyślałam, stawiając ostatnią kropkę. Szczęśliwe zakończenia zdarzają się wyłącznie w książkach.

Ponownie Janis napisał do mnie wieczorem. Tym razem mejla. Nie chciałam denerwować się przed snem, ale ciekawość zwyciężyła.

„Sasza, nie odpisujesz, ale masz do tego pełne prawo. Powinienem od razu wyjaśnić Ci sytuację, a nie kazać Ci wyciągać kota z worka (chyba tak mówicie, kiedy nie wiadomo, o co chodzi?). Przepraszam, że nie od razu napisałem, kto ma ewentualnie pomieszkać przez chwilę w Jurmale. Zadziało się tutaj i dopiero znalazłem czas, żeby zasiąść do komputera.

Nie musisz się obawiać, nikogo jeszcze nie sprowadziłem do naszego domu. Na razie wszyscy jesteśmy w Rydze, a czy przeniesiemy się nad morze, zależy od Ciebie.

Wiem, jak to źle zabrzmiało, ale na Łotwę zjechała Inga”.

I wszystko jasne, pokiwałam głową. Wróciła była żona.

Z trudem opanowałam chęć zatrzaśnięcia laptopa.

„Po naszym rozwodzie wyjechała do Niemiec i tam ułożyła sobie życie z jakimś Maksymilianem. Jednak niedawno się rozstali, a ona zabrała Skelego i postanowiła wrócić do Rygi. I jak się domyślasz, nie mają się gdzie zatrzymać, a najłatwiej było poprosić mnie o pomoc. Mógłbym zakwaterować ich u siebie w mieście, ale jest lato i Skele chciałby posiedzieć nad morzem. Oczywiście jeżeli zechcesz przyjechać, wyprowadzę Ingę do Rygi.

To jak? Mogę liczyć na Twoją życzliwość?

PS

Próbuję kończyć ostatnią książkę Krastsa (trudno mi nazywać go ojcem, nawet w myślach). A Tobie jak idzie tłumaczenie opowiadań?

Jeżeli to nie nazbyt wścibskie, chciałbym również zapytać o ciążę Marii. Czy wszystko w porządku? Szkoda, że jesteśmy tak daleko od siebie. Chętnie bym Ci pomógł w razie potrzeby.

A, i jeszcze jedno. Odmalowałem werandę, pokój na dole i kuchnię. Jakim kolorem mam pomalować Twoją sypialnię? Rzeczy Krastsa nie ruszam. Kiedyś przejrzymy je razem.

Pozdrawiam Cię serdecznie i czekam na decyzję w sprawie Skelego i Ingi. Janis”.

Nic dodać, nic ująć.

Do narodzin maluchów i tak nie zamierzałam wybrać się na Łotwę i stawać byłym małżonkom na drodze. Inga znalazła sobie odpowiedni moment na powrót, pomyślałam sarkastycznie, lato, słońce, klimatyczny dom nad morzem, doskonała okazja do ponownego zbliżenia się z Janisem...

I bardzo dobrze!, zgańłam się za złe emocje. Mam prawa do domu, nie do jego właściciela.

Odpowiedziałam Janisowi, starając się ukryć zazdrość.

„Oczywiście, możesz przyjmować, kogo tylko chcesz. Być może ja również kiedyś zarezerwuję dom dla swoich znajomych. Mojego pokoju nie maluj. Nie wybrałam jeszcze koloru. To miłe, że będziesz mieć okazję spędzenia czasu z synem. Pozdrawiam. A.”

Nie wspomniałam słowem o Marii ani o tłumaczeniu. Zgodziłam się, więc Janis rzucił się zapewne w wir przygotowań do wyjazdu nad morze i moje sprawy przestały go obchodzić.

Miałam ogromną ochotę zadzwonić do Mileny, ale zamiast tego sięgnęłam po kieliszek wina. Przypomniałam sobie, że moja przyjaciółka także pakowała walizki przed wyprawą nad morze. Wynajęli z Kacprem przyczepę na Helu.

Przed oczami ponownie stanął mi biały domek Krast-sa i zapiekło w sercu. Zatęskniłam do pudrowego piasku, płytkiej zatoki, w której nawet po przejściu kilkudziesięciu metrów w głąb morza woda wciąż sięgała po kolana, różowego zachodu słońca zwiastującego pogodny dzień, do ulubionej kafejki mistrza przy Jomas iela. Odsunęłam od siebie myśl o wpisanym w ten kraj-obraz Janisie.

Przysiadłam w wiklinowym fotelu na tarasie. Powoli sączyłam wino.

Z zadumy wyrwał mnie telefon od mamy.

– Jesteś w domu? Stoję na podjeździe, ale nie reagujesz na dzwonek – usłyszałam jej głos.

– Już idę. – Poderwałam się na równe nogi.

– Przywiozłam zapiekankę z baru, może zjesz? – Wyciągnęła do mnie metalową tackę. –

Przepraszam, że nie domowa roboty, ale cały dzień spędziłam w szpitalu – usprawiedliwiła jej zdaniem niepełnowartościowy towar.

– Co się stało?

Dopiero teraz zauważyłam na jej twarzy ogromne zmęczenie. A także brak starannego makijażu i wypracowanego uśmiechu zadbanej starszej pani.

Przeszłyśmy na taras. Mama opadła na fotel i poprosiła o wodę.

– Leopold jest chory – oznajmiła. – Zdiagnozowano u niego raka prostaty. A dzisiejsze badanie ujawniło przerzuty do kości – westchnęła i pociągnęła usta szminką.

Robiła tak zawsze, gdy była zdenerwowana.

Przypomniałam sobie powiedzenie Krastsa, że mężczyzna dla dodania sobie animuszu podciąga krawat. Akurat w jego przypadku była to przenośnia. Nigdy nie widziałam go w krawacie. W przypadku mamy pewnością siebie dodawała pomadka.

– No, teraz mogę rozmawiać – powiedziała, gdy jej usta załśniły brzoskwiniowo, a przeczesane szczotką włosy ułożyły się w łagodne fale. – Jeżeli, oczywiście, ciebie to interesuje – dodała z cieniem wyrzutu.

– Mamo...!

– Olu, przecież widzę, że nie tolerujesz Leopolda. I w ogóle ostatnio się do mnie nie odzywasz.

Wprawdzie nasz kontakt nieco się rozluźnił w ostatnim czasie, ale odsądzanie mnie od czci i wiary zirytowało.

Nigdy nie potrafiłam postawić się mamie, która mimo dbałości nie szczędziła mi uwag i codziennego drylu. Podobno dla mojego dobra. Musiałam siedzieć prosto, żeby „nie dostać garba”,

szorować zęby, a o odpuśczeniu sobie codziennego mycia nie było mowy. Nawet w wyjątkowych sytuacjach. Jadłam szpinak, unikałam słodyczy, nacierano mi włosy rycyną i posyłano na szereg zajęć dodatkowych, kiedy moi koledzy wracali umorusani po popołudniowych zabawach na ulicy.

Nie mogłam jednak narzekać, bo odcinałam kupony od życia w dobrostanie. Wakacje na południu Europy, markowe ciuchy, dobre wykształcenie. Czułam się zaopiekowana i kochana. Tato sadzał mnie sobie na kolanach i traktował jak księżniczkę, jednak kiedy go zabrakło, musiałyśmy sobie radzić we dwie. Nasza więź z mamą została poddana weryfikacji i niestety nie okazała się wystarczająco silna na bezwarunkową akceptację.

Nie zdziwiłam się zatem, że gdy mama zaczęła od wymówek, ja poczułam się zobowiązana do tłumaczeń. I mimo woli spełniłam jej oczekiwania.

– To prawda, że nie od razu zaakceptowałam pana Leopolda – mruknęłam. – Nie myśl jednak, że źle mu życzę. A nie odzywam się, bo mam szereg własnych problemów. Sama wiesz jakich – dodałam. – Miło, że przyszedłeś. Odgrzać zapiekankę?

Dopiero przy gorącym daniu, a właściwie przy towarzyszącym mu kieliszku wina, trochę nam odpuściło. Dowiedziałam się co nieco więcej. Pana Leopolda czekały trudne miesiące chemii i radioterapii, a rokowania nie były zbyt dobre.

– Przecież to jeszcze nie wyrok – próbowałam pocieszać mamę. – Pomogę ci.

– Ale jak? Maria niebawem rodzi, ty rozwodzisz się z Jaśkiem...

– To on chce rozwodu – uściśliłam.

– Przepraszam. A wiesz, nigdy bym go nie podejrzewała...

– A jednak – ucięłam. – Choć to nie największy mój problem.

Mama spojrzała pytająco.

– Rozmawiałam z Marią. Obie już wiemy, że jesteśmy siostrami.

Zapadła cisza.

Kłamstwo zostało zdemaskowane. Najwyższy czas, by przestać kręcić.

– Olu, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. – Mama rozłożyła ręce. – Tchórzliwie próbowałam ukrywać prawdę, ale i tak wyszła na jaw. Nie wiem, co będzie i jak sobie radzić w tej nowej sytuacji. Powiedzenie, że czuję się niezręcznie, to mało.

– Jak mogłaś oddać własne dziecko? Dlaczego oboje z tatą zdecydowaliście się na taki krok?

Nawet współczucie z powodu Leopolda nie zapobiegło oskarżeniom.

Mama nie próbowała się tłumaczyć. Podałam jej chusteczkę, by otarła łzy.

– Chyba już pójdę. – Wstała i sięgnęła po torebkę.

Nie zatrzymałam jej. W powietrzu wisiało zbyt wiele kiepskich emocji. Odprowadziłam mamę do drzwi i przeprosiłam gestem, bo akurat zadzwonił telefon.

– Masz chwilę? – zapytała Maria. – Chyba muszę pogadać z kimś bliskim – usłyszałam prośbę w jej głosie.

– Stało się coś? – przeraziłam się. – Coś z dziećmi? Źle się czujesz?

A jednocześnie wszystko we mnie śpiewało, że to do mnie dzwoni z problemem.

– Nie, nie. Zwyczajnie potrzebuję ludzkiego głosu...

Mamie włączył się szósty zmysł.

– Możesz pozdrowić ode mnie Marię? – poprosiła.

Przekazałam pozdrowienia.

– Ona ciebie też – powiedziała po chwili. – Mama wychodzi – poinformowałam Marysię. – Oddzwonię, -dobrze?

– Wszystko w porządku? – zapytała mama, gdy się rozłączyłam.

– Nie mam pojęcia – odparłam zgodnie z prawdą.

– To ja idę. A jeśli będziecie czegokolwiek potrzebować... – zawiesiła głos.

Po raz pierwszy mama potraktowała nas jak dwie córki. Poczułam ciepło w sercu.

Tajemnice przestały istnieć, chociaż przyszłość wciąż pozostawała niewiadomą.

## Rozdział 24

### MARIA

Po nieoczekiwanym wyznaniu Juliana spontanicznie zadzwoniłam do Aleksandry, żeby rozładować emocje.

Aż do tej chwili nie zdarzyło mi się działać bez zastanowienia, myślałam. Nawet nasza przyjacielska bliskość z Honoratą nie przekroczyła pewnych granic. Nie utyskiwałam w naszych rozmowach na męża, nie narzekałam na problemy z Kaliną, które wprawdzie niemal się nie zdarzały, ale jak to przy dzieciach, człowiek czasami tracił cierpliwość. Swoje sprawy zostawiałam dla siebie. Nie roztrząsałam ich z nikim. Owszem, rozumiałam, że niektóre kobiety potrzebują wypłakać się na łonie innych, jak choćby Iza. W pracy wszyscy od podszewki znali jej przejścia z Januszkiem, porażki i sukcesy jej dzieci, Bartka i Kasi, i rozliczne szczegóły jej rodzinnego życia. Również jego intymne aspekty.

Ja wolałam samotność i rozstrzyganie trudnych kwestii z dala od ludzi. Dlatego nie rozumiałam, co mnie skłoniło, żeby nagle postąpić inaczej i sięgnąć po telefon.

Pożalowałam tego kroku natychmiast po wybraniu numeru Oli, było już jednak za późno. W słuchawce usłyszałam jej głos i wbrew sobie poprosiłam o rozmowę.

Okazało się, że jest u niej mama, która właśnie wychodzi. Za pośrednictwem Aleksandry wymieniliśmy uprzejme pozdrowienia, a po chwili moja, hm, siostra oddzwoniła.

– Mów, Marysiu, o co chodzi. Nawet nie wiesz, jak mi miło, że jestem ci potrzebna – usłyszałam przyjazny głos.

Ta radość, kiedy ja najchętniej zakończyłabym połączenie!

– Chciałam zapytać, kiedy mamy kolejną wizytę u lekarza. – Na poczekaniu wymyśliłam fałszywy pretekst.

– To dlatego musisz porozmawiać z kimś bliskim?

Niestety, Ola miała dobrą pamięć.

– To nic ważnego – zbagatelizowałam. – Siedzę u pani Zofii, Kalina zamiast dzisiaj wraca jutro, poczułam się trochę samotna i zadzwoniłam. Powinnam się położyć i pozwolić dzieciom odpocząć, zamiast zawracać ci głowę.

Kręciłam, jak umiałam, ale w kłamstewkach nigdy nie byłam dobra.

– Marysiu, ja nie odpuszczę – oznajmiła Aleksandra. – Bez powodu byś nie dzwoniła. Władek robi ci jakieś nieprzyjemności czy masz kłopoty w pracy? Nie każ mi się domyślać, proszę. Przecież jesteś moją siostrą.

Przez dłuższą chwilę smakowałam sens ostatniego zdania. Co ono właściwie oznacza? Że siostrze można powiedzieć wszystko? Że zrozumie? Że nie trzeba się przed nią niczego wstydzić?

Nagle zapragnęłam wyrzucić z siebie emocje związane z Julianem, które zamierzałam jeszcze długo kryć przed światem. Tłumiłam je, bo poczucie grzechu, zdrady i mój wstyd nie zasługiwały na niczyją uwagę. Nie poznawałam sama siebie.

– Chyba się zakochałam... – wyszeptalam.

Przestraszona czekałam na reakcję.

– W Julianie?

– Skąd wiesz?

– Wyczytałam to z twoich oczu – odparła Ola.

– To ja ci o nim mówiłam?

– I to często.

W myślach złapałam się za głowę. To aż tak widoczne?

Aleksandra próbowała coś jeszcze ze mnie wyciągnąć, ale na dziś straciłam ochotę na dalszy ciąg sesji terapeutycznej. Przystałam jednak na jej propozycję spotkania po powrocie Kaliny.

Wieczorem napisał z Gdyni Julek.

„Jesteś pierwszą osobą, z którą rozmawiałem o wypadku i swojej dawnej rodzinie. Dziękuję, że

zechciałaś mnie wysłuchać. Wprawdzie czas wcale nie leczy ran i nigdy nie zapomnę, co się stało, ale w jakimś sensie mi ulżyło. Obciążylem Cię swoją traumą, przepraszam. Może mi wybacysz...

Teściowa nie może już dłużej zajmować się Antkiem, bo sama wymaga opieki. A ja próbuję dogadywać się z synem, trzynastolatkiem, który mnie prawie nie pamięta. Tyle że nie chce wracać do matki do Anglii. Słabo dogaduje się z Jamesem, nie lubi tamtejszych kolegów. Michalina nie nalega na jego powrót. Wysłała go do babci, bo sprawiał kłopoty. Prawdopodobnie będę musiał się nim zająć na stałe. Do końca wakacji tu, w Gdyni, a w nowym roku szkolnym zapewne w domu. Obaj musimy oswoić się ze sobą i wzajemnie zaakceptować nową sytuację. W pracy wystąpię o urlop.

Najbardziej martwi mnie, że na jakiś czas prawdopodobnie stracę kontakt z Tobą. Nie zapominaj jednak, proszę, o mnie i o pomocy, do której zawsze jestem gotowy. Dwie godziny i jestem u Ciebie. A może odwiedzisz mnie w Gdyni? Teściowa ma niewielki dom, ale zawsze znajdzie się w nim miejsce dla gościa. To porządna osoba, nie będzie stwarzać problemów.

Dobrze, że mam doświadczenie z domu opieki, mogę je wykorzystać na miejscu i jej pomóc. Przekaż pani Zofii, że do remontu Tulipanowej powrócę po wakacjach. I żebyś nie miała wyrzutów sumienia – możesz z nią rozmawiać o moich problemach.

Trochę się rozpisałem, ale czasami łatwiej pozwolić płynąć słowom na papierze niż mówić.

Pozdrawiam Cię serdecznie. Dbaj o siebie i ciążę.

Życiowy rozbitek Julian”.

– Zatem zostaje na Wybrzeżu co najmniej do końca wakacji – zakończyłam relację składaną pani Zofii.

– Boże mój, biedny chłopak! Jak tu żyć z takim obciążeniem? Ale nie martw się, jeszcze się zejdzieszie...

– Zosiu, jak możesz! – Udawanie oburzenia marnie mi wychodziło. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Mam męża.

– Już dobrze, dobrze. Może i jestem stara, ale nie ślepa. Kochanie, wiesz, że życzę ci jak najlepiej – powiedziała i zgrabnie przeszła do tematu sobotniego przyjęcia u Barbary i Teodora. – Żeby tylko nie padało, bo impreza ma być pod chmurką, w ogrodzie. Wiesz, że Łucja od miesiąca dzierga dla naszych „młodych” serwetki? Jeszcze się doczekamy ślubu!

– Ale chrzcin już raczej nie będzie? – Pozostałam w żartobliwej konwencji.

– No raczej nie. A jak ty się czujesz?

Tym razem zmiana wątku dotyczyła ciąży.

– Oby tak dalej – odparłam. – Nie chcę zapeszać. I raz jeszcze dziękuję ci za możliwość pomieszkania na Tulipanowej.

– Mąż cię tam nie namierzył?

– Chyba nie ma na to ochoty. Znalazł sobie nowy obiekt zainteresowania.

Pytający wzrok przyjaciółki dopominał się wyjaśnienia.

– Szwagierka doniosła mi, że biega do samotnej sąsiadki. Ale szczerze mówiąc, jakoś mnie to nie obeszło.

Matko święta!, przeraziłam się po wypowiedzeniu tych słów. Po raz drugi w krótkim czasie uległam potrzebie zwierzeń. Czy to na pewno ja?

– Marysiu, nic nie dzieje się przypadkiem – powiedziała pani Zofia filozoficznie. – A z mojego domu korzystaj, jak długo zechcesz. Mam tylko prośbę: czy mogę w przyszłym tygodniu pomieszkać z tobą i Kalinką przez kilka dni? Dobrze mi się wydaje, że ona dzisiaj wraca?

– Mowa! Zapraszam cię zatem do siebie – zażartowałam. – Poznasz moją córkę, o ile ona zechce pobyć ze mną na Tulipanowej przez chwilę. A jeśli nie zechce, przyjedziemy do ciebie w odwiedziny.

Robiłam dobrą minę do złej gry, bo w głębi duszy obawiałam się reakcji Kaliny na moją wyprowadzkę z domu. Nie do końca pamiętałam, czy zawiadomiłam ją o swojej decyzji i jej powodach. Oficjalnie postanowiłam trzymać się ogrodu, który miał mi zapewnić wytchnienie od letniego upału.

Następnego dnia próbowałam porozumieć się z córką od samego rana, by za jej pośrednictwem ustalić z rodzicami Krzyska, gdzie mają ją przywieźć. Wolałabym od razu na Tulipanową. Wprawdzie Ola zaofiarowała się, że może dostarczyć moje dziecko spod bloku do pani Zofii, ale nie chciałam jej

angażować.

Kalina odebrała telefon dopiero po paru godzinach. I już po jej pierwszych słowach zorientowałam się, że coś nie gra. Ostatnio jej głos tryskał radością, a ja mogłam spać spokojnie. Tym razem było inaczej.

– Gdzie jesteście? – zapytałam.

– Dojeżdżamy do miasta.

– Możesz mi dać do telefonu mamę Krzysztofa?

– Oczywiście – usłyszałam od pani Kłós, gdy poprosiłam ją o kurs na Tulipanową. – Nie ma problemu.

Czekałam z kilkoma przekąskami i tortem Pavlova, jak zwykle perfekcyjnie przygotowanym przez nieocenioną panią Ludmiłę. Nie wytrzymałam i brownie zjadłam poprzedniego dnia. Co chwila wyglądałam przez okno, wypatrując szarej terenówki, aż wreszcie się doczekałam.

Kalina wyglądała pięknie. Opalona i wypoczęta, ale bez uśmiechu.

Pewnie smuteczki przed rozstaniem z Krzysiem, pomyślałam.

– Kochanie, pozwól się uściskać! – Porwałam ją w ramiona, ale nie odwzajemniła gestu.

Matczyne instynkt mnie nie zawiodł. Moja córka miała jakiś problem.

Także Krzysztof nie wyglądał na szczęśliwego.

Zaprosiłam wszystkich do środka. Wypełniając funkcje gospodyni, wypytywałam o pobyt nad jeziorem. Jak było, czy woda ciepła, bo słońce zrobiło swoje, jak zdążyłam dostrzec. Wysłuchałam pierwszych relacji, wyraziłam wdzięczność za opiekę nad dzieckiem, przyjąłam komplementy pod adresem Kaliny. Tort bezowy z porzeczkami zrobił furorę.

Mimo to państwo Kłosiowie sprawiali wrażenie, że tylko czekają odpowiedniego momentu, by wyjść. Byłam zdezorientowana.

Kalina napadła na mnie tuż po pożegnaniu gości.

– Dlaczego nie jesteśmy w domu? Rozeszłaś się z tatą?

– Po prostu jest mi tu łatwiej przeżyć upały – wyjaśniłam spokojnie. – Korzystam z uprzejmości pani Zofii, naszej pensjonariuszki. Mówiłam ci o niej.

– A gdzie tato?

– Córku, jest u wuja Marcina. Możesz do niego zadzwonić, jeśli chcesz.

Wyraźnie podminowane dziecko zmierzało do konfrontacji.

– Chcę do domu!

– Dzisiaj to niemożliwe. Ale załatwię transport na jutro.

W odpowiedzi zobaczyłam potok łez.

– No właśnie! Nie mogę ot tak pojechać tam sama, potrzebny mi specjalny transport! Nienawidzę was wszystkich!

Boże, co się stało?

Z trudem opanowałam dygot na całym ciele. Moja córka potrzebowała pomocy.

– Kalinko, powiesz mi, o co chodzi? Ktoś ci zrobił krzywdę?

Skuliła się w sobie.

– Krzys wyjeżdża z rodzicami za granicę. Na dwa lata.



## Rozdział 25

### ALEKSANDRA

Maria jest zakochana.

Ta wiadomość nie zaszokowała mnie przesadnie, bo sygnały, które odbierałam przy różnych okazjach, zrobiły swoje. Jeśli skromnej, nieskłonnej do zwierzeń kobiecie nagle zaczynają błyszczeć oczy przy wypowiedaniu imienia kolegi, coś musi być na rzeczy.

Wcale się Marysi nie dziwiłam. Jej Władek, niestety, dał się poznać od najgorszej strony, zarówno jako pracownik firmy Jaśka, jak i mąż. Jaki mężczyzna wybiera w wiadomej sytuacji kolegów od kufla, a później opuszcza dom, by zaszyć się na wsi? To niewyobrażalne, że Maria musiała szukać spokoju w domu pani Zofii.

Może to ja powinnam zaprosić ją do siebie na dłużej i zapewnić jej godziwe warunki, dumałam, ale nie czułam się we własnym domu do końca bezpiecznie. Nie miałam pewności, że Jaś nie wróci, nie daj Boże ze swoją nową narzeczoną!, i że zachowa się wobec mojego gościa w porządku.

Bo zachowanie pana Leśniewskiego uświadomiło mi, że także postawa mojego męża pozostawia dużo do życzenia. Na szczęście upływ czasu i obawa o zdrowie nienarodzonych dzieci pozwoliły mi uporać się z zaskakującym zakończeniem naszego małżeństwa w ekspresowym tempie. A brak kontaktów powoli wymazywał Janka z mojego życia.

Lubiłam swój dom, swoją oranżerię, ogród. Sądziłam, że kiedyś zapełni je spora gromadka dzieci, ale dla mnie i dwójki maluchów całość była zbyt wielka. Powoli przyzwyczajałam się do myśli, że po rozwodzie będę musiała dom sprzedać i pomyśleć o mniejszym. Oczywiście już po urlopie macierzyńskim i ogarnięciu nowej rzeczywistości, bo trudy przeprowadzki jawiły mi się jako porównywalne ze wspinaczką na Kilimandżaro.

Milena z Kacprem wili sobie zgrabne gniazdko na niezbyt dużej działce, ale niestety poza miastem.

– Może kupisz tę obok? – zachęcała przyjaciółka, wskazując na kawał pustego pola za płotem. – Byłybyśmy blisko, zanim Leoś pójdzie do przedszkola, mogłabym ci pomóc przy maluchach. A i dziewczynki by się ucieszyły.

Nie brałam pod uwagę takiego rozwiązania.

– Budować dom z małymi dziećmi? W tym z jednym niepełnosprawnym lub ciężko upośledzonym? – powiedziałam ze łzami w oczach.

A jednak, mimo katastrofalnych wizji doktora Witaja, wbrew wynikom badań prenatalnych, doświadczeniu lekarzy i zdrowemu rozsądkowi, nie przestałam liczyć na cud. Maria chyba również. Staraliśmy się nie ulegać hysterii i pocieszałyśmy się wzajemnie. Jednak z tyłu głowy czułam ciężar lęku. Ale opcję, że jeden z chłopców nie przeżyje, wyparłam.

– Kochanie, przecież znasz Kacpra i wiesz, jak jest zaangażowany w nasz projekt – ciągnęła Milena. – Tobie też pomoże. Zresztą dziś można zamówić gotowe domy drewniane. Konstrukcja staje w kilka tygodni, a cały dom zostaje oddany do użytku w trzy miesiące!

– Mrzonki, Milenko – zaoponowałam. – Pamiętam jeszcze budowę tego, w którym mieszkam. Rodził się w bólach, a Jasiek omal nie powyrywał sobie z głowy wszystkich włosów. A poza wszystkim ja nie chcę mieszkać na wsi. Nie w takiej odległości od miasta.

Moja przyjaciółka ani myślała odpuścić. Kusiła nawet teraz, w trakcie pobytu na Helu.

– U nas na tapecie kuchnia i łazienki. Musisz wpaść i pomóc nam w wyborze ceramiki i sprzętów. Nad morzem jest absolutnie cudownie! Ale co ci będę mówić, szczęśliwa właścicielko domu z widokiem na plażę! Kiedy mnie tam zaprosisz?

Przypomniała mi o rodzinnym szczęściu Janisa z synem i byłą żoną. Inga zapewne zajęła mój pokój, ale ja czułam się tak, jak gdyby zajęła moje miejsce. Może rzeczywiście potrzebowała tylko czasowego wsparcia, tyle że Janis mógł to załatwić inaczej: ulokować ją w swoim mieszkaniu w Rydze, a syna zabrać nad morze. Widocznie i jemu odpowiadał taki układ. Niestety, złe wspomnienia z przeszłości, kiedy wybrał życie z Ingą, nie pozostawiały złudzeń. Matka jego dziecka była ważniejsza

ode mnie, a czule słówka po latach niewarte funta kłaków.

Dlaczego jednak mam rezygnować ze swojej własności?, myślałam butnie. I ustępować pola innej kobiecie?

Wpadłam na szatański pomysł, zwłaszcza że na koniec sierpnia ryskie wydawnictwo zaprosiło mnie na wystawę poświęconą Krastowski. Jeden z redaktorów, który przy wsparciu Janisa przygotowywał zdjęcia, poprosił mnie o udostępnienie swoich, których zebrała się całkiem pokaźna kupka. Wprawdzie nie przewidywałam przyjęcia zaproszenia, ze względu na ciężę Marii, która zaczynałaby siódmy miesiąc, bo obawiałam się zostawić ją bez opieki. Ale może gdyby kolejna wizyta lekarska wypadła pomyślnie...? Perspektywa kilku dni nad Zatoką Ryską nęciła.

– Może pod koniec sierpnia, Milenko? – zaproponowałam. – Weźmiemy dziewczynki i hajda! Dla nich ostatni akord wakacji, a dla mnie ostatni oddech przed narodzinami dzieci.

– Super! Moi chłopcy sobie poradzą! Niech Kacper choć raz zajmie się Leosiem! Cały czas mi truje, że mały trzyma się matczynej spódnicy, to niech się trochę trzyma tatusiowych spodni! – Reakcja była entuzjastyczna. – A zmieniając temat, co teraz porabiasz?

– Skończyłam tłumaczyć nowelę Krastsa *W chacie rybaka*. Przede mną jeszcze dwie. No i czekam na termin rozprawy. I nieustannie myślę o sprzedaży udziałów w firmie. Jasiek miał się zgłosić z nową ofertą, ale jak na razie cisza na łączach. Rozumiesz chyba, że sto sześćdziesiąt tysięcy za połowę około dziesięciomilionowego majątku to trochę mało.

– Bezczelny! Gdyby mi Kacper zrobił coś takiego...

– To co, Milenko?

– Nie wiem. Nie potrafię sobie tego wyobrazić – przyznała. – Dobra, pogadamy później, rodzina woła mnie na plażę. Trzymaj się, pa! – zakończyła.

Nasza rozmowa uświadomiła mi, że moja czujność w kwestii firmy osłabła. Przypomniałam sobie ostrzeżenia wuja Kazimierza: Jasiek może wyprzedać część majątku i zaniżyć wartość przedsiębiorstwa, gdy tymczasem ja, guła jedna, zajmuję się zaprzeszłą miłością Janisa!

Chciałam wybrać numer kancelarii, gdy wyświetlacz mojego telefonu zaanonsował wuja.

– Olu, musimy działać. Jan zaczął wyprzedawać maszyny.

Realizował się czarny scenariusz.

– Co robić? – spanikowałam.

– Umówmy się za pół godziny przed firmą. Zwołasz zgromadzenie wspólników w trybie natychmiastowym i poddasz pod głosowanie swoją kandydaturę na prezesa. Oczywiście, jako właścicielka ponad połowy udziałów, przegłosujesz tę propozycję. Wczoraj biegły dostarczył mi wycenę, możesz sprzedawać udziały.

– Boże mój, ale jak? Dać ogłoszenie do gazety czy co?

– O tym porozmawiamy później.

Mam nagle zostać prezesem? Jak sobie poradzę, jeśli Jasiek wyjdzie i zostawi mnie z tym wszystkim? O firmie nie miałam zielonego pojęcia, a rzadkie wizyty w niej nie dawały jasnego obrazu sytuacji. Kilka rozpoczętych budów wymagało stałej kontroli i podejmowania decyzji na bieżąco. Na biurku lądowały faktury, które trzeba było zapłacić lub wyegzekwować, a na korytarzu czekały kolejki klientów i kontrahentów. A gdzie jeszcze przekazywanie mieszkań, reklamacje, nagłe przypadki, sprawy pracownicze? Przepadłabym już pierwszego dnia, jeśli nie w pierwszej godzinie!

Podobnie jak Jasiek przy próbie tłumaczenia z łotewskiego na polski, popisała się wisielczym humorem moja głowa.

– Wujku, przecież ja się na niczym nie znam! – jęknęłam. – Rozłożę ten interes na łopatki!

– Niczym się nie martw i przyjeżdżaj, zanim zrobi to z nim twój mąż! – zakomenderował wuj.

A potem się rozłączył.

Rozdygotana wskoczyłam do auta i popędziłam do firmy. Na parkingu, nie licząc mojego prawnika, zastałam młodego przystojniaka w garniturze.

– To Konrad Nowakowski, nowy pełnomocnik pani prezes. A to Aleksandra Boryk, przysłała pani prezes. – Wuj, uśmiechając się pod nosem, dokonał prezentacji. A potem wyjawiał swój plan. – Olu, oboje wiemy, że będziesz rządzić wyłącznie na papierze, a biznes musi pracować, dopóki nie sprzedasz

udziałów. Konrad to człowiek z branży i ci w tym pomoże. Będzie towarzyszyć Janowi na każdym kroku i pilnować, by twój mąż nie rzucał nam kłód pod nogi. Chociaż zaraz po objęciu funkcji i tak natychmiast podejmiesz decyzję o zachowaniu majątku firmy w stanie nienaruszonym. Krótko mówiąc: zablokujesz wyprzedaż. Na szczęście jak do tej pory Janowi udało się spieniężyć zaledwie jeden dźwig. Na dodatek wciąż jest możliwość cofnięcia tej transakcji, bo kupiec jeszcze się nie rozliczył. Uświadomię człowiekowi, że Boryk (jak dziwnie zabrzmiało w ustach wuja nazwisko Jaśka!) sprzedawał w złej wierze, więc zakwestionujemy ich umowę w sądzie. Rozumiesz?

Nie dość, że rozumiałam, to jeszcze odetchnęłam. Z ulgą zerknęłam na mojego wybawiciela w eleganckim granatowym garniturze, szczęśliwa, że zdejmuje z moich barków ciężar zmagania z groźnym molochem, bo tak właśnie jawiła mi się firma. Miałam świadomość, że jego usługi nie będą tanie, ale byłam skłonna zapłacić każde pieniądze za uratowanie mi tyłka.

– Oczywiście. Mówcie, co mam robić. Jestem gotowa.

Osoba wuja Kazimierza była gwarancją tego, że pan Konrad Nowakowski to fachowiec. Ale żeby aż tak przystojny? Skąd wuj go wystraszał?

Na szczęście nie było czasu na długie rozważanie tej kwestii. Urodę mojego przyszłego pełnomocnika potraktowałam jak wartość dodaną i pojechaliśmy windą na pierwsze piętro.

W obszernym lobby sekretariatu owionął nas przyjemny chłód klimatyzacji i powitał wypracowany uśmiech Arlety królującej za kontuarem.

– My do pana prezesa. – Wuj Kazimierz bez ceregieli przystąpił do rzeczy.

Arleta uśmiechała się do niego z beczelną zalotnością, a jednocześnie zezwalała na Konrada.

Wredna małpa! Nie dość, że udaje, że mnie nie zna, to jeszcze zagina parol na obu towarzyszących mi facetów. Niedoczekanie!

Gdybym nawet nie była do tej pory przekonana do planu wuja, na widok kochanki mojego męża porzuciłam wszelkie skrupuły.

Gibkie ciało Arlety wysunęło się wężowym ruchem zza recepcji i popłynęło na nogach do samej ziemi w kierunku gabinetu Jaśka. Jego właścicielka zauważyła, że zapatrzyłam się na jej zaokrąglony brzuszek, i wypięła go dumnie.

– Zobaczę, czy pan prezes może państwa przyjąć – rzuciła, podkreśliwszy słowa powłóczytym spojrzeniem i kuszącym przesunięciem dłonią po bluzce.

Zerknęłam na wuja Kazimierza. Stał po prawniczemu spokojny i opanowany, ale lekko zarumienione uszy świadczyły o tłumionych emocjach.

Wolałam myśleć, że panna Arleta denerwuje nie tylko mnie.

Po dłuższej chwili gidia na wysokich obcasach wychynęła z biura prezesa i udzieliła nam łaskawie przyzwolenia na audiencję.

Wuj ścisnął moją rękę, by dodać mi otuchy.

– Tylko nie wdawaj się z nim w dyskusje – szepnął. – Gramy o jakieś sześć milionów.

## Rozdział 26

### ALEKSANDRA

Zostawiliśmy Konrada przed gabinetem i weszliśmy do środka. Na nasz widok Jasiek uniósł się, z galanterią dopinając marynarkę. Jeżeli nawet nasza wizyta była dla niego źródłem stresu, nie dał tego po sobie poznać.

– Czym mogę służyć? – Na jego ustach błąkał się cwaniacki uśmiezek. – Jeżeli w sprawie rozwodu, to sąd jeszcze nie wyznaczył terminu. A może w sprawie ugody?

– Możemy usiąść? – zignorował pytanie wuj Kazimierz, przypominając prezesowi o dobrych manierach.

– Ależ oczywiście. Marny ze mnie gospodarz. Kawę, herbatę, a może wody?

Żałosne przedstawienie trwało.

Zgodnie z prośbą potulnie i w milczeniu zajęłam miejsce w jednym z wolnych foteli, które swego czasu sama pomagałam wybierać. Żeby uniknąć oglądania Arlety, poprosiłam o wodę. Jasiek uparcie prezentował doskonały nastrój, chociaż pod płaszczykiem pozornego luzu czaiła się niepewność.

Za to wuj pozostawał w pełnej gotowości do przeprowadzenia założonego planu. Zasiadł obok mnie i otworzył teczkę z dokumentami. A kiedy mój mąż zajął miejsce za biurkiem, wyłożył cel naszego najścia.

– Panie prezesie – zaczął oficjalnie – dowiedziałem się o próbie wyprzedaży majątku firmy. Dlatego w interesie mojej klientki, właścicielki sześćdziesięciu procent udziałów, muszę zareagować, by uniemożliwić panu dalsze działanie na jej niekorzyść.

Janka poraził ten prawniczy język i powaga, z jaką wuj Kazimierz podszedł do tematu. Mój mąż nie był głupi i zdawał sobie sprawę z mojej właścicielskiej pozycji.

– Panie Kazimierzu, dlaczego tak formalnie? – Spróbował familiarności. – Sprzedałem dźwig, bo od dawna planowałem transakcję. Zamierzam kupić nowy, lepszy. Może jednak zamówię kawę?

Nie czekając na naszą odpowiedź, wydał dyspozycję Arlecie. A kiedy, pomimo długachnych tipsów, udało się jej postawić trzy filiżanki na blacie, wyszedł zza biurka i usiadł przy nas.

Łaskawca!, pomyślałam z przekąsem. Usiłuje nas zmiękczyć. Znałam jednak wujka Kazimierza i wiedziałam, że nie ma na to szans.

– W kwestii dźwigu to tylko deklaracja Janie, jeśli wolisz mniej oficjalną formę. Wykazałeś się już niechęcią do współpracy, gdy nie wpuściłeś biegłego do firmy. Musieliśmy cię wówczas postraszyć zgromadzeniem wspólników. Dziś także mam podstawy, by twierdzić, że sprzedając dźwig, działałeś po raz kolejny na niekorzyść Aleksandry.

– To nieprawda!

– Nie będę w to wnikał ani po raz kolejny cię sprawdzał. Jak wiesz, biegły wycenił firmę na dziesięć milionów złotych. Prawdziwą jej wartość zweryfikuje rynek przy jej sprzedaży. Ola chce zbyć swoje udziały i tobie jako pierwszemu proponuje cenę za swoje sześćdziesiąt procent, pięć i pół miliona. Zauważ, że nie sześć. Na pół miliona szacuję twój wkład w rozwój przedsiębiorstwa. Niewątpliwie rozumiesz, że zaoferowane przez ciebie Aleksandrze sto sześćdziesiąt tysięcy to śmieszna kwota, nieprzystająca do rzeczywistości.

Jasiek był w szoku. Miałam wrażenie, że w najgorszych snach nie przewidywał takiego obrotu sprawy.

– To jakiś nonsens! Jakim prawem mam płacić własnej żonie za firmę, którą prowadzę i rozwijam bez jej udziału?

Wuj Kazimierz nie tracił rezonu.

– Zgodnie z polskim prawem. Przypominam ci, że Ola dostała swoje udziały od jej świętej pamięci ojca, kiedy to on był właścicielem i szefem.

– A ja jego prawą ręką! To mnie powinien je zapisać!

– Jednak z jakichś względów tego nie zrobił. Przypominam ci, że jeśli zdecydujesz się odkupić udziały od Oli, zapłacisz już niebawem swojej byłej żonie. Byłej na twoje własne życzenie.

Mój małżonek stracił właśnie wszystkie argumenty, ale nie przestawał kombinować.

– Muszę się zastanowić. – Wstał, nalał sobie łyk koniaku i wypił. – Skąd mam nagle wziąć pięć i pół miliona, żeby odkupić od niej maszyny, które niedawno nabyłem?

– Maszyny kupowała firma, Janie. Ty natomiast dostawałeś całkiem solidne uposażenie prezesa, jeszcze za życia Tadeusza zresztą. I dywidendę od całości udziałów, nie tylko od swoich.

– A ona te pieniądze wydawała! – Jasiak wymierzył we mnie karzący palec.

– Nie byłbym tego tak pewny. Dom macie wspólny. Do niedawna Aleksandra nie miała nawet osobistego konta, podczas gdy ty i owszem.

– Skąd pan wie? – Zdumiony Jasiak nie zapanował nad językiem.

– A z tego akurat nie muszę ci się tłumaczyć.

Boże mój, na światło dzienne wychodzą informacje, o których nie miałam pojęcia! Jak to dobrze, że wuj w porę kazał mi otworzyć rachunek i przelać na niego połowę oszczędności z naszego wspólnego konta! O zakamuflowanym mężowskim niczego nie wiedziałam.

Musiałam mieć przerażoną minę, bo wuj zareagował natychmiast.

– Nie martw się – uspokoił. – Macie wspólnotę majątkową, jego pieniądze w połowie należą do ciebie. Bo jak rozumiem, teraz już nie zamierzasz ich transferować na zagraniczne konto? – zwrócił się do Jaśka.

– Pozwę was za inwigilację!

– Janie, uspokój się. Doskonale wiesz, że nie masz podstaw. – Mój prawnik był w swoim żywiole.

– Niniejszym dostajesz od nas tydzień na rozważenie oferty zakupu udziałów Aleksandry. Oczywiście po wprowadzeniu kilku zmian w firmie. – Otworzył teczkę i wyjął z niej przygotowane do podpisu dokumenty.

– Co to jest? – zapał Jasiak nienaturalnie wysokim głosem.

– Uchwała o powołaniu zgromadzenia wspólników. Podpiszecie ją jako członkowie zarządu. A jeżeli nie zechcesz tego zrobić, podpisze jedynie Ola, jako właścicielka większościowego pakietu udziałów.

– Ale na co nam zgromadzenie...?

– W celu powołania Aleksandry na prezesa.

Mój mąż stracił panowanie nad sobą. Miotał się po gabinecie jak lew po klatce, niemal rwał sobie włosy z głowy.

– Ona prezesem? Czy to jakiś żart? A może ja jestem w ukrytej kamerze? Ciekawe, jak sobie poradzisz? – Podbiegł do mnie i rzucił mi nienawistne spojrzenie. – W tydzień firma upadnie i nie dostaniesz ani grosza! Bo ja nie zamierzam przykładać do niczego ręki – wysyczał. – Chcesz ten fotel? Firma to nie tylko on, ale i duża odpowiedzialność! Słuchaj wujka, dobrze na tym wyjdiesz! – Popisał się sarkazmem. – Ale przynajmniej popłyniemy oboje! W głowie ci się przewracało od dobrobytu! – wrzeszczał na pełny regulator.

Wuj Kazimierz wstał i gestem powstrzymał agresora. W samą porę, bo już zaczynałam obawiać się rękoczynów.

– Dość tej tragifarsy! – powiedział. – Podpiszesz, to dobrze, nie podpiszesz, drugie dobrze. A o firmę się nie obawiaj. Nowa pani prezes powoła pełnomocnika, który przejmie twoje obowiązki. To fachowiec, godnie cię zastąpi. Bo masz dwie możliwości: dopóki Ola nie sprzeda udziałów, albo przekazujesz berło pełnomocnikowi pani prezes i odchodzisz, albo nadal prowadzisz firmę, ale pod jego nadzorem. Musisz zdecydować tu i teraz. Straciliśmy do ciebie zaufanie.

Siedziałam jak trusia, przerażona rozwojem wypadków. Pomna przestrogi wuja nawet nie próbowałam się wtrącać. I nawet było mi żal Jaśka, ale tylko do czasu, kiedy na swoich niebotycznie wysokich obcasach niespodziewanie wpłynęła do gabinetu Arleta, prawdopodobnie przywołana awanturą. Ta pusta baba nie miała żadnego wyczucia.

– Czy dolać komuś kawy? – zapytała z anielskim uśmiechem, który jednak szybko zniknął pod lodowatym spojrzeniem kochanka.

W efekcie wypięła na nas zadek i obrażona zamknęła za sobą drzwi.

Nie potrafiłam zrozumieć, czego dopatrywał się w niej mój mąż. Zamiana mnie na taki model

uwłaczała. Na litość boską, gdzie on miał oczy?, myślałam.

Tymczasem Jasiek zdołał się nieco ogarnąć i w trybie ekspresowym powrócił do gry. Podjął próbę zmiękczenia mnie spojrzeniem spaniela.

– Olu, chyba nie zamierzasz wyegzekwować tego idiotyzmu? – zapytał. – Nigdy niczego ci nie żałowałem. Żyjesz w dobrobycie, masz tę swoją oranżerię, szafy pełne ciuchów, zagraniczne wyjazdy. A na tę twoją surogatkę wywalam grubą forszę. I tak mi się odwdzięczasz?

Nawiązaniem do Marii poruszył najczulszą strunę. I się oszukał.

Obaj z wujem Kazimierzem oczekiwali mojej reakcji. Mogła być tylko jedna.

– Jasiek, wreszcie bardzo wyraźnie dostrzegam, jak niewiele dla ciebie znaczyłam i znacę. Z bólem serca obserwuję cię u boku innej kobiety, mężczyznę, z którym pragnęłam się zestarzeć. I nareszcie dociera do mnie, że w dodatku nie jesteś wobec mnie uczciwy w interesach. Tak. Przyszłam tu z moim prawnikiem, żeby przeprowadzić nasz plan. Wolisz pozostać z pełnomocnikiem czy odejść?

Mój mąż był wzburzony, ale opanował emocje.

– Zostaję. Nie oddam firmy w obce ręce. – Słowa z trudem przeszły mu przez gardło. – A właściwie kto to jest?

– Nazywa się Konrad Nowakowski – odparł wuj Kazimierz. – Czeka przed gabinetem na podpisanie przez ciebie wszystkich dokumentów. Nie musisz nic więcej o nim wiedzieć, bo i tak nie będziesz mieć wpływu na jego zatrudnienie. Decyzję w tej kwestii podjęła już Ola.

Po kilku chwilach zostałam panią prezes, a wuj przedstawił Jaškowi jego anioła stróża. Konrad stał w oczekiwaniu na złożenie podpisu na kontrakcie, który upoważniał go do zapoznania się z działalnością firmy i patrzenia na ręce mojemu poprzednikowi.

– Czy mógłbyś teraz zostawić nas samych? Spotkamy się jutro rano. – Wuj Kazimierz uprzejmie wskazał na drzwi, zadając tym samym Jaškowi ostateczny cios. A mnie poprosił o kawę.

– Olu, czy możesz to zlecić swojej nowej sekretarce? Kawa, którą przyniosła wcześniej, już wystygła.

Podchwyciłam chochliki w jego oczach i podjęłam grę, która podobała mi się coraz bardziej.

– Pani Arleto, trzy kawy poproszę – zarządziłam. – Aha, i od dzisiaj proszę na ten numer łączyć ze mną lub z moim pełnomocnikiem, panem Konradem Nowakowskim. Mój mąż od teraz stacjonuje gdzie indziej. Który pokój wybierasz, kochanie? – zwróciłam się do wciąż stojącego w lobby Jaška.

On jednak tylko burknął pod nosem „do jutra” i skierował się do windy.

Prawdopodobnie ulży sobie w ulubionej wykwintnej knajpie, pomyślałam. Na szczęście to już nie mój problem.

Fotel prezesa opustoszał, ale nie zamierzałam w nim urzędować. Na odpowiedź Jaška w sprawie zakupu moich udziałów mogłam przecież równie dobrze zaczekać w domu.

Wujowi, który odwalił kawał dobrej roboty, posłałam pełne wdzięczności spojrzenie.

## Rozdział 27

### MARIA

Nie byłam aż tak stara, żeby nie pamiętać własnych nastoletnich miłości, a już zwłaszcza tej pierwszej. Może nie tak spektakularnej jak ta Kaliny i Krzyśka, wywołującej chmurę motyli w brzuchu, ale także mającej swój urok.

W szkole trzymałam się zazwyczaj na uboczu. Znalazł-szy sobie wygodne, komfortowe i mało zobowiązujące miejsce wśród podobnych mi szarych myszek, podierałam ściany holu, przyglądając się awangardzie kilku koleżanek wiodących prym w podrywaniu co przystojniejszych chłopaków. Dziś już wiem, że jak świat światem powodzenie u płci przeciwnej od zawsze rządzi się swoimi prawami: po pierwsze trzeba chcieć fascynować, po drugie mieć po temu warunki. Nie byłam brzydka, chociaż we własnych oczach mało atrakcyjna i wyjątkowo uwsteczniiona w kontaktach z rówieśnikami. Dlatego kiedy na przerwie zagadał do mnie Dariusz i zaproponował wspólne wyjście na domówkę, niemal odjechałam. Z perspektywy czasu do całej akcji bardziej pasowałoby powiedzenie, że „na bezrybiu i rak ryba”, ale wtedy żywiej zabiło mi serce. Spokojny chłopak, dobry uczeń. A że nieco pryszczaty? Przynajmniej miałam z kim wyjść na imprezę, zamiast z koleżankami obgadywać inne dziewczyny czy gadać o ciuchach i kosmetykach.

Darek okazał się całkiem fajnym kompanem. Znaleźliśmy wspólne tematy. A kiedy (po raz pierwszy w życiu!) zostałam obdarowana bukietem stokrotek, moje uczucie napęczniało. Skąd w głębi duszy czułam, że unosi mnie nie tyle miłość, ile wyobrażenie o niej, nie mam pojęcia. Jednak nie to było ważne. Oto znalazłam kogoś, kto mnie doceniał, chciał, starał się o mnie.

Próbowałam ukryć stokrotki, ale zawsze czujna mama dostrzegła rękę skrywaną za plecami.

– Od kogo to, córuś? Masz chłopaka? – zapytała życzliwie.

Na moją twarz wypłynął rumieniec.

– To tylko kolega. Zbyt dużo sobie wyobrażasz – fuknęłam.

Natychmiast przerwała inwigilację, a ja od tamtej pory bardziej się pilnowałam. Kolejne przemycane pod kurtką bukiety lądowały w wazoniku za łóżkiem.

Moje serce biło coraz mocniej. Dzięki Darkowi poczułam się pewniej. Miałam chłopaka, więc jednak mogłam się podobać. Czasem wprawdzie zerkałam na Wojtka, klasowego przystojniaka, który nawet kilka razy odprowadził mnie do domu po lekcjach, ale wiedziałam, że pewniejszy los czeka mnie u boku Dariusza. Z każdym miesiącem robiło się między nami coraz piękniej, a ja w głębi duszy snułam plany na przyszłość. Dlatego kiedy mój chłopak tuż przed maturą obwieścił, że wybiera się do szkoły morskiej, odebrałam to jako cios w samo serce.

– Dlaczego? Nic wcześniej nie mówiłeś! – Zareagowałam gwałtownie. – Jak sobie to wyobrażasz? Kiedy będziemy się widywać?

– Marysiu, będę przyjeżdżał na przepustki...

– Przecież chciałeś studiować fizykę!

– Jednemu do drugiego blisko. Na statku potrzebni są różni specjaliści. Może kiedyś zostanę kapitanem? – rozmarzył się Darek. – A ty nie mogłabyś studiować polonistyki w Gdańsku?

Nawet nie brałam pod uwagę takiej opcji. Rodziców nie stać było na utrzymanie mnie w obcym mieście. Wiedziałam o tym od zawsze i szukałam kierunku na miejscu.

Mój chłopak, stawiając mnie przed faktem dokonanym, bardzo mnie zawiódł. Nie docierały do niego żadne argumenty, prośby, wątpliwości, a nawet łzy. Chyba jednak nie byliśmy zbyt blisko, skoro przez czas trwania naszej znajomości nie ujawnił przede mną swoich ciągotek do morza. Przepląkałam kilka nocy, ale jednocześnie uświadomiłam sobie, że nie kocham go wystarczająco, by wyczekiwać kolejnych przepustek.

Pewnego wieczoru wybrałam się z koleżanką na mias-to. Obie miałyśmy już indeksy w kieszeni: ja na swojej polonistyce, ona na biologii.

Aśka zaciągnęła mnie do knajpy w podziemiach ratusza. Zamówiłyśmy piwo, a co! Należało się nam za te kilka lat kiblowania w liceum, poddawania się szykanom chemiczki i czołgania przez

matematycę! Jak ja się cieszyłam, że teraz będę już tylko czytać książki i zdawać z tego egzaminy. Wszystkie wzory i prawa fizyki miały odpłynąć w niepamięć na całe życie.

I tylko myśl o wyjeździe Dariusza do Gdyni nie dawała spokoju.

Aśka była w doskonałym nastroju. Zakręciła przed barmanem zgrabnym tyłkiem i zgarnęła z kontuaru dwa kufle.

– Zapraszam! Wręcz ponaglam! – zachęciła do skosztowania trunku z grubą warstwą piany. – Fajny ten barman. – Rzuciła w kierunku lady rozmarzone spojrzenie.

– Ciekawe, co by na to powiedział Łukasz? – przypomniałam jej o chłopaku, z którym chodziła.

– Mamusia Teresa się odezwała! Jego problem, skoro zdecydował się studiować z dała ode mnie. Inżynierek pieprzony! A ten twój Dareczek? Nadal chce być kapitanem?

Poczułam, że dobrze wybrałam towarzystwo na wieczór. Byłyśmy w podobnej sytuacji i mogłyśmy ponarzekać na los. Tyle że żadnych utyskiwań nie było. Aśka uświadomiła mi, że jeśli Darek mnie kocha, to przeżyje rozłąkę. A ja nie powinnam się martwić.

– Tego kwiatu jest pół świata. – Z każdym piwem coraz dobitniej cytowała ludową mądrość. – Co prawda na naszych kierunkach faceta trzeba szukać ze świecą, ale damy radę – zapewniała mnie, puszczając jednocześnie oko do barmana.

W pewnym sensie podzielałam jej zdanie, chociaż do płci przeciwnej nadmiernie mnie nie ciągnęło. Żałowałam raczej chwil spędzonych z Dariuszem i nie bardzo potrafiłam wyobrazić sobie siebie w roli Penelopy.

Lekki szmer w głowie pozwolił mi odsunąć te problemy na bok. Zwłaszcza że do knajpy wkroczył właśnie Wojtek z kolegą.

– Hej! Jesteśmy tutaj! Trzymamy dla was miejsce! – Ręka Aśki powędrowała w górę.

Nie do końca miałam ochotę na towarzystwo akurat w tej chwili. A mimo to na widok Wojtusia niespodziewanie zabiło mi serce. Niewykluczone, że mocniej, niż gdyby w drzwiach pojawił się Darek.

– Cześć, dziewczyno! Zamówić wam coś? – Jak zwykle szarmancki Wojtek obdarzył mnie aksamitnym spojrzeniem. – To jest Dzidek – przedstawił swojego kompana, który z miejsca przysiadł się do Aśki.

Po chwili na stół wjechały cztery kufle piwa.

Wcześniej miałam trochę dość, ale obecność Wojtka mnie otrzeźwiła. A kiedy zostaliśmy sami przy stoliku, odżyły licealne emocje.

– Dostałem się na medycynę – powiedział. – A ty? Zostajesz na naszym uniwersytecie?

– Tak.

– Nie chciałaś studiować poza domem?

– Może i chciałam, ale wybrałam, co mogłam. Tyle dobrego, że nie zostanę Einsteinem – roześmiałam się z własnego dowcipu.

– Coś w tym jest – odparł Wojtek i sięgnął do mojej ręki. – Gdybyś zechciała kiedyś odwiedzić mnie w Gdańsku...

Ta propozycja spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. W dodatku towarzyszyło jej spojrzenie, przed którego urokiem nie potrafiłam się bronić.

– Może przy okazji odwiedzin u Darka? – palnęłam.

Wojtek przeprosił mnie na chwilę. Wyszedł na rynek i wrócił z bukietem fiołków.

– To dla ciebie – powiedział po prostu.

Nie dodał nic więcej.

W październiku rozpoczęłam studia i wkroczyłam w nowy, nieznaną czas. Darek wyjechał już w połowie września, więc za namową rodziców odmalowałam swój pokój, który miał mi posłużyć przez kolejne pięć lat.

Myślałam o dobrych początkach i ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie bardzo tęsknię za moim chłopakiem. A kiedy po inauguracji odezwał się Wojtek, moje serce znów zabiło mocniej.

Płynęły miesiące, relacja z Darkiem gasła. Przyjeżdżał rzadko, przestał dzwonić, co na początku niepokoiło, ale z czasem przestało martwić. Dojrzałam. A w chwili gdy poinformował mnie o trzymiesięcznym rejsie, poczułam ulgę.



Przyjmowałam zaproszenia od Wojtka na kawę lub piwo, kiedy tylko zjeżdżał do naszego miasta, i powoli grzebałam swoją dawną miłość. Nie byliśmy parą, ale gdyby potrafił patrzeć, dostrzegłby, że bardzo mu sprzyjam.

Niestety i on przyjeżdżał coraz rzadziej. A gdy spotkaliśmy się w knajpie w towarzystwie innych znajomych, zapoznał mnie ze swoimi planami.

– Wpadłem. Żenię się – powiedział, gdy wyszliśmy na papierosa. – Ona też studiuje medycynę. Może będziemy szczęśliwi?

Potaknęłam i pogratulowałam. A wkrótce trafiłam na Władka.

Tym razem nie czekałam, aż los mi go odbierze. Czas pokazał, że to nie ten jedyny, ale wtedy myślałam inaczej.

Naprawdę rozumiałam, jak bardzo moja Kalinka zawiodła się co do swojej przyszłości. Dwa lata rozłąki z Krzysiem... Cierpiała, bo nie wiedziała jeszcze tego co ja: że młodzieńcze porywy serca często bywają nietrwale.

Ale ja dobiejałam do czterdziestki. Czego wymagać od szesnastolatki?

– Kochanie, czy ten wyjazd to pewnik? – zagadnęłam oględnie.

– Sądzisz, że sobie to wymyśliłam? Pamiętasz, mówiłam ci, że rodzice zostawili nas nad jeziorem i wyskoczyli do Warszawy. Pojechali podpisać kontrakt. Będą pracować w szpitalu w Hiszpanii, w Maladze. Nam powiedzieli dopiero po fakcie.

– Kalinko, to jeszcze nie dramat... – spróbowałam.

Moja córka nie chciała słuchać, co mam jej do powiedzenia.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – Była bliska łez. – Krzyś nie chce jechać na tak długo, ale jest niepełnoletni i nie ma nic do gadania! Czy jego starzy sądzili, że gdy porozmawiają z nami „poważnie” – Kalina zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu – my wszystko zrozumiemy i powiemy „okej”? – Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. – Jak oni sobie to wyobrażali? Krzyś w Maladze, a ja tu? Mamuś, ja nie chcę się z nim rozstawać na całe dwa lata!

Bardzo jej współczułam, zwłaszcza że miałam świadomość, że niewiele mogę zdziałać. Umowa na zagraniczny kontrakt państwa Kłosiów została podpisana i święty Boże nie pomoże. Ani modlitwy dwojga zakochanych szesnastolatków, ani wierzganie nogami.

Już rozumiałam nagły odwrót rodziców Krzysztofa z Tulipanowej. I niemal nietkniętą, mimo pochwał, bezę.

– Wiem, córeczko – powiedziałam. – Dawno temu też byłam młoda.

– Kiedy to było? – wygarnęła z grubej rury Kalina. – A teraz to nawet nie mieszkasz z tatą!

Życiowy rollercoaster wznosił się nieubłaganie.

Czekała mnie niezła jazda.

## Rozdział 28

### MARIA

Błogosławiłam noc, która nareszcie nadeszła, pozwoliła się położyć i odpocząć po ciężkim dniu.

W ciągu minionych godzin Kalina przechodziła przez kolejne fazy i etapy rozpaczy, od złości aż do łez i próby poszukiwania rozwiązania. Dyskontowanie ich sprawiało mi największą trudność. Liczyła na mnie, a ja nie mogłam jej pomóc. Stałam się wrogiem publicznym numer jeden.

Po załagodzeniu przeze mnie kolejnego ataku płaczu moja córka nagle zastrzygła uszami i przedstawiła mi wspaniały plan na najbliższą przyszłość.

– Mamuś, a gdyby tak Krzyś zamieszkał z nami? Mógł-by spokojnie skończyć liceum i bylibyśmy razem!

Brakowało tylko „eureka!”.

– Jak sobie to wyobrażasz, kochanie? – zapytałam. – We czwórkę w naszym malutkim mieszkaniu z przechodnim pokojem? A poza tym jego rodzice nigdy nie przystaliby na taki układ. Krzysztof jest niepełnoletni. Nie zostawią jedynaka u obcych ludzi. Zresztą my z ojcem nie mamy prawa do opieki nad nim.

– A gdybyśmy tak zamieszkali tutaj? – Kalina rozejrzała się po pokoju. – Mówiłaś, że ta pani Zofia pozwoliła ci korzystać z domu, jak długo zechcesz.

Nieznośna lekkość bytu nastolatki! Nawet, wydawać by się mogło, tak rozsądnej jak moja córka.

– Dziecko, nie można każdej deklaracji brać dosłownie. – Studziłam zapał. – Zofia, proponując mi lokum, miała na myśli okres ciąży i letnich upałów. Nie mogę zawłaszczyć jej domu tylko dlatego, że mam złe warunki mieszkaniowe. Poza tym ona ma dwoje dzieci w Niemczech, które po niej dziedziczą. Kalinko, bardzo mi przykro z powodu wyjazdu Krzysia, ale nie jestem w stanie pomóc.

– To co zamierzasz dalej? Zostajesz tutaj?

– Chciałabym. Decyzję uzależniam od ciebie. Jeśli zechcesz mi towarzyszyć, pobędziemy na Tulipanowej do końca wakacji. Jeśli nie, wrócimy do domu.

– W takim razie załatwiał na jutro transport! Nie będę siedzieć u obcej kobiety! Myślisz tylko o sobie! – Moje dziecko ukarało mnie za brak współpracy w sprawie Krzyśka.

Rozumiałam jej żal, ale słowa bodły niczym rogi. Przecież to dla niej nosiłam tę nieszczęsną ciężę, parłam do przodu mimo przeciwności losu, poróżniłam się z mężem. Ale to był już inny temat.

Nie widząc możliwości porozumienia, zebrałam naczynia po kolacji i zarządziłam kąpiel.

– Masz w łazience ręcznik i przybory do mycia – powiedziałam. – Porozmawiamy jutro. Rano jadę do pracy, w lodówce jest obiad do odgrzania. Po południu wrócimy do domu – skwitowałam wyczerpana. Czułam, że dzieciom też daje się we znaki zmęczenie, i przypominałam sobie, jak powinnam o nie dbać. – Dasz sobie radę?

Kalina prychnęła i zręcznym ruchem poprowadziła wózek w kierunku łazienki.

Kolejny poranek nie przyniósł przełomu w naszych relacjach, ale przedpołudnie w pracy dało chwilę oddechu od problemów. Nasz dom opieki żył jutrzejszym piknikiem Barbary i Teodora. Na korytarzach panował niecodzienny ruch. Staruszkowie wykazywali ożywienie, powodowani nadzieją na udany sobotni wieczór i przewidywane zaręczyny. Takie okazje nie zdarzały się często.

Szu, szu, szu tu, szu, szu, szu tam. Wrzało jak w ulu.

Szefowa wezwała mnie do siebie.

– Marysiu, jestem nieco zaniepokojona tym pobudzeniem – zaczęła, kiedy tylko przekroczyłam próg jej gabinetu. – Tak to przeżywają, że jeszcze mi tu ktoś dostanie zawału! Może zamówić na jutro karetkę, tak na wszelki wypadek? – zażartowała.

– Będzie dobrze, pani Wiesiu. Zrobiłam rekonesans w kuchni, wszystko pod kontrolą. Pani Łucja skończyła dziergać serwetki, inni zamówili kwiaty dla bohaterów wieczoru, zaraz ma przyjść fryzjerka, żeby uczesać kilka głów. Będę jutro i dopilnuję porządku – zadeklarowałam.

– Czujesz się na siłach? – spojrzała z niepokojem. – Bo ja, jeśli można, wolałabym zostać w domu.

– Oczywiście – zapewniłam ją trochę na wyrost.

Z tyłu głowy nieustannie miałam wyprowadzkę z Tulipanowej i własne samopoczucie. Nie było złe, ale wymagało bacznej uwagi.

– Szkoda, że Julian wyjechał. Pomógłby ci.

Rozłożyłam ręce.

– I nie wiem, kiedy wróci. Poprosił o pełny wymiar urlopu. Chyba ma jakieś problemy – dodała pani Wiesia.

Nie czułam się upoważniona do zapoznawania jej z sytuacją Julka, ale podobnie jak szefowa ubolewałam nad jego nieobecnością. Dobrze przynajmniej, że Iza zgodziła się popracować w sobotnie popołudnie. Od kiedy jej Januszek powrócił na łono rodziny, złapała drugi oddech. No i malowała się dwa razy mocniej niż zwykle.

– Obiecałam mu przynieść pierogi Barbary i jeszcze trochę łakoci, więc zgodził się popilnować dzieci! – piszczała z zachwytu, że urwie coś ze stołu i jeszcze trochę zarobi za nadgodziny. – A i wermut na późniejszy wieczór już się chłodzi – wyszeptwała, mrużąc oczy. – Nie będę ci mówić, co będzie dalej... – Prężyła przed lustrem zgrabne ciało. – No nic, muszę wracać do naszych starowinek. Stroszą piórka przed jutrzejszym party!

Uśmiechnęłam się, a może nawet roześmiałam, ale trzeba było Izę zaakceptować taką, jaka była. Dobra dziewczyna, mało skomplikowana. Januszek w domu – pełnia szczęścia. Januszek zdrazca – będę się truć. Na szczęście teraz była na wznoszącej. Mąż wrócił, wermut w lodówce. A w perspektywie dobry seks.

Przez moment zastanowiłam się, czy taki układ by mi odpowiadał. Odpowiedź była jednoznaczna – nie.

A może zbyt wiele oczekuję od życia?, przemknęło mi przez głowę.

Tuż przed wyjściem z pracy dopadła mnie Zosia.

– Kalinka przyjechała? – zapytała.

Miałam wyrzuty sumienia, że przez cały dzień nie znalazłam czasu, żeby z nią porozmawiać o naszej wyprowadzce.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Wróciła wczoraj, ale chce mieszkać w domu. Dziękuję za gościnę, a klucz przywiozę jutro, dobrze?

– Ale dlaczego?

– Zosiu, sądzę, że jutro znajdziemy kilka chwil dla siebie, to wszystko ci wyjaśnię. A teraz muszę jechać i nas przeprowadzić.

Patrzyła na mnie zdezorientowana i smutna. Byłam jej winna tłumaczenie, ale zwyczajnie nie miałam na nie czasu. I niepokoił mnie brak wiadomości od Kaliny.

Jak się okazało, niepotrzebnie. Kiedy wpadłam do domu, zastałam ją przy komputerze. Brak brudnych naczyń w zlewie świadczył, że nawet nie zajrzała do lodówki. Pełna walizka czekała przy drzwiach.

Cóż, od wczoraj nic się nie zmieniło. Moja córka była gotowa na powrót do domu.

– Jestem! – zaanonsowałam przybycie. Rzuciłam torbę na antyczną konsolkę pod lustrem w przedpokoju. – Możemy się zbierać – dodałam.

Kalina pośpiesznie zatrzasnęła laptop.

Zamierzałam ją przekonywać, ale na widok grymasu na jej twarzy zrezygnowałam. Nie było sensu.

– Odgrzeję obiad.

Nie cmoknęłam Kaliny w policzek, tylko od razu podążyłam do lodówki. W pół drogi zatrzymałam mnie komunikat, że nie jest głodna. Ruszyłam dalej, bo ja byłam. Sięgnęłam po zimną pałkę pieczonego kurczaka i na moment uległam rozkoszy. Najchętniej położyłabym się na pół godziny, niestety moja córka oczekiwała czego innego.

– Zbiorę swoje rzeczy i zamawiam taksówkę – oznajmiłam chłodno.

Na górze padłam na łóżko. Powieki ciążyły, mięśnie nóg powoli się odprężyły. Niewiele brakowało, by opanowała mnie senność, ale zapikała komórka, obwieszczając nadejście wiadomości.

Wyświetlacz pokazał numer Juliana. Postanowiłam przeczytać.

„Poznaję swojego syna od nowa. Nie jest łatwo, ale bardzo się staram. A co u Ciebie? Kalina przyjechała? Jutro macie przyjęcie Baśki i Teodora, żałuję, że nie mogę z Wami być. Przepraszam, że zawiodłem, ale już myślę, jak sobie wszystko ułożyć. Pozdrawiam Cię serdecznie i Kalinę również. Do szybkiego zobaczenia. J.”

Dałabym dużo, żeby teraz tu był, pomyślałam, niechętnie podnosząc się z łóżka. Pomógłby mi w przeprowadzce. Co ja mówię?, przyłapałam się na nieprawomyślności, przecież przy nas powinien być teraz Władek!

Mój mąż nie dzwonił od dawna i choć jego milczenie było mi na rękę, wiedziałam, że taki stan rzeczy nie będzie trwać wiecznie. Postanowiłam odezwać się pierwsza.

„Jak pewnie wiesz od Marzeny – napisałam – od pewnego czasu mieszkałam w domu naszej pensjonariuszki. Ale Kalina wróciła z wakacji i wracamy do nas. Myślę, Władek, że powinniśmy porozmawiać. Czas przestać się ukrywać i robić uniki. Jutro siedzę w pracy do późnego wieczora, ale potem znajdę chwilę na spotkanie z Tobą. Chciałabym wiedzieć, na czym stoję. Na czym stoimy wszyscy. Odezwij się. M.”

Esemes pofrunął, a mnie ulżyło. Cokolwiek nastąpi, będzie lepsze niż trwanie w niestałości i niepewności jutra. Władek powinien się zadeklarować, co dalej z naszym małżeństwem.

– Mamo, zasnął czy co? – zawołała z dołu Kalina. – Czekam na ciebie!

Z trudem pozbierałam ręce i nogi, rozprostowałam kręgosłup, który z dnia na dzień coraz bardziej dawał o sobie znać, i obciążona wypakowaną torbą z ciuchami powoli zesłam po schodach.

– Już jestem. Mogę wezwać taksówkę? – zapytałam pod naciskiem pełnego wyrzutu spojrzenia.

– Jestem gotowa od rana! – prychnęła moja córka.

Nie poznawałam jej. Pohamowałam jednak gwałtowną reakcję, bo w lewym boku poczułam skurcz.

Szkoda, że cię tu nie ma!, pomyślałam w przyływie nagłej niepewności o Julianie, ale równie szybko ustawiłam się do pionu.

– Taksówka będzie za kilka minut – zakomunikowałam, siląc się na pogodny ton. – Zabrałaś wszystko?

Nie odpowiedziała, tylko kliknęła w ekran komórki. Konwersacja z Krzysztofem miała się świetnie.

Drogę do domu przebyliśmy w milczeniu – Kalina wciąż nadąsana i pokrzywdzona przez los, ja zgnębiona jej zachowaniem i problemami, które obie będziemy musiały w najbliższym czasie pokonać. No i jeszcze to klucze w boku.

Taksówkarz okazał się całkiem empatycznym facetem i pomógł kobiecie w ciąży i nastolatce na wózku zatargać bagaże do mieszkania. Na dodatek nie przyjął dziecięciu złotych, którymi chciałam się zrewanżować za przysługę. Rozczuliłam się, nieprzyzwyczajona do objawów czystej ludzkiej życzliwości.

– Gorąco tu, trzeba przewietrzyć. – Powoli, żeby nie potęgować upartego bólu, podeszłam do okna. – Pomóc ci się wypakować?

– Poradzę sobie! – usłyszałam burknięcie, więc odpuściłam.

Ja miałam do rozpakowania torbę z żywnością i swoimi rzeczami. Przydałoby się zrobić kolację, stwierdziłam, choć wizja tej aktywności napawała mnie lękiem przed wysiłkiem. Najchętniej położyłabym się do łóżka i wypoczęła przed jutrzejszym długim dniem, który zamierzałam przeżyć bez skorzystania z karetki, którą żartem chciała zamówić szefowa na wieczorek Barbary i Teodora.

Ostatkiem sił przygotowałam kilka kanapek dla Kaliny.

– Kolacja. Zjedz coś. – Postawiłam przed córką talerz.

Z tęsknotą spoglądałam w kierunku łazienki, przedpola wieczornego snu.

Nie przewidziałam jednak, że mój wieczór jeszcze się nie skończył. W zamku zazgrzytał przekręcany klucz i po chwili w przedpokoju pojawił się Władek.

## Rozdział 29

### MARIA

Ty tutaj? – powitał mnie niezbyt przyjaźnie.

Zerknęłam, czy nie przyprowadził kogoś jeszcze, ale był sam. Przyjechał chyba na krótko, skoro nie dostrzegłam walizki ani torby z rzeczami. W ręce trzymał jedynie miękką siatkę z tkaniny, w której wyraźnie odznaczały się kontury kilku butelek z piwem.

W tej samej chwili do przedpokoju wjechała Kalina.

– Tato! Wróciłeś?

– Cześć, córka. Widzę, że i ty już jesteś w domu. Jak było nad jeziorem? – Władek wyraził zainteresowanie.

– Fajnie. Mam zdjęcia. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać – zaproponowała z uśmiechem.

Ja byłam be, więc nie dostąpiłam zaszczytu zapoznania się z wakacyjnym fotograficznym archiwum. Za to dawno nieoglądany ojciec z siatą piwa zasłużył na dobre traktowanie.

Po twarzy Władka przemknął grymas satysfakcji.

Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że mój mąż nie przyjechał do domu, by zajmować się córką, ale grzecznie przysiadł i poświęcił jej kilka chwil. Zrobił króciutką przerwę na wyjęcie z siatki pęta kiełbasy i pomachanie mi nim przed oczami.

– Przywiozłem swojską. Może przyda ci się na kolację.

– Kalina już ma kolację, ja nie jem, a ty możesz sobie zrobić. Zostało kilka kromek chleba – poinformowałam go i ruszyłam do łazienki.

– Będziesz się kłaść? Chciałem porozmawiać – powiedział, nie bacząc na obecność córki.

– Może kiedy indziej. Miałam ciężki dzień, a jutro idę do pracy – odparłam i zamknęłam za sobą drzwi.

Wyglądało na to, że Władek zamierza spędzić noc w domu, czytaj: ze mną w jednym łóżku. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Może prześpi się na materacu?, zanośliam w myślach modły. Liczyłam, że się zagada z Kaliną i da mi spokój. Byłam bardzo zmęczona.

Niestety, płonne nadzieje. Nie wiem, co mój mąż powiedział córce, ale kiedy wróciłam po kąpieli, zaszyła się w swoim pokoju. Władek siedział rozparty w fotelu, podgryzając kiełbasę, którą zapijał piwem.

Kręciłam się, przygotowując łóżko, ale moja aktywność nie zniechęcała go do konsumpcji. Doleciał do mnie intensywny zapach czosnku, który tak drażnił na początkowym etapie ciąży. Na szczęście teraz tylko przenikał powietrze.

– Możesz przerwać na chwilę? – zapytał Władek. – Bo widzę, że jesteś bardzo zajęta.

Czyżbym mogła oczekiwać od męża zrozumienia?

– O co ci chodzi? – Odłożyłam na chwilę kołdrę.

– Przyjechałem porozmawiać o nas.

– Jutro mamy w domu opieki uroczysty wieczór dwojga pensjonariuszy, a ja zobowiązałam się wobec szefowej wszystkiego dopilnować – wyjaśniłam spokojnie. – Muszę być w formie, dlatego pozwól, że się położę. Gdybyś nie pamiętał: jestem w ciąży z bliźniętami i nie najlepiej się czuję. Odłóżmy rozmowę do jutra, proszę.

Niestety, Władek nie zamierzał niczego rozumieć. Pojęłam, że jak mówiła Marzena, żyje już w innym świecie, z inną kobietą, a przyjechał tylko po to, by poukładać sobie sprawy ze mną. Nie zamierzał niczego ratować ani przejmować się jakąś tam ciążą.

Zamilkł na chwilę, po czym otworzył kolejną butelkę piwa, z której pociągnął kilka solidnych łyków. Zapewne dodały mu animuszu, bo nie odpuścił.

– Maryśka, kryłaś się przede mną, okej – wymamrotał. – Nie podoba ci się moje życie, twoja sprawa. W każdym razie ja mam tego wszystkiego dosyć.

– Czego? – zapytałam.

– Nigdy mnie nie szanowałaś. Zawsze byłem niedouczonego mężem, jakże innym od twoich

kolegów ze studiów. Budowlaniec, dźwigowy, robotnik. A ty wielka mądrała, chociaż studiów nie skończyłaś. Nie byłem w stanie zapewnić ci takiej chałupy, jaką mają Borykowie, ani takich samochodów. Choćbym nie wiem ile pracował.

Nie przerywałam.

Jak on mógł? Kochałam go przez całe nasze wspólne życie, nie narzekałam na naszą klitkę na dużym osiedlu. Burzyłam się jedynie na jego podejście do pracy. Przeżyliśmy razem mnóstwo miłych chwil, dlaczego zatem teraz muszę wysłuchiwać tych raniących serce zarzutów? Co złego zrobiłam? Gdzie popełniłam błąd?

Senność odeszła. A ja chciałam wysłuchać tej litanii do końca, zdając sobie sprawę, że kolejna chwila szczerości może nie pojawić się nigdy. Władek, jak większość mężczyzn, nie potrafił mówić o uczuciach.

– Niedawno poznałem kogoś, kto mnie rozumie i ceni – oznajmił.

– I oczekujesz ode mnie błogosławieństwa na nowej drodze życia?

– Nie jesteś zła?

– Władek, jestem rozżalona, że raczysz mnie takimi rewelacjami w trudnym dla nas momencie.

Szczególnie trudnym dla mnie. Ale ucieszę cię. Marzena wspomniała o sąsiadce, z którą znalazłeś wspólny język. Jeszcze jakiś czas temu potraktowałabym wasz romans jak cios w samo serce. Byłam z tobą na dobre i złe i wbrew temu, co mi insynuujesz, kochałam cię, szanowałam i uważałam za dobrego męża i ojca. Niestety, w trakcie zaplanowanej przez nas wspólnie zastępczej ciąży dużo się zmieniło. Okazało się, jak niewiele dla ciebie znaczymy. Tak, właśnie tak. Kalinka również, bo to dla niej noszę dzieci obcej pary. Nie wściekałam się na ciebie za przejściowy brak pracy, bo to każdemu może się przydarzyć. Tymczasem ty wybrałeś inne życie, zwieńczone teraz poznaniem innej kobiety. Władek, nikt nie lubi zostać porzucony po dwudziestu latach małżeństwa, ale wolę jasne sytuacje. Wiesz, dlaczego ukrywałam się przed tobą w domu przyjaciółki? Bo bałam się, że w naszym domu dojdzie do rękoczynów. Chyba rzeczywiście już cię nie kocham, skoro nie pozwoliłabym, żebyś mnie bił...

– No coś ty? – zachnął się, zaskoczony moją tyradą.

– Władek, doskonale wiesz, że mam rację. Chyba rzeczywiście do siebie nie pasowaliśmy.

Chcesz, to odejdz, nie będę ci sprawiać problemów. Kalina jest już duża, zrozumie.

Mój mąż nie był przygotowany na to, że ot tak oddam go innej kobiecie i złożę broń bez walki, zanim jeszcze zdąży o to poprosić. W reakcji na nieoczekiwany sukces pociągnął kolejny łyk piwa.

– To jak dalej widzisz nasze stosunki? – zainteresował się.

– Mam wrażenie, że to ty przyjechałeś z konkretną propozycją – odparowałam.

– Że niby rozwód?

– A co? Chyba nie zamierzasz żyć na dwa domy?

Naprawdę sądził, że rozplynie się we łzach i jeszcze usmażę mu jajecznicę na boczku?

Położyłam się do łóżka.

– A, i jeszcze jedno – poprosiłam. – Kiedy jutro wyjdę do pracy, wyjaśnij Kalinie, że znalazłeś sobie nową kobietę z dzieckiem i chcesz rozwodu. Nie zamierzam brać tego na swoje barki.

O dziwo, zasnęłam szybko, bez zamartwiania się, gdzie przenocuje mój mąż. Rankiem zobaczyłam go śpiącego na materacu na podłodze. Miałam nadzieję, że kiedy wrócę, już go nie będzie.

W drodze padało, przez miasto przechodził front atmosferyczny. Przeklęłam w duszy pogodę, myśląc o popołudniowym przyjęciu. Mieliśmy wprawdzie w domu opieki parasole ogrodowe i zadaszoną altanę, ale siąpiący kapuśniaczek i przenikający do kości ziąb do niczego nie były potrzebne.

Zerknęłam do internetu, przejaśnienia zapowiadano dopiero około dziewiętnastej. Za późno, westchnęłam w duchu, bo imprezę mieliśmy rozpocząć tuż po obiedzie. A Barbara i Teodor tudzież pozostali pensjonariusze tak bardzo czekali na swój wielki dzień! Chętnie przychyliłabym im nieba.

Nastroje w Jesiennej Przystani, zgodnie z moimi przewidywaniami, nie były najlepsze.

– Marysiu, co zrobimy? – Pani Łucja dopadła mnie przy drzwiach i wskazała na szarugę za oknem.

– Przejdzie – pocieszyłam starsuszkę, siłąc się na optymistyczny ton.

Gdybym jeszcze sama w to wierzyła!

Zajrzałam do szefowej. Wprawdzie zapowiadała, że nie przyjdzie, ale po cichu się jej spodziewałam. Najwidoczniej nie czuła się najlepiej, bo gabinet był pusty.

Na szczęście mnie przeszło wczorajsze klucie w boku i towarzyszący mu niepokój o dzieci.

Ola przez ostatnie kilka dni rzadko się odzywała, ja też nie wybierałam jej numeru. Ale kiedy znalazłam wolną chwilę i usiadłam nad filiżanką herbaty, ze zdziwieniem stwierdziłam, że tęsknię. Próbowałam przepędzić to uczucie machnięciem ręki. Nic z tego.

„Życie nie znosi próżni”, przypomniałam sobie, co mówiła mama, gdy w przebłyskach świadomości próbowała mnie oswoić z samotnością po swoim odejściu. „Ludzie znikają, pojawiają się inni. Zobaczysz, kochana, spotkasz jeszcze wielu wspaniałych ludzi, którzy będą ci bliscy”.

Czy miała na myśli moich biologicznych rodziców? Nawet jeśli tak, nie zdradziła się z tym w żaden sposób. Tyle że teraz tak właśnie chciałam to widzieć. Czyżby wiedziała o istnieniu Oli? Obserwowała rodzinę Kniaziów?

Mamo, dlaczego mi nie powiedziałaś, że mam siostrę?

Poczułam nieodpartą chęć, żeby porozmawiać z Olą. Bez oporów, szczerze powiedzieć jej o Władku, Kalinie, a nawet o tej parszywej pogodzie, która mimo upływających godzin nie miała ochoty się zmienić.

A tak pragnęłam, żeby naszym staruszkom zaświeciło słońce!

Może jutro zadzwonię do Oli, kiedy już uporam się z robotą, postanowiłam, dopijając ostatni łyk herbaty.

Do gabinetu wpadła Iza.

– Co robimy, Maryśka? Na dworze leje, nie ma sensu rozkładać się w ogrodzie. Dziadki chodzą jak w klatce, ogólna rozpierducha. Chyba rozstawimy jedzenie w stołówce?

– Już tam idę. – Z trudem podniosłam się z fotela. – A jak tam wieczór z Januszem? – Znacząco uniosłam brwi.

Rozanielony wyraz twarzy świadczył, że był udany.

– Dzisiaj mogę góry przenosić! – pisnęła Iza. – Szefowo, tylko powiedz, co mam robić!

Miło było patrzeć na czyjeś szczęście.

– Porozstawiać talerze i wazony z kwiatami! – zakomenderowałam, wchodząc w rolę kaprała. – Odmaszerować!

– Tak jest! – Pognała, pozostawiawszy po sobie podmuch wiatru.

Nawet nie śmiałam marzyć, że kiedykolwiek będę w takiej kondycji i stanie szczęśliwości jak ona. Może to nie wydarzy się nigdy?

Taka karma, westchnęłam i ruszyłam nadzorować przygotowania.

## Rozdział 30

### ALEKSANDRA

Konrad Nowakowski okazał się całkiem sensownym facetem. Przed podpisaniem umowy kontraktowej przedstawił mi swoje referencje i osiągnięcia w kilku firmach, które wyciągnął z dna zapaści. Nie przeraziły mnie nawet jego oczekiwania finansowe. Jako się rzekło, za święty spokój i ochronę przed wyprzedaniem majątku przez Jaśka byłam skłonna zapłacić mu dwadzieścia tysięcy miesięcznie, tym bardziej że nie wyglądało, że popracuje u mnie przesadnie długo. Miałam nadzieję szybko sprzedać swoje udziały i prawdę mówiąc, liczyłam w tym zakresie na jego pomoc.

Firma przynosiła naprawdę niezłe zyski, co uświadomiłam sobie po zapoznaniu się z dokumentami. Te dwanaście tysięcy miesięcznie na Marię nie stanowiło dla Jaśka większego problemu.

Że też wcześniej byłam tak głupia i nie interesowałam się naszymi przychodami!

Wdzięczna, że nie muszę martwić się o każdy grosz, przypomniałam sobie, że wuj Kazimierz wspominał o prywatnym koncie mojego męża. Ciekawe, ile Jasiak zdążył na nim zgromadzić? Niedoczekanie! Tym razem lepiej zadbam o swoje interesy i sprzedam mu udziały za sześć, a nie za pięć i pół miliona złotych, jak oferował mu wuj, postanowiłam. Przecież tato zmarł nie tak dawno i do końca prowadził firmę. Jasiak zarządzał nią jedynie półtora roku. I za to miał dostać dodatkowy bonus w postaci pięciuset tysięcy? Przesada!

Jak się miało niebawem okazać, nie doceniłam wuja Kazimierza i jego talentów negocjacyjnych.

Umowa z Nowakowskim została podpisana, pełnomocnictwa przekazane. Pan Konrad mógł swobodnie poruszać się po firmie i zapoznawać z jej działalnością.

Zapytałam go, co mam teraz robić.

– Przeczytałam raport biegłego, znam schemat firmy, teraz chcę się spotkać z szefami działów. Zwołajmy zebranie na – spojrzał na zegarek – piętnastą. Zleci pani sekretarce powiadomienie wszystkich zainteresowanych? Na spotkanie zapraszam również panią prezes, przynajmniej na jego początek, bo trochę potrwa. Codziennie będę zdawał raporty ze swojej pracy. Oczywiście niezbyt obszerne, raczej treściwe. Ale jeśli pani uzna za stosowne, proszę mi patrzeć na ręce – powiedział z przekornym uśmiechem.

– Mam całkowite zaufanie do mojego prawnika – odparłam, wytrzymując jego spojrzenie – a on pana rekomenduje. Czy mamy do załatwienia jeszcze jakieś formalności?

– Nie licząc zwołania zebrania, nie – odparł Konrad. – Do piętnastej jeszcze trochę czasu, więc zapraszam na obiad do bistro. Niczego lepszego w pobliżu nie zauważyłem.

– Pozwól, że to ja zaproszę – odezwał się wuj Kazimierz.

Zaoponowałam.

– Panowie, bądźcie moimi gośćmi.

Sprzeczkę przerwało nam wejście Arlety. Widocznie zdziwiło się jej podsłuchiwanie pod drzwiami i postanowiła powęszyć w gabinecie. W sumie nawet się jej nie dziwiłam. „Narzeczonej” zmył się jak niepyszny, a jego miejsce zajęła zniechęcona żona. A na dodatek towarzyszyło jej dwóch facetów, którzy nie zwracali uwagi na tipsy, wydęte usta i krągły tyłek.

Nie powinnam ulegać niskim instynktom, lecz Arleta wzbudzała we mnie same najgorsze uczucia. Odebrała mi męża i poczucie bezpieczeństwa, w zamian dostałam obawę, że wprowadzi się do mojego domu. A poza tym była z Jaśkiem w ciąży.

Odegnęłam myśl, żeby się odegrać i zwolnić ją z pracy. W końcu wszechwładna pani prezes mogła załatwić to jednym podpisem.

Poczułam smak władzy i przez moment zastanowiłam się, czy odpowiada mi taka rola. I nagle, ni stąd, ni zowąd, przed moimi oczami pojawił się Krasts siedzący na białych schodkach przed domem na jurmalskiej plaży, zapatrzony w morze. Uśmiechnęłam się. Już wiedziałam, że zwalnianie sekretarek i borykanie się z firmą to nie moja bajka. Co innego zwolnienie Ingi, która zajęła moje miejsce nad Zatoką Ryską.



– Chciałabym dzisiaj wyjść dwie godziny wcześniej – poprosiła Arleta z wystudiowaną miną dziewczyny z angielskiej pensji.

– Z jakiego powodu? – zapytałam.

– Trochę źle się czuję. – Podtrzymała brzuch teatralnym gestem.

– Bardzo proszę. O ile teraz pójdzie pani do lekarza i dostarczy mi zwolnienie.

– To ja zostanę – odparła zdezorientowana moją trzeźwą reakcją.

Biedaczka, myślała pewnie, że prowadzę z nią jakąś grę. Grę o Jaśka. Bardzo się myliła, temat „wiarołomny mąż” został już zamknięty. Pozostał temat „Jan Boryk”, potencjalny nabywca moich udziałów.

Arleta wróciła za swój kontuar i zabrała się do roboty. Do piętnastej musiała obdzwonić wszystkich szefów działów. Nasza trójka oddała się w tym czasie przyjemności zjedzenia lunchu i omawiania planu działania na najbliższe dni. Na szczęście nie wymagał on mojego udziału. Nowy pełnomocnik zwolnił mnie nawet z obowiązku uczestniczenia w najbliższej naradzie.

Zobowiązałam się do codziennego raportowania, choć nie po to zatrudniłam zaufanego człowieka, żeby go sprawdzać.

– Konrad, ufam ci tak jak wujowi. – Postanowiliśmy mówić sobie po imieniu. – Oczywiście możesz pisać te raporty, ale ja się nie znam na pracy menedżerów. Mam do przetłumaczenia jeszcze dwie nowele – szłam na skróty, nie wprowadzając go w szczegóły – czyli trochę swojej roboty. Ale oczywiście zawsze się zjawię, kiedy będziesz czegoś potrzebował. I służę telefonicznie – podałam mu numer.

– Okej. W końcu płacisz mi za samodzielność.

– Można tak to ująć. Czy rozejrzysz się również za chętnymi na moje udziały?

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

– Będę miał to na względzie.

Wuj Kazimierz siedział obok, nie wtrącając się do naszej rozmowy. Krewetki powoli zniknęły z jego talerza wraz ze zgarnianym bagietką sosem maślano-ziołowym, który, jak zapewniała kuchnia, przyrządzono na winie. Wprawdzie moje podniebienie i smaki, które przywiozłam z południa Europy, wysyłały sygnał, że sos co najwyżej stał obok butelki wina, ale niech będzie. Cenę trzeba przecież czymś uzasadnić.

Po lunchu mój mecenas oznajmił, że na niego czas. Wykonał fantastyczną robotę. Nie miałam pojęcia, gdzie wylądowałabym bez niego.

– Wujku, nie wiem, jak mam ci się odwdziżyć. – Na pożegnanie nie tylko pocałowałam go w policzek, ale i przytuliłam się mocno.

Jak kiedyś do taty.

– Daj spokój... – Czy mi się wydawało, czy miał mokre oczy? – Pozdrów ode mnie Jadzię – dodał i poszedł do samochodu.

Chciałam mu jeszcze pomachać, ale się nie odwrócił. Wsiadł za kierownicę i odjechał.

Mama na pewno nie jest mu obojętna, pomyślałam.

Wróciliśmy z Konradem do firmy, by sprawdzić, jak Arleta wywiązała się ze swojego zadania. Wbrew temu, co mówiła wcześniej, wyglądała na okaz zdrowia i eksponowała tyłek przed nowym pełnomocnikiem. Mój mąż może mieć powody do obaw, stwierdziłam z satysfakcją, ona nie przepuści żadnemu świeżemu mięsku. A może pilnuje interesów Jaśka?

Pozostawała mi nadzieja, że Konrad nie ulegnie jej wdziękom i nie straci czujności.

– Mam ją zostawić? – zapytałam wprost.

– Kogo? – Wydawał się zdezorientowany.

– Arletę.

– Przyjrzyj się jej, Olu. Wiem, że jest związana z twoim mężem – powiedział oględnie – i może być jego wtyczką. Jeżeli to zauważę, niezwłocznie cię poinformuję. Pozwolisz się kiedyś zaprosić na kawę?

Wracałam do domu, uśmiechając się do myśli, że taki przystojniak zauważył leciwą, porzuconą przez męża trzydziestopięciolatkę. Czemu nie? Może za jakiś czas? Zawsze to miło być docenioną.

Teraz jednak moje plany ograniczały się do krótkiej drzemki i wieczornej pracy nad kolejną

nowelą Krastsa. Przekazałam Konradowi insygnia władzy. Miałam nadzieję, że wkrótce zbęde udziały i temat firmy zostanie zamknięty.

Chociaż jeden.

Marysia się nie odzywała, ale w jej przypadku brak wiadomości był dobrą wiadomością. Najbliższa wizyta u doktora Witaja kroila się w połowie sierpnia i oby przebiegła pomyślnie, bo po niej wybierałam się z Mileną i jej dziewczynkami na Łotwę. Ostatni rzut na taśmę przed narodzinami dzieci, przekonywałam sama siebie do wyjazdu. Potem życie wejdzie już w inny wymiar.

Nie kupowałam jeszcze ubranek, wózka, łózek. Podobno nie powinno się kompletować wyprawki przed porodem, żeby nie zapeszyć, ale wbrew przesądom odwiedziłam kilka sklepów z ciuzzkami i kosmetykami, kupiłam parę książek dla młodych mam. Tyle że nie wyskakiwałam przed szereg. Chwilami ogarniało mnie przerażenie, jak sobie poradzę, od jakiegoś czasu coraz większe. Matko jedyna, przecież jestem sama! Jasiek wiadomo, mama ma na głowie chorego Leopolda!

Tknięta nagłym niepokojem chwyciłam telefon i zadzwoniłam do Marii. Nie odebrała, ale przysłała wiadomość, że Kalina wróciła z wakacji. Postanowiłam nie zakłócać jej miłych chwil po dwutygodniowej nieobecności córki.

Milenę zagadnęłam esemesem, jak tam nad morzem, ale odpowiedziała dopiero kilka godzin później.

„Jest super. Natasza uczy się surfować po Zatoce Puckiej, a my z Kacperkiem właśnie spożywamy białe wino!”

Wykrzyknik świadczył o dobrej małżeńskiej komitywie, w którą też nie chciałam się wcinąć. Zapytałam zatem, czy nadal chce ze mną jechać do Jurmały, a w odpowiedzi dostałam cały rząd uśmiechniętych buziek.

Nie było na co czekać. Przysiadłam przy komputerze i napisałam do Janisa.

„Chciałabym przyjechać pod koniec sierpnia. Będę ze swoją przyjaciółką i jej dwiema córkami. Czy mógłbyś na ten czas zwolnić dom? Przy okazji wpadnę na wystawę o Krastsie. A.”

Odzew był natychmiastowy.

„Oczywiście. Inga wyjeżdża na dniach. Nie martw się, nie malowałam Twojego pokoju. U mnie trochę zmian, ale porozmawiamy w Rydze. A co u Ciebie, u Marii? Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Często myślę o Tobie. J.”

A ja o tobie nie!, pomyślałam ze złością. Inga znowu cię zostawia? – ta wizja sprawiła mi przyjemność. Nie myśl sobie, że będę ci współczuć!

„Rzeczywiście będziemy musieli omówić sprawę domu i korzystania z niego na spółkę. Wszystko da się ustalić. Termin przyjazdu podam w najbliższym czasie. Kiedy tylko zarezerwujemy lot. A.”

## Rozdział 31

### ALEKSANDRA

W najbliższych dniach Janis napisał do mnie kilkakrotnie, ale nie zamierzałam odpowiadać. Jeżeli ma problemy ze swoją byłą, powinien znaleźć sobie inny konfesjonał.

– On jest po prostu beczelny! – zwierzyłam się Milenie, która nareszcie zawitała do miasta opalona i wypoczęta po pobycie nad morzem. – Kręci ze mną, wspomina naszą minioną miłość, powiewa niedoszłym pierścieniem zaręczynowym. Ale kiedy na horyzoncie zjawia się Inga, jak gdyby nigdy nic przyjmuje ją pod swój, a właściwie nasz, dach. Jak widać, coś jednak poszło nie tak.

– Co on właściwie pisze?

– Nic konkretnego, ale wyczuwam napięcie.

– Olka, zacznij mówić drukowanymi literami! Niczego nie rozumiem.

– Sama nie rozumiem. I nie chcę się nad tym zastanawiać. Temat Janisa został zamknięty. Nie obchodzą mnie jego problemy z byłą żoną, a wyłącznie dom w Jurmale. Musimy ustalić zasady, bo przynajmniej na razie nie chcę się go pozbywać. Przecież muszę ci go pokazać. – Na myśl o nieodległym wyjeździe pojaśniałam. – À propos, rozmawiałaś o tym z Kacprem?

– Jasne. Przy dobrej kolacji i winie był łatwiejszy. I wiesz co? Zabieram tylko Nataszę. – Milena wspomniała o starszej córce. – Lenka byłaby nam kulą u nogi. W końcu nie jedziemy po to, by przesiadywać na placach zabaw. Chyba że dla dorosłych. – Figlarnie zmrużyła oko. – A Nataszka to już poważna nastolatka. Powiedziała nawet, że zamierza prowadzić podróżniczego bloga dla dzieci i zacznie od Łotwy. Chyba się jej spodobały książki o Neli, małej reporterce. Zatem wieczorami nie będzie nam przeszkadzać – zachichotała.

– A co na to Lenka?

– Myślisz, że pytałam pięciolatkę o zdanie? A tak poważnie: ponieważ przyjeżdża teściowa, żeby pomóc Kacprowi przy Leosiu, przekonałam Lenę, że ma niepowtarzalną okazję spędzić kilka wspaniałych dni z babcią. Sorry, Olka, ja też mam prawo trochę odpocząć od krasnoludków. A może Nataszę zostawię? – Milena się rozochociła.

Zaprotestowałam gwałtownie. Tym bardziej, że mała, dysponująca już własną komórką, pisała do mnie w kwes-tii wspólnej wyprawy.

– Niech jedzie – powiedziałam. – Nie będzie ciężarem.

Przejrzałyśmy oferty lotów. Byłyśmy o krok od zamówienia biletów, ale powstrzymałam nasz zapał.

– Milenka, muszę poczekać na wizytę u Witaja – powiedziałam. – Mamy ją z Marią za dwa tygodnie, ale może uda się trochę przyspieszyć termin. Sama rozumiesz, że gdyby coś było nie tak...

– Jasne. A jak ona się czuje?

– Na razie dobrze, i oby tak dalej. To mi daje nadzieję, że obaj chłopcy urodzą się zdrowi. Przecież cuda się zdarzają, prawda? – Spojrzałam z nadzieją. – Na wszelki wypadek nie przygotowuję wyprawki. Mam upatrzoną, ale nie kupuję.

– I dobrze. Pamiętaj, że gromadzę dla twoich chłopaków rzeczy po Leonie. Chociaż to tylko wersja dla singla.

Byłam jej bardzo wdzięczna, mimo że ostatnie manew-ry w firmie i perspektywa sprzedaży udziałów nieco mnie uspokoiły w kwestii przyszłości.

Zrelacjonowałam przyjaciółce spotkanie z Konradem u Jaśka, zaaranżowane przez wuja Kazimierza, nie szczędząc szczegółów.

– Chłop był w szoku! Mecenas jest mistrzem i moim aniołem stróżem. Bez niego wyszłabym z tego małżeństwa goła i wesoła. A wiesz, dlaczego Kazimierz robi to wszystko? – Zasiałam ciekawość.

– Bo był przyjacielem twojego taty?

– To też. Ale odkryłam jego sekret. Kto wie, jak długo skrywany.

– Mów! – Milena zatarła ręce.

– On się kocha w mamie.

– Twojej?

– A w czyjej? W Jadwidze. Za każdym razem prosi, żebym ją pozdrowiła. I wierz mi, że nie jest to tylko przyjacielskie pozdrowienie.

– Ale ona ma tego pana...

– Leopolda. Z nim będą problemy. Jest poważnie chory. Ma raka prostaty z przerzutami do kości i kiepsko się czuje. Swoją drogą, muszę zajrzeć do mamy, bo ostatnio nam nie po drodze. Każda rozmowa kończy się dość dramatycznie.

– Bo macie otwarty i nieprzepracowany temat.

– Jasne.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, jak ważną kwestię powinniśmy przegadać. I to nie we dwie, a we trzy. I dlaczego mama unika konfrontacji.

– Nigdy się z nią nie porozumiem, jeśli ona nie uderzy się w piersi – stwierdziłam z przekonaniem. – A ona odpycha temat.

Milena nie była aż tak radykalna.

– Pamiętaj, że jej życie w chwili, gdy Maria pojawiła się w nim po raz drugi, również się zawaliło. Ma prawo czuć się niekomfortowo i nie wie, jak sobie z tym poradzić.

Moje oburzenie sięgnęło zenitu.

– Sama sobie winna! Narozrabiała w przeszłości, oddała dziecko do adopcji, to niech teraz cierpi! Ja czasem myślę, że te moje poronienia to kara za grzech rodziców!

– Co ty wygadujesz? – obruszyła się Milena. – Toż to spiskowa teoria dziejów! Żadne grzechy nie przechodzą z pokolenia na pokolenie. I jeśli nawet niektóre porabane koncepcje psychologiczne nawiązują do tego wątku, nie należy zwracać na nie uwagi. Olka! Jesteś tu i teraz. Maria również. Owszem, trafiłyście na siebie. Mieszkacie w jednym, niezbyt wielkim mieście, stało się. Przyjdzie czas na rozmowę i wnioski. Ale teraz proszę, nie nakręcaj się przeciwko mamie. Święta nie była, ale niczego ci w życiu nie żałowała.

Moja przyjaciółka miała rację, niemniej natrętny chochlik kazał mi myśleć o mamie źle. Nie wiedziałam, jak bym podeszła do tematu, gdyby żył tato. Czy również jego bym oskarżała? Bo teraz nie potrafiłam. Mimo upływu półtora roku od jego śmierci rana wciąż bolała.

Być może swoim odejściem zapracował na moje wybaczenie? Jednak mama żyła i musiała unieść to, co nie pozwalało o sobie zapomnieć. Wiedziałam, że powinnam do niej pojechać, zapytać o Leopolda, wesprzeć, ale nie potrafiłam się przemóc. Przez długo skrywaną tajemnicę stała się dla mnie obcym człowiekiem. Osobą, na której przestało mi zależeć.

Milena jej broniła. Było to miłe, ale nie trafiało do mojego serca.

– To prawda, że niczego mi nie brakowało – odparłam. – Poza szczerością. Zostawmy ten temat, Milena. Muszę sobie z nim poradzić sama – ucięłam dalszą dyskusję. – Powiedz lepiej, kiedy zaprosisz mnie do siebie? Z przyjemnością zobaczę efekty remontu.

Umówiliśmy się na telefon.

– To strzemiennego? – Na pożegnanie stuknęliśmy się szklankami wody z cytryną.

Sobotnie popołudnie miałam spędzić, jak zwykle ostatnio, samotnie, co najwyżej w towarzystwie nowel Krastsa. Dobrze przynajmniej, że nie musiałam przygotowywać kolacji dla Jaśka. To spadło na Arletę. A jeśli się nie poczuwała, tym gorzej dla mojego byłego, jak zaczęłam go nazywać w myślach.

Kiedyś odmieniałam jego imię we wszystkich konfiguracjach: Jasiek, Jaśko, Jasiulek, Jaś. Nie aż tak dawno temu. A pozostało mi po nim puste miejsce w łóżku i w sercu. Podobnie jak po Janisie, pomyślałam i zaczęłam się zastanawiać, czy to ze mną jest coś nie tak. Może to ja generuję problemy? Nawet jeśli, odbiję to sobie przy kieliszku wina. Sięgnęłam po butelkę chianti, które przywieźliśmy z Jaśkiem z Toskanii. Lodówka ziała pustką, ale w barku znalazłam kilka bananowych chipsów. Nic dobrego, ale przynajmniej do zgryzienia.

Nadciągał wieczór, słońce chowało się za horyzontem. Sięgnęłam po pilota i zatrzymałam palec na programie informacyjnym. Jak zwykle brednie trzy po trzy. Kolejna stacja również mnie od siebie odrzuciła. Popularne ostatnio disco polo przyprawiało o mdłości, a paradokumentalne filmiki po prostu nudziły i żenowały poziomem. Przeskoczyłam kilkadziesiąt kanałów, nie zatrzymałam się na żadnym.

Nie chciało mi się szukać filmu na Netflixie ani żadnym innym płatnym kanale, ale i nie ciągnęło do książki.

Zrzuciłam kapcie i ułożyłam stopy na oparciu kanapy. Wkrótce nadszedł sen.

Znalazłam się nad morzem, w środku meksykańskiej wioski. Wokół kolorowe domy i dygoczące na wodzie łodzie rybackie. Tęczowy zachód słońca i barwne poncha mieszkańców dopełniały obrazów, które śniłam. I pewnie nie obudziłabym się ze snu, gdyby nie dzwonek, którego źródła na początku nie zidentyfikowałam.

Dotarł do mnie wreszcie i przerwał senne marzenia.

Kogo diabli niosą?, złorzeczyłam w duchu, idąc do korytarza.

Nie znalazłam kapci, więc szłam boso. Widocznie wpadły pod tapczan.

Opatulona kocem, z rozczochranymi włosami otworzyłam drzwi bez patrzenia w wizjer. Za nimi stał Konrad Nowakowski.

Nie pomogło przeczesanie fryzury dłonią ani wymuszony uśmiech. I tak wyglądałam tragicznie. Nie pozostawało mi nic innego, jak zaprosić gościa do domu.

– Przepraszam, że nachodzę o tej porze – usłyszałam i poczułam zapach wody kolońskiej Hugo Bossa, który wypełnił korytarz. – Podjąłem pewne ustalenia i prosiłbym panią prezes o podpisanie. Bez tego nie możemy ruszyć z miejsca.

– Oczywiście. Proszę wejść. – Zachęciłam gestem. – Zaraz do pana wrócę.

Poczułam gwałtowną potrzebę zrobienia ze sobą porządku.

Meksykańskie klimaty odleciały w przeszłość, wróciły terażniejsze. Ogarnęłam sukienkę, podmalowałam wyblakłe oko i usta i dołączyłam do gościa.

– Wody? A może kawy? – zaproponowałam, przypomniawszy sobie o roli gospodyni.

O dziwo się zgodził, choć z pewnym zastrzeżeniem.

– Bardzo chętnie. Kiedy zakończymy pracę.

Okej, facet wie, co robi. Podpisałam kilka dokumentów.

– Wszystko poszło dobrze – zaczął Konrad. – Kierownicy działów zostali poinformowani o zmianach w firmie. Proszę nie obawiać się dalszych prób wyprzedaży majątku. Panuję nad wszystkim i szukam kupca na pani udziały.

– Dziękuję – odparłam. Naprawdę mi ulżyło. – Podać wodę, kawę czy może kieliszek wina?

– Jeśli mogę, to to ostatnie – odparł.

– Mam jeszcze wczorajszą zapiekankę, może odgrzeję? – Uśmiechnęłam się.

W odpowiedzi dostałam pełne aprobaty spojrzenie.

## Rozdział 32

### MARIA

Jak sobie radzicie przy tej pogodzie? – Szefowa zadzwoniła, gdy tylko wysłałam Izę do stołówki.

– Przygotowujemy przyjęcie w budynku. Niestety, na dworze wszystko jest mokre i nic nie wskazuje na to, że deszcz minie – odparłam zatroskana.

Była wyraźnie zgaszona. Miałam wrażenie, że lekko dyszy.

– Pani Wiesiu, proszę się niczego nie obawiać – uspokoiliam. – Będę trzymać pieczę nad wszystkim do samego końca i godnie panią zastąpię. Nie chcę być niedelikatna, ale... Jak się pani czuje?

Odpowiedziała po dłuższej chwili milczenia.

– Nie będę ukrywać, Marysiu, że nie najlepiej. W poniedziałek pewnie pójde do szpitala na umiarowanie akcji serca. Chwilowo lekarze jeszcze zostawili mnie w domu na lekach. Dobrze by było, żeby wrócił Julian. Wprawdzie dałam mu dwutygodniowy urlop, ale nie wiem, jak sobie poradzisz bez niego, kiedy ja będę wyłączona. Może orientujesz się, jakie to ważne sprawy pognały go na Wybrzeże?

Wiedziałam, oczywiście, ale nie byłam upoważniona do przekazywania takich informacji. Obiecałam szefowej, że się z nim skontaktuję, niestety, nie odebrał połączenia. Liczyłam, że oddzwoni, ale telefon milczał. Odezwała się tylko Kalina i... obarczyła winą za wyprowadzkę Władka. Podobno spakował walizki i wyjechał na wieś. Pewnie do tej swojej Celiny.

Najchętniej rzuciłabym robotę w diabły i wróciła do córki, niestety, nie było takiej możliwości. Ktoś musiał tkwić na stanowisku i ogarniać wieczorną imprezę.

„Kalinko, jak wiesz, wrócę późnym wieczorem. Przepraszam, ale to zaplanowane przyjęcie, bardzo ważne dla naszych pensjonariuszy. Nie mogę ich zawieść. Tym bardziej, że szefowa jest w kiepskim stanie i musiała zostać w domu. Domyślałam się, że wyprowadzka taty jest dla Ciebie szokiem. Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę. A teraz podgrzej sobie obiad, jest w lodówce, i do zobaczenia. Wierz mi, wołałabym teraz być z Tobą niż w pracy. Mama”.

Moja wiadomość nie doczekała się odpowiedzi. Żeby chociaż Kalina mnie skarciła, zdenerwowała się, dała znak życia. Ale nie. Do końca dnia postawiła mi szlaban na kontakty. Mogłam jedynie myśleć, co robi i jak się czuje po ostatnich rewelacjach. No cóż, dziecięcy przywilej. Takie małe tortury zadawane rodzicowi.

Z zamyślenia nad niesprawiedliwością losu wyrwały mnie nawoływania. W pierwszej chwili nie połąpałam się, że chodzi o mnie.

– Szefowo, pan Teodor zamówił kwiaty, a do tej pory nie przywieźli! W dodatku telefon poczty kwiatowej milczy i każe się kontaktować w poniedziałek. Co robić?

Jak to co? Gasić pożar! Jak to szefowa na zastępstwie, westchnęłam w duchu. Uspokoiliam rozemocjonowaną Izę i poprosiłam o numer do kwiaciarni. Nie odpowiadał. Nasz samochód stał wprawdzie na parkingu, niestety jego kierowca i gospodarz terenu pan Bogdan miał dzisiaj wolne.

– Trzeba wezwać taksówkę i pojechać z Teodorem do innej kwiaciarni. – Wybrałam najprostsze wyjście.

– Znaczy kto ma z nim jechać?

– Na przykład ty – powiedziałałam i wręczyłam Izie pieniądze na przejazd. – Tylko wybierzcie coś ładnego.

Do wieczora to i owo nie grało. Staralam się nadzorować wszystkie flanki, od czasu do czasu powracając do gabinetu pani Wiesi, by choć na chwilę pozwolić wypocząć napuchniętym stopom.

Oby przeżyć ten dzień, potem będzie już tylko lepiej!, myślałam.

Tylko czy aby na pewno? W domu czekała załamana Kalina, a szefowa mogła wrócić na święty nigdy. No i jeszcze niebawem wizyta u Witaja. Nie potrafiłam zapomnieć o dzieciach.

Na szczęście kwiaty zostały dowiezione, stoły nakryte. Starsze panie w nowych fryzurach przechadzały się po korytarzach, z kuchni dochodziły ponętne zapachy.

Na dworze wciąż lało.

W końcu nadeszła godzina zero, czyli w naszym wydaniu piąta po południu. Włożyłam „lepszą”

sukienkę i nawet wbiłam się w buty na niskim słupku. Byłam winna staruszkom elegancki wygląd.

– Kochani, wszyscy wiemy, kto jest organizatorem naszej dzisiejszej wystawnej kolacji. – Obrzuciłam spojrzeniem stoły. – To im właśnie należą się podziękowania. Pani Basiu, panie Teodorze, miło być waszymi gośćmi – wzniosłam toast wodą z cytryną. – Smacznego!

Zadzwieczyła sztucze, sala zaszemrała rozmowami.

Usiadłam przy stoliku z Izą, Aśką i Ela, i mimo braku apetytu sięgnęłam po pierożka z mięsem. Musiałam spróbować, by z pełnym przekonaniem pochwalić wyrób pani Barbary.

– Jak myślisz, kiedy się jej oświadczy? – Iza pałaszowała pieroga za pierogiem, nie zapominając o głównym punkcie programu.

– Jesteś pewna, że to zrobi? – zapytałam.

– No pewnie! Inaczej po co ta cała szopka? Chyba nie będę zwlekać do północy? Mój Januszek czeka na mnie w domu...

Mój Włodek nie czekał, a Kalina... Nie chciałam myśleć o rozmowie z córką.

Do końca obiadu nie wydarzyło się nic, ale przed nami był jeszcze podwieczorek: kawa i ciasto, a właściwie zamówiony dwupiętrowy tort z malinami.

I wtedy stał się cud – zaświeciło słońce.

Wysłałam do ogrodu, żeby sprawdzić, czy można tam przenieść imprezę. Lipcowe promienie szybko osuszyły drewniane ławki w altanie. Delikatny wiaterek chronił przed nagle nawianym tropikalnym upałem.

– Kochani, kawę wypijemy na dworze! – oznajmiłam, wzbudzając ogólny aplauz. – Robimy przerwę na popołudniową drzemkę?

Miałam na to ogromną nadzieję, jak się okazało, płonną. Towarzystwo rwało się, by kontynuować przyjęcie. W związku z tym zarządziłam zbieranie ze stołu i przygotowania w ogrodzie. Na stół wjechał tort i kieliszki do wina.

Z powodu braku szefowej odgrywałam rolę wodzireja. Panią Ludmiłę, którą wyznaczyłam do nakładania tortu, opasał wianuszek pensjonariuszy z talerzykami. Dziewczyny częstowały kawą i herbatą, mało kto odmawiał kieliszka wina.

Kiedy towarzystwo zostało zaspokojone i każdy dostał swój przydział, Teodor uciszył obecnych uderzeniem widelczyka w szkło.

– Panie, panowie, pozwólcie, że zanim zasiądziemy do stołu, zajmę wam chwilę – zabrzmiał donośny głos byłego wojskowego.

A potem Teodor przyklęknął przed Barbarą i delikatnie ujął jej dłoń.

Patrzyli na siebie w taki sposób, że przeszedł mnie dreszcz. Jak zahipnotyzowana oczekiwałam dalszego ciągu, więc nie widziałam niczego dookoła. Nie zarejestrowałam nawet, kiedy ktoś stanął za moimi plecami, chociaż poczułam znajomy zapach. Nie odwracałam się, by nie uronić ani jednej chwili.

Pan Teodor otworzył niewielkie puzderko, którego zawartości wszyscy się domyślali, i przemówił lekko łamiącym się głosem.

– Basiu, do chwili, kiedy poznałem ciebie, nie wyobrażałem sobie, że jeszcze kogokolwiek obdarzę uczuciem. A tu los zgotował mi niespodziankę. Stała na mojej drodze piękna, dobra, czuła kobieta o młodym sercu i ujmującym uśmiechu. Kobieta, która w dodatku spojrzała na mnie przychylnie, sprawiając, że czuję się jak młody zakochany chłopak. Ty, Basiu. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zechcesz dzielić ze mną los? Wyjdiesz za mnie i sprawisz, że będę szczęśliwym człowiekiem?

Wzruszająca scena rodem z najlepszego romansu!

Nie potrafiłam powstrzymać łez, podobnie jak chyba wszyscy zgromadzeni, nie wyłączając panów. Ale fala wzruszenia sięgnęła zenitu, kiedy Baśka po dłuższej chwili, którą, jak się domyślałam, przeciągnęła, by podgrzać atmosferę, powiedziała „tak” i przyjęła pierścionek.

O Boże! Przecież ja powinnam to filmować!, wpadłam w popłoch.

Niestety, było już po wszystkim.

A może jednak nie? Zza moich pleców wyłonił się Julian i podszedł z kamerą do świeżo upieczonych narzeczonych. W kadrze zatrzymał nie tylko ich, ale i resztę towarzystwa.

– Skąd się tutaj wzięłeś? – wyszeptalam, kiedy ponownie znalazł się obok mnie i pocałował

w policzek na powitanie.

– Nie mogło mnie tu zabraknąć w takiej chwili – odparł z uśmiechem w oczach. – A poza tym stęskniłem się za tobą – dodał.

I uciekł, żeby nie usłyszeć, co ja mam do powiedzenia.

Nie musiał się obawiać. Zrewanżowałabym się podobną deklaracją.

Radosna i spokojna wróciłam na ziemię. Przyjechał mój anioł stróż.

– Wróciłeś na długo? – zapytałam, kiedy po gratulacjach dla narzeczeństwa zasiedliśmy przy wspólnym stole.

– A chciałybyś? – odparł przekornie.

– Głupi! – rzuciłam z uśmiechem.

Julian nagle spoważniał.

– To zależy, Marysiu, ponieważ nie przyjechałem sam – powiedział. – Od teraz jestem z Antkiem. I być może wciąż będę musiał opiekować się teściową, bo Michalina ani myśli przyjechać z Anglii. Ale to inny temat. Chcesz go poznać? – zaskoczył mnie nagłym pytaniem.

Domyśliłam się, że mówi o synu.

Po chwili przedstawił mi wyrośniętego dwunastolatka z włosami do ramion, wierną kopię ojca. Nie miałam wprawdzie w życiu do czynienia z chłopcami, ale pod moim bokiem rosła szesnastolatka, której różne miny nie były mi obce. Młody stał lekko naburmuszony. Jego przydługie w stosunku do tułowia ręce zwisały wzdłuż ciała. W dłoni trzymał komórkę, nieodłączny młodzieżowy atrybut.

– To Antek. A to Maria, moja koleżanka z pracy. – Julian dokonał wzajemnej prezentacji.

Wyciągnęłam rękę, bez żadnych przytulaniek, żeby go nie spłoszyć. Burknął coś pod nosem, ale dał się namówić na kawałek tortu.

Jakaż ja byłam szczęśliwa! Julek kręcił się między starszycami, przysiadł, zagadywał. Liczyłam, że nie wyfrunie od nas zbyt szybko. I Antek, choć przy pierwszym kontakcie dość małomówny, wydawał się, jak mówią młodzi, spoko. Nawet zamieniliśmy kilka słów.

Przyjęcie kwitło w promieniach zachodzącego słońca, ciasta znikwały z talerzy. Iza i pozostałe dziewczyny wcieliły się w rolę kelnerek, dolewając starszycy wino. Kilka butelek wina rozeszło się w pierwszej kolejności, co wpłynęło na temperaturę rozmów.

Stałam przy drzwiach do ogrodu i chłonełam atmosferę naszej domowej imprezy.

– Tego im było trzeba – westchnęłam i wsparłam głowę na ramieniu Julka. – Tej odrobiny radości.

– Każdemu jej potrzeba – zgodził się. – Przepraszam, ale ktoś chyba się do nas dobija... – Jako pierwszy usłyszał głośne stukanie i dźwięk dzwonka.

Pobiegłam za nim.

Na ganku stał postawny mężczyzna, który usilnie próbował dostać się do środka. Nie wiem, co bym z nim zrobiła bez Juliana. Chyba zwyczajnie zadzwoniłabym na policję.

– Czego pan sobie życzy? – Julek otworzył, ale nie wpuścił intruza do środka.

– Co się tu u was dzieje? Chcę natychmiast widzieć się z ojcem! – Facet próbował go odepchnąć, ale zapora w postaci Julka była nie do przejścia.

– Spokojnie, bez nerwów. Kim pan jest?

– Radosław Kusociński! Mój ojciec jest waszym pensjonariuszem, Teodor Kusociński. Mówi to panu coś?

– Jeżeli nawet tak, to nie powód, żeby pan się awanturował. Wezwę policję.

– Chcę widzieć się z ojcem! – Facet nie odpuszczał.

Julek też nie. Gość był wyraźnie pobudzony, a my nie chcieliśmy kłopotów.

– Po pierwsze proszę się uspokoić. A potem powiedz mi, o co chodzi.

– Podobno mój ojciec ma się dzisiaj oświadczać jakiejś kobiecie! To jakiś nonsens! Do czego to dochodzi w rzekomo porządnym domu starców? Czy ja płacę za to, żeby mi się ojciec żenił na stare lata? Muszę natychmiast z nim porozmawiać! Bo jeśli nie, to sam wezwę policję!

Te groźby należało wziąć poważnie. Sprowadzenie tu policyjnego patrolu, gdy starszycy są na lekkim rauszu, pachniało problemami. Nie życzyłam ich sobie, więc podsunęłam rozwiązanie.



– W tej chwili wszyscy nasi pensjonariusze są razem. Nie chcę ich niepokoić. Proponuję, by porozmawiał pan z tatą w jego pokoju, przywołam go. Proszę nie zaburzać domowego miru.

Intruz chyba zrozumiał, bo zareagował ugodowo.

– Sądzisz, że zrobiliśmy dobrze, wpuszczając tego człowieka do pana Teodora? – zapytałam Julka po fakcie.

– Nie było innego wyjścia.

– Ciekawe, skąd wiedział o zaręczynach...

– No właśnie.

– I dlaczego tak usilnie próbuje im przeszkodzić? – dodałam.

– Jak to: dlaczego, Marysiu? Z powodu spadku.

## Rozdział 33

### ALEKSANDRA

Trochę mi było niezręcznie, że Konrad Nowakowski zastał mnie rozchełstaną. No ale odwiedzając cudzy dom o tak późnej porze, należy się spodziewać gospodarza w luźnych ciuchach. Niech się cieszy, że zamieniłam dres na kieckę, pomyślałam, porzuciwszy rozterki na temat wieczorowej kreacji.

Był wyraźnie zmęczony i głodny, sądząc po tempie pałaszowania resztek podgrzanej zapiekanki. Nie odmawiał również wina, aż zerknęłam dyskretnie przez okno, czy przyjechał samochodem. Na podjeździe nie dostrzegłam żadnego pojazdu. Czyżby spodziewał się długiego wieczoru z nowo powołaną panią prezes?

Niedoczekanie! Nie miałam najmniejszej ochoty na romanse, nawet z takim przystojniakiem jak mój pełnomocnik. Ale skoro już przyszedł, a ja nieco doszłam do siebie za sprawą popołudniowej drzemki, mogłam z nim pogadać.

Miła odmiana po wielu samotnych wieczorach.

– I jak odbierasz naszych szefów działów? – zagadnęłam. – Jak cię potraktowali?

– Trudno osądzać po jednym spotkaniu. Trzymają dystans, jak to w stosunku do obcego, ale muszą zaakceptować zmiany. Tak się dzieje w każdej firmowej społeczności. Z pewnością twój mąż ma swoich przydupasów, którzy uprzejmie mu doniosą o każdym moim kroku. Są i tacy, którzy nie czują się zobowiązani wobec byłego prezesa. Może kiedyś nastąpił im na odcisk? Gdybym miał zostać dłużej i kształtować społeczność firmy, zadbałbym o lojalność i zadowolenie pracowników. Ale w sytuacji krótkotrwałej zależy mi na ich wydajnej pracy i wywiązywaniu się z obowiązków. Mają mi udzielać stosownych informacji i robić, co do nich należy. Nie obchodzą mnie żadne rozgrywki.

– Wyobrażam sobie, jaki mętlik zapanował w głowach pracowników po zmianach – wtrąciłam.

– Z pewnością. Każdy boi się reorganizacji, zwolnień, odczuwa niepewność. Stara miotła może niekoniecznie głąskała po głowach, ale była znana, a po nowej nie wiadomo, czego się spodziewać. Myślę, że największą traumę przeżywa sekretarka. Pod koniec dnia przestała nawet kręcić tyłkiem.

To akurat mnie satysfakcjonowało.

– A jak sobie poradzisz z Jaśkiem? Przecież w poniedziałek przyjdzie do pracy. Wprawdzie już nie jako prezes, ale zarządzający.

– Będzie na mnie skazany przez całe osiem, dziesięć czy tam dwanaście godzin pracy. Zależy, ile posiedzimy w firmie. Możesz mi zaufać, nie spuszczę go z oka. Samodzielnie nie podejmie ani jednej decyzji i nie podpisze ani jednej umowy. Skoro jestem twoim pełnomocnikiem, będę robić to ja. Oczywiście informując panią prezes o każdym kroku lub, jak wolisz, konsultując z nią wszelkie decyzje. Jeśli chcesz, przychodź do firmy i nadzoruj moją pracę.

Oczywiście nie miałam na to najmniejszej ochoty.

– Zarekomendował cię wuj Kazimierz, więc mam do ciebie całkowite zaufanie – powtórzyłam kwestię, którą wypowiedziałam wcześniej na wspólnym obiedzie. – I szukaj kupca na moje udziały, proszę. Chciałabym jak najszybciej pozbyć się kłopotu.

– Jeżeli dostanę jeszcze trochę wina – zażartował i nie czekając na odpowiedź, napełnił nam kieliszki.

Konrad wyniósł się przed północą, nie próbując mnie objąć, pocałować ani podrywać. Nie wiem, skąd go wystraszał wuj, ale facet miał klasę i sprawiał wrażenie kompetentnego, choć o tym ostatnim miałam niewielkie pojęcie. Zaufałam, zawierzyłam, oddałam swój majątek w jego ręce i mogłam jedynie mieć nadzieję, że nie przejadę się na tej decyzji. Chyba wuj nie obdarował mnie koniem trojańskim? Wysłannikiem konkurencji, która chce nas zniszczyć?

Zasypiając, przemyślałam jeszcze tę kwestię, ale postanowiłam porzucić wątpliwości. W końcu niebawem i tak miałam sprzedać swoją część firmy.

Liczyłam na sześć milionów. A może odpalić Konradowi działkę za znalezienie dobrego kupca?, przyszło mi do głowy, bo Jasiek raczej tyle nie zapłaci. O ile, oczywiście, nie odłożył jakiejś okrągłej

sumki na prywatnym konczie.

– Do tej pory nie mogę przeboleć, że tak słabo znałam własnego męża – wywnętrzałam się przed Mileną następnego dnia. – Ukrywał przede mną kasę, jak gdyby planował rozpocząć inne życie. Może on wcale mnie nie kochał, a tylko trzymał się taty, żeby zbić majątek?

– Ola, nie nakręcaj się. Kochał cię, dobrze wam razem było. Odkładał na czarną godzinę, i tyle. Gdyby nie pojawiła się Arleta...

– To byłaby inna! – zawołałam. – Ale teraz ma przechlapane! Musi wyskoczyć z kasy. Bo w przeciwnym razie Konrad znajdzie nabywcę, a firma dostanie większościowego udziałowca, pana i władzę. Jaś nie będzie miał nic do gadania – dodałam z satysfakcją.

Milena zachowywała dystans do mojego entuzjazmu.

– Jesteś pewna tego Konrada?

– Przecież ci mówiłam, że przysłał go wuj Kazimierz.

– Rozumiem...

– Szukasz dziury w całym i wyprowadzasz mnie z równowagi – fuknęłam. – To co mam robić? Dać ogłoszenie do gazety, że sprzedam część firmy za sześć milionów? Sądzisz, że następnego dnia ustawi się kolejka?

– Oluś, a gdyby tak Kacper poszukał zainteresowanych? Alternatywnie? Gdyby Konradowi nie wyszło?

Pomysł nie był zły. Ostudziłam emocje i zaczęłam spokojnie kalkulować.

– A mógłby?

– Jasne, rozmawialiśmy o tym niedawno. Wiesz, on jako księgowy trochę się kręci w biznesowym towarzystwie.

Szkoda było nie skorzystać z propozycji. Oczami wyobraźni widziałam już wizytę u notariusza i podpis składany pod aktem sprzedaży udziałów. A potem pokażną sumkę na konczie, święty spokój z finansami i Jaśkiem.

A właśnie, wciąż nie dotarła do mnie informacja o terminie rozvodu!

Kilka tygodni temu mój mąż nie mógł się doczekać rozprawy, teraz ja weszłam w jego buty. Pragnęłam zakończyć etap naszego małżeństwa, odciąć się od przeszłości grubą kreską i zacząć wszystko od nowa.

Niestety, nie było to tak proste, jak podpowiadała wyobraźnia.

Zdecydowanie mniej skomplikowane wydawało się tłumaczenie dwóch ostatnich nowel Krastsa, które tkwiły w poczekalni. Za dwa, trzy tygodnie miałam jechać do Rygi i do tego czasu chciałam zakończyć pracę.

Kolejne pozycje do tłumaczenia nie nadchodziły, ale prawdę powiedziawszy, niezbyt się o nie starałam. Rozpoczynanie nowych projektów miało się w mojej sytuacji z celem, a wiązało z długotrwałymi zobowiązaniami. Nie znałam łotewskiego autora, którym mogłoby się okazać zainteresowane polskie wydawnictwo, a wśród litewskich musiałabym trochę poszukać. Czas przed porodem Marii nie skłaniał do podejmowania nowych wyzwań, zwłaszcza że po śmierci Krastsa straciłam serce do mojej pracy.

Z przyjemnością jednak przysiadłam nad jego ostatnimi nowelami, wkraczając w świat, który tak dobrze znałam: z morzem w tle, z emocjami bohaterów. Jakże często odnajdywałam w ich postępowaniu mistrza. Za pośrednictwem swoich książek Krasts wciąż przy mnie był.

Najchętniej natychmiast znalazłabym się w pociągu z Rygi nad zatokę, który w kilkanaście minut przenosił nas do nadmorskich miejscowości i wyrzucał kilkaset metrów od plaży. Mijaliśmy Bulduri, Džintari, Majori, by stanąć na stacji Jurmała, skąd niedługi spacer dzielił nas od domu. Teraz już mojego i oczywiście Janisa, o czym przypomniałam sobie z niechęcią, mając przed oczami Ingę okupującą posesję, a może nawet mój pokój.

– Olka, skoro tak na nią reagujesz, chyba zależy ci na Janisie. – Jak zwykle trzeźwo myśląca Milena uświadomiła mi moje emocje.

– Nigdy w życiu! Niczego nie rozumiesz. Skończyłam z nim. Możesz być pewna, że kiedy my wylądujemy w Jurmale, jego tam nie będzie.

– Dobrze, jak chcesz, to mogę się nie odzywać – odparła zniecierpliwiona.

– Właśnie – ucięłam dyskusję.

Prowadzi szczęśliwe życie ze swoim Kacprem, co ona może wiedzieć?, zirytowałam się.

Kolejne dni podzieliłam między tłumaczeniem a oczekiwaniem na wizytę u doktora Witaja, od której zależało wszystko. Z każdym coraz bardziej się denerwowałam. Na szczęście Maria czuła się dobrze. Nie spotykałyśmy się zbyt często, sygnalizowała jedynie, że Kalina wróciła i ma jakieś kłopoty z chłopakiem, ale nie wdawała się w szczegóły. Miała sporo pracy w domu opieki, na szczęście wrócił Julian i pomagał. Z esemesów wyczułam, że między nimi naprawdę coś jest na rzeczy. Irracjonalnie czułam, że ten mężczyzna zdjął ze mnie część odpowiedzialności za moją siostrę.

Wizyta u Witaja podniosła nas obie na duchu.

Wprawdzie doktor powiedział, że nie należy spodziewać się cudu, ale obaj chłopcy żyli, choć jeden rozwijał się słabiej.

Uczepiłam się dobrych wieści i zapytałam, czy mogę wyjechać na kilka dni i zostawić Marię bez opieki.

– Ależ oczywiście, pani Aleksandro – odparł Witaj. – To już siódmy miesiąc, więc nawet gdyby doszło do porodu wcześniaczego, dzieci mają szansę. Może pani jechać. Pani Maria czuje się dobrze, a ja na razie nie widzę zagrożenia.

Trochę inny punkt widzenia zaprezentował, gdy do mnie zadzwonił i poprosił o rozmowę w cztery oczy.

– Pani Aleksandro, mamy szczęście, że jeden z płodów rozwija się prawidłowo. Ale drugi... Niestety, nic się nie zmieniło od ostatnich badań. Możemy je wykonać ponownie, jeśli pani sobie życzy, ja jednak nie widzę potrzeby.

Przeraził mnie.

– Co z nim będzie, panie doktorze?

– Niestety, muszę podtrzymać diagnozę. Dziecko będzie obciążone wadami.

– Jest pan pewien? – Rozpaczliwie szukałam nadziei.

– Jest to bardzo prawdopodobne.

– Powinnam zostać przy Marii?

– Lepiej niech pani jedzie na wakacje.

Wiedziałam, co to oznacza. Doktor dawał mi czas na zaczerpnięcie tchu przed życiem, z którym niebawem mam się zmierzyć.

## Rozdział 34

### ALEKSANDRA

Tak czy siak, dostałam od Witaja zielone światło, o czym niezwłocznie powiadomiłam przyjaciółkę.

– Miła, szukamy lotów! Może uda się na najbliższy weekend? – Cała byłam w emocjach.

Niestety, termin jej nie odpowiadał.

– Ola, bardzo mi przykro, ale teściowa od wczoraj leży w łóżku z anginą i teraz nie zostanie z dziećmi. Może wydobrzeje do przyszłego tygodnia.

Dobry i przyszły tydzień, pomyślałam, zerknąwszy w kalendarz. Kolejna środa wypada dwudziestego trzeciego sierpnia, więc do końca wakacji Nataszy miałybyśmy tydzień. I załapałam się na wystawę pamiątek po Krastisie.

Miałam również nadzieję, że końcówka lata ześle Janisa do jego ryskiego mieszkania. A zresztą nie będzie miał innego wyjścia, o czym zamierzałam go niebawem poinformować.

– Spojrzę, dam ci znać, jeśli znajdę wolne miejsca w pobliżu środy albo czwartku – powiedziałam. – Wiesz, w środku tygodnia są tańsze.

– Dobrze. Liczę, że teściowa szybko stanie na nogi.

Wyjazd był tuż-tuż. Nie może się nie udać!, zacierałam ręce. Oby tylko matka Kacpra wyzdrowiała, pomodliłam się w duchu, bo kolejny tydzień już nie wchodzi w rachubę. Pierwszy września zbliżał się wielkimi krokami, a wraz z nim szkoła Nataszy.

Powinna wziąć się za tłumaczenie, ale ciekawość pognała mnie na stronę LOT-u.

„Są miejsca do Rygi na środę i czwartek”, nie mogłam powstrzymać się od poinformowania Mileny. „Osiemset złotych w obie strony. Z opłatą pokładową i dodatkowym bagażem wyjdzie po mniej więcej tysiącu na głowę. Daj znać, kiedy mam zamawiać”.

Czułam się jak koń w boksie przed biegiem, oczekujący na znak do rozpoczęcia gonitwy.

Postanowiłam wykorzystać tę energię i pozałatwiać najważniejsze sprawy. Wyjazd na Łotwę miał być pasmem przyjemności, nieskażonym myśleniem o obowiązkach. Przede wszystkim musiałam wyekspediować z domku Janisa i zapewnić sobie spokojny pobyt.

Napisałam do niego mejla.

„W przyszłym tygodniu wybieram się do Jurmały z przyjaciółką i jej córką. Nie mogę Ci jeszcze podać dokładnego terminu, ale najprawdopodobniej będzie to środa lub czwartek. Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i dom będzie wolny. Korzystałeś z niego przez całe lato, ja proszę o tydzień. Czy możesz mi przypomnieć, kiedy jest otwarcie kącika pamięci poświęconego Krastisowi? Chciałabym odwiedzić -wystawę.

Nie wiem, czy znajdziemy czas na rozmowę o przyszłości naszego domku. Zamierzam pokazać Milenie Rygę, a zresztą sprawę schedy po Krastisie możemy załatwić korespondencyjnie. A.”.

Janis odpowiedział dopiero wieczorem. Zaskoczył mnie, bo przywykłam do jego natychmiastowych reakcji, więc wielokrotnie sprawdzałam pocztę.

„Sasza, możesz się nie obawiać – pisał. – Kiedy przyjedziesz, nie będzie mnie w Jurmale. Przyznam, że teraz, w trakcie szkolnych wakacji, stosunkowo często tam bywamy ze Skelem, ale obowiązki czasami wzywają do Rygi. Pomagam organizować wystawę (przyjeżdżasz akurat na jej otwarcie) i trochę remontuję mieszkanie w mieście, które, jak wiesz, nie widziało pędzla od lat. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Nie pisałem, skoro postanowiłaś zarzucić kontakty ze mną, natomiast pozwolę sobie wykorzystać okazję, że napisałaś ponownie, i opowiem, jak wygląda sytuacja.

Inga wpadła na Łotwę jak po ogień, by po tygodniu wyjechać do Niemiec. Domniemany konflikt z Maksymilianem był prawdopodobnie tylko pretekstem, żeby przywieźć mi Skelego i go zostawić. Tak, teraz jestem samotnym ojcem trzynastoletniego syna. Przyznam, że początki były trudne, ale powoli się docieramy. Próbuje sił w surfowaniu, gramy w siatkówkę, a wieczorami w planszówki.

Musiałem załatwić mu szkołę, a teraz przygotowuję dla niego pokój. Inga czaruje, że oddała mi go tylko na jakiś czas, ale jej nie wierzę. Jest w drugiej ciąży. Będę szczerzy: na początku sytuacja mnie

przerosła. Wpadłem w przerażenie, kiedy powiedziała mi o swojej decyzji pozostawienia Skelego ze mną. Tak, o decyzji, nie o planach. Wierz mi, nie pytała o zgodę. Po prostu postawiła walizki z rzeczami syna w przedpokoju i zakomunikowała mi, jak będzie wyglądała moja przyszłość. Miałem się z nią kłócić? Wyrzucić oboje na zbity pysk? Ją chętnie, ale co winien mój syn?

Nie będę się rozpisywał. Chcę tylko, żebyś wiedziała, dlaczego ją przyjąłem na kilka dni i tolerowałem jej obecność w Jurmale. Ze względu na Skelego. Pragnąłem, żeby miał miękkie lądowanie z lotniska matka na lotnisko ojciec. W końcu sam najlepiej wiem, jak to jest nie mieć ojca.

To tyle. Przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz. Daj wcześniej znać, wyniesiemy się z domu. I obiecuję, że zastaniecie tam porządek.

Pozdrawiam Cię serdecznie. Janis”.

Przyznam, że treść mejla mnie poraziła. Co za kobieta z tej Ingi? Jak można przedstawiać własnego syna niczym pionek na szachownicy?

Miałam ochotę natychmiast napisać do Janisa i zapewnić go, że nie musi się wyprowadzać z Jurmały i że chętnie poznam Skelego. Na szczęście powstrzymałam odruch serca, uświadomiwszy sobie, że problem leży zupełnie gdzie indziej.

W nas. W Janisie i we mnie.

Po prostu nie jesteśmy parą. Współczułam mu, że znalazł się w niekomfortowej sytuacji, ale nie miałam na nią wpływu.

„Wierzę, że poradzisz sobie doskonale z synem i sprostasz zadaniom ojca – odpisałam, nie czekając, aż zacznę się zastanawiać nad swoimi uczuciami. – Dziękuję, że udostępnił nam dom. Pewnie spotkamy się na wystawie. Do zobaczenia. Aleksandra”.

Krótko, węzłowato, bez emocji, choć te buzowały.

Miał przy sobie swojego syna, ja oczekiwałam swoich. Każde z nas musiało skoncentrować się na osobnych problemach.

– Co z naszym wyjazdem na wieś? – Rankiem następnego dnia zadzwoniłam do Mileny.

– Nic – odburknęła. – Leoś zagorączkował, a w dodatku ma rozwolnienie. Idę z nim do lekarza. Olka, wszystko się wali. Nie wiem, czy polecimy na Łotwę – dodała zrezygnowana.

U mnie również działo się nie najlepiej. Wprawdzie Maria, do której dzwoniłam codziennie, czuła się dobrze, ale mama poprosiła mnie o spotkanie. Słusznie domyśliłam się, że chodzi o pana Leopolda.

Pojechałam od razu i zastałam ją załamana. Po mieszkaniu kręciła się ciotka Waleria, która z miejsca zaproponowała mi melisę. Nie wróżyło to nic dobrego.

– Co się stało? – Po zdawkowym powitaniu z ciotką przysiadłam w fotelu obok mamy.

– Lekarz powiedział, że zostało mu kilka miesięcy – ledwie wykrztusiła. – Ja wiem, że ty go nie lubisz...

– Mamo, przestań. Powiedz coś więcej – przerwałam niepotrzebną dygresję.

Czuć niechęć do osoby, która zajmuje miejsce taty, a źle jej życzyć to zupełnie co innego.

– Znaleźli przerzuty do wątroby. Teraz Poldek jest w szpitalu, ale jutro zabieram go do domu. Waleria przyjechała mi pomóc. Chciałam, żebyś wiedziała.

Naprawdę było mi przykro. Niestety, żadne pocieszenie mamy niczego by nie zmieniło. Mieliśmy już w rodzinie podobny przypadek, więc wszystkie trzy zdawałyśmy sobie sprawę z powagi sytuacji. Pan Leopold znalazł się na równi pochyłej.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytałam.

– Nie. Chciałam, żebyś wiedziała – powtórzyła.

Siedziałyśmy, każda ze swoją szklanką z melisą, i rozmawiałyśmy. Spokojnie, starając się w żaden sposób nie nakręcać mamy. Była tak wykończona, że w pewnym momencie zasnęła na kanapie pod kocem.

Ciotka Waleria zabrała mnie do kuchni.

– Oluchna, Jadwigę czekają trudne chwile – zaczęła. – Będę przy niej, bo wiem, że i ty niebawem będziesz musiała się z nimi zmierzyć, ale chcę prosić cię o jedno.

Zamieniłam się w słuch.

– Zarzuć na jakiś czas kwestię oddania do adopcji Marysi. Zapomnij o tym na moment. Zaczekaj, aż Leopold... Aż będzie po wszystkim. Jadwiga bardzo przeżywa to niespodziewane nieszczęście. Dasz radę?

Moja ciotka Waleria. Czują dla wszystkich, współczująca, zawsze na miejscu, kiedy potrzeba. A do tego przekonująca.

– Dobrze, ciociu – powiedziałam. – Wszystko rozumiem. W przyszłym tygodniu jadę na tydzień na Łotwę. Myślisz, że mogę? – zadałam pytanie prywatnej wyroczni delfickiej.

Ciotka pogłaskała mnie po ramieniu i przytuliła.

– Oczywiście. Leopold jest w złym stanie, ale na śmierć trzeba sobie zapracować. Z pewnością przeżyje do twojego powrotu. A co powiedział doktor Witaj?

Nie wiem, skąd wiedziała o wizycie u ginekologa, mamie o niej nie wspominałam.

Streściłam jego diagnozę.

– A zatem jest prawie pewne, że jeden z chłopców urodzi się z wadami – podsumowała.

Pokiwałam głową.

– Olu, pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Niebawem idę na emeryturę.

Wychodziłam od mamy z ciężkim sercem, mimo że Waleria wpuściła do niego niewielką iskierkę słońca. Druga nadeszła od Mileny.

„Jedziemy! Możesz zamawiać lot na najbliższą środę. Wyłożysz kasę czy mam Ci przesłać?”

„Daj spokój. Siadam do kompa, kiedy tylko wrócę do domu!”, odpisałam.

Wszystko się wyprostowało! Jurmała była o krok, o lot.

Tak bardzo pragnęłam zasiąść na plaży przed domkiem Krastsa i głębiej odetchnąć!

## Rozdział 35

### MARIA

Aleksandra leciała do Rygi. Powiedziała mi o tym podczas naszego ostatniego spotkania, po wyjściu od doktora Witaja. A właściwie zapytała, czy może jechać.

– Oczywiście, że dam sobie radę – odparłam, nieco przygnębiona podtrzymaniem diagnozy.

Na równi z Olą martwiły mnie perspektywy jednego z chłopców, mimo że drugi miał urodzić się zdrowy i bez wad. Niby pociecha, ale słaba. Miałam, naturalnie, pełne zaufanie do mojej świeżo odnalezionej siostry, która nie tylko deklarowała przywiązanie i ogromną sympatię, ale i dawała im wyraz. Jednak znałyśmy się bardzo krótko, a życie nauczyło mnie nie rzucać się na szyję każdej nowo spotkanej osobie. Mama nieustannie nawiązywała do przypowieści o przyjaciołach i beczce soli i starała się mnie chronić przed zagrożeniem ze strony, jak mówiła, złych ludzi lub ich nieczystych intencji.

– Kochanie, jesteś jedynaczką. Zostaniesz całkiem sama, kiedy odejdę – powtarzała z troską.

Podobno w dzieciństwie byłam bardzo łatwowierna.

Polubiłam Olę, nigdy nie doznałam od niej jakiegokolwiek przykrości, ale zdawałam sobie sprawę, że kieruje nią nie tyle siostrzana miłość, ile silne powiązanie naszych losów poprzez jej dzieci, które nosiłam.

Właśnie: czy jej? Państwo, w którym przyszło nam żyć, odbierało kobiecie przekazującej jajeczko do zapłodnienia prawo do bycia matką narodzonego maleństwa. Miałam nią być ja, surogatka, a Jan, jako dawca nasienia, ojcem.

Już dawno ustaliłyśmy z Olą, że nigdy, przenigdy nie będę rościć sobie prawa do chłopców. To byłby nonsens. Czułam jednak pod skórą, że ona nosi w sobie niepokój. Widziałam go w jej oczach.

Istniała i druga strona medalu. Borykowie chcieli jednego dziecka i nazywając rzecz po imieniu, zakontraktowali jedynaka. Z pewnością nie spodziewali się bliźniąt, z których jedno okaże się poważnie chore. A to samo prawo, które dawało mi pozycję matki, ich nie zobowiązywało do odebrania obu chłopców. A ja nie mogłam odmówić wychowania tego, który ze mną zostanie.

Ola przy każdej okazji zapewniała, że czeka na bliźnięta, a ja byłam pewna jej dobrych intencji. Nie mogłam jednak wiedzieć, jak zachowa się po narodzinach chłopców, kiedy stanie oko w oko z widocznymi ułomnościami.

Kiedy poprosiła o spotkanie przed wyjazdem na Łotwę, sądziłam, że chce porozmawiać o naszym pokrewieństwie i zaprosić mnie do rodzinnego domu. Ostatnio często poruszała ten temat. Jednak, jak się okazało, wizyta miała się przesunąć na bliżej nieokreśloną przyszłość. Ciężko zachorował nowy partner pani Jadwigi, którą czekało trudne życiowe wyzwanie.

– Mama jest w złym stanie – usłyszałam – i ciotka Waleria poprosiła mnie, żeby dać jej spokój do czasu, kiedy Leopold... Sama rozumiesz.

Oczywiście, że rozumiałam. Zwłaszcza że wcale nie miałam ochoty na bliższe kontakty z matką Aleksandry i o nie nie zabiegałam.

– Olu, ale czy ja się jej narzucam? – zapytałam retorycznie.

– Jasne, że nie. Po prostu chciałam jakoś poukładać relacje między nami trzema, a teraz muszę odczekać.

Nie potrafiłam ocenić, ile prawdy jest w tych słowach. Może, mimo deklaracji, Aleksandra zdecydowała się trzymać mnie na dystans? Ta wątpliwość podważyła nieco moje zaufanie do jej intencji i wywołała zaniepokojenie. Ola czekała na termin rozprawy rozwodowej, jej mąż starał się rozgrywać sprawy finansowe na swoją korzyść. Co będzie, jeśli ona sobie nie poradzi i zostanie na lodzie? Czy wtedy adoptuje obu chłopców?

Nawiasem mówiąc, kłopoty małżeńskie państwa Boryków odbiły się na stanie mojego konta. W sierpniu nie wpłynęła kolejna rata. Nie nawykłam do egzekwowania długów, ale widok Kaliny na wózek mobilizował do działania.

– Olu, twój mąż nie przelał mi pieniędzy za sierpień – napomknęłam stremowana. – Przepraszam, że się dopominam...



– Już robię przelew! – Sięgnęła po komórkę.

Chwyciłam ją za nadgarstek.

– Nie teraz, naprawdę nie ma pośpiechu!

Ola wykonała kilka szybkich manewrów na klawiaturze komórki i obwieściła zakończenie akcji.

– Poszło. Zaraz powinnaś mieć pieniądze na koncie.

Rozmawialiśmy niby jak zawsze, ale mnie daleko było do szczerości jak wówczas, kiedy spontanicznie wyjawiałam swoje uczucie do Juliana. A nawet jej pożałowałam. Ola wydawała mi się nieobecna i przytłoczona problemami, które zachowywała dla siebie. Wiedziałam, że ma wspaniałego prawnika, który przeprowadzi ją przez życiowe rafy. I obawiałam się, że jedną z tych raf jestem ja.

– Możesz sprawdzić, czy przelew dotarł? – przerwała mi po chwili smętne rozmyślenia.

– Na pewno!

Gestem zmobilizowała mnie do działania.

Niechętnie wyciągnęłam telefon i stuknęłam w ikonę banku. Stan mojego konta powiększył się o dwanaście tysięcy złotych.

Skinęłam głową, wciąż speszona dopominaniem się o pieniądze. Bo choć nie było w tym nic niewłaściwego, było mi nieprzyjemnie.

– Przepraszam – bąknęłam.

– Nie masz za co. To dla Kaliny. A właśnie, miała udane wakacje? Miłość z Krzyśkiem kwitnie?

Nie bardzo miałam ochotę o tym rozmawiać. Potwierdziłam zdawkowo i wymigałam się od tematu pod pretekstem domowych obowiązków.

– Życzę ci miłego pobytu w Rydze – powiedziałam na pożegnanie.

Gdy zamknęła za mną drzwi, odetchnęłam z ulgą.

W dole brzucha czułam słaby ucisk, na szczęście mogłam już pójść do domu. Choć mogłam się spodziewać, że Kalina siedzi tam teraz z Krzyśkiem i wykorzystują po swojemu ostatnie tygodnie dzielące go od wyjazdu z rodzicami do Malagi.

Czasami myślałam, że spadło na mnie fatum. Dlaczego właśnie mnie i moją rodzinę dotykają wszystkie możliwe plagi? I to w momencie, kiedy życie zaczyna toczyć się po właściwych torach, a na horyzoncie pojawia się słońce. Gdy zmarła mama i skończył się jej dramat, a jednocześnie ja odetchnęłam po ostatnich latach jej choroby, Kalina uszkodziła kręgosłup w wypadku. A kiedy pojawiła się szansa na operację i znalazłam sposób na zdobycie pieniędzy, Władek postanowił zacząć nowe życie bez nas. Na domiar złego teraz Kalinka, moje szczęśliwie zakochane dziecko, musi rozstać się z Krzyśkiem, bo jego rodzice znaleźli intratną posesję za granicą. Wyglądało jednak na to, że młodzi ułożyli sobie wizję swojego życia na odległość i są z tym pogodzeni. Ale pierwsze dni po powrocie córki z wakacji były nie do zniesienia.

Kiedy wróciłam do mieszkania po nieszczęśliwie zakończonym wieczorem z przyjaciółkami Barbary i Teodora, zastałam w nim zaciętą w sobie Kalinę. Nie odpowiedziała na moje „cześć”, odsunęła się, kiedy chciałam ją objąć.

Poszłam do kuchni i powoli, starając się chronić zmęczony brzuch, wypakowywałam jedzenie, które wetknęła mi pani Ludmiła. Broniałam się, jak mogłam, ale osiągnęła swoje. W torbach znalazły się tony pierogów i innych smacznosci.

– Zamrozi sobie pani, będzie jak znalazł. Dla córki na obiad – powiedziała z uśmiechem.

Kalina długo nie wytrzymała w samotności. Nie minęła chwila, a zobaczyłam wózek w drzwiach kuchni.

– Tato mi powiedział, że już go nie chcesz! – zawołała. – Że chcesz rozwodu! To prawda?

Zastanowiłam się nad odpowiedzią. Może powinnam zaprzeczyć? Władek z pewnością przedstawił sprawę ze swojego punktu widzenia, więc miałam prawo do obrony.

– Chcesz porozmawiać? – Usiadłam ciężko na taborecie i wsparłam łokieć o blat stołu.

Mój kręgosłup wyprostował się nieco.

– Mam chyba prawo wiedzieć, dlaczego rozpada się nasza rodzina?

Mimo zmęczenia postanowiłam podjąć wyzwanie.

Spokojnie streściłam moje dorosłe życie: nieukończone studia, wiele dobrych lat z Władkiem,

wypadek, propozycję Boryków i zawód, jaki sprawił mi mąż. Kalina słuchała, ale odnosiłam wrażenie, że nie wszystko do niej dociera. Nie wiedziałam, co nagadał jej Włodek, w każdym razie była nastawiona wobec mnie wojowniczo.

– Tato musiał wyjechać na wieś, bo ciosałaś mu kołki na głowie za brak pracy! – usłyszałam.

– Stracił ją za pijaństwo, nie szukał innej. No i nie przestał dogadzać sobie w barze – odparłam.

– Czy na tym polega opieka nad żoną w trudnej ciąży?

– Jesteś niesprawiedliwa! Znalazłaś sobie nowe mieszkanie, spotykasz się z kimś! – wypaliła.

A zatem mój mąż użył i tego argumentu. Ale tym razem przesadził.

– Córciu, jesteś jeszcze młoda, nie chciałam wplątywać cię w nasze sprawy, ale skoro podejmujesz ten temat, proszę – powiedziałam. – To ojciec mnie opuścił, a nie ja jego. I sprawił, że nie ma już odwrotu. Nie chcę dłużej z nim być. Może kiedyś o tym porozmawiamy, jednak nie teraz. Jestem wykończona i potrzebuję wypoczynku.

– Ale...

– Kalina, ja muszę donosić tę ciążę. Dla ciebie. Rozumiesz? Potrzebujemy pieniędzy na twoją operację. To teraz sprawa najważniejsza.

Chyba zrozumiała, bo nie odwróciła wózka i została w kuchni.

– Przepraszam, mamuś – mruknęła. – Idź spać, porozmawiamy kiedy indziej.

Zasypiając, miałam przed oczami obrazy z dzisiejszego dnia. Te przyjemne, jak chwila, gdy Julian przedstawiał mi Antka, i te mniej, jak niespodziewana wizyta syna pana Teodora, który popsuł ojcu zaręczynowy wieczór. Po rozmowie wyszedł zdenerwowany. Teodor opanował emocje i powrócił do towarzystwa, ale pozostała w nim obawa, że historia będzie mieć ciąg dalszy. No nic, najważniejsze, że sytuacja została opanowana i obyło się bez ingerencji policji.

Odplynęłam.

Z Kaliną doszliśmy do porozumienia. Po powrocie z pracy czekał na mnie ciepły gulasz czy sterta placków ziemniaczanych. Najczęściej jednak zastawałam Krzyśka w pokoju Kaliny. Na mój widok szybko zmywał się do domu.

– Kiedy Krzyś wyjeżdża? – zapytałam po powrocie ze spotkania z Aleksandrą.

– Za dwa tygodnie – odparła podejrzenie radosnym tonem Kalina. – A co u ciebie? – Wykazała się rzadkim zainteresowaniem.

– Szefowa w szpitalu, kupa roboty – odpowiedziałam zdawkowo. – Jadłaś kolację?

– Jedliśmy – odparła. – Podgrzać ci leczo?

– Kto zrobił?

– My oboje.

– Jasne.

Leczo było bardzo smaczne, a humor mojej córki nadzwyczajny. I to mnie zaniepokoiło.

## Rozdział 36

### ALEKSANDRA

Ostatnie dni były trochę zwariowane.

Wprawdzie Milena kazała kupować bilety, ale do końca nie miałam pewności, czy nasz wspólny wyjazd dojdzie do skutku. Jej teściowa wciąż zmagала się z anginą, a rozwolnienie Leosia okazało się gripą żołądkową, którą poczęstował siostry. Lenka przechodziła chorobę stosunkowo lekko, ale organizm Nataszy zareagował agresywnie.

Rzuciłam wszystko, by pomóc przyjaciółce pokonać nagły kryzys, tym bardziej że Kacper miał siedem światów ze spiętrzeniem robót budowlanych. Warzyłam ryż na wodzie, tarłam warzywa na marchwiankę, czytałam dzieciom bajki i grałam z dziewczynkami w planszówki, powoli tracąc nadzieję, że uda się opanować to pandemium do środy.

Straciłam ją niemal całkowicie, kiedy w niedzielę wieczorem wróciłam do domu z żołądkowymi sensacjami.

– Milena, jest mi niedobrze – poskarżyłam się przez telefon w przerwie między wizytami w łazience, które spędzałam z toaletą w objęciach. – Biorę tabletki i kładę się spać. Zobaczmy, co przyniesie jutro.

Zaległam, nie mając nawet siły na rozpacz.

Ale następnego dnia zaświeciło słońce. Nie wiem, czy gripę żołądkową pokonała niezwykle silna motywacja, czy też organizm poradził sobie z chorobą sam z siebie, w każdym razie rankiem mój żołądek znalazł się na swoim miejscu. Ba, nawet poczułam głód. No, może nie wrzuciłam na ruszt jajecznicy z boczkiem, za to całkiem chętnie pochłonęłam omlet na maśle.

Pozostało mi wybadać sytuację u Mileny.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po przestąpieniu progu jej domu, był Leos bawiący się na dywanie w salonie. Wyglądał na zadowolonego. Moja przyjaciółka kręciła się po kuchni, ale nie mieszała w rondelku kolejnej dietetycznej kaszki, tylko wbijała jajka na patelnię.

Wciągnęłam przyjemny aromat.

– Jak noc? – zapytałam.

– Dobrze. Żadne nie wymiotowało. Tylko jestem trochę niedospana.

– To ja idę do dziewczynek. I w ogóle zajmę się całą trójką. A ty biegnij do sypialni – zarządziłam.

Wprawdzie Lenka i Natasza były jeszcze w łóżkach, ale zmobilizowałam je do zaczęcia dnia perspektywą wspólnego śniadania i przedpołudnia z ciotką. Leos chwilowo zonglował klockami i nie sprawiał kłopotu.

Milena przespała kilka godzin.

Niedługo i mnie czekają takie wyzwania, pomyślałam o dzieciach, które rozpoczynały siódmy miesiąc w brzuchu Marii. Martwiłam się nieustannie, ale wiedziałam, że nawet gdyby doszło do wcześniejszego porodu, wkraczamy we w miarę bezpieczny czas. Mnie nigdy nie udało się tak długo nosić ciąży.

Myśl o przekroczeniu psychicznego Rubikonu trochę budowała. Niepokoiło jedynie wrażenie, jakie odniosłam w trakcie ostatniej rozmowy z Marią. Wydawała się nie do końca szczerą, nieufną.

Odsunęłam niepokojące myśli, tym bardziej że w kuchni pojawiła się cała trójka dzieciaków Mileny.

– Ciociu, lecimy w środę? – Natasza dopytywała mnie nieustannie.

– Kochanie, nie tak głośno. Lence może być przykro – szepnęłam.

– Nieee, ona czeka na babcię. Ale dobrze – zgodziła się, gestem sznurując usta.

Kiedy po dwóch dniach wsiadałyśmy do samochodu i brałyśmy kierunek lotnisko, poczułam znajome podniecenie. Milena siedziała obok mnie, Natasza z tyłu zasnęła trzydzieści kilometrów od miasta. Byłyśmy otwarte na przygodę.

– Odpoczęłaś? – Spojrzałam na przyjaciółkę kątem oka.

– Jest okej. Nareszcie wyrwałam się z domu. – Przeczesła włosy dłonią i wyprostowała plecy w fotelu. – A już myślałam, że ta gehenna z grypą żołądkową nigdy się nie skończy. Dzizas, jak ja mam tego wszystkiego dosyć!

Mówiła o rodzinnych obowiązkach i kłopotach dnia codziennego, ale co miałam odpowiedzieć? Niedługo czekają i mnie, do nich dążyłam przez całe swoje małżeńskie życie. Nie przewidziałam tylko, że przyjdzie mi się z nimi zmagać w pojedynkę. No, może z pomocą ciotki Walerii.

– Chwilowo możesz zapomnieć o kłopotach – odparłam. – Za kilka godzin będziemy w Rydze. Zabukowałam nam hotel na dwie doby, poganiamy po mieście, pokażę wam to i owo. A potem wyjazd nad morze.

– Bosko! Ola, a Janis będzie w Jurmale? – zapytała Milena.

– Nie ma obawy, kazałam mu się wynosić. Zresztą siedział tam przez całe wakacje z synem. Ja również mam prawo do domu Krastsa.

– Z synem? – zainteresowała się. – A Inga?

– Nie mówiłam ci?

Złowiłam pytające spojrzenie.

Streściłam pokrótce mejl od Janisa i jego wyjaśnienia dotyczące byłej żony.

– Zostawiła go po raz drugi. A potem okazało się, co było tego przyczyną. Przywiozła mu syna i pomachała chusteczką na do widzenia. Janis musi teraz zaopiekować się Skelem. Załatwił mu szkołę, przygotowuje pokój. Będzie ojcem na pełny etat.

Milena nie zareagowała, trawiła informacje. A ja czułam, że mi się dostanie.

– Jesteś zazdrosna – usłyszałam i poczułam ukłucie w sercu.

Noga mocniej docisnęła pedał gazu. Dojeżdżaliśmy do Warszawy. Na horyzoncie zaczęły pojawiać się wieżowce.

– Mila, mówiłam ci, że temat Janisa nie istnieje. On ma dziecko, ja będę mieć dwoje. Nie ma potrzeby roztrząsać sprawy.

– Jasne!

– Zerknij na GPS – zmieniłam temat. – I sprowadź mnie właściwie z głównej drogi, bo tu jest jakiś dziwny zjazd. – Ogarniałam kilka pasów i sznur jadących samochodów.

– Za pięćset metrów skręcamy w prawo, a potem w pierwszą w lewo – zakomunikowała. – Łukiem w lewo, tak jak prowadzi główna droga. I jesteśmy na parkingu.

Kiedy dotarliśmy do celu, odetchnęłam z ulgą. Auto szczęśliwie nie odmówiło posłuszeństwa, nie przystopowały nas korki, a do odlotu miałyśmy niemal dwie godziny.

Na lotnisku opanowała nas euforia. Nataszka, wyspana i żądna wrażeń, biegła za nami w trakcie nadawania bagażu i odprawy jak mała sarenka. Znalazłyśmy właściwą bramkę i spokojne o dalsze formalności skorzystałyśmy z nadmiaru czasu. Zafundowałyśmy sobie kawę.

Za oknami lądowały samoloty, a pracownicy lotniska uwijali się przy przewozie bagażu.

– Ciociu, myślisz, że mogłabym nagrać pierwszy filmik? – Natasza rozpoczęła pracę reporterki.

– Pomóc ci?

Przemierzyłyśmy korytarze, odwiedziłyśmy strefę wolnocłową, uchwyciłyśmy kołujący samolot, zatrzymałyśmy kamerę na pasażerach, którzy siedzieli lub chodzili, ciągnąc za sobą podręczny bagaż, a niektórzy nawet posypiali na niezbyt wygodnych metalowych fotelikach.

– Czy w Rydze spotkamy się z tym panem Janisem i jego synem? – usłyszałam kolejne pytanie.

– A chciałybyś? – Byłam nieco zdziwiona, skąd mała wie o moim znajomym.

Trudno wymagać od jedenastolatki szczerzej artykulacji uczuć, ale jej mina zdradziła wszystko. Natasza się zarumieniła.

– Może? Gdyby był fajny?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, a moja ulubienica czekała.

– No dobrze. Postaram się coś z tym fantem zrobić. – Z tajemniczym uśmiechem przyciągnęłam ją do siebie i pocałowałam w czubek głowy.

– Ciociu, mama chyba woła! – przerwała nasz czuły uścisk, wskazując na machającą Milenę.

Otworzono bramkę.

Godzina lotu znajomym bombardierem i wylądowałyśmy na równie dla mnie znajomym lotnisku w Rydze. Zaprawiona w bojach poprowadziłam dziewczyny po bagaż, a potem na postój taksówek.

Wzięłyśmy namiar na Pulkveža Brieža, gdzie zarezerwowałam hotel. Stanęłyśmy przed dziewiętnastowiecznym budynkiem i samootwierające się drzwi wpuściły nas do środka. Jeszcze tylko przejście przez recepcję, pokryty szklanym dachem korytarz prowadzący do oficyny, winda na szóste piętro i byłyśmy u siebie.

Natasza z punktu rzuciła się na łóżko.

– Ale wygodne!

– Umyj ręce po podróży! – dyscyplinowała córkę Milena.

A ja, szczęśliwa, bo na swoim miejscu, rzuciłam się obok młodej i postąpiłam bardzo niepedagogicznie.

– Zaraz pójdziemy umyć ręczki, mamusiu – powiedziałam i rozładowałam radość, przytrzymując Nataszę i zalewając ją falą gilgotek.

W końcu dokonaliśmy ablucji i chociaż Milena miała ochotę na krótką drzemkę, nie pozwoliliśmy jej pospać. W kwestii natychmiastowego zwiedzania miasta dostałam wsparcie od Nataszy.

– Mamuś, idziemy! Ciocia obiecała nam pokazać Rygę – zarządziła mała nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Poprowadziłam obie moje panie w kierunku starówki. Nie była daleko, zaledwie o kilkanaście minut marszu. Podziwiałymy secesyjne kamienice, park z rzeczką, po której pływały dzikie kaczki, mijając liczne, a nawet bardzo liczne ryskie knajpki. Aż wreszcie znalazłyśmy się nad Dźwiną, szerszą tu od Wisły w jej najlepszej kondycji.

A na starówce... Jeden, drugi, trzeci rynek, każdy w swoim rodzaju, pomieszanie epok, w których rozpoznawaniu nigdy nie byłam dobra, turyści, miejscowi, różnojęzyczny tłum otulony historią, pięknem kamieniczek i knajpek.

Zmachane marszem, postanowiłyśmy przysiąc w którejs z nich. Wybrałyśmy tę o wdzięcznej nazwie Province, która sugerowała wiejskie, lokalne, łotewskie jadło. Byłam w niej kiedyś z Janisem, zresztą nie raz, i lubiłam. Nie mieli tu wprawdzie śledzi, jak w Salve, restauracji tuż obok, teraz z niewiadomych przyczyn zamkniętej, ale placki ziemniaczane z wędzonym łososiem, kulkami twarożku i sosem czosnkowym zachęcały.

Do kelnerki, która przyszła przyjąć zamówienie, zagadałam po łotewsku.

– Możemy mówić po polsku. – Uśmiechnęła się.

– Tak? Ma pani polskie korzenie?

– Nie, ale mam męża Polaka.

Miły epizod, niejeden zresztą w tym mieście.

– Zauważyłaś, że nas tu bardzo lubią? – Milena była zszokowana takim podejściem do naszego narodu.

Roześmiałam się.

– Ta sympatia jest odwzajemniona. Łotysze to wspaniały naród – powiedziałam, mając na myśli jednego z nich.

Niemniej jednak zachowałam swoje myśli dla siebie.

Było bardzo miło, ale zarówno w Province, jak i później, gdy wracałyśmy do hotelu, mimo woli rozglądałam się dokoła, szukając wzrokiem Janisa. Zachowanie głupie i irracjonalne, ale Ryga bez niego nie miała uroku.

O taki stan rzeczy nie mogłam mieć do nikogo pretensji. W końcu sama go odtrąciłam.

## Rozdział 37

### ALEKSANDRA

Do hotelu wróciłyśmy późnym wieczorem. Obawiałam się o kondycję Nataszy, jednak mała nie tylko dotrzymywała nam kroku, ale i miała niespożyty apetyt na więcej. Kiedy my zatrzymywałyśmy się na kolejną kawę, ona redagowała teksty, opatrywała je zdjęciami i wysyłała na swoje konto społecznościowe. To z myślą o niej przywiozłam przewodniki po polsku i angielsku, z których czerpała informacje o kolejnych zabytkach i historii miasta. Wrażenia opisywała sama. Nie przypomiinałam sobie, żebym w jej wieku była tak rozgarnięta i tak mało uciążliwa dla dorosłych.

To Milenę opanowało zmęczenie.

– Ledwo idę, daleko jeszcze? – dopytywała, nie mając pojęcia, że właśnie znalazłyśmy się na ulicy, przy której stoi nasz hotel. – A jutro dajcie mi się wyspać! – zarządziła.

– Oczywiście. Ale musimy zdążyć na śniadanie.

– Nigdzie nie idę. Śpię do dziesiątej – oznajmiła, pocierając dłonią obolałą kostkę. – Tak to jest, jak się bierze w podróż nowe buty – złorzeczyła pod nosem.

– Może wskoczmy jeszcze do Gallerii Riga, to niedaleko? Kupisz sobie cichobiegi...

Moja propozycja z góry skazana była na niepowodzenie.

– Niedoczekanie, wołami mnie nie zaciągniesz! A zresztą mam ze sobą trampki.

Gdy tylko przekroczyłyśmy drzwi hotelowego lobby, Milena pomaszerowała prosto do windy. Mnie zatrzymała recepcjonistka.

– Pani Boryk? Mam dla pani list. – Podała mi dość sztywną kopertę.

Rzeczywiście, widniały na niej moje personalia. Nie miałam pojęcia, jakim cudem przesyłka trafiła tu, gdzie powinna, chociaż nikomu nie zdradziłam mojego miejsca pobytu. Znał je tylko Kacper, ale to z pewnością nie on był nadawcą.

– Kto zostawił list? – próbowałam zasięgnąć języka u sympatycznej Łotyszki.

– Przykro mi, ale nie wiem. Przyjęła go koleżanka na poprzedniej zmianie.

Usiadłam w najbliższym fotelu i gnana ciekawością zamasyście rozdarłam kopertę.

Rzecz okazała się trywialna: ujrzałam program wystawy pamiątek po Krastsie Mihelonsie i zaproszenie na nią dla trzech osób. Domyślałam się, że dostarczył je Janis. Tylko skąd wiedział, że będziemy w Rydze i wynajmiemy ten właśnie hotel? Termin przylotu był mu znany, ale słowem nie wspominałam, że zatrzymamy się w mieście.

Nie myśląc wiele, skreśliłam do niego kilka słów.

„Odebrałam zaproszenie na wystawę. Skąd wiedziałeś, że będziemy w Jugend? Śledzisz mnie, inwigilujesz? Nie prościej było zadzwonić albo przesłać zaproszenie mejlem? Sasza”.

Z przyzwyczajenia użyłam tutejszej wersji swojego imienia.

Komórka zapiszczała, sygnalizując nadejście odpowiedzi.

„Chętnie bym zadzwonił, ale Ty przecież nie chcesz mnie znać. Zapraszanie kogokolwiek mejlem nie jest zbyt eleganckie, a Tobie należy się słusznie szaczone miejsce wśród gości. Sporo twoich zdjęć dołączyliśmy do zbiorów. Pytasz o hotel? Sprawdziłem wczoraj dom w Jurmale, a skoro Cię w nim nie było, wywnioskowałem, że macie zamiar pochodzić po Rydze. Ergo, musiałyście gdzieś się zatrzymać. Postawiłem na Jugend, bo jest w okolicy, którą dobrze znasz: niedaleko byłego domu mistrza na Albert iela i blisko Strelnieku, przy którym wynająłem Ci mieszkanie na czas jednego z twoich pobytów. Zagrałem va banque i wygrałem. Pani w recepcji przyjęła przysyłkę dla Ciebie. Ot i cała tajemnica.

Mimo że mnie odpychasz, i tak cieszę się z Twojego przyjazdu. Mam nadzieję, że będziesz w niedzielę na otwarciu. Czekam również na Twoją przyjaciółkę i jej córkę. Skele również chciałby poznać Nataszę. Tak, pamiętam imię dziewczynki z Twoich opowiadań.

Proszę, daj mi znać. Jak również kontaktuj się ze mną, jeżeli będziecie czegoś potrzebować – tu, w Rydze, lub w Jurmale. Pomogę po przyjacielsku. Janis”.

I jak tu się na niego gniewać? Moje serce zabiło mocniej.

Posiedziałam jeszcze przez chwilę w milczeniu, walcząc z przemożną ochotą, by do niego zadzwonić i usłyszeć jego głos. I pewnie bym tak zrobiła, gdyby nie wstyd przed Mileną. Nagadałam jej na Janisa, odsądziłam go od czci i wiary.

Mimo to pojechałam na górę, by obgadać z nią sprawę, kiedy Natasza zaśnie, tymczasem w pokoju zastałam śpiącą Milenę. Jej córka czekała na mój powrót.

– Umordowałyśmy mamę, a ty jeszcze na nogach?

Nataszka przysiadła obok mnie i nie patrząc mi w oczy, wyartykułowała prośbę.

– Ciociu, czy będę mogła poznać syna pana Janisa? Bo wiesz, chciałabym spróbować porozmawiać z kimś po angielsku, a krępiję się dorosłych. On zna angielski?

– Nie wiem, maleńka. Przez wiele lat wychowywał się w Niemczech, ale tam pewnie uczą w szkołach angielskiego – odparłam. – Naprawdę tak ci na tym zależy?

– Uhm – mruknęła i spiekła raka. – Jego też się krępiję, ale mniej.

Niczym nie zdradziłam, że jej nagabywania są mi wyjątkowo na rękę.

Było już zbyt późno na telefon do Janisa, więc postanowiłam skontaktować się z nim o poranku.

Przy śniadaniu poddałam Milenie pod roz wagę pomysł spotkania z Janisem i Skelem.

– I co ty na to? – zapytałam pozornie beznamiętnie, zmiatając z talerza solidną porcję smacznosci ze szwedzkiego stołu. – Może te ich bułeczki nie należą do najsmaczniejszych, ale różnaitość produktów pozwala zjeść całkiem dobre śniadanie – zauważyłam.

– Olka, nami się nie przejmuj. Oczywiście, że możesz spotkać się z Janisem. W końcu macie wspólne sprawy: Jurmałę, wystawę. A my z Nataszą powłóczy my się w tym czasie po mieście, kupimy pamiątki, porobimy zdjęcia.

Natasza była jak żywy obraz nędzy i rozpaczy.

– Może później – odparłam. – Teraz was sobie nawzajem przedstawię. Tyle lat znasz Janisa z opowieści, czas na zmianę.

– Jesteś pewna, że mamy się ciągnąć z tobą? – zapytała, kiedy Natasza poszła po drugą szklanke soku.

– Milena, w kontaktach z Janisem nie jestem pewna niczego. Ale Natasza chce poznać Skelego.

– Puściłam oko.

Machnięciem ręki Milena wykazała zrozumienie.

– Jasne. W takim razie dobrze. Możemy ich poznać. Zresztą chyba i ty nie widziałaś jeszcze syna Janisa? Ile on ma lat, przypomnij?

– Trzy naście.

– To prawie mężczyzna! Żeby tylko nie zawrócił mojej córce w głowie! Wystarczy jedna, której pewien Łotysz odebrał spokój.

– To są dzieci, Milenko – przypomniałam. – Natasza chce poćwiczyć angielski, i tyle.

Za przyzwoleniem przyjaciółki zadzwoniłam do Janisa i umówiłam nas na spotkanie w knajpce Lido. Serwowano tam głównie miejscowe dania, ale były osiągalne i te bardziej przyjazne młodocianym: burgery i frytki.

– Czy odpowiada wam czwarta po południu? – Janis dogadywał godzinę.

– Odpowiada. Dzisiaj mamy w planach targowisko i może przepłyniemy się statkiem po Dźwinie. Czwarta będzie okej.

Szłam do Lido nieco stremowana, świadoma, że w obecności Mileny i dzieciaków nasz kontakt będzie bardziej formalny. Niczego nie będziemy mogli sobie wyjaśnić ani szczerze porozmawiać. Choć może to i dobrze?

Czekali na nas przed witryną: Janis, opalony po dłuższym pobycie nad morzem, z włosami teraz niemal do ramion, wyglądał jak młody bóg, jego syn, wierna kopia ojca, też jaśniał urodą wikinga.

Po wstępnej prezentacji i zamówieniu dań starsi rozluźnili się nieco kilkoma łykami wina, a młodszy szybko nawiązali kontakt. Komunikacja za pomocą obcego dla obojga angielskiego nie sprawiała im większego problemu. Zeppelin y okazały się całkiem przyzwoite, hamburgery podobno również. Pożegnaliśmy się w dobrych nastrojach.

– Kiedy wyjeżdżacie do Jurmały? – Janis nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Jutro. Ale w niedzielę wracamy do Rygi na wystawę. Przypomnij, otwarcie o dziesiątej?

Przytaknęła i zwrócił się do syna.

– Skele, nie będziemy zabierać paniom więcej czasu. Do niedzieli.

Zauważyłam, że dzieciaki wymieniły się telefonami, a później każde poszło w swoją stronę, ciągnąc nogi za dorosłymi. Nie trzeba było szóstego zmysłu, żeby dostrzec, że bardzo przypadli sobie do gustu. Dlatego kiedy Natasza spytała cicho, czy Skele może przyjechać do Jurmały, wiedziałam, że nie załatwię sprawy pierwszą lepszą odmową.

– Zobaczmy, co da się zrobić – obiecałam ogłędnie.

Nie mogłyśmy przecież zabrać chłopaka ze sobą. A obecność jego ojca niekoniecznie odpowiadała moim planom. Powinnam zobaczyć się z Janisem sam na sam.

– Bo Skele obiecał mi pokazać, jak się surfuje – drażyła Natasza.

Masz babo placek! Milena wprawdzie próbowała studzić zapał córki, ale niezbyt skutecznie. Wywołała jedynie łyzy w jej oczach.

– Natka, nie jesteśmy tu wyłącznie dla twojej przyjemności. Spotkacie się jeszcze na wystawie. Jutro jedziemy nad morze, do pięknego domu cici. Jest ciepło, pokąpiesz się, a ten surfing to może innym razem. A teraz przygotuj kolejny wpis na swojego bloga, bo niebawem czas na spanie – zakończyła dyskusję, kiedy wieczorem wróciliśmy do hotelu.

– A może jednak by ich zaprosić do Jurmały? – wstawiłam się za małą.

– A może byś tak spotkała się z Janisem tête-à-tête? – Odbiła piłeczkę. – Przecież widzę, jak na ciebie patrzy, a ty na niego. Olka, nie udawaj przede mną. W końcu znamy się całe dorosłe życie. Ingi nie ma, i tak naprawdę nigdy jej nie było. A Janis jest, i to jak jeszcze! To świetny facet i zapatrzony w ciebie jak w święty obrazek. Przed czym ty się bronisz, kobieto?

– To jest trudne.

– Co jest trudne, jeśli ludzi ciągnie do siebie przez tyle lat? Nakazuję ci rozmówić się z Janisem! Dobra, jedziemy jutro do Jurmały, pojutrze przyjeżdża Skele, ja zostaję z młodymi, a wy z Janisem spędzacie miły wieczór w Rydze. Już on znajdzie sposób, żeby się z tobą porozumieć. Mimo że jesteś taka oporna.

Plan nęcił, ale nie po to zaprosiłam przyjaciółkę na Łotwę, żeby teraz obarczać ją opieką nad małolatami.

– Miła, idźmy spać, a jutro zobaczymy morze. – Spróbowałam wykrzesać z siebie entuzjazm. – Jeszcze pogadamy.

Okazało się, że moja przyjaciółka wzięła sprawy w swoje ręce nie wiadomo kiedy. Wymienili się z Janisem telefonami i porozumieli się za moimi plecami.

Spędziłyśmy uroczy dzień na plaży, po którym trochę ucierpiała moja twarz. Słońce ostro dawało, a ja miałam krem ze zbyt niskim filtrem. Na szczęście zabrałam z domu emulsję po opalaniu.

Wieczorem przyjechali Janis i Skele.

– Naprawdę mogę go zostawić? – Spojrzał na Milenę, a ja osłupiałam.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się słodko. – Wy sobie jedźcie na kolację. Jak już będzie miała ciebie dosyć, to ją przywieziesz z powrotem – powiedziała, jakbym była powietrzem.

– Milena...! – zaprotestowałam słabo.

– Przebierz się i niczym się nie martw. Dzieciaki pójdą spać, a ja spędzę wieczór na plaży. Ale na jutrzejszy już cię nie wypożyczę – zastrzegła się i gestem pogoniła mnie do pokoju.

Bez udziału woli, odprowadzana spojrzeniem Janisa poszłam włożyć małą czarną, którą oczywiście wzięłam na wszelki wypadek, wzuć czarne czółenka i dopełnić całości skromnym łańcuszkiem z cyrkoniami.

– Dziękuję! – szepnęłam przyjaciółce do ucha, zanim opuściłam dom.

Milena była jak wygrywający los na loterii. A sądząc po zachwycie w oczach Janisa, czekał mnie miły wieczór.



## Rozdział 38

### MARIA

Aleksandra wyjechała na Łotwę.

Codziennie dzwoniła do mnie i pytała o samopoczucie, a ja zdawałam jej relację z każdego dnia, czując się w obowiązku informować ją na bieżąco o przebiegu ciąży. I miałam dyskomfort, że podejrzewałam ją o nieuczciwe intencje, kiedy deklarowała siostrzane uczucia.

Sytuacja, w jakiej się znalazłyśmy, była bardzo trudna, ale chyba czytelna dla każdej z nas. Ja wciąż potrzebowałam pieniędzy na operację Kaliny, Ola pragnęła dziecka. A niejako przy okazji wyszła sprawa naszego pokrewieństwa, które wprowadziło niezły zamęt do naszego życia.

Pogodziłam się z odłożeniem siostrzanego tematu na czas po porodzie i skoncentrowałam na wspólnym celu. Nie pozwalałam sobie na emocje, chociaż pytania do biologicznej matki cisnęły mi się na usta. Do Aleksandry, która nie podzieliła mojego losu, również. Ale cóż, ona miała szczęście urodzić się we właściwym momencie.

Czyżbym jednak powracała do pretensji?, zreflektowałam się.

Nic nie mogłam poradzić na to, że to ja chodziłam z nosem na kwintę i z brzuchem, gdy ona opalała się na bałtyckiej plaży. Jej jedynym obowiązkiem był telefon do surogatki i uzyskanie uspokajających wieści, że wszystko w porządku.

– Marysiu, jesteś po prostu zmęczona ciążą – tłumaczyła Zofia. – Sama mówisz, że pani Aleksandra traktuje cię jak siostrę i z pewnością nie zamierza ci robić krzywdy. Nie możesz być jej niechętna tylko dlatego, że wyjechała na Łotwę. Nie wymagasz codziennej opieki. A jej telefony są jak najbardziej na miejscu. Troszczy się o dzieci i ciebie.

– O dzieci – przytaknęłam ze złością.

– O ciebie też.

– Nie. Podejrzewam, że tak w głębi duszy ona nie ma najmniejszej ochoty doprowadzić do rozmowy z panią Jadwigą. A teraz ma dobry pretekst, chorobę Leopolda.

– A ty chciałabyś zadać kilka szczerych pytań swojej biologicznej matce?

– Może tak, może nie. Jestem skołowana.

Zofia wstała z krzesła i przyniosła mi szklanekę wody z lodem.

– Właśnie widzę – mruknęła. – Masz mętlik w głowie, być może Aleksandra też. Wielomiesięczny stres daje o sobie znać. Nie każę ci jej współczuć, apeluję jedynie o spokój. Do tej pory nie traciłaś z oczu głównego celu. Jeszcze trochę, kochanie. Niecałe trzy miesiące i urodzisz. Zobacz, jak szczęśliwa jest teraz twoja córka. Krzys przychodzi, spędzają ze sobą dużo czasu. Przed nimi jeszcze dwa tygodnie wakacji.

Zofia nieświadomie dotknęła sedna moich frustracji. A do mnie dotarło, że ich źródłem nie jest Ola ani jej matka, tylko moja własna córka. Czułam, że w koncertowych stosunkach Kaliny z Krzyśkiem czai się jakieś niesprecyzowane niebezpieczeństwo.

Bardzo szybko miałam się przekonać jakie.

Wkrótce zadzwoniła do mnie matka Krzysztofa. zaproponowała kawiarnię i poprosiła o dyskrecję. Zrozumiałam, że będziemy rozmawiać za plecami młodych.

Kiedy dotarłam do Lodowej Krainy, zastałam ją przy stoliku pod oknem. Wręczyła mi menu.

– Proszę, by była pani moim gościem. – Z uśmiechem ustawiła się w roli gospodyni.

– Wezmę wodę z cytryną – zdecydowałam, odkładając kartę.

Przeszyła mnie przenikliwym spojrzeniem, którego do tej pory u niej nie widziałam. Odczytałam je, niestety, jako przejaw poczucia wyższości ludzi bogatszych, lepiej wykształconych, lepszych. A przynajmniej uważających się za takich w porównaniu ze mną. I w pewnym sensie tacy właśnie byli. Przecież ja niczego w życiu nie osiągnęłam, więc skąd mam mieć pewność siebie? Nie ukończyłam studiów, zarabiałam grosze w domu opieki, mój mąż, którego sama sobie wybrałam, niewiele sobą reprezentował. A jedynym sposobem zdobycia pieniędzy na operację córki było wynajęcie brzucha.

Ta refleksja zwała mnie z nóg. W towarzystwie takich dam jak matka Krzysztofa, wzięta

lekarzka, elegancka kobieta, czułam się gorsza.

– Oczywiście, złożę zamówienie. – Pokiwała głową ze zrozumieniem, dyskretnie zerkając na mój brzuch.

Sięgnęłam po wodę, gdy tylko kelnerka postawiła na stole szklankę. Poczulałam nagłą suchość w ustach.

– Czemu zawdzięczam zaproszenie? – zapytałam, pozostając w konwencji wymiany uprzejmości.

– Pani Mario, oboje z mężem bardzo lubimy Kalinę i cenimy.

Zaczęło się obiecująco, ale i groźnie. Czekałam na dalszy ciąg.

– Jak się zapewne pani orientuje, skorzystaliśmy z propozycji wyjazdu do pracy w hiszpańskiej Maladze. Akurat potrzebni są tam lekarze o naszych specjalnościach. I jedzie z nami nasz syn – powiedziała dobitnie pani Kłoś.

– Oczywiście, wiem. Więc nie rozumiem, dlaczego mi pani o tym mówi.

– Doprawdy?

Miałam dość tych podchodów.

– Czy mogłaby pani wprost powiedzieć, o co chodzi? Kalina i Krzyś wspominali o waszym wyjeździe i jak rozumiem, pogodzili się z czasowym rozstaniem. Chyba że o czymś nie wiem.

Moja rozmówczyni traciła powoli wystudiowaną cierpliwość.

– Krzysztof nie chce z nami jechać – oznajmiła. – Opowiada androny, że zostanie z państwem. Chciałabym zatem dowiedzieć się, dlaczego składa mu pani obietnice bez pokrycia. Taki układ jest, oczywiście, absolutnie niemożliwy i niezgodny z prawem. On ma dopiero szesnaście lat i pozostaje pod naszą opieką. Przeżywa młodzieńczą miłość, której do tej pory nieodpowiedzialnie sprzyjaliśmy. Obie wiemy, jak piękne, ale i ulotne jest to uczucie. Pragnę wyrazić się jasno: nie ma naszej zgody na pozostanie Krzysztofa u państwa.

O czym ta kobieta mówi? Żadne z dzieciaków nie zająknęło się nawet w temacie takiego układu. Również w mojej optyce był on niemożliwy.

– Proszę wybaczyć, ale to rozwiązanie jest mi kompletnie obce. I nigdy nie składałam młodemu żadnych propozycji.

– Przyjmuję do wiadomości i wierzę. Ale mój syn zaproponował też inne rozwiązanie. Zamierza zamieszkać u swojej ciotki, a mojej siostry, żeby tylko być blisko Kaliny.

– A co ja mogę z tym zrobić?

Pani Kłoś wierciła się niespokojnie na krześle. Odetchnęła głębiej.

– Jest pani matką, a niebawem spodziewa się kolejnego potomka, więc jako matka mogę prosić o zrozumienie – zaczęła aksamitnym tonem. – Krzyś jest naszym jedynym synem, nie chcemy jechać bez niego. Proszę poprosić Kalinę, żeby go nie zatrzymywała. Będą się kontaktować poprzez Skype'a, umożliwimy im spotkania, skoro tak się kochają. Nie chcę zostawiać syna u siostry. Byłabym niespokojna. A poza wszystkim ten wyjazd to szansa dla Krzysztofa, żeby nauczyć się hiszpańskiego.

– Rozumiem.

Co innego mogłam powiedzieć? Naprawdę rozumiałam tę kobietę. Jak matka matkę. Działałam, naturalnie, na niekorzyść Kaliny, której dobry nastrój był najprawdopodobniej wynikiem nadziei na zamieszkanie jej chłopaka z ciotką.

– Pomoże mi pani? – Głos pani Kłoś wyrwał mnie z zamyślenia.

– Co mam zrobić? – zapytałam.

Czułam się jak zdrajczyni. Knułam za plecami własnego dziecka.

– Proszę im wytłumaczyć, że wyjazd Krzysia niewiele zmieni. A ja postaram się pani pomóc w kwestii Kaliny.

Wprawiła mnie w niemałe osłupienie. Nie miałam pojęcia, że jest świadoma naszego dążenia do operacji w Szwajcarii.

– Co pani wie? – wywaliłam kawę na ławę.

Rozmowa zaszła już tak daleko, że obie musiałyśmy postawić na szczerość.

– Rozumiem pani decyzję... – Pani Kłoś spojrzała na mój brzuch. – Nie wiem, jak ja

zachowałabym się na pani miejscu, niemniej podziwiam pani odwagę i determinację. I wiem, że wynikają one z miłości do córki. Ja także bym chciała, by Kalina odzyskała sprawność. Oczywiście ze względu na nią samą, ale mam na uwadze również Krzysia. Są fajną parą, choć bardzo młodą. Nie wiadomo, jak im się ułoży. Jednak bez względu na wszystko postaram się państwu pomóc. Mój mąż neurochirurg słyszał, że podobne operacje zaczynają być przeprowadzane również w Maladze.

Już wiedziałam, że spełnię prośbę tej kobiety, nawet kosztem zranienia uczuć własnego dziecka. Bo nawet jeśli uzbieram sto dwadzieścia tysięcy, to i tak zabraknie nam jeszcze co najmniej osiemdziesięciu. A wsparcie lekarzy w Maladze mogło zdziałać cuda, na które liczyłam. Kalina musiała wstać z wózka.

– Pani Julio, zgadzam się na warunki. – Odpowiedź nie wymagała wielkich przemyśleń, a ja z wrażenia zwróciłam się do matki Krzysztofa po imieniu. – Kocham swoją córkę, cieszę się z jej miłości z Krzysiem, ale sama pani rozumie... – Wskazałam na brzuch. – Muszę doprowadzić do tej operacji, by dać jej szansę na normalne życie. Postaram się przekonać waszego syna, żeby pojechał z państwem do Hiszpanii.

Nic nie zawróci mnie z obranej drogi!, postanowiłam. Nawet za cenę wystąpienia przeciwko własnej córce i namówienia jej chłopaka do opuszczenia kraju.

Jakże nieistotnym problemem były wobec tej sytuacji nasze stosunki z Aleksandrą i jej matką. Wszelkie pokrewieństwo, dawne adopcje, a nawet zdrada Władka mogły się schować wobec azymutu, który nagle bardzo wyraźnie nakreślił moją dalszą drogę. Nie, nie nakreślił, poprawiłam się w myśli, bo od dawna nią idę. Raczej pogrubiał, zaznaczył.

– Dziękuję – usłyszałam.

Pożegnałam się, odmówiwszy podwiezienia. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

– I jak? – Kalina powitała mnie w drzwiach.

– Jestem trochę zmęczona – zbyłam ją, próbując temat rozmowy z matką Krzysia odłożyć na później.

– Zgodziła się? – Moja córka nie odpuszczała.

– Na co?

– Mami, nie czaruj. Na pozostanie Krzysia w Polsce.

– Kochanie, możemy o tym porozmawiać jutro?

– Nie! Zgodziła się czy nie?

– Obie doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej...

Zanim zdążyłam dokończyć zdanie, Kalina z płaczem zniknęła za drzwiami.

## Rozdział 39

### MARIA

Może powinnam na jakiś czas zostawić ją samą, ale nie miałam go zbyt wiele. Kończył się sierpień, nadchodził nowy rok szkolny, Kalina musiała się skoncentrować na nauce, a ja w tym jej pomóc. Nawet jeśli rozumiałam jej uczucia i współczułam z powodu rozstania z Krzyskiem, nie wolno mi było opuszczać rąk.

Pani Kłós jasno wyraziła swoją prośbę. No i zawarłyśmy niepisaną umowę, której zamierzałam się trzymać. Najchętniej wyłożyłabym Kalinie kawę na ławę, niestety w starciu z jej ogromnym zaangażowaniem uczuciowym i płonąca głową odpadałam w przedbiegach. Kroiła się zażarta walka, której celem było jej zdrowie, nawet jeżeli ona widziała to inaczej.

Zanim poszłam do córki, odetchnęłam głęboko kilka razy.

– Kalinko, porozmawiajmy...

Usłyszałam, że chce być sama, ale nie zamierzałam zrezygnować.

– Ja chcę z tobą rozmawiać – powtórzyłam dobitnie, dziwiąc się, skąd wzięłam odwagę na tak zasadniczy ton.

O dziwo, spasowała, choć wciąż ostentacyjnie spoglądała w okno, udając, że ignoruje moją obecność. Ale przynajmniej nie wyrzuciła mnie z pokoju.

– Kochanie...

Nie zdążyłam wypowiedzieć kolejnego słowa, gdy załała się łzami. Wśród łkań dotarł do mnie stek oskarżeń.

– Niczego nie rozumiecie! Podejmujecie decyzję, która nas dotyczy, poza nami i bez uzgodnienia z nami! Najpierw rodzice Krzyska pozwalają nam spędzić wspólnie wakacje, a teraz zabierają go za granicę jak gdyby nigdy nic! A tobie się to podoba! – wycelowała zarzutem.

Dopiero w tym momencie zrozumiałam ogrom błędu, jakim była zgoda na wyjazd młodych nad jezioro. Nie przemyślałam konsekwencji czy może po prostu był mi na rękę?, wątpliwości docierały do czubka głowy.

Pozwoliliśmy z państwem Kłosiami na zbyt dużą zażyłość naszych dzieci i teraz zbieraliśmy zniwo.

Mogłam oczywiście zacząć się tłumaczyć, artykułować wątpliwości, uspokajać, ale chyba obie z Kaliną straciłybyśmy tylko czas, energię i zabrnęłybyśmy w ślepy zaułek. Moja córka miała zaciętą minę, a mnie nie wolno było poddawać się emocjom. Przypominały mi o tym dzikie harce maluchów w moim brzuchu.

Musiałam być silna i zdecydowana.

– Kalina, uspokój się i wysłuchaj mnie. Twierdzisz, że jesteś dorosła, zakochałaś się jak dorosła, a dojrzałość oznacza odpowiedzialność. Masz szesnaście lat – powiedziałam. – Kiedy wytłumaczyłam ci, dlaczego Krzysiek nie może z nami zamieszkać, wymyśliliście rozwiązanie z jego ciotką. A ja nie mam prawa ingerować w sprawy obcych ludzi. Jeżeli państwo Kłosiowie zamierzają zabrać syna do Malagi, to należy uszanować ich decyzję. Przetrwacie, jeżeli wasza miłość będzie dostatecznie silna.

– Tak mówisz, bo już nie kochasz ojca i zapomniałaś, czym jest uczucie! – Z ust mojego dziecka popłynął kolejny potok żalów.

– Nie oceniaj, jeśli nie znasz ani kontekstu, ani, jak widzę, własnej matki. Kalina, czy ty chcesz wstać z wózka? – Zażyłam ją fundamentalnym pytaniem.

– Ale przecież obecność Krzysia nie ma nic do rzeczy...

– Robicie z ojcem wszystko, żeby utrudnić mi donoszenie ciąży. – Wytoczyłam armaty. – Zaczęłam siódmy miesiąc i zamierzam dobrnąć do dziewiątego. Zarabiam w ten sposób pieniądze na twoją operację, ale jestem również odpowiedzialna za życie tych małych istot, które są we mnie. Nie mam sił ani przestrzeni, żeby dodatkowo moje myśli absorbowało wasze życie uczuciowe z Krzysztofem. Powiem wprost: Krzysiek jedzie z rodzicami, ty zostajesz i wracasz do nauki. Jeżeli w przyszłym roku będziecie razem, obiecuję, że wam pomogę. Po porodzie, po twojej operacji. Wybacz,

ale takie są moje priorytety. I uważam, że twoje powinny być z nimi zgodne. Nie zaprzepaszczę szansy otrzymanej od losu. A teraz wybacź, ale muszę się położyć, bo urodzę przed czasem.

Gdybym miała własny pokój, najchętniej bym się w nim zasyła. Teraz jednak musiałam poczekać, aż Kalina zamknie się w swoim i zostawi mnie samą.

Odjechała, zamaszycie manewrując wózkiem. A ja pomodliłam się, żeby przemyślała sprawę, bo ja nie zamierzałam zbaczać z obranej drogi.

– Jak to przyjęła? – dopytywała Zofia, kiedy następnego dnia w pracy zrelacjonowałam jej przebieg rozmowy.

Wobec jej współczującego wzroku, życzliwości i zrozumienia musiałam bardzo się spinać, by powstrzymać łzy, które czały się pod powiekami. Zaczynałam tracić siły.

– Źle. Nie poznaję własnej córki – poskarżyłam się. – Do tej pory wydawała się taka dojrzała, taka mądra, ale teraz dzieje się z nią coś niedobrego. Ta ich wzajemna fascynacja przesłoniła jej zdolność myślenia. Za kilka dni rozpoczęcie roku szkolnego, druga klasa liceum, a tu tylko Krzys i Krzys!

– Godziłaś się na ich kontakty.

– I popełniłam błąd – stwierdziłam. – Podobnie jak jego rodzice. Młodzi zaczęli sobie zbyt dużo wyobrażać. Żadne z nas nie przewidziało, że państwo Kłosiowie dostaną pracę za granicą.

Zofia kiwała głową ze zrozumieniem. Sama swego czasu wyjechała do Niemiec na „jakiś czas” i została tam na trzydzieści sześć lat. Podskórnie przewidywałam podobny scenariusz. Polacy nie jeździli do pracy za granicę na pół roku. Krzysztof był młody, miał trafić w zupełnie inne, obcojęzyczne środowisko. Miał szansę się w nim zaaklimatyzować.

Oczywiście nie byłam w Maladze, jak zresztą w żadnym innym miejscu odległym od Polski, ale zdjęcia w internecie uświadomiły mi piękno tego zakątka świata. Costa del Sol, kwintesencja południa, ciepłe i piaszczyste, miasto Picassa i Banderasa, z jednej strony morze, z drugiej góry. I te wszechobecne knajpki, które wyławiałam z szeregu fotografii...

Wyobraziłam sobie wieczorne wyjścia na tapas, sangrię do paelli z owocami morza. Nie znałam smaku ani jednej, ani drugiej, ale byłam niedoszlą polonistką i pochłaniaczką książek. Odruchowo notowałam w głowie obrazy, smaki i zapachy, marząc, że być może kiedyś je poznam i ich dotknę.

– Marysiu, wytrzymaj jeszcze trochę. – Zofia łagodnie przerwała moje myśli. – Dobrze zrobiłaś, że zareagowałaś stanowczo. Swoją drogą współczuję Kalinie, że jej ukochany wyjeżdża, a ona musi stawić czoła twardej rzeczywistości, ale masz rację: szesnastolatki muszą się liczyć z tym, że pozostają pod kuratelą rodziców.

– Zosiu, nie wspominałam o jeszcze jednej ważnej sprawie... – Musiałam uwolnić się od skrywanej prawdy. – Matka Krzysztofa zaproponowała mi pomoc w doprowadzeniu do operacji Kaliny w zamian za przekonanie młodych do czasowego rozstania.

– Wspaniale! – usłyszałam w głosie przyjaciółki zachwyt i poczułam ulgę. – Czy to znaczy, że lekarze w Maladze robią takie zabiegi?

– Podobno się przymierzają.

– W takiej sytuacji tym bardziej bym się nie przejmowała – powiedziała Zofia stanowczo. – Porozmawiaj o tym z Kaliną.

– Nie! – Zareagowałam gwałtownie. – Jeszcze pomyśli, że handluję jej zdrowiem!

– A matka Krzyńska tego nie robi? – Zofia uśmiechnęła się drwiąco.

– Zosiu, nie interesuje mnie to. Oczywiście, że propozycja pani Kłós to rodzaj szantażu, ale matka Krzysztofa jest poważną osobą. Sądzę, że nie składałaby obietnic bez pokrycia. Nie wiem, czy uczucie młodych przetrwa, ale jakkolwiek będzie, operacja musi się odbyć. Wszystko jedno, czy w Szwajcarii, czy w Hiszpanii. Może wydam ci się bezduszna, ale najważniejsze jest dla mnie zdrowie córki – podkreśliłam. – Z Krzyśkiem u boku czy bez niego. Wykorzystam wszystkie możliwości, nawet jeśli miałabym podpisać pakt z samym diabłem.

– To znaczy z panią Kłós? – Zofia uśmiechnęła się figlarnie.

– A choćby i z nią – odparłam poważnie. – Bo miłość, jeśli ma przetrwać, da radę.

Byłam wdzięczna Zofii, że wspiera mój punkt widzenia i konsekwentne dążenie do celu.

Rozmowa z nią mnie podbudowała, ale dzień w pracy okazał się bardzo ciężki. Szefowej nadal

nie było, a ja ugrzęzłam w papierach, przyjmując jednocześnie zamówienia do kuchni i ogarniając bieżące sprawy. Do kogoś trzeba było wezwać lekarza, zamówić dekarza do ciekącego dachu i tak dalej. No i pozostawała jeszcze sprawa Teodora i Barbary, którzy, jak chodziły słuchy, wkrótce mieli się wyprowadzić. Tymczasem pozyskanie kolejnych pensjonariuszy na ich miejsce nie należało do prostych.

W kwestii pamiętnej akcji syna pana Teodora Julian miał rację. Młodemu Kusocińskiemu chodziło o spadek. A jakiś czas po awanturze zapowiedział się do mnie z wizytą jego ojciec. Bez narzeczonej. Chciał porozmawiać o wyprowadzce z domu opieki. Jako emerytowany wojskowy i mężczyzna nawykły do wydawania rozkazów, zaczął bez ogródek.

– Pani Mario, postanowiliśmy z Barbarą zamieszkać razem.

Udałam, że nie wiem, o co chodzi. Jak dotąd w Jesiennej Przystani nie było takiego precedensu.

– Będą problemy, panie Teodorze – odparłam. – Ale zobaczę, co się da zrobić.

– Nie zrozumiała mnie pani. – Uśmiechnął się. – Zamierzamy się przenieść do mojego mieszkania i zrezygnować z miejsca w domu opieki – powiedział. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek, nawet mój syn, stanął mi na drodze do szczęścia! – Trzasnął dłonią w blat biurka. – I jeszcze rościł sobie prawa do mojej własności!

– Rozumiem. Ale dlaczego mi pan o tym wszystkim mówi?

– Bo chciałem podziękować za interwencję w trakcie jego nieszczęsnej wizyty i przeprosić. Za jego zachowanie i moje podejrzenia.

Nie pojmowałam, co ma na myśli.

– Sądziłem, że o zaręczynach powiadomił syna ktoś z personelu. Tymczasem okazało się, że właściciel kwaciarni, w której państwo zamówiliście kwiaty po tym, jak nasza kwaciarnia nawaliła, jest znajomym syna. Proszę zatem przyjąć przeprosiny. – Pan Teodor wyciągnął zza pleców wiązanek gladioli, którą z uwagi na jej wielkość zauważyłam grubo wcześniej.

– Nie było trzeba, panie Teodorze. – Przyjęłam prezent. – Będzie nam was brakowało – dodałam.

Zapewne pogawędzilibyśmy jeszcze przez chwilę, gdyby nie nagłe wtargnięcie Juliana.

Julek wrócił na dobre z Wybrzeża i pracował po kilka godzin dziennie. Przyprawdzał ze sobą Antka, który okazał się wspaniałym instruktorem obsługi komputera. Pod jego okiem nasi starszycy oswoili się z nowoczesną techniką tak bardzo, że zaczęłam przemyśliwać o zorganizowaniu dla nich jakichś kursów. Oczywiście dla tych zainteresowanych.

Od progu zorientowałam się, że Julian ma mi coś ważnego do powiedzenia. Pośpiesznie pożegnałam Teodora.

– Nie mów mi tylko, że znowu nie dowieźli mięsa. – Spojrzałam zrezygnowana.

Ostatnio nieustannie zmagaliśmy się z dostawcą.

– Maryś, usiądź i spróbuj się nie denerwować. – Julek podszedł ze szklanką wody.

– Coś z Kaliną? – Niemal podskoczyłam na krześle.

– Nie. – Zaczerpnął tchu. – Dzwonił mąż naszej szefowej. Pani Wiesia nie żyje.

## Rozdział 40

### ALEKSANDRA

Janis zabrał mnie do restauracji na dwudziestym drugim piętrze górującego nad miastem strzelistego hotelu Radisson. Z okien rozciągał się powalający widok na Rygę. Jako że cały poziom hotelu został oddany we władanie lokalowi, można było podziwiać miasto z każdej strony, ale oczywiście najlepsze widoki zapewniały stoliki skierowane na starówkę. A wśród nich nasz.

Miałam już kiedyś przyjemność pić kawę w tym uroczym miejscu, ale niezbyt dobra deszczowa pogoda zamazywała szyby i obrazy. Dzisiaj było inaczej.

Letnie słońce podążało na zachód, rzucając fioletowe promienie w kierunku barwnych kamieniczek starego miasta. Mosty łączące obie części Rygi były jak naczynia krwionośne, dzięki którym stolica żyła, przygotowując się do sobotniego wieczoru. W dole lśniły złote kopuły cerkwi, w wielu miejscach włączono już światła. Miasto czarowało barwami zbliżającego się wieczoru.

– Może być? – Janis z galanterią odsunął przede mną krzesło.

– Pięknie. Chyba nie było łatwo dostać stolik? – zapytałam.

Niemal wszystkie miejsca były zajęte.

– Pracowałem tu kiedyś jako kelner – odparł z kokieterijnym uśmiechem. – Mam chody.

Wiedziałam, że nie licząc chodów, w lokalu trzeba wyłożyć na rezerwację pięćdziesiąt euro, ale skoro Janis uznał, że warto, nie wnosiłam sprzeciwu.

Dawno nie byłam na randce, choć właściwie nie miałam pewności, czy właśnie tak powinnam traktować nasze spotkanie. Może po prostu Janis chce porozmawiać o domu w Jurmale albo o naszej dalszej współpracy? Przez moment obawiałam się nawet, czy nie przesadziłam z tą małą czarną i eleganckimi szpilkami. Nie powinnam wysyłać niewłaściwych sygnałów, tymczasem dekolt sukienki wydał mi się nagle zbyt głęboki.

Sięgnęłam po szal i zarzuciłam go na ramiona, próbując okryć obnażone części ciała.

Janis sięgnął po moją dłoń i przytrzymał przez dłuższą chwilę. Ale zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, do stolika podeszła kelnerka z kartą.

Nastrój prysnął.

– Wybieraj. Owoce morza czy coś bardziej tradycyjnego? – Janis nie spuszczał ze mnie wzroku.

– A ty na co się zdecydujesz? Co polecasz?

– Prawdę mówiąc, nie byłem tutaj od lat. Więc chyba ci nie pomogę.

Obrzuciłam wzrokiem menu i poczułam wilczy apetyt. Zaprosił mnie?, pomyślałam, musi się liczyć z wydatkiem.

– Pierogi z mięsem z jelenia, tościki z ciemnego chleba w sosie czosnkowym i sałatka ze śledziem – zadysponowałam.

Dosyć kontrowersyjny zestaw, ale mój żołądek całym sobą wyrażał ogromną ochotę na pokaźną różnorodność.

„Jeśli chcesz poznać faceta, pozwól się zaprosić do restauracji. Jeśli po twoim kosztownym zamówieniu wybierze wodę, twierdząc, że nie jest głodny, daj sobie z nim spokój. Trafiłaś na sknerę. Ale jeśli wybierze danie równie drogie jak twoje i dołączy do niego butelkę dobrego (czytaj: drogiego) wina, daj mu szansę. Oczywiście może tylko chcieć cię zaciągnąć do łóżka, ale przynajmniej wysoko cię ceni”.

Przypomniałam sobie rady Mileny i roześmiałam się w duchu. Mądrała musiała je wyczytać w którymś z kolorowych pism lub usłyszeć w jednym z pseudodydaktycznych filmów. Bo jej Kacper z całą pewnością nie musiał stosować żadnych podchodów, by ją w sobie rozkochać. Chyba że należały do nich wyprawy do mlecznego baru i kina.

– Dlaczego się śmiejesz? – Janis podniósł oczy znad menu.

– Tak sobie. Co będziesz jadł?

– Biorę to, co ty. Zachęciłaś mnie – zdecydował i przywołał kelnerkę. – Zostaniesz w Rydze czy po kolacji mam cię odwiedzić do Jurmały? Bez żadnych zobowiązań. – Podniósł asekuracyjnie obie ręce.

- Masz ochotę na wino?
- Bardzo chętnie, jeśli pozwolisz...

Przytaknęłam.

Zamówił butelkę czerwonego burgunda Abbaye de Brully. Nie znałam, ale jeśli jego smak był adekwatny do ceny, szykowała się uczta dla podniebienia.

Bez względu na plany Janisa nabrałam ochoty na odrobinę relaksu przy pełnym talerzu i kieliszku wyborowego alkoholu. A urzekająca panorama za oknem dopełniała biesiady.

Nie od razu złapaliśmy kontakt. Rozmowa oscylowała wokół mało istotnych spraw i bezpiecznych rewirów: pogody, piękna Rygi, krótkiego wypoczynku na plaży i innych bzdur. Tak zwanych tematów zastępczych.

– Mam nadzieję, że nie masz pretensji, że przywiozłem Skelego do Jurmały? – Janis podryfował w kierunku poważniejszych kwestii.

Zaprzeciżyłam.

– Wręcz przeciwnie. Natasza chciała się z nim spotkać, a jak wiesz, to moja ulubienica. Cieszę się, że choć przez chwilę pobędzie z kimś w swoim wieku, a nie tylko z matką i ciotką.

– Piękną ciotką – poprawił mnie szarmancko.

Sytuacja zaczynała mi ciążyć. Owszem, Janis naprzeciw mnie był kto wie, czy nie mężczyzną mojego życia, ale los nas rozdzielił. A właściwie nie los, tylko on sam. To on zostawił mnie wiele lat temu, a ja wciąż nie potrafiłam mu wybaczyć. Stare dzieje, ale upokorzenie i zawód, jakie stały się wówczas moim udziałem, dawały o sobie znać nawet po latach. Tym bardziej byłam twarda, że zostałam porzucona po raz drugi, przez Jaśka. Nie potrafiłam zaufać.

– Czy możesz dolać mi wina? – Zignorowałam komplement i wytrzymałam spojrzenie.

Janis pośpieszył z obsługą, a ja wyłożyłam kawę na ławę.

– O co właściwie ci chodzi? Dlaczego zaprosiłeś mnie na kolację? Mam mało czasu. Niebawem zostanę samotną matką. Nie mam zamiaru ani ochoty komplikować sobie życia, które i tak nie będzie proste. Jestem zawsze gotowa rozmawiać o domu w Jurmale. Ale proszę, bądź ze mną szczerzy.

– Mówisz i masz. – Janis sięgnął po moją dłoń.

Odsunęłam ją i uciekłam spojrzeniem za okno. Sądziłam, że on zacznie się tłumaczyć, ponownie nawiązywać do dawnych czasów lub zapewniać mnie, że Inga przyjechała tylko po to, by zostawić mu syna. Ale nic podobnego nie nastąpiło.

– Kocham cię – usłyszałam.

Musiałam na niego spojrzeć.

– Janis...

– Nic nie mów. Wszystko rozumiem. – Nie pozwolił mi dokończyć. – Wiem, że dawno temu bardzo cię zawiodłem, co zresztą zmarnowało mi życie. Nigdy nie przestałem o tobie myśleć, choć cierpiałem na własne życzenie. Nasze spotkanie u Krastsa było jak zrzęczenie losu. Teraz jesteśmy na innym etapie życia i bardzo bym chciał, żebyś spojrzała na mnie bez obciążeń. Oleńko, czy będziesz w stanie kiedykolwiek mi zaufać?

Patrząc w jego oczy, gotowa byłam zrobić to natychmiast, ale rozum podpowiadał co innego. Jaśkowi ufałam jak nikomu innemu, a jednak.

– Nie wiem – odparłam. Żeby zyskać na czasie, zanurzyłam usta w winie.

– Będę czekał. I nigdy nie przestanę – usłyszałam.

– I co? – Następnego dnia Milena domagała się zwierzeń.

– Wróciliśmy do mieszkania Janisa i każde poszło do innego pokoju – powiedziałam, ale przyjaciółka nie dała się zbyć tak łatwo.

– I nic?

– Nic.

– Albo ty jesteś ślepa, albo zacierzwiona – zdenerwowała się. – No, chyba że on ci się nie podoba – podpuściła.

Usiadłam na parapecie i podparłam rękami kolana. Milena nie ponaglała.

– Rzecz w tym, że chyba za bardzo. Boję się kolejnego zawodu – mówiłam do niej, a właściwie



do siebie. – Ci, którym bardziej zależy na związku, zawsze dostają po głowie. Warto kochać mniej, słabiej.

– Olka, skąd w tobie takie wyrachowanie?

– Z doświadczenia, koleżanko. Nie pozwolę się po raz kolejny skrzywdzić. Ani Janisowi, ani Jankowi. Myślę o Marii i chłopcach.

– Co u niej?

– Z chłopcami w porządku. Czasami się zastanawiam, co ja tutaj robię? Powinnam być przy niej i pilnować ciąży. To już siódmy miesiąc, maluchy w każdej chwili mogą przyjść na świat. Oby jak najdłużej tak się nie stało!

– Jesteś gotowa? – Głos był Mileny, ale pytanie pochodziło z mojej głowy.

– Nie mam pojęcia – odparłam szczerze. – Teoretycznie tak. Wybrałam mebelki, ciuszki, przeczytałam kilka książek dla młodych mam, ale wciąż jestem zagubiona. Liczę, że Maria zamieszka ze mną po porodzie i jakoś sobie poradzimy. Przynajmniej do czasu, kiedy zostanę adopcyjną matką. Boże mój, odsuwam od siebie myśl, że Jasiek utrudni mi adopcję!

– Może to zrobić?

– Oczywiście. A już zwłaszcza po tym, jak mu wsadziłam na głowę Konrada i stracił kontrolę nad firmą. Więc na wszelki wypadek szukam innego kupca na moje udziały.

– A może powinnaś odpuścić i sprzedać je jednak Jaśkowi po niższej cenie?

Zachnęłam się.

– Wuj Kazimierz mnie prowadzi i zdaję się na niego.

– Jesteś pewna Marii?

Wiedziałam, że Milena pije do kwestii jej matczynych praw do dzieci.

– Absolutnie. To moja siostra i porządna kobieta. Jestem jej pewna jak samej siebie.

Moja przyjaciółka pokiwała głową i zdała mi relację z wieczoru w Jurmale. Natasza i Skele znaleźli wspólny język i spędzili czas na rozmowach, chyba po angielsku. A w niedzielny poranek trenowali surfing.

– Trochę się niepokoiłam, ale morze było spokojne, zresztą nie sposób utopić się w wodzie po kolana. Natka zaliczyła kilkadziesiąt upadków, ale Skele, mimo braku wiatru, śmigał po niewielkich falkach. Chyba lepiej im poszło niż tobie z Janisem – roześmiała się.

A potem zapytała, kiedy jedziemy na wystawę do Rygi.

Janis po południu zabrał nas wszystkich.

Spędziłam bardzo miłe chwile w otoczeniu fotografii mistrza. No i dostałam medal za propagowanie jego książek w Polsce.

Janis wcielił się w rolę gospodarza. Brylował wśród gości, oprowadzał ich po kilku pomieszczeniach i częst-tował winem. Sam nie pił, ponieważ wieczorem miał w perspektywie odwiezienie nas do Jurmały.

Wieczór był przecudny. Naładowałam akumulatory i pełna dobrej energii wracałam do domku nad morzem. Przed sobą miałam kilka dni wypoczynku na bałtyckiej plaży, a obok Milenę, z którą jak do tej pory nie miałyśmy czasu dla siebie.

Zapowiadały się babskie pogaduchy, na które już bym się cieszyła, gdyby nie obecność Janisa. Prowadził, a ja siedziałam obok niego. W takiej odległości wszystkie moje myśli brały w łeb, ustępując miejsca fluidom. Feromony fruwały w powietrzu, a spojrzenia krzyżowały się wbrew mojej woli.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Milena poszła przodem.

– Czy kiedyś mi wybaczysz? – usłyszałam.

– Może?

Janis odjeżdżał z piskiem opon, radośnie machając ręką, mimo że nie pocałowaliśmy się na dobranoc.

Skele zabrał się z ojcem, a Natasza pobiegła do swojego pokoju, żeby przeżywać rozstanie z chłopakiem.

Milena podniosła kciuk i zagarnęła mnie ramieniem.

– Nareszcie zmądrzałaś. Przejdziemy się brzegiem morza?

## Rozdział 41

### MARIA

Długo wypierałam tragiczną prawdę. Juliana, zwiastuna złych wieści, widziałam jak przez mgłę. Pan Teodor zawrócił z korytarza, przysiadł na krześle i rozpiął guzik koszuli, żeby zaczerpnąć powietrza.

Nie miałam sił, żeby martwić się jego samopoczuciem. Wbiłam w Julka pytające spojrzenie.

– Zawał, Marysiu – wyjaśnił. – Panie Teodorze, czy mógł-by pan zostawić nas samych? I proszę na razie nie informować innych pensjonariuszy o tym wydarzeniu, dobrze?

Skinął głową, ale wcale nie miałam pewności, że dotrzyma obietnicy. Nie to jednak było najważniejsze.

Nasza – moja – ulubiona, ukochana szefowa nie żyła. Pani Wiesia, druga matka, opiekunka i wsparcie w każdej sprawie, już nigdy nie przestąpi progu Jesiennej Przystani. Domu, który stworzyła i któremu pozostała oddana do końca swoich dni.

Moje myśli poszybowały do czasów, kiedy zatrudniła mamę, a potem także mnie. Do momentu, gdy po raz pierwszy pokazałam jej małą Kalinkę. Do chwili, w której ujawniłam prawdę o mojej ciąży zastępczej.

Nie potrafiłam pojąć, dlaczego nie dane jej było odpocząć na emeryturze. Wiedziałam, że nawet wtedy byłby tu częstym gościem.

Tyle że los chciał inaczej.

Odruchowo sięgnęłam po szklankę z wodą, którą podsunął mi Julian, i pozwoliłam się objąć. Popłynęły łzy.

Julek delikatnie i niewprawnie przeciągał dłonią po moich włosach, odgarniając mokre od łez kosmyki. Rozkleiłam się całkowicie, a przecież trzeba było działać.

Jeszcze nie teraz, pomyślałam. Zaraz.

Dałam sobie czas na rozpacz.

– Już dobrze – usłyszałam szept Juliana.

Poczułam nagły przypływ złości.

– Nic nie jest dobrze! – rozszlochałam się. – Dlaczego właśnie ona? Taka dobra, kochana, nikomu nie zawadzała! Co my teraz zrobimy? – Utkwiłam w Julku przerażone spojrzenie.

– Zaraz o tym porozmawiamy, Marysiu. Kiedy tylko trochę się uspokoisz.

Te słowa podziały jak zimny prysznic.

Wysunęłam się z jego ramion i dopiłam resztę wody ze szklanki. Wprawdzie łzy jeszcze nie obeschły, ale udało mi się opanować drżenie.

Na zewnątrz gabinetu czekali pensjonariusze. A my byliśmy za nich odpowiedzialni. Nasza zmarła szefowa zaufała nam i nas nazaczyła na swoich następców. Nie mogłam jej zawieść.

Ta myśl dodała mi sił. Musiałam poskromić nerwy i nadmierne emocje również ze względu na dzieci.

Na szczęście podbrzusze było spokojne.

– Jestem gotowa, Julek – powiedziałam. – Co robimy?

Usiadł naprzeciwko i zamknął moje dłonie w swoich. Był rehabilitantem i empatycznym człowiekiem, potrafił przekazywać dobrą energię. Stonowanym aksamitnym głosem poinformował mnie, czego dowiedział się od męża Wiesi.

– Pan Wilczyński dzwonił już wczoraj i informował, że żona z pewnością nie wróci do pracy przez najbliższy miesiąc. Nie chciałem ci o tym wspominać, zanim nie wypoczniesz po przeżyciach związanych z zaręczynami Barbary i Teodora i tą całą aferą z jego synem. Poza tym musiałem coś załatwić.

– Nie rozumiem...

– Pan Wilczyński powiedział mi tak naprawdę, że pani Wiesława już w ogóle nie wróci do pracy.

– Ale co musiałeś tak pilnie załatwić przed poinformowaniem mnie o stanie jej zdrowia? – Nie pozwoliłam się zbyć.

– Marysiu, chciałem się zorientować, czy znajdę pieniądze na przejęcie domu opieki. Dla nas.

Zastrzelił mnie. Wprawdzie rozmawialiśmy kiedyś o możliwości wspólnego poprowadzenia Jesiennej Przystani, ale jako pracownicy, nie właściciele. Tak szalony pomysł nigdy nie zaświtałby w głowie kobiety, która zarabiała niewiele i musiała wynajmować swój brzuch. Z tego, co wiedziałam, Julek też specjalnie nie śmierdział groszem. A rozmowa na tematy komercyjne, w momencie kiedy ciało szefowej jeszcze nie ostygło, wydawała mi się co najmniej niestosowna.

– Jak możesz teraz mówić o takich rzeczach? – podniosłam głos.

– Nie chciałem, Maryś, ale naciskałaś. I masz rację, odłóżmy rozmowę o tym na później, a teraz raczej skupmy się na sprawach bieżących. Czyli jak przekażemy pensjonariuszom informację o śmierci szefowej.

Niepotrzebnie się zdenerwowałam. Julian miał absolutną rację, myśląc o przyszłości. W każdej chwili mogliśmy spodziewać się wizyt czy telefonów od rodzin staruszków i pytań, na które musieliśmy znaleźć odpowiedzi. Ktoś powinien zapewnić ich, że dom będzie nadal działać, i zahamować ewentualny exodus pensjonariuszy do innych placówek. Tymczasem ja wprawdzie zastępowałam szefową, ale bez formalnego pełnomocnictwa. Podobnie Julian. Z tego, co się orientowałam, pani Wiesia była jedyną właścicielką Jesiennej Przystani, którą teraz odziedziczy jej rodzina. I kto wie, czy nie zechce jej sprzedać.

– Przepraszam, że się uniosłam – powiedziałam. – Masz słuszość, myśląc o przyszłości domu. Niebawem zaleją nas telefony od rodzin z pytaniem, co dalej. Co im powiemy?

– Że będzie trwało. – W głosie Julka brzmiała pewność. – Jeszcze do końca nie wiem, jak to zrobię, ale jeżeli mnie wesprzesz, wszystko się uda.

Uwierzyłam mu. Chciałam uwierzyć. Zresztą w obecnej sytuacji nie miałam wyboru. A myśl, że będę mieć Juliana u swojego boku... Przyjemność, która po tych słowach spłynęła na moje serce, wydała mi się w obliczu śmierci pani Wiesi nie na miejscu.

– Dobrze – zdecydowałam. – Proponuję zebrać wszystkich w stołówce i przekazać im złe wieści. Czy na miejscu jest jeszcze pielęgniarka, w razie gdyby ktoś źle się poczuł? Informacja szybko pójdzie w świat. Będziesz odbierać telefony od rodzin?

Skinieniu głową towarzyszył budujący uśmiech Juliana.

– Oczywiście. A ty mi mów, gdyby coś się działo z ciążą. Pamiętaj, Maryś, że jestem przy tobie.

– A gdzie masz Antka? – zainteresowałam się z opóźnieniem.

– Znalazł sobie kolegę z sąsiedztwa i został u niego. Przeczuwałem trudne chwile i wolałem być dzisiaj wolny.

– A jak się czuje teściowa?

– Gnieździemy się we troje w mojej klitce – westchnął Julek. – A pomyśleć, że właśnie miałem załatwiać z panią Wiesią pokój w naszym domu... Przynajmniej do czasu, dopóki teściowa nie stanie na nogi. Teraz nie wiem, jak będzie, ale w Gdyni nie może mieszkać. Nie może być sama. Na córkę nie może liczyć. Michalina ma swojego Jamesa, Alice i całkowicie odcięła się od Polski. I nawet nie mam do niej pretensji. Może zajmując się teściową, choć po części odpokutuję tamten wypadek? Ale dość już o mnie – zmienił temat. – Idę zwołać pensjonariuszy.

Nie musiał nikogo informować. Pan Teodor zadziałał jak głuchy telefon i nasi staruszkowie siedzieli w stołówce grubo przed podwieczorkiem. Wrzało tam jak w ulu, na szczęście pielęgniarka nie była potrzebna. Podnieceni smutną wiadomością dziadkowie byli paradoksalnie szczęśliwi, że to nie ich Święty Piotr powołał przed swoje oblicze.

Chodziłam od stolika do stolika, niektórych pocieszając, niektórych zapewniając, że mnie również jest bardzo przykro. I uspokajałam, że o przyszłość mogą się nie obawiać.

– Nie wiem, Zosiu, kiedy pogrzeb. – Przysiadłam obok przyjaciółki. – W ogóle niewiele wiem. Jesteśmy z Julianem w kontakcie z panem Wilczyńskim. Na razie ważniejsze było opanowanie ewentualnej paniki.

Moja przyjaciółka obrzuciła salę spojrzeniem i uśmiechnęła się pod nosem.

– Paniką się nie martw – powiedziała. – Dla starszych ludzi liczy się głównie ich zdrowie i życie. To normalne i nie należy mieć do nich pretensji. Więc proszę cię: ty na siebie uważaj. Na siebie, na

dzieci. To smutne, że pani Wiesława nie żyje, ale ty tak i maluchy również. Dbaj o nie, chroń i nie odrzucaj pomocy Juliana. Pamiętaj, że do mnie możesz wrócić w każdej chwili. Nawet nalegam, bo kiedy dom stoi pusty, nie mam powodu go odwiedzać. – Zmierzwiała mi włosy i obdarzyła czułym spojrzeniem.

Takim samym jak kiedyś mama.

Wróciłam do siebie bardzo zmęczona, z opuchniętymi nogami. Po wczorajszej wymianie zdań na temat wyjazdu Krzyśka i gwałtownej reakcji mojej córki nie spodziewałam się fanfar. Ale ponieważ Kalina spędziła dzisiejszy dzień ze swoim chłopakiem, była szansa na jej dobry humor.

Już w progu usłyszałam głos Krzysztofa.

Nie byłam z tego powodu szczęśliwa. Marzyłam o łóżku i chwili oddechu, ale pierwsze kroki skierowałam do kuchni, by włożyć do lodówki kilka pudełek z jedzeniem, które zapakowała mi nieoceniona pani Ludmiła.

– Przyda ci się, dziecko, przecież widzę, że jesteś w ciąży – szepnęła, wciskając mi w dłoń wypakowaną siatkę. – Nie chwaliłaś się – dodała z wyrzutem.

Wykonałam niezgrabny gest i pocałowałam ją w policzek.

– Kiedyś wpadnę pogadać.

W drzwiach kuchni stanął Krzysiek.

– Właśnie wychodzę – powiedział.

– Czyżby przestraszyła cię moja obecność? Możesz zostać – zachęciłam wbrew sobie.

– Mam jeszcze coś do załatwienia – odparł i pożegnał się szybko.

Zajrzałam do Kaliny. Nie ucieszyła się na mój widok.

– Nie musiał wychodzić – powiedziałam.

Przerwała mi oskarżeniami.

– Oboje wiemy, że jesteście przeciwko nam! Niech sobie przychodzi – przedrzeźniała – przecież za niecałe dwa tygodnie i tak będzie z nim spokój!

Pewnie usłyszałabym jeszcze niejedno, gdybym nie poprosiła o ciszę. Spróbowałam się opanować i nie podnosić głosu.

– Kalina – zaczęłam. – Zmarła pani Wiesia. Mam problemy w pracy, obolałe nogi i muszę wypoczywać. Postanowiłam, że przeprowadzamy się na Tulipanową. Zostaniemy tam do końca ciąży. Żadnych dyskusji. Możesz się pakować.

## Rozdział 42

### ALEKSANDRA

Wracałam z Łotwy na skrzydłach samolotu, ale gdyby było to możliwe, wyrosłyby mi własne.

– Może i jestem głupia, ale czuję się wolna od przeszłości – zwierzyłam się Milenie, która siedziała w sąsiednim fotelu przy oknie.

Pod nami majaczyły jeszcze zabudowania Rygi, ale miasto powoli znikało z pola widzenia.

– Janis przekonał mnie, żeby zacząć wszystko od nowa.

Przyjaciółka mocno ścisnęła mój nadgarstek i przyklasnęła pomysłowi, chociaż nie bez obaw.

– Tylko mi nie wymigruj na tę twoją ukochaną Łotwę, bo co ja zrobię bez ciebie? – Obrzuciła mnie zatroskanym spojrzeniem.

– No coś ty! A poza tym jeszcze się z nim nie wiązę na stałe. Przypominam, że wciąż jestem żoną Jaśka.

– No właśnie. Czyżby sąd nie wyznaczył jeszcze terminu rozprawy?

– Jest lato, pewnie sędziowie urlopują. Ja zrobiłam, co do mnie należało: na prośbę sądu napisałam odpowiedź na pozew i zgodziłam się na rozwód. Teraz czekam.

Miałam doskonały nastrój, podsycany licznymi wiadomościami od Janisa. Milena również wyglądała na zadowoloną i wypoczętą. Jedynie Natasza siedziała chmurna, nie odrywając wzroku od ekranu komórki. Rozstanie ze Skelem jej nie posłużyło.

– Nie martw się, zaprosimy naszych Łotyszów do Polski – szepnęłam młodej do ucha, czym wywołałam wymuszony uśmiech i rumieniec na policzkach. – Przecież możecie do siebie pisać.

Spojrzenie uświadomiło mi banał, jakim próbowałam ją karmić.

Żeby ona wiedziała, jak dobrze ją rozumiałam! Zaczęłam tęsknić za Janisem, zanim jeszcze nasz samolot osiadł na płycie lotniska w Warszawie. Gdyby nie Maria i moje dzieci, najchętniej zawróciłabym do Rygi.

Autostrada z Warszawy, jak zwykle w tygodniu, była pełna samochodów. Ciężarówki ciągnęły się długim sznurem, a lekka mżawka, która zaczęła przechodzić w coraz intensywniejszy deszcz, zmuszała do zachowania szczególnej ostrożności.

Po zjeździe na A1 zaproponowałam krótką przerwę na stacji benzynowej.

– Jasne. Rozprostujemy kości, a ty trochę odpoczniesz – podchwyciła Milena i zaczęła wypatrywać najbliższego postoju.

Łało już całkiem solidnie, więc te kilka kroków z parkingu wystarczyło, by deszcz potężnie nas zmoczył.

Zamówiliśmy kawę i po normalnej obiadowej porcji dla każdej, nie spodziewając się w domach gotowego posiłku. Wprawdzie w domu Mileny gospodarowała teściowa, ale zajęta wnukami raczej stroniła od kuchni. Kacper dowoził obiady ze sprawdzonej restauracji. A na mnie czekał wyłącznie wiatr hulający po pustej lodówce.

– Jak miło, kiedy za ciebie ugotują i podstawią ci pod nos. – Milena z rozkoszą wciągała aromat najzwyklejszego dewolaja, gniecionych ziemniaków i sałatki z kapusty.

Ja zamówiłam rybę w panierce z ryżem. Natasza nie oparła się burgerowi i frytkom, na które dostała przyzwolenie od matki.

– Ale w domu koniec z fast foodami! – Milena pogroziła córce palcem. – I nie mów Lence, czym odżywiałaś się na wyjeździe. A tak w ogóle, to wcale nie chce mi się wracać do domu – zwróciła się do mnie. – Za kilka dni początek roku szkolnego, Lenka do przedszkola, Leoś jeszcze w domu, sprzątanie, kuchnia, zakupy i dom w rozsypce. Natasza, nie słuchaj! – Spojrzała na córkę, ale ta, zajęta odpowiadaniem na kolejnego esemesa, nie zwracała na nas uwagi. – Przepraszam, że tak narzekam. Wiem, nie mam na co. – Zreflektowała się, zauważywszy moją -nietęgą minę.

Mimo woli wywołała temat najbliższych dni, przyszłości, której obraz stanął mi przed oczami i wzbudził niepokój. Odczułam nagłą potrzebę kontaktu z Marią. Od dwóch dni nie odbierała telefonu.

Po obiedzie odeszłam na bok i sięgnęłam po komórkę.

– Kto umarł? – Przeraziłam się, kiedy wspomniała, że właśnie wróciła z pogrzebu.

Wyjaśniła, że chodzi o panią Wiesię.

Z relacji wiedziałam o bliskich kontaktach Marysi ze swoją szefową i bardzo jej współczułam. Może to było nie na miejscu, ale w pewnym sensie mi ulżyło, że ta smutna uroczystość nie dotyczyła pani Zofii, lecz jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że moja siostra może stracić pracę. A gdyby nawet nie, emocje ostatnich dni mogą fatalnie odbić się na dzieciach. Sama cała w nerwach próbowałam uspokajać.

Kiedy wróciłam do stolika, Milena od razu dostrzegła moje wzburzenie.

– Co się stało? – zapytała zaniepokojona.

W kilku słowach streściłam jej rozmowę z Marią i sięgnęłam po filiżankę z kawą.

– Możesz prowadzić? – Przyjaciółka z niepokojem obserwowała, jak w milczeniu przeżywam zasłyszane wieści.

– Tak. Wszystko w porządku. Jedźmy.

W drodze starałam się rozluźnić, by kiepskim humorem nie psuć dziewczynom wrażeń z podróży. Odmówiłam jednak przyjęcia zaproszenia na wieczór. Byłam zmęczona. Musiałam zobaczyć Marię i naocznie sprawdzić, jak się czuje.

Niemałym wyzwaniem okazało się znalezienie drobiazgów, które przywiozłam dla obu dziewczyn. Przepastne, pakowane naprędce walizki skrywały mnóstwo rzeczy, więc namierzenie prezentów wiązało się z wyrzuceniem z nich niemal całej zawartości. Dobrze, że miałam pojemny bagażnik.

W końcu natrafiłam na książki o Rydze, bransoletki w kolorach narodowych Łotwy (białym i bordowym, z charakterystycznym ludowym wzorem), wisiorki z bursztynem i kilka innych pamiątek, które gromadziłam w kolejnych sklepach.

Na Tulipanowej zastałam Marię z – jak się domyśliłam – Julianem.

A więc to ten, dla którego mojej siostrze mocniej zabiło serce!, pomyślałam, a ona przedstawiła mi młodego mężczyznę. Jednak to nie jego niewątpliwie przystojna twarz przyciągnęła moją uwagę, a jego sposób odnoszenia się do Marysi. Godzina, którą spędziłam z obojgiem, dała mi obraz ich wzajemnych relacji i uspokoiła. Maria miała u boku człowieka, który się o nią troszczył. Nie, za słabo powiedziane – w jego oczach dostrzegłam miłość.

Niestety, spotkanie z Kaliną, którą poznałam już wcześniej, nie było tak miłe. Maria przestrzegła przed jej nie najlepszym humorem, ale mimo to zdecydowałam się zapukać do jej pokoju. Początek rozmowy nie należał do najłatwiejszych, ale po jakimś czasie udało mi się przełamać lody i dotrzeć do nastolatki. Wprawdzie historia miłości mojej i Janisa mogła okazać się ryzykownym tematem, niemniej spotkała się z zainteresowaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, ciociu – nazwała mnie tak po raz pierwszy – że może kiedyś ponownie spotkamy się z Krzysiem? To mnie mało interesuje.

– Tak naprawdę to nie mam pojęcia, jak ci mogę pomóc – odparłam. – Jedyne sensowne rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to ta, że miłość zawsze znajdzie drogę, żeby do ciebie trafić, jeśli jest ci pisana. Nic na siłę nie działoś.

– Według ciebie powinnam go puścić do tej Malagi?

Nie miała innego wyjścia, ale nie zamierzałam być niedelikatna.

– Jeżeli kocha, to wróci – potwierdziłam.

W milczeniu trawiła ludową mądrość, której wcale nie byłam pewna. Zerknęła na prezenty ode mnie i dała się namówić na oglądanie zdjęć.

– Myślisz, że kiedyś będę mogła odwiedzić cię w dom-ku nad morzem? – usłyszałam pytanie.

Drzwi do serca Kaliny stanęły otworem. A ja z ulgą przekroczyłam próg.

– Oczywiście. Moja rodzina jest zawsze mile widziana. Kalinko, pamiętaj, masz wokół siebie życzliwych, kochających ludzi, a szczególnie mamę. Tyle że ona potrzebuje teraz dużo spokoju.

– Boisz się o dzieci! – Przejrzała mnie.

Wyczuła, na czym mi zależy. Teraz ja nie miałam wyjścia. Musiałam grać w szczerą, by nie nadszarpnąć z trudem wypracowanego zaufania.

– Umieram z przerażenia – potwierdziłam. – Pewnie wiesz, że jeden z chłopców urodzi się chory. Ale myślę również o swojej siostrze i o tobie, bo jesteśmy rodziną. Rozumiesz? Może to niegrzeczne rozmawiać teraz o pieniądzach, ale trochę ich mam. A po sprzedaży udziałów w firmie będę mieć więcej. Wyłożę brakującą do operacji kwotę. Twoja mama jeszcze o tym nie wie i proszę, nie mów jej. Kalina, zależy mi, żebyś przyjechała do Jurmały o własnych siłach. A teraz niczym się nie martw i wracaj do szkoły, żeby nie przegapić nauki. Krzys zaczeła.

Nie miałam pojęcia, skąd we mnie wypłynęła taka tyrada i w jaki sposób dotarła do mojej siostrzenicy. W końcu doświadczenia w kontaktach z nastolatkami miałam zerowe. Tak czy inaczej, zasłużyłam nią sobie na całusa i kilka łez pozostawionych na moim ramieniu.

Wróciłam do Marii i Juliana. Spojrzeli z niepokojem.

– I jak?

– Będę się zbierać – podsumowałam, puszczając oko.

Maria natychmiast pojęła, że to nie miejsce na detaliczne sprawozdanie, zwłaszcza że Kalina jest tuż za ścianą.

– Wróciłam, jestem na miejscu, dzwoń w każdej sprawie i o każdej porze – poprosiłam ją przy pożegnaniu. – Ty też. – Podałam ręką Julianowi. – I życzę pomyślnego załatwienia spraw w pracy. A kiedy odpoczniesz i złapiesz oddech, zapraszam na jakieś duże ciacho albo bardziej smakowity konkret. – Uśmiechnęłam się na myśl o czymś pysznym na kolację.

Uruchomiłam silnik i z impetem ruszyłam do domu.

Wizyta u Marysi i Kaliny dodała mi siłę i apetytu na ulubioną pizzę hawajską. Dlatego na ostatniej prostej gwałtownie skręciłam kierownicą i zaparkowałam w zatoczce przed restauracją.

Pożrę całą przed telewizorem!, obiecałam sobie solennie.

Z dziećmi wszystko było okej, z Kaliną chyba się dogadałyśmy, nie wiedziałam jedynie, co u mamy i pana Leopolda. Ale telefon do nich odłożyłam na później. U mamy była ciotka Waleria, więc nie musiałam się bardzo przejmować.

W drzwiach pizzerii omal nie przewróciła mnie młoda kobieta z rozwianymi włosami. Zła jak osa próbowała dojść do ładu z połami letniego płaszcza, które wiatr rozwiewał na wszystkie strony.

To była Arleta.

Powód jej wzburzenia dostrzegłam wewnątrz. Przy barze siedział Jaś.

Miałam zawrócić, ale zerwał się z miejsca i podążył w moim kierunku.

– Poczekaj, Olu! Dobrze, że cię widzę. Możemy porozmawiać?

– Nie bardzo. Jestem zmęczona, przyszłam tylko po pizzę.

Jednak mój mąż wyglądał na zdesperowanego. A ja jeszcze nie nauczyłam się asertywności.

– O co chodzi? – Przysiadłam obok niego na stołku.

– Sprzedaj mi udziały – poprosił. – Zapłacę. Może nie pięć i pół miliona, ale postaram się cię nie skrzywdzić. Muszę zachować tę firmę!

Gdyby nie wydarzenia ostatnich miesięcy, może bym mu współczuła, próbowała go zrozumieć. Teraz jednak staliśmy po przeciwnych stronach barykady.

– Dlaczego musisz? – zapytałam, choć znałam odpowiedź. Dostarczyła mi jej wybiegająca Arleta.

– Przecież wiesz. Będę mieć dziecko. I tobie też należą się alimenty...

Popatrzyłam na Jasia – Jaśka, jak go kiedyś nazywałam, czy Jana, jak nazywał go wuj Kazimierz. I nie poczułam niczego do tego faceta.

– Nie ma sprawy – powiedziałam spokojnie. – Sprzedam ci natychmiast, gdy będziesz gotów zapłacić tyle, ile chcę. Nie było mnie kilka dni w Polsce – dodałam. – Czy znasz już termin rozwodu?

## Rozdział 43

### MARIA

Mimo zmęczenia po wyczerpującym dniu pełnym niedobrych wrażeń nie mogłam spać. Budziły mnie koszmary i niepokoje, serce łomotało, a czoło oblewał pot. Niechciane myśli o śmierci pani Wiesi przyprawiły mnie o zawroty głowy i powodowały niewyobrażalny smutek.

Wstałam o szóstej nad ranem i żeby czymś zająć ręce i głowę, przystąpiłam do pakowania walizek. Skoro Zofia zapraszała, ba, wręcz mobilizowała do przeprowadzki na Tulipanową, nie było na co czekać. Wprawdzie Władek w ostatnim czasie nie nękał nas odwiedzinami, ale pragnęłam odciąć się od tego zagrożenia. Tym razem nie zamierzałam ukrywać miejsca naszego pobytu, tylko unikać niespodziewanej wizyty.

W domu Zofii będę bezpieczna.

Kalina wstała tuż przed moim wyjściem do pracy. Śniadanie stało już na stole, a w kącie pokoju piętrzyły się tobołki, które zamierzałam ze sobą zabrać.

– A więc jednak? – zapytała z niesmakiem.

– Nie zmieniałam zdania, córuś. Po południu przyjedzie kolega z pracy i pomoże nam w przeprowadzce. Wybierz rzeczy, które będą ci potrzebne, i połóż na tapczanie. Włożę je potem do toreb.

– Pan Julian. Kolega z pracy? – zakpiła. – A może ktoś więcej?

Jakim prawem wtrąca się do mojego życia?, zirytowałam się. Dlaczego nie pyta ojca o jego Celinę?

Zacisnęłam usta, żeby nie powiedzieć czegoś, czego bym żałowała. Przecież Kalina to nie dojrzała kobieta, z którą można rozmawiać jak równy z równym. To tylko zakochana nastolatka, która uważa, że jest dorosła. Sfrustrowana wyjazdem ukochanego i rozpadem rodziny. Może jednak wieczorem zbyt ostro ją potraktowałam?

Tak czy siak, nie miałam zbyt wiele czasu na tłumaczenie jej swoich decyzji. Jedynych słusznych w chwili, kiedy noszę zagrożoną ciążę, a w Jesiennej Przystani czekają wyzwania.

Postanowiłam zagrać w otwarte karty, do czegokolwiek miałoby mnie to doprowadzić.

– Masz rację – powiedziałam. – Julian jest dla mnie kimś bliższym niż tylko kolega. Jesteśmy przyjaciółmi, choć jeszcze nie parą. Może kiedyś. Odmawiasz mi prawa do szczęścia? Powiem wprost: jeżeli ojciec nie złoży pozwu o rozwód, ja to zrobię. Wiem, że trudno ci zaakceptować rozpad naszego małżeństwa, ale wierz, mam swoje powody, by rozstać się z Władkiem. A Julian nie ma z tym nic wspólnego.

– Idź już do pracy, bo się spóźnisz – usłyszałam.

Aż mną zatrzęsło.

Boże, co ja takiego zrobiłam, że muszę znosić nienawistne spojrzenie własnej córki, dla której jestem w stanie poświęcić dosłownie wszystko!

– Bądź gotowa z pakowaniem – rzuciłam i wybiegłam z domu.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się sąsiad, zobaczywszy mnie opartą o ścianę na klatce schodowej, jak gdybym miała zaraz osunąć się na podłogę.

– Czekam na windę – odparłam i wróciłam do pionu.

Czy on sobie nie pomyślał, że jestem nietrzeźwa?, przemknęło mi przez głowę.

Bo w pewnym sensie byłam pijana, z rozpaczy. Kalina mnie nienawidziła, Władek zdradzał, za moment mogłam stracić pracę. A już ukoronowaniem moich frustracji był niepokój o dzieci. Przestałam nawet odbierać telefony od Aleksandry, która wyjechała na kilka dni na Łotwę.

Przeglądając zdjęcia, które przesyłała, marzyłam, by kiedyś móc jej tam towarzyszyć. Wyobrażałam sobie siebie i Kalinę na białych piaskach zatoki i w śródmiejskich ryskich knajpkach. W moich myślach Kalina stała na własnych nogach i razem biegałyśmy, przemierzając uliczki pełne zabytkowych kamienic czy bulwar nad Dźwiną. Ale dzisiaj musiałam poprzestać na marzeniach i tłumieniu wątpliwości.



Nie wiedziałam, jak Ola zachowa się po urodzeniu przeze mnie dzieci. Czy nadal będzie mnie uważać, jak deklaruje, za swoją siostrę? Wbrew nieufności do ludzi, którą wpoila mi mama, bardzo chciałam, by deklaracje okazały się prawdą.

Jestem jej pewna, utwierdzałam się w przekonaniu i odpędzałam złe myśli. A że zależy jej na dzieciach? To chyba normalne w tej sytuacji. Nawet jeżeli nasze pokrewieństwo nie przerodzi się w silną relację, to przynajmniej zostanie mi po umowie sto dwadzieścia tysięcy złotych na operację Kaliny, pocieszałam się w chwilach zwątpienia.

I to było teraz najważniejsze.

Julian przyjechał do pracy wcześniej. Zastałam go w gabinecie szefowej. Zgodnie z obietnicą odbierał telefony od rodzin pensjonariuszy, cierpliwie tłumacząc, że po śmierci pani Wiesi dom działa nadal i zapewnia mieszkańcom odpowiednią opiekę.

– Nie wyglądasz dobrze – przywitał mnie i podał szklankę wody. – Nie martw się, panuję nad wszystkim. O jedenastej zapowiedział się z wizytą pan Wilczyński – dodał, sięgając po słuchawkę telefonu, która od dłuższego czasu podskakiwała na widełkach.

Pani Wiesia utrzymywała stacjonarny numer.

Przed przyjściem jej męża zdążyłam odwiedzić pensjonariuszy, zajrzeć do kuchni i odebrać zaopatrzenie. Rozliczyłam się z kilkoma kontrahentami, wyznaczyłam ogrodnikowi zakres prac na dzisiaj. Nie omieszkałam również wpaść do Zofii i poinformować ją o naszej dzisiejszej przeprowadzce na Tulipanową.

– Dobrze robisz, dziecko – przyklasnęła. – Jak się czujesz?

– Sama się dziwię, że aż tak dobrze. Żeby tak jeszcze przetrwać te ostatnie dwa i pół miesiąca bez kłopotów!

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nieustannie mi pomagasz. Przyjeżdżaj na Tulipanową jak najczęściej – odparłam. – A najlepiej zamieszkać z nami. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie ci się odwdziaczyć...

Zamiast odpowiedzi objęła mnie ramieniem i mocno przytuliła.

– Nie opędzisz się ode mnie – mruknęła z uśmiechem.

– Pogrzeb już jutro, na cmentarzu komunalnym – usłyszeliśmy od męża szefowej, który zgodnie z zapowiedzią przybył punktualnie o jedenastej. Dowiedzieliśmy się też, w którym kościele odbędzie się msza żałobna.

Nie śmiałam zapytać o Jesienną Przystań, ale pan Wilczyński sam z siebie nawiązał do tematu.

– Wiesia prosiła, bym przekazał państwu ten list. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po białą kopertę. – Żona zapoznała mnie z jego treścią. Oczywiście zgadzam się z jej wolą. – Miał w oczach z trudem skrywane łzy.

Wsparta spojrzeniem Juliana odczytałam słowo po słowie.

„Kochani, kiedy czytacie mój list, mnie już nie ma. Nie martwcie się jednak; to raczej ja powinnam się martwić, że już nigdy Was nie zobaczę. Dziękuję za lata spędzone razem, zwłaszcza Marysi, z którą łączyła mnie szczególna więź. Jak wicie, dobro naszego domu i jego mieszkańców zawsze leżało mi na sercu. Niekiedy nawet Czesław miał mi za złe, że spędzam tam zbyt wiele czasu. Dlatego teraz mam nadzieję, że wysłuchacie mojej woli dotyczącej przyszłości Jesiennej Przystani i wcielicie ją w życie.

Marysiu i Julianie, pragnę Wam ten dom przekazać. Nie jest wiele wart. Obiekt jest wynajmowany od miasta, tylko sprzęty były moje, nie najnowsze zresztą. Chodzi mi o to, by nasz dom trwał ze względu na dobro jego mieszkańców, którzy na krótko przybywają do nas przed swoją ostatnią podróżą.

To moja prośba i jednocześnie pożegnanie. Wasza Wiesia”.

Końcówkę musiał doczytać Julian, bo ja utonąłam w potokach łez. Dzielnie sekundował mi pan Czesław, chlipiąc w chusteczkę.

A potem zapadła cisza. Wzruszeni i poruszeni porozumiewaliśmy się bez słów. Julian skinął głową, ja odpowiedziałam mu tym samym, również mąż Wiesi gestem okazał aprobatę.

– Spotkajmy się w przyszłym tygodniu, już po pogrzebie – zaproponował, gdy nieco opadły

emocje.

Nie potrafiłam się pozbierać jeszcze długo po jego wyjściu. Dopiero popołudniowa przeprowadzka skierowała moje myśli i działania na inne tory. Nie zwracałam uwagi na fochy Kaliny, a po wszystkim padłam do łóżka. Podniosłam się świtem, żeby się ogarnąć, dojechać do pracy, załatwić pensjonariuszom autobus na pogrzeb, kupić kwiaty i na koniec znaleźć chwilę skupienia nad grobem Wiesi.

Następnego dnia po pochówku dom działał jak zwykle. Ale wyszliśmy z Julianem grubo po godzinach.

– Może chcesz, żebym pojechał z tobą na Tulipanową? – zaproponował.

– A Antek?

– Jest z babcią. Wszystko rozumie.

Wieczorem dołączyła do nas Aleksandra. Przywiozła jakieś prezenty z Łotwy i poszła osobiście wręczyć drobiazgi Kalinie. Chyba się dogadały, bo puściła do mnie oko na znak, że wszystko w porządku.

Oby. Akurat dzisiaj nie miałam siły na przepychanki z córką.

– Może ja już pójdę? – zapytał Julian niepewnie, spoglądając w kierunku zamkniętych drzwi do pokoju mojego dziecka.

– Zostań. Jesteś mi potrzebny. Nie, źle powiedziałam. Chcę, żebyś został.

## Rozdział 44

### ALEKSANDRA

Po wizycie u Marii trochę odetchnęłam, zobaczywszy ją w dobrej kondycji mimo smutnych okoliczności.

– Dobrze, że zostanie na Tulipanowej do końca ciąży – powiedziałam do Mileny, kiedy wpadłam na przedpołudniową kawę.

Natasza rozpoczęła kolejny rok szkolny, Lena poszła do przedszkola. Teściowa mojej przyjaciółki wyjechała zaraz po naszym powrocie z Rygi. A Kacper zapowiedział dziś późny powrót z pracy, szczęśliwy, że żona nareszcie trafiła do domu i przejęła uciążliwe obowiązki.

Jedynie mały Leoś kręcił się pod nogami, nie odstępując matki na krok.

– Widzisz, co ja z nim mam? – Milena pół żartem, pół serio pożaliła się na synka. – Jak uczeplił się mnie zaraz po przyjeździe, tak do tej pory nie puścił. – Pocałowała malca w czubek głowy. – Istny omulek!

– Może to go zajmie? – Wyjęłam z torebki klocki, które kupiłam dawno temu, ale zabunkrowałam w szafie na okoliczność wizyty u Adamczyków.

Na dolnej półce szafy trzymałam niejeden prezent dla dzieciaków i sięgałam do niej w razie potrzeby. Milena nieraz karciała mnie za rozrzutność, ale nie potrafiłam -stanąć w jej drzwiach z tak zwaną pustą ręką.

– Sprawiając im radość, robię przyjemność sobie – tłumaczyłam, nie przyjmując do wiadomości wykładów o niepedagogicznym podejściu do dzieci i rozpuszczaniu ich na każdym kroku.

– Zobaczysz, jak będziesz miała własne! – mądrowała, a ja odpowiadałam uśmiechem na błysk w dziecięcych oczach.

– Zobaczę. Ale teraz porozpuszczam twoje.

Jednak dzisiaj moja przyjaciółka odpuściła sobie marudzenie na niereformowalną ciotkę Leosia. A mały wsiąkł w klocki i pozwolił dorosłym spokojnie porozmawiać.

– Zaraz do ciebie wracam – powiedziała Milena i po chwili postawiła przed nami filiżanki z kawą i kawałek ciasta upieczonego przez teściową na nasz przyjazd.

Drożdżówka ze śliwkami smakowała znakomicie, zwłaszcza że węgierki tego roku były wyjątkowo słodkie. Sprzyjało im słońce, które nie szczędziło promieni zarówno w lipcu, jak i w sierpniu.

– A teraz mów, co u Marii – zarządziła. – Śmierć pani Wiesi musiała być dla niej dużym przeżyciem. Znałam szefową ósrodka z uwagi na odwiedziny u ciotki Gabrysi. Złota kobieta!

– Niewiele rozmawiałyśmy, bo u Marysi był Julian. Kojarzysz, razem pracują. Rehabilitant, mężczyzna przystojny i nieobojętny mojej siostrze. – Mrugnęłam porozumiewawczo.

– A co z Władkiem?

– Chyba nic dobrego, skoro Maria mieszka u pani Zofii. Spotkamy się w najbliższych dniach, to pewnie powie mi coś więcej. Ostatnimi czasy trochę ją zaniedbałam, ale przed porodem zamierzam odrobić zaległości i częściej do niej zaglądać. Za dwa tygodnie mamy wizytę u Witaja... – Zamyśliłam się.

Najgorsze było to, że nie oczekiwałam żadnego zwrotu akcji. Nasz ginekolog wyraźnie dał mi do zrozumienia, a właściwie poinformował mnie bez ogródek o licznych patologiach możliwych u jednego z chłopców i niestety dużym prawdopodobieństwie, że malec nie przeżyje porodu albo pożyje bardzo krótko. Wypierałam ten tragiczny scenariusz, ale im bliżej było rozwiązania, tym częściej serce drżało mi na myśl o przyszłości.

Milena zauważyła zmianę nastroju, ale taktownie nie drażyła.

– Wiesz, chyba jestem potworem – bąknęłam po chwili.

– Dlaczego? Co ty mówisz?

– Milena, ja już chyba jednego synka spisałam na straty. Tym większy lęk o drugiego...

Przyjaciółka przygarnęła mnie ramieniem.

– Kochana, nie rób sobie wyrzutów – powiedziała. – Maria jest, w pewnym sensie, w lepszej

sytuacji od ciebie. Nosi dzieci, czuje ich ruchy, ma jakiś wpływ na przebieg ciąży. A ty możesz się tylko przyglądać i roztrząsać różne możliwości. Przyjdzie czas, że zajmiesz się dziećmi i dasz im całą siebie. Jednak i ty, zamiast biernie czekać, możesz coś zrobić.

Wlepiłam w Milenę zdumione oczy.

– Pozałatwiam wszystkie swoje sprawy, oczyścić teren z kwestii Jaśka i udziałów, porozumiej się z mamą – odparła. – Wiem, że ostatnio kiepsko się wam układa. Uwolnij się od tych trosk. Dla dzieci lub dziecka.

Po raz pierwszy wyartykułowała także swoje obawy co do losu jednego z chłopców.

Byłam jej wdzięczna, że nie stara się mnie pocieszać tanimi tekstami, a jednocześnie dotarło do mnie, jak bardzo się oszukiwałam, licząc na cud.

– Masz rację – przytaknęłam. – Pogubiłam się w natłoku problemów. Teoretycznie zostało mi na uporanie się z nimi dwa i pół miesiąca. Chociaż rozwiązanie może nastąpić w każdej chwili.

– No właśnie. Wówczas będziesz zajęta dwadzieścia cztery godziny na dobę. I sama.

Pomyślałam o deklaracji ciotki Walerii i pomyśle, żeby na pierwsze tygodnie wziąć Marię do siebie, ale to było pogotowie ratunkowe. Na początek.

– Milena, a jeżeli ja nie podołam?

– Oczywiście, że dasz radę, bo to twoje dzieci. Pokochasz od razu, gdy je ujrzysz. Pamiętaj, że są twoje, nawet jeżeli nie ty je urodzisz.

Zakręciło mi się w głowie. Przetoczyła się przez nią przerażająca myśl, co będzie, jeśli zawiedzie mnie instynkt macierzyński? Już nie rozpatrywałam sytuacji, że Maria lub Jasiek, w świetle prawa rodzice maluchów, mogą mi ich nie oddać. Trawiłam wizję własnego zachowania. Obserwowałam miłość Mileny i Kacpra do ich trójki, poświęcenie Marii dla Kaliny, przed oczami stanął mi Janis, który po latach ponownie i z ogromnym zaangażowaniem zajął się synem. Wreszcie wszyscy znajomi, sąsiedzi, obcy ludzie prowadzący się z rodzinami po ulicach. Oni wszyscy byli normalni. Ich dzieci przyszły na świat po bożemu: kobieta rodziła, mężczyzna był przy niej lub zagryzał palce w domu czy na szpitalnym korytarzu i mdlał, kiedy dowiadywał się o przyjściu na świat potomka. A potem szedł z kolegami na pępkowe opić wspaniałą wiadomość. Nieraz płakałam na takich scenach w kinie lub oglądając film w telewizji.

Tymczasem ja co? Matka nie matka. Mam trzymać Marię za rękę na sali porodowej? Czy może poprosić Witaja, żeby powiedział mi, kiedy będzie po wszystkim? Tylko on może wyświadczyć mi tę uprzejmość, bo formalne powiadomienie mi się nie należało. W świetle prawa byłam osobą obcą, a takim nie udziela się informacji o stanie zdrowia pacjenta.

Ogarnął mnie nagły lęk.

– Dasz radę – usłyszałam jak przez mgłę słowa przyjaciółki. – Ja również ci pomogę na początku. Opracujemy cały gryplan, tylko wcześniej spróbuj uporządkować sprawy z Jaśkiem i firmą. Janis, jeśli kocha, to poczeka. – Milena powtórzyła moją kwestię w rozmowie z Kaliną.

– A wiesz, że wczoraj to powiedziałam córce Marii, której ukochany wyjeżdża z rodzicami do Malagi? – roześmiałam się.

– I co jej poradziłaś?

– Żeby się wzięła do nauki.

– Nie będę oryginalna, koleżanko. Ty też masz zadania do odrobienia.

Ten kop chyba był mi potrzebny.

Po zjedzeniu trzeciego kawałka drożdżówki ze śliwkami, z czego nie byłam specjalnie dumna, skierowałam kroki do kancelarii wuja Kazimierza. Pracuję, mimo wieku, jak zwykle trwał na stanowisku. Nie musiałam pytać, czy nie przeszkadzam, ponieważ od progu przywitał mnie z otwartymi ramionami.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić, Olu. Dzisiaj dostaliśmy informację o terminie rozprawy. Zerknij.

Sąd miał zebrać się w połowie października.

– To dopiero za półtora miesiąca! – uczyniłam niezbyt inteligentną uwagę.

– Jesteś zdecydowana na rozwód bez orzekania o winie? – Wuj wszedł w rolę prawnika.

– Mówiłeś, że tak będzie szybciej...

– To prawda. Ale może być kłopot z alimentami.  
– Mówiłeś jeszcze, że po rozwodzie powinniśmy podzielić majątek bez udziału sądu – drażyłam.  
– U notariusza.  
– Tak byłoby najlepiej. Ugoda pozwala na szybsze rozstanie.  
– Wchodzę w to, wujku – postanowiłam. – Bez orzekania o winie i z ugodą. Chcę, żeby jak najszybciej zniknął z mojego życia.

Po raz pierwszy nie nazwałam Jaśka mężem.

– Niestety, Oleńko, nie zniknie. – Wuj pokiwał głową. – Jan już na zawsze pozostanie ojcem twoich dzieci, a my nie będziemy mogli zabronić mu kontaktów z nimi. O ile, oczywiście, najpierw uda się nam przeprowadzić z sukcesem proces adopcyjny.

– Ale zrobisz wszystko...

Odchrząknął, co oznaczało obawy. Jednak szybko się opanował i przedstawił mi plan.

– Z Janem sobie poradzimy. Nie możemy wykluczyć, że będzie chciał mieć kontakty z dziećmi, choć osobiście w to wątpię. Marii nie znam, więc poruszam się po grząskim gruncie. Ale skoro mówisz, że nie będzie rościć sobie prawa do dzieci, to proces adopcyjny przebiegnie bez większych trudności.

– Jestem jej pewna – odparłam z przekonaniem.

– Czy aby na pewno?

– Wujku, to moja siostra i porządna kobieta. Nie mam żadnych wątpliwości odnośnie do przekazania mi przez nią dzieci. Bo przecież są moje, prawda?

Skinął głową bez przekonania.

– Musimy przygotować się na każdą ewentualność – przerwał ciszę, która na moment zawisła w powietrzu. – A teraz pora porozmawiać o jeszcze jednej kwestii. Pojawił się kupiec na twoje udziały. Właściwie dwóch.

Drgnęło! Co za wspaniała wiadomość! Dlaczego wuj nie zaczął od niej rozmowy?

Z jego miny wywnioskowałam, że nie powinnam się cieszyć przedwcześnie.

– Ile dają? – zapytałam.

Trudno mi było ukryć entuzjazm.

– Jeden to znany miejscowy przedsiębiorca. Jego propozycja oscyluje wokół sześciu milionów. Myślę, że trochę się potarguje, ale dojdziemy do pięciu osiemset.

– A ten drugi? – zapytałam.

– To Jan. Chce zapłacić trzy miliony. Na dodatek w ratach.

– No to chyba wybór jest oczywisty?

– Powiedział: „Trzy miliony za firmę i żadnych problemów z adopcją”. Co ty na to?

– A mam wybór? – Poczułam, że czerwienieję.

Mój mąż kupczy nienarodzonymi dziećmi!

– Olu, wolisz się poddać czy walczyć? Mamy szereg argumentów na poparcie tezy, że to ty chciałaś mieć dziecko, że ty do tego dążyłaś, więc w konsekwencji będziesz dobrą matką. Jan natomiast ma za sobą literę prawa. Ponieważ jednak twierdzisz, że Maria nie będzie stawać okoniem, możemy podjąć ryzyko. Tyle że to wszystko trwa. Musisz liczyć się z tym, że proces w sądzie rodzinnym się przedłuży, a do jego zakończenia dzieci pozostaną przy Marii. Wiesz, o czym mówię? Ona może się do nich przywiązać, pokochać je... – Wuj odetchnął głęboko. – Druga strona medalu jest taka, że zachowanie Jana to czysty szantaż. Chce ci sprzedać dzieciaki za trzy miliony. Twoja wola, którą drogę wybierzesz. Pozwól jednak, jeśli mogę radzić, że wskażę na tę trochę trudniejszą, ale mogącą doprowadzić do realnych efektów.

Poczułam niewyobrażalną złość na człowieka, który wciąż był moim mężem. I zapragnęłam, by sąd orzekł rozwód na pierwszej rozprawie. Świadomość, że na kogoś takiego straciłam lata, uwierała jak cierń.

– Wujku, rób, co uważasz za stosowne – powiedziałam. – Pamiętaj tylko, że ja chcę sprzedać udziały po cenie rynkowej, bo potrzebuję pieniędzy dla mojej rodziny. Nie zamierzam ułatwiać Janowi życia. Żałuję, że za niego wyszłam.

Ta konstatacja była jedynym plusem naszego kończącego się małżeństwa. No, może jeszcze fakt,

że znalazł sobie kochankę i próbował kupczyć dziećmi. Gdyby był uczciwszy, moja droga do rozstania byłaby bardziej wyboista. O ile bym na nią wstąpiła.

Wuj Kazimierz skinął głową z aprobatą. Moje wynurzenia pozostawił bez komentarza.

– Przygotuję zatem stosowne dokumenty i jeśli pozwolisz, zorganizuję spotkanie z potencjalnym kupcem udziałów. To prezes konkurencyjnej firmy deweloperskiej, Daniel Kowalewski. Kiedy znajdziesz czas?

Czasu miałam tyle, ile było potrzeba.

– Ale będziesz wtedy przy mnie? – Wolałam się upewnić.

– Oczywiście. I Konrad Nowakowski również. Przedstawi stan firmy i udzieli wszelkich informacji.

Wysłałam od wuja z nieco lżejszym sercem, mimo że za chwilę miałam przekazać w obce ręce ukochane dziecko taty. Nie licząc mnie.

Przepraszam, tatusiu, pomyślałam, wsiadając do samochodu. To dla twoich... Dla twojego wnuka, poprawiłam się w duchu, włączając w uliczny ruch.

Wyświetlacz komórki pokazywał nieodebrane połączenia od Janisa i zapisaną wiadomość.

Sprawdzę to w domu, machnęłam ręką.

## Rozdział 45

### MARIA

Nie wiem, co powiedziała wczoraj Ola mojej zaciętrzewionej córce, w każdym razie Kalina wstała w nadzwyczaj dobrym nastroju. Chyba że tak ją uradował widok Krzyśka, który przyjechał zawieźć swoją dziewczynę na rozpoczęcie roku szkolnego.

Przeprowadzka na Tulipanową okazała się korzystna również z uwagi na odległość od liceum, do którego chodzili oboje. Teraz Kalina miała tam znacznie bliżej niż z naszego osiedla, choć temat transportu po wyjeździe Krzysztofa spędzał mi sen z powiek. Jednak dzisiaj jeszcze był.

Jego hiszpańska szkoła miała się rozpocząć w połowie września.

– Jak sobie poradzisz z językiem? – zagadnęłam, gdy czekaliśmy na Kalinę.

– Bez problemu. Będę chodził do dwujęzycznego liceum, gdzie lekcje są po angielsku. A hiszpańskiego nauczę się przy okazji.

Młodość! Gdybym tak ja potrafiła osiąść jakąkolwiek wiedzę „przy okazji”! Pomyślałam z tęsknotą o przerwanych studiach polonistycznych i zamarzyłam, by wrócić na uczelnię. Może kiedyś? Na dziś miałam przed sobą jeszcze dwa lata do matury mojej córki i – o czym myślałam z nadzieją – perspektywę operacji Kaliny, po której dużo sobie obiecywałam.

Na szczęście pierwszego września była pełna werwy. Wyglądała nawet na pogodzoną z rzeczywistością.

Wolałam nie wypytywać, co tak bardzo poprawiło jej nastrój, i przyjąć ten niespodziewany prezent z dobrodziejstwem inwentarza. Jeżeli to Aleksandra wyczarowała nagłą przemianę czarownicy w chodzącą łaskawość, powinnam być jej dozgonnie wdzięczna. A przede wszystkim dopytać o sposób dotarcia do Kaliny. Postanowiłam porozmawiać o tym z siostrą w najbliższych dniach. Jednak teraz każda z nas musiała załatwić kilka ważnych życiowych kwestii.

Dla mnie priorytetem na dziś było spotkanie z Julianem i panem Wilczyńskim w sprawie przyszłości ośrodka.

Julek wczesnym rankiem pojechał do siebie, by wyprawić syna do nowej szkoły, i przyjechał ponownie, już z Antkiem, po ceremonii rozpoczęcia roku. Od jutra dwunastoletni szóstoklasista miał już sam wracać do mieszkania, w którym na razie wciąż przebywała babcia. Miała zamieszkać w Jesiennej Przystani, niestety śmierć pani Wiesi nie pozwoliła domknąć sprawy. Tak czy inaczej, kawalerka Juliana nie była odpowiednim miejscem dla ich drużyny trojga: młodego mężczyzny, dorastającego chłopca i niedołążnej starszej pani.

Dużo zależało od dzisiejszego spotkania z mężem Wiesi. Nie, nie spodziewałam się, że pan Czesław ot tak, po prostu, odda mnie i Julkowi dom z całym wyposażeniem. Byłoby to absurdem. Jakkolwiek na to patrzeć, rodzinie zmarłej należała się scheda.

Pan Wilczyński zasiadł z nami przy kawie w gabinecie żony.

– Dziękuję, że pan przyszedł, musimy działać szybko – powiedziałam na powitanie. – Trzeba podpisywać faktury, pisma, odpowiadać na pytania rodzin pensjonariuszy. Czy zastanowił się pan, co dalej z naszym domem? – zapytałam, ukradkiem zerkając na Juliana.

– Owszem. I mam dla państwa propozycję.

Zastygłam w bezruchu, czekając na kwotę. Nie wątpiłam, że teraz, kiedy emocje po śmierci żony opadły, do głosu doszło racjonalne myślenie i biznesowe podejście do tematu.

– Rzeczywiście, budynek i teren, na którym stoi, należą do miasta i żona płaciła za nie czynsz – zaczął pan Czesław. – Sądzę, że jeśli przejmiecie ośrodek po Wiesi, magistrat zgodzi się na wynajem budynku na obecnych warunkach. Albo będziecie negocjować. Ale jeżeli chodzi o sprzęty... Nie wszystkie są tak stare, jak wspominała żona. W ciągu ostatnich dwóch lat sporo inwestowała w sprzęty kuchenne i urządzenia do rehabilitacji. Wymieniła również niektóre meble w stołówce i wyremontowała altanę w ogrodzie.

Pan Wilczyński starannie odrobił lekcje.

– Krótko mówiąc: nie mogę państwu tak po prostu przekazać wyposażenia budynku i ogrodu,

tym bardziej że Wiesia nie zostawiła testamentu, a list do was jest, w opinii prawnika, wyłącznie wolą kontynuowania jej misji. Proszę nie myśleć o mnie źle – zastrzegł się. – Liczę się z opinią zmarłej żony, że jesteście ludźmi godnymi zaufania i najlepiej ze wszystkich poprowadzicie ośrodek, ale ten dom to wszystko, oprócz mieszkania, czego się dorobiliśmy. Mam dorosłe dzieci, a one rodziny – westchnął pan Czesław. – Chciałbym przekazać im coś po mamie. – Załamał mu się głos. – Krótko mówiąc – odchrząknął – mogę wam sprzedać wyposażenie ośrodka za dwieście tysięcy złotych.

Opadły mi ręce.

Rozumiałam pana Wilczyńskiego doskonale. Chciał zadbać o dzieci. A nam nie wolno było zerować na dob-roci pani Wiesi. Tylko skąd wytrzasnąć tak dużą kwotę?

Że też to właśnie mnie, skromnej opiekunce z domu pomocy, trafiają się same ciężkie wyzwania!, podniosłam oczy do nieba. Operacja Kaliny ponad dwieście tysięcy, teraz kolejne dwieście!

– A jeżeli nie będziemy w stanie zapłacić? A przynajmniej nie natychmiast? – zapytałam cicho.

– Pani Mario, mogę trochę poczekać, ale nie za długo. Nie chcę sprawować po żonie funkcji właścicielskiej, a do tego właśnie obliguje mnie teraz prawo, i was zatrudnić. Wiem, że ośrodek nie przynosi dużych zysków, a bez Wiesi może nawet generować straty. Tyle tytułem wyjaśnienia. – Pan Wilczyński spojrział mi w oczy. – Zdecydowałem się sprzedać, co jest do sprzedania, a państwu jako pierwszym proponuję przejęcie Jesiennej Przystani. Nie musicie odpowiadać od razu, ale czas nagli.

Julian słuchał w skupieniu. Na koniec poprosił o chwilę do zastanowienia.

– Marysiu, wyjdźmy na korytarz – zaproponował. – Panie Wilczyński, zaczeka pan chwilę?

Jeszcze nigdy nie widziałam Julka tak skoncentrowanego i zdeterminowanego. Z jego oczu posypały się iskry, które spoczęły w samym środku moich. Wyprowadził mnie do ogrodu, z dala od kuchennych okien, skąd dochodził brzęk naczyń.

Domyśliłam się, że szuka ustronnego miejsca, odległego od ludzkich oczu i uszu.

– Marysiu, zdobędziemy te pieniądze – powiedział. – Niczym się nie przejmuj.

Był jak w transie. Przytrzymał moje ramiona silnymi dłońmi rehabilitanta.

– Julek...

– Widzę, że się boisz, ale ja nie. Mam plan i zrealizuję go. Przy twoim udziale. Jeżeli, oczywiście, tego chcesz. Wiesz, jakie jest słowo wytrych do naszego sukcesu? – zapytał.

O czym on mówił?, zastanowiłam się zdumiona.

Nie pozwolił mi długo czekać na odpowiedź.

– Kocham cię – wyznał. – Pragnę być z tobą do końca życia i prowadzić ten dom. Żadna cena mnie nie zniechęci. Kropka. – Uśmiechnął się. – A teraz wszystko zależy od ciebie. Czy uczynisz mnie najszczęśliwszym facetem na świecie, pozwolisz się sobą opiekować, dbać o ciebie, kochać cię do końca naszych dni?

Zabrzmiało to bardzo poważnie.

Byłam tak skołowana, że przez chwilę nie potrafiłam wykrztusić słowa.

– Julek, ja mam męża... – bąknęłam.

– A gdzie on jest? Bo jakoś nie widzę go przy tobie. Maryś, ja pytałam, czy pozwolisz mi być obok.

Staliśmy w altanie, w miejscu, gdzie całkiem niedawno Teodor oświadczał się Barbarze. Nie wiedziałam, czy jakoś specjalnie sprzyjało ono podejmowaniu życiowych decyzji, czy to błękitne oczy Julka sprawiły, że rozpląnąłam się jak woskowa świeca w promieniach słońca. Poczułam tak niewyobrażalną lekkość, że zapomniałam i o swoim wystającym brzuchu, i wszystkich innych problemach wszechświata. Nigdy dotąd nie doświadczyłam takiej przyjemności i takiego poczucia bezpieczeństwa. I w tym samym momencie zorientowałam się, że ten stan mogę nazwać po imieniu.

To była miłość. Czekałam na nią trzydzieści osiem lat.

A mimo to nie potrafiłam spontanicznie podzielić się z Julianem moim szczęściem. Oddawałam pełne uczucia spojrzenia, ale słowa pozostawały uwięzione. Tyle że mój młodszy ode mnie ukochany był ode mnie dojrzały. Nie popędział, milczał. Dał przestrzeń, bym zebrała się na odwagę i wyszeptwała najcudowniejsze słowa na świecie.

– Kocham cię... Tak, kocham cię, Julek! – powiedziałam już głośno i wyraźnie. – Jestem tego



pewna. Tak bardzo cię kocham!

Cokolwiek miało się wydarzyć, byłam wolna i pełna nadziei.

Julian szałowywał łzy z moich powiek, a nawet uniósł mnie ostrożnie. Zawsze byłam drobna i w ciąży nie przybyło mnie zbyt dużo, więc nie miał najmniejszych problemów. Po chwili również ostrożnie postawił na ziemi i znacząco spojrzał na drzwi.

– Co powiemy Wilczyńskiemu?

– Co tylko chcesz – odparłam.

– Bierzemy Przystań. Od tej pory będzie naszym domem.

– A pieniądze?

– Jest sporo banków w mieście. Okradnę któryś. – Przymrużył oko i pocałował mnie w czoło.

Wsparta na jego ramieniu frunęłam w kierunku gabinetu szefowej, w którym jej mąż czekał na naszą decyzję.

## Rozdział 46

### ALEKSANDRA

Wracając z biura wuja Kazimierza, z trudem panowałam nad ciekawością. Niemniej przed oddaniem się konwersacji z facetem, dla którego mocniej zabiło moje serce, postanowiłam zasiąść w wygodnym fotelu.

Odpisałam króciutko: „Do usłyszenia wieczorem, chyba że to sprawa niecierpiąca zwłoki?”. W odpowiedzi dotarły do mnie trzy czerwone serduszka.

Nie wracałam prosto do domu, chciałam odwiedzić mamę. W ostatnich dniach nie sposób było się z nią połączyć. Całymi dniami czuwała przy Leopoldzie w jego mieszkaniu, wspierana przez Walerię, która z kolei trzymała wartę w jej domu.

Najpierw zadzwoniłam do ciotki, którą zastałam przy gotowaniu obiadu.

– Wpadaj, jeśli możesz, chociaż Jadwigi nie ma – zaprosiła. – Będę szła do nich niebawem z ciepłą kolacją, ale dopiero za jakąś godzinę.

– Dla Leopolda ryba w folii, dla nas lazanie – pochwaliła się, gdy tylko przekroczyłam próg. – Wejdz, Oleńko, tak dawno cię nie widziałam. – Przepadłam w okazałych ramionach. – Niby się ochłodziło, ale w kuchni przy piekarniku zawsze gorąco. – Ciotka usprawiedliwiła wypieki na twarzy i szeroko otwarte okno. – Może trochę przymknę? Jeszcze się przeziębisz.

Ta jej zapobiegliwość sprawiła, że się roześmiałam. Waleria nie miała własnych dzieci, ale była najwspanialszą przyszywaną mamą dla wszystkich, najbardziej empatyczną osobą, jaką znałam. Cichą, ale aktywną towarzyszką na życiowych zakrętach, pogotowiem ratunkowym w kłopotach. Taki ciepły, pomocny człowiek, który zapominał o swoich sprawach, kiedy trzeba było wesprzeć innych. Czasami zastanawiałam się nawet, czy przez ten swój altruizm nie zaprzepaściła szansy na osobiste szczęście. Ciotka jednak, zawsze pogodna i wesoła, sprawiała wrażenie zadowolonej z drogi, jaką obrała. No, chyba że otoczeniu łatwiej ją było postrzegać w ten sposób...

Przez długie lata zajmowała się zniedołężniałymi rodzicami, więc moja matka, a jej siostra, Jadwiga, miała dobrą wymówkę, żeby się zbytnio nie angażować. Waleria pomagała również w opiece nade mną. Lubiłam wyjazdy do cioci i traktowałam je jak bonus od losu, choć zapewne moi rodzice jeszcze bardziej cenili nieobecność dziecka, któremu w tym czasie niczego nie brakowało. Waleria podnosiła mamę na duchu po śmierci taty, a teraz wspierała przy umierającym Leopoldzie.

Na myśl o nim poczułam dreszcze. Do tej pory traktowałam partnera mamy jak nieprawego następcę taty i uważałam, że nie powinno ich łączyć głębsze uczucie. Przecież rodzice zawsze byli nierozłączni, a Tadeusz nosił swoją Jadwinię na rękach. Jak mogła o tym zapomnieć?

Mimo to w ferworze własnych spraw i problemów zaakceptowałam Leopolda, a nawet dostrzegłam plusy jego obecności. Mama przy nowym mężczyźnie odżyła i pewnie gdyby nie jego choroba, uwiliby sobie gniazdko. Niestety los ma wobec nas własne plany i nie pozostawia miejsca na nasze. A nawet potrafi z nich kpić.

– Ciociu, w czym ci mogę pomóc? – Zrewanżowałam się za troskę Walerii o moje zdrowie. – Zrobię nam herbaty i porozmawiamy.

Wskazała mi miejsce na wysokim taborecie przy barze, a sama naciągnęła kuchenne rękawice.

– Zaraz spróbujesz moich lazanii. – Poczułam aromat mielonego mięsa i pomidorów. – Wyjmij z lodówki parmezan. – Ciotka sięgnęła do piekarnika.

W jednej chwili opanował mnie potworny głód. Chwyciłam za widelec i nóż i zapomniałam, po co przyszedłam.

– Cudowna! – powiedziałam z pełnymi ustami. – Ciociu, usiądź przy mnie – poprosiłam.

– Zaraz, kochanie, tylko zadzwonię do Jadzi – odparła, by po chwili przycupnąć na krawędzi krzesła.

– Aż tak źle? – Poznałam po jej minie.

– Olu, nie jestem lekarzem...

Mój widelec zawisł w pół drogi.

– ...ale to chyba ostatnie dni Leopolda. Tak mi ich szkoda! – Ciotka schowała twarz w dłoniach. Odsunęłam talerz i przetałam serwetką usta. Musiałam napić się wody, bo nagle zaschło mi w gardle.

Kiedy ja byłam na Łotwie i przeżywałam wznoszącą falę uczuć, u mojej mamy rozgrywał się dramat.

Poczułam przypływ wyrzutów sumienia. Wpatrywałam się w Walerię w oczekiwaniu na więcej.

– Choroba zniemacka przyspieszyła – powiedziała. – Lekarze wspominali o kilku miesiącach, ale Leopold ma się coraz gorzej. Jadzia zrezygnowała z pomocy hospicjum i jest z nim całymi dniami. Nie dziw się, że nie odbiera telefonów ani nie odpowiada na esemesy. Chciałam do ciebie napisać, ale mi zabroniła.

– Dlaczego?

– Nie wie, jak z tobą rozmawiać o przeszłości. O Marii. Zresztą to nie najlepszy czas na takie rozmowy.

– Jasne – odparłam. – Żadne chore dziecko i żadna trudna ciąża nie są w stanie przebić się przez chorobę Leopolda – wyrwało mi się z goryczą.

– Oleńko, nawet nie wiesz, jak dobrze cię rozumiem! Jadwiga zawsze była tą lepszą, piękniejszą i bardziej hołubioną siostrą, ja stałam z boku. Przez wiele lat miałam jej to za złe. Zazdrościłam jej urody, powodzenia u płci przeciwnej i pewności siebie. Kiedy za nią uganiał się w liceum co bardziej przystojni chłopcy, ja nie byłam na randce przed końcem studiów. – Ciotka się uśmiechnęła. – No i stało się. W trzeciej klasie liceum Jadzia poznała Tadeusza, zaszła w ciążę, a nasi i jego rodzice wspólnie postanowili pozbyć się problemu. Zdecydowali o oddaniu nienarodzonego jeszcze dziecka do adopcji, chociaż ja bardzo pragnęłam zatrzymać je i wychować. Nie wiem, dlaczego się nie zgodzili. Pewnie chcieli załatwić sprawę raz na zawsze. Nikt nie przewidział, że kiedyś ktoś zacznie stawiać pytania i ujawni prawdę. Jak widać, ona zawsze znajdzie sobie ujście – westchnęła. – Nagłe pojawienie się Marii było dla Jadzi ciosem. Kolejnym po śmierci Tadeusza. A do tego jeszcze kontekst twoich dzieci... Zapytasz pewnie, dlaczego z nią jestem i jej pomagam, chociaż obie znamy Jadwinę i wiemy, że niełatwy z niej człowiek?

Rzeczywiście, ciotka prawidłowo odczytała moje -myśli.

– Bo to moja siostra – odparła. – A ty jesteś moją siostrzenicą. Jadzia nie jest zła, tylko trochę rozpieszczona przez Tadeusza. Leopold również nosił ją na rękach, zanim zachorował. Pozwólmy jej go pożegnać. A potem, kiedy już się podniesie, powrócimy do Marii.

– Tak postanowiłyśmy już dawno – przypomniałam. – Ale ciociu, ja już jestem z Marią. Mama do nas dołączy. O ile zechce – powiedziałam, może zbyt ostro. – Jeśli będziesz potrzebować pomocy, zadzwoń. – Wstałam od stołu i zaczęłam się zbierać.

– Olu, zaczekaj! – Waleria przytrzymała moją rękę. – Mam pytanie. Czy mogłabym się kiedyś spotkać z twoją starszą siostrą? – zapytała łagodnie.

Nie potrafiłam odpowiedzieć twierdząco.

– Przekażę jej twoją prośbę. A ty daj mi znać – zakończyłam zdaniem, którego znaczenie rozumialiśmy bez słów.

Kiedy będzie po wszystkim.

– I powiedz mamie, że byłam.

Świeże powietrze zaszumiało mi w głowie. Gdyby nie samochód na podjeździe, najchętniej ruszyłabym do domu na piechotę. Kasztanowce powoli zaczynały już zrzucać pojedyncze owoce, na razie beżowe w białe plamy, choć daleko im było do dojrzałości.

Ciotka Waleria pewnie włoży kilka do kieszeni, żeby zimą chroniły ją od wszelakich chorób, pomyślałam z czułością i spojrzałam w okno.

Krzątała się po kuchni, sprzątając po uczcie.

Żał mi było mamy, Walerii, której przed laty nie pozwolono zająć się dzieckiem siostry, ale najintensywniej myślałam o Marii i dzieciach.

Pragnęłam zobaczyć się z nią jak najszybciej, lecz powiedziała, że dzisiaj jest zajęta. Wspomniała tajemniczo, że musi działać po rozmowie z mężem swojej szefowej, bo mają z Julianem pewne plany

odnośnie do ośrodka. Miała bardzo dobry humor, więc chyba spotkanie potoczyło się po jej myśli?

Do domu dotarłam zmęczona i przeczołgana emocjonalnie. Targały mną emocje związane ze sprzedażą udziałów, a dodatkowo rozstroiła mnie rozmowa z ciotką. Pytanie, dlaczego rodzina nie pozwoliła Walerii zabrać do siebie Marii, powracało natrętnie. Nie potrafiłam wybaczyć mamie, że nie szuka kontaktu ze starszą córką, mimo sytuacji z Leopoldem.

Czy jestem aż tak egoistyczna i nieczuła, że kopię leżącego?, dokładały swoje wyrzuty sumienia. Sięgnęłam po komórkę.

„Mamo, byłam, ale Cię nie zastałam. W czym Ci mogę pomóc? Powiedz słowo, przyjadę”, napisałam.

Najwyżej nie odpowie, stwierdziłam i poczułam się lepiej.

Wygodna kanapa i szklanka wody z cytryną i listkiem mięty dały mi namiastkę spokoju. Ułożyłam nogi wysoko i otworzyłam wiadomość od Janisa. Na konwersację nie miałam ochoty.

„Sasza, musisz być bardzo zajęta, skoro nie odbierasz telefonów ode mnie. Bo chyba nadal się lubimy? Na dobre osiadłem w Rydze, Skele poszedł do szkoły. Nie wspominałem wcześniej, by nie popsuć niespodzianki, ale skończyłem już książkę Krastsa i oddałem do redakcji. Na wystawie, już po Twoim wyjeździe, spotkałem pana Nowaka z waszego wydawnictwa, który wyraził zainteresowanie książką *Na fali przyływu* (fajny tytuł, prawda?). Zaprosił mnie do Warszawy, a ja, jak się domyślasz, ochocho zaproszenie przyjąłem. Skele przyjedzie ze mną; kilka dni bez szkoły chyba mu nie zaszkodzi? Będę za niecałe dwa tygodnie. Mam nadzieję, że nie pokrzyżujemy Ci szyków? Może nawet się ucieszysz?

Tęsknię za Tobą i pozostaję z nadzieją, że wszystko u Ciebie w porządku. Twój J.”.

Teraz już tak, skoro przyjeżdżasz, pomyślałam. Miałam ochotę wtulić się w jego ramię i zasnąć bezpiecznie.

„Czekam. Tęsknię. A.”.

## Rozdział 47

### MARIA

Zaplanowaliśmy z Julianem snucie planów dotyczących Jesiennej Przystani na weekend.

Przed powrotem do domu zaszłam do Zofii, by podzielić się informacją o propozycji pana Wilczyńskiego. Przyjęła ją z pewną obawą.

– Dzieci, skąd weźmiecie tyle pieniędzy? – Spojrzała zatroskana. – Bo rozumiem, że o was oboje nie muszę się martwić. – Uśmiechnęła się kącikiem ust.

Już nieraz ujawniała niezwykły talent wnikliwego obserwatora. Inna sprawa, że ja nie potrafiłam zamaskować szczęścia, które odkryłam przy Julku.

– Nie czerwień się, Maryniu. Twoje oczy mówią wszystko – powiedziała Zofia. – Będziesz chciała, powiesz coś więcej.

Wzruszona rzuciłam się jej na szyję, uważając na jej kruche ciało i swój całkiem już okazały brzuch.

– Zosiu, wyznałam mu miłość! Sama nie mogę w to uwierzyć! Nie powinnam się tak cieszyć tuż po pogrzebie pani Wiesi, prawda?

– Wręcz przeciwnie, kochanie. Szefowa byłaby szczęśliwa, widząc was razem. Nieraz rozmawialiśmy na wasz temat; wybacź wścibstwo starszych pań. Ale życzliwych.

Pomyślałam, że teraz pozostała mi już tylko jedna z nich i że powinnam bardziej o nią dbać. Ściągnę Zofię do domu na weekend, postanowiłam. Byłyśmy prawie jak rodzina, a może nawet coś więcej. W niejednej rodzinie nie panowały tak dobre relacje i zrozumienie jak między nami. Do tej pory nikt, nie licząc rodziców, nie zrobił dla mnie więcej niż moja starsza przyjaciółka.

Nie dziwne, że nie chciałam mieć przed nią tajemnic. Zaslugiwała na szczerość. A przede wszystkim na moją obecność i zainteresowanie.

– Zosiu, jedź ze mną do domu – poprosiłam. – Posiedzimy w ogrodzie, ugotuję coś smacznego. Kalina wprawdzie będzie zajęta Krzyskiem, ale przynajmniej nie będą przeszkadzać.

– Pewnie chcielibyście porozmawiać z Julianem o swoich planach.

– Oczywiście. Nie mamy przed tobą żadnych tajemnic, rozmawiamy wszyscy. Jak w rodzinie.

Chyba ją przekonałam, bo cień wątpliwości, który na krótko pojawił się na jej twarzy, szybko zniknął.

– Skoro zapraszasz, przyjmuję – odparła Zofia.

– Pomogę ci spakować rzeczy. – Przeszłam do działania, sięgając po torbę. – Wezwę taksówkę. Julian dołączy do nas jutro.

Po drodze zrobiliśmy zakupy, w dużej mierze pod dyktando Zosi. Najwidoczniej miała plany kulinarne, których jednak nie chciała mi zdradzić.

Wieczorem chciałam przygotować risotto, ale odsunęła mnie od kuchni i zawołała Kalinę. Usłyszałam tylko, że zaproponowała mojej córce szybką lekcję lepienia pierogów, a ta, o dziwo, wyraziła zainteresowanie, i czym prędzej uciekłam.

Krzysiek wyszedł dziś wcześniej. Jego mama zaprosiła gości na pożegnalną kolację przed wyjazdem i ze zrozumiałych względów oczekiwała obecności syna.

– Przyjdą dziadkowie, ciotka z rodziną i kilkoro znajomych moich starszych – pochwyciłam tłumaczenie, gdy stanęłyśmy z Zofią w progu. – Przepraszam, naprawdę muszę zniknąć. – Dobiegło mnie cmoknięcie w policzek.

Minęliśmy się w drzwiach.

Kalina pojechała do siebie i nie pokazywała się przez dłuższą chwilę. Pewnie było jej przykro, że nie została zaproszona, ale państwo Kłosiowie mieli prawo pożegnać się, z kim chcieli. Na szczęście nie pielegnowała długo zawodu i na wezwanie Zofii pośpieszyła do kuchni.

Zaległam na tapczanie i na chwilę przysnęłam.

Obudziłam się w ciemnym pokoju, zdezorientowana czasem i przestrzenią. Przez moment próbowałam sobie uświadomić, gdzie jestem i która jest godzina. Byłam szczelnie otulona kocem, spod

którego nie chciało mi się wychodzić.

Pod kuchennymi drzwiami dostrzegłam cienką smugę światła. Przytomność wracała powoli.

Zofia z Kaliną wciąż lepią pierogi, a ja chyba przespałam ładnych kilka godzin?, pomyślałam.

I nadal byłam senna. Leżałam zatem bez ruchu, zdecydowana nigdy nie wychodzić z bezpiecznego kokonu błogości i ciepła.

Maluchy dzisiaj wyjątkowo brykały, zresztą nic dziwnego. One również musiały odreagować moje przeżycia w ostatnich dniach. Dlatego kiedy usłyszałam nad sobą głos Zofii, która zaproponowała, bym przeniosła się do łóżka, jak dziecko pozwoliłam się poprowadzić do łazienki, a chwilę później ponownie wpadłam w objęcia Morfeusza.

Za to sobota zapowiadała się obiecująco.

Wstałam rano wypoczęta i przygotowałam śniadanie dla naszej trójki. Z radością tańczyłam po kuchni, o ile można w ten sposób określić piruety kręcone przez kobietę w ciąży z bliźniętami. Przygotowałam sałatkę warzywną i talerz minikanapek z czym popadło. Byłe smacznie, rozmaicie i kolorowo.

– Kto zje te wszystkie wspaniałości? – Głos Zofii, która pojawiła się niespodziewanie, przebił się przez radiowy przebój, do którego rytmu podrygiwałam przy kuchennym blacie. – Spodziewasz się gromady gości?

– A skąd! – odparłam radośnie. – Tylko Julka z Antkiem. Ale oni zapowiedzieli się dopiero po obiedzie. Jak spałaś?

– Wybornie, Maryniu. Zobacz, jakie słońce. – Zofia uniosła firankę. – A wiesz, że Kalinka to bardzo fajna dziewczyna? – zmieniła temat.

Wiedziałam, chociaż ostatnio się nam nie układało.

– Przygotowałyśmy tonę pierogów, więc możesz zaprosić wszystkich swoich znajomych – ciągnęła Zofia. – Może i Aleksandrę? – Spojrzała na mnie badawczo.

Zaskoczyła mnie. Ale może to nie najgorszy pomysł?

– Kiedy indziej, Zosiu – powiedziałam wbrew temu, co czułam. – Jesteśmy siostrami, ale w tej chwili chyba bardziej wiąże nas cięża i nasza umowa.

– Nie jesteś jej pewna?

– Jestem – odparłam. – Naprawdę uważasz, że mogłabym ją zaprosić na obiad? – Zaczęłam się łamać.

– Nakryć nie zabraknie – odparła, podając mi komórkę, która od jakiegoś czasu wygrywała znajomą melodyjkę.

Dzwonił Julian.

– Maryś, przyjadę z Antkiem, jak obiecałem – usłyszałam. – Ale mam do ciebie pytanie.

Zaniepokoiłam się.

– Coś się stało?

– Nieee – odparł przeciągle. – Tylko wiesz... – Zebrał się na odwagę. – Jakoś trudno mi zostawić babcię Antka samą. Czy mógłbym ją zabrać? Przepraszam za kłopot, ale...

Dopiero teraz zorientowałam się, że telefon jest w trybie głośnomówiącym, a mimowolnym świadkiem naszej konwersacji jest Zofia. Ta szczerwana lisica wykorzystała to natychmiast.

– Zaproś ją! – wyszeptwała bezgłośnie i teatralnym gestem zasznurowała usta.

– Oczywiście – powiedziałam. – Przyjeżdżajcie, mamy pierogi – dodałam.

Zapowiadała się niezła ekipa przy stole, bo również Ola przyjęła zaproszenie.

Byłam oszołomiona. Jeśli nie liczyć przyjęć w Jesiennej Przystani, już dawno nie miałam okazji spotykania się z ludźmi w tak dużym gronie. Prawdę powiedziawszy, trochę się tego obawiałam. Na szczęście z Zofią u boku czułam się pewniej.

Po śniadaniu zapędziła mnie do przygotowywania sałatek, a sama wzięła się za kompot i zupę krem z pora i zielonego groszku. To nagłe domowe poruszenie zaktywizowało nawet, o dziwo, moją córkę. A pierogi i dobre nastawienie połączyły nas wszystkich.

Julian, na moją prośbę, milczał przy stole jak zaklęty na temat przejęcia domu opieki i naszych spraw finansowych. Sprawa wypłynęła dopiero wieczorem, już po wyjściu Oli.

– Kochani, mam dla was pewną propozycję – odchrząknęła pani Danuta, teściowa Julka. – Wiem, że chcielibyście przejąć Jesienną Przystań i że to kosztuje. Tymczasem ja mam w Gdyni mieszkanie, które teraz stoi puste. Chętnie na jakiś czas przeniosę się do waszego ośrodka, a mieszkanie wynajmę i przekażę wam pieniądze. Może to nieduża kwota, ale w waszej sytuacji przyda się każda. Julek to najlepszy zięć, jakiego mogłam sobie wymarzyć... – Załamał się jej głos. – A może to mieszkanie po prostu sprzedam?

Julian sprzeciwił się kategorycznie.

– To ja sprzedam swoje mieszkanie i spłacę pana Wilczyńskiego – powiedział. – Coś z Antkiem wynajmiemy i po kłopotcie. Mamo – zwrócił się do teściowej – wystarczy kilka miesięcy w naszym domu opieki i będziesz mogła wrócić do siebie. Robisz postępy. Nie będę cię obciążać swoimi kłopotami. I tak długo zajmowałaś się Antkiem.

– Przecież to mój ukochany wnuk...!

– No właśnie. Obiecuję, nie stracisz z nim kontaktu.

– Tak się tylko mówi. – Pani Danuta pociągnęła nosem. – Ja wrócę do Gdyni, on zostanie tutaj. Juleczku, ja mogę do końca mieszkać w domu opieki, byleby tylko bliżej was!

Jakże ja rozumiałam tę starszą panią! Zresztą nie mog-ło być inaczej, skoro całe swoje zawodowe życie poświęciłam staruszkom, którzy rozwinęli we mnie empatię. Bo nauczyła mnie jej mama.

Pod pierwszym lepszym pretekstem poprosiłam Julka o chwilę rozmowy na osobności.

– Jeśli uda się nam przejąć ośrodek, niech twoja teściowa pomieszka u nas za darmo – powiedziałam. – Przecież zwalniają się dwa pokoje, po Teodorze i Barbarze. W tym czasie mieszkanie w Gdyni będzie zarabiać na siebie. A później, skoro ona nie chce tam wracać, sprzedasz je i kupisz jej małe mieszkanie w naszym mieście. Będzie mieć Antka na wyciągnięcie ręki.

Nie powiedziałam niczego nadzwyczajnego, ale Julek obdarzył mnie pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Naprawdę chciałabyś, żeby ona mieszkała w pobliżu? Chyba rozumiesz, jakie to może mieć konsekwencje...

Rozmawialiśmy tak, jak gdybyśmy już byli rodziną, tymczasem mnie wcale to nie przeszkadzało. A nawet rosły mi skrzydła.

– Wiem, wiem: święta, urodziny i codzienne kontakty – odparłam. – Nie znam jej, Julek, ale widzę, że jest bardzo samotna, a Antek ją kocha. Widocznie musi być dobrym człowiekiem. Jak Zosia.

Dalsze słowa były zbędne.

– Dziękujemy za propozycję, mamo – powiedział Julian po powrocie do stołu. – Ale z przejściem ośrodka musimy poradzić sobie sami. Ulokujemy cię tam na jakiś czas, a potem się zobaczy. Być może za pieniądze ze sprzedaży Gdyni kupimy ci coś tutaj. Żebyś była blisko Antka.

– I was. – Pani Danuta otarła łzę.

– Mogę dodać coś od siebie? – Włączyła się milcząca dotąd Zofia.

Ściągnęła na siebie spojrzenia wszystkich obecnych.

– Krótko i węzłowato: Maryniu i Julku, możecie mieszkać w moim domu, jak długo zechcecie. Oczywiście z Kaliną i Antkiem. Wierzę, że poradzicie sobie w życiu, ale mogę wam pomóc w trudniejszym momencie, więc robię to z największą przyjemnością. A teraz może ktoś zaparzy kawę?

Zerwałam się gwałtownie i zawirowanie w głowie z powrotem wcisnęło mnie w krzesło. Zatraskany Julek gestem nakazał mi pozostać na miejscu i pobiegł do kuchni.

Zerknęłam na komórkę, która zabręczczała znienacka, i na wyświetlaczu zobaczyłam imię Władka.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Wysłam do ogrodu. – Cześć. O co chodzi?

– Marysiu, postanowiliśmy z Celiną wyjechać za granicę – usłyszałam głos męża. – Ona ma tam szansę na pracę, a ja sobie coś znajdę. Złożyłem już pozew o rozwód. Chciałbym, żebyś zgodziła się na rozstanie bez orzekania o winie. Będzie szybciej i wygodniej dla nas obojga.

W kwestii techniki przeprowadzenia rozwodu miał rację. Ja również pragnęłam jak najszybszego rozstania i sprawnego rozwiązania naszego małżeństwa, ale jedna myśl nie dawała mi spokoju.

– Co mam powiedzieć Kalinie? – zapytałam.

– Teraz nie mam pieniędzy. Może zarobię coś w Irlandii, to wam prześlę – powiedział Władek i zakończył połączenie.

Nie żebym spodziewała się wynurzeń, bicia w piersi i kajania za grzechy. Ale podświadomie czekałam na choć jedno ludzkie słowo, na przykład „przepraszam”. Nie padło.

Tyle było warte kilkanaście lat naszego małżeństwa.

– Dobrze się czujesz? – Słowa Juliana przywróciły mnie do rzeczywistości.

– Nie. Ale niebawem się pozbieram – odparłam i wtuliłam głowę w jego ramię.



## Rozdział 48

### ALEKSANDRA

Za dwa tygodnie przyjeżdża Janis ze Skelem! – oznajmiłam Milenie.

Twierdziła, że prace budowlane przy jej gniazdku dobiegają końca, choć widok bałaganu w rozgrzebanych pomieszczeniach nie napawał optymizmem.

– Zobacz, mamy już nowe wszystkie instalacje. Ostatnio uruchomiliśmy nawet piec gazowy. – Z dumą poprowadziła mnie do pomieszczenia zwanego kotłownią, choć bardziej interesowały mnie kuchnia i łazienki, które miałam pomóc jej urządzić.

Obszerna przestrzeń przeznaczona na kuchnię z dużą wyspą łączyła się z salonem, przy którym mój, również nie ułomek, wydawał się niezbyt wielki. Do ogrodu prowadziły francuskie drzwi wyposażone w potrójne szyby, pośrodku pomieszczenia królował sięgający sufitu granitowy, częściowo przeszklony kominek. Dzielił je na dwie części; w jednej Milena z Kacprem zamierzali urządzić przytulny kąt wypoczynkowy. Taki trzydziestometrowy kącik z telewizorem i – jak na bibliotekarkę przystało – regałami na książki.

– Lubię, kiedy jest ich dużo. Wszędzie. – Mojej przyjaciółce nie zamykały się usta. – Nareszcie moje zbiory odetchną w należytym im przestrzeni – ćwierkała, prowadząc mnie po świeżo wybetonowanych posadzkach. – I będziemy mieć dwie łazienki i oddzielną toaletę! – Uśmiech na jej twarzy świadczył, że ten element krajobrazu cieszy ją nadzwyczajnie. – Chodź, pomożesz mi wybrać kafle i podłogi!

Sądziłam, że po zakończeniu wizji lokalnej usiądziemy nad katalogami z glazurą albo wypuścimy się na zwiedzanie marketów budowlanych, ale gospodarze podeszli do tematu profesjonalnie.

– Olka, tu są cztery rodzaje ceramiki do kuchni, blaty i podłogi. Płytki do łazienek zaraz przyniosę. – Milena na moment przepadła za kominkiem.

– Widzę, że jesteś po wstępnej selekcji? – zauważyłam.

– Lepiej! Wynajęłam projektantkę wnętrz, a ona właśnie przyniosła mi próbki.

Musiałam przyznać, że projektantka miała kwalifikacje.

– Są piękne. – Odsuwałam od siebie każdą na długość ręki, przyglądałam się im przy świetle i bez światła. – Nie mam pojęcia, które podobają mi się najbardziej. I sama nie wiem, czy ja postawiłabym na pseudoangielską tradycyjną elegancję i przeszklone podświetlane szybki, czy na supermodny dziś styl loftowy. Bo do tych białych szafek widzą mi się lekko poszarzałe cegiełki w jodełkę, a do loftu... – Zastanowiłam się przez chwilę. – Chyba te białe heksagony.

– Zamierzam pójść w modern. – Z tonu Mileny wywnioskowałam, że zaprosiła mnie wyłącznie po to, żebym przyklasnęła pomysłowi. – Po ciasnocie naszego obecnego mieszkania mam ochotę na jednobarwne plamy i proste linie. Zaszaleję z dodatkami, jakimś starym mebelkiem, kolorową poduszką, i toną książek na ścianach. Wszystko inne ma być dla nich tłem. Również proste jednobarwne zasłony i elegancka drewniana podłoga.

Przeszliśmy się jeszcze po przyszłych łazienkach, gdzie również miał zapanować dyskretny minimalizm. Wyobraziłam sobie ten dom za kilka miesięcy. Czysty, jasny, pachnący świeżością. Zdobiony detalami nowej generacji, przestronny i piękny.

Mój również był niczego sobie, chociaż nieco nadgryzł go już czas. Ale człowiek ma to do siebie, że nowości go inspirują, wywołując chęć dokonania zmian na własnym gruncie...

Odgoniłam nagle pragnienie. Od wyprowadzki Jaśka dom był dla mnie wyłącznie sypialnią. Pozostały w nim tylko niedobre emocje, które wyparły miłe wspomnienia. A poza wszystkim był zdecydowanie zbyt wielki dla jednej osoby. Jednej dorosłej i jednego malucha, poprawiłam się w myśli.

Przecież Maria nosi dwoje moich dzieci!, zreflektowałam się i zakłuło mnie serce.

– Nie podoba ci się? – Milena dostrzegła, że zbladłam.

Gwałtownie zaprzeczyłam.

– Po prostu przypomniałam sobie, jak urządzaliśmy dom z Jaśkiem. – Spróbowałam wykrętu. – Ile było przy tym kłótni i jak się wtedy godziliśmy...!

Milena bez słowa poszła do prowizorycznego kuchennego kąta i włączyła elektryczny czajnik. Umyła dwie filiżanki i nie pytając mnie o zdanie, zaparzyła kawę.

Usiadłyśmy na materacu, niczym studentki w akademiku, spoglądając w stronę wyglądającego zza chmur słońca.

– Przepraszam, że cię tu zabrałam. Nie pomyślałam, że wywołam wspomnienia – szepnęła moja przyjaciółka, głaszcząc mnie po ramieniu.

– Nie ma o czym gadać. Mówiłam ci, że przyjeżdża Janis? – Zmieniłam temat, a na myśl o nieodległym spotkaniu obeschły mi lzy.

Milena natychmiast uczepliła się tematowi, jak tonący brzytwy, i wyciągnęła ode mnie wszystkie informacje.

– Koniecznie musicie do nas wpaść! Natasza będzie wniebowzięta. Ciągłe wspomina Skelego.

Przyjechałam samochodem, więc kieliszek wina nie wchodził w rachubę, ale umówiliśmy się z Mileną na babski wieczór z dala od problemów.

– Skoro już „pomogłam” ci urządzić kuchnię i łazienki – uśmiechnęłam się pobłaźliwie – to pora się ewakuować.

Zwłaszcza że czekało mnie spotkanie z Jaśkiem, potencjalnym nabywcą moich udziałów, a wuj Kazimierz chciał ze mną jeszcze porozmawiać. Mimo przemilej atmosfery musiałam dopilnować swoich spraw.

Niebawem wkroczyłam do kancelarii.

– Dobrze, że już jesteś – powitał mnie poważnie.

Wskazał mi miejsce na pikowanej skórzanej kanapie i nie pytając, podał mi szklanekę z wodą. Sam znanym mi zwyczajem usiadł naprzeciwko z kajetem pełnym notatek. Przygotowywał się do spotkań jak ja do tłumaczenia książek.

– Olu, mamy mało czasu, więc będę mówił krótko i treściwie. Jeżeli czegoś nie zrozumiesz, to pytaj, proszę.

Skinęłam głową na znak, że jestem gotowa.

– W waszym, czyli twoim i Jana, przypadku mamy do czynienia z trzema sprawami, które są z sobą integralnie związane. Z rozwodem, sprzedażą udziałów i dziećmi. Na pierwszych dwóch się znam, trzeciej musiałem poświęcić trochę czasu. Nie jest prosta. Mimo że faktycznie dzieci pochodzą z waszego, że się tak wyrażę, materiału genetycznego, w chwili urodzenia nie będą wasze.

– Mówiłeś już, że w świetle prawa to Maria jest ich matką – wtrąciłam.

– Tak. Ale w świetle tego samego prawa ich ojcem zostanie pan Władysław, jej mąż.

– Jakim cudem?

Wuj przerwał mi gestem.

– Jeżeli dziecko rodzi się w związku małżeńskim, ojcem dziecka jest współmałżonek matki. Dopóki nie zaprzeczmy jego ojcostwu albo on sam tego nie zrobi.

– To trzeba będzie natychmiast wystąpić do sądu czy gdzie indziej i to zrobić!

– Sprawa jest bardziej skomplikowana, Olu. Konsultowałem się ze znajomymi sędziami praktykami i doszliśmy do pewnych rozwiązań. Najlepsze z nich chcę ci teraz przekazać. Jesteś gotowa wysłuchać?

Natychmiast przegnałam emocje i wlepiłam oczy w wuja.

– Być może się powtórzę – zaczął – może pewne rzeczy już ci mówiłem, ale dla porządku wysłuchaj jeszcze raz. Kiedy noszone przez Marię dzieci przyjdą na świat, urząd stanu cywilnego wystawi akt urodzenia, z którego będzie wynikać, że ich matką jest Maria, a ojcem Władysław, jako że pozostają w związku małżeńskim. Jeżeli on, Maria lub Jan chcieliby zaprzeczyć ojcostwu męża Marii, musiałyby się to odbyć na drodze sądowej. Ty natomiast nie masz w tej sytuacji żadnego prawa do dzieci. Możesz ubiegać się o adopcję, ale to nie taka prosta sprawa. Nie wchodźmy w szczegóły. – Powstrzymał gestem moje pytanie. – Gryplan jest taki: po porodzie bierzesz dzieci do siebie i zajmujesz się nimi. Maria chodzi do przychodni na wizyty, szczepienia i tak dalej, jako prawna matka. Ty się nie ujawniasz. Po kilku miesiącach występujesz do sądu opiekuńczego o ustanowienie rodziny zastępczej. Jesteś już po rozwodzie z Janem, więc składasz wniosek sama. Udowadniasz, że opiekowałaś się dziećmi i nawiązałaś

z nimi więz. Miejmy nadzieję, że uzyskujesz status rodziny zastępczej i w dalszym ciągu jesteś z dziećmi. Po kolejnych kilku miesiącach składasz wnioski o ich przysposobienie, czyli adopcję, na którą Maria i Władysław wyrażają zgodę. Sąd, po zasięgnięciu opinii ośrodka adopcyjnego, mając na względzie dobro dzieci, wyraża zgodę na przysposobienie, a urząd stanu cywilnego wystawia nowy akt urodzenia dzieci, w którym to ty jesteś matką. Podajesz imię ojca, ale nie musi to być ktoś konkretny. Chyba że w międzyczasie wyjdiesz za mąż i partner zgodzi się nadać dzieciom swoje nazwisko. Podajesz również jego imię jako ojca dziecka. Mimo nazwiska ten mężczyzna nie będzie w świetle prawa ojcem z obowiązkiem alimentacyjnym. Dzieci nie będą miały również prawa do dziedziczenia po nim.

– A Jaś? Nigdzie nie będzie figurował jako ojciec?

– Nie. Gdyby chciał, to jak wcześniej mówiłem, musiałby wystąpić o zaprzeczenie ojcostwa Władysława. Sądziś, że miałby na to ochotę?

– Chyba nie. Niebawem Arleta urodzi mu, jak kiedyś powiedział, prawdziwe dziecko, nie takie z próbki – odparłam.

– Właśnie. Nie wolno nam jednak nie doceniać inteligencji Jana, a przede wszystkim jego pazerności. I musimy wykorzystać naszą wiedzę – ciągnął wuj Kazimierz, a mnie grzały się styki w głowie. – Za godzinę mamy spotkanie z Janem w sprawie sprzedaży udziałów. On chce ci zapłacić trzy miliony, czyli połowę rzeczywistej wartości majątku, ale zabiega również o szybki rozwód. Ty możesz zgodzić się na rozwód bez orzekania o winie i dać szansę na pozytywne rozstrzygnięcie na pierwszej rozprawie, ale wtedy on musi zapłacić za udziały więcej. Myślę, że możemy zacząć negocjacje od pięciu milionów, zaproponować mu milion jako spłatę za dom, czyli realnie zapłaci cztery. Ty sumarycznie zyskasz te cztery miliony i milion, który zostanie ci po sprzedaży domu. Kupisz sobie mniejszy dom i zostaniesz z gotówką, a on z twoimi udziałami. Oczywiście pod warunkiem, że nie będzie starał się podważać ojcostwa Władysława. Po prostu zniknie z twojego życia jako mąż i ojciec dzieci. A ty, jak mówiłem wcześniej, po adopcji będziesz matką dzieci, a twój hipotetyczny mąż ich ojcem.

– A jeżeli nie wyjdę za mąż?

– W takim razie będą miały tylko ciebie.

– Wujku, a jeżeli kiedyś w przyszłości chłopcy zaczną się dopytywać o biologicznego ojca?

– A skąd będą wiedzieć, że twój mąż, o ile oczywiście go znajdziesz, nim nie jest?

– Nie wiem. Ale co, jeśli tak się zdarzy?

– To im wtedy powiesz całą prawdę, Olu. – Wuj Kazimierz rozmasował kark. – A teraz, jeśli chcesz zachować dzieci, musisz postępować tak, jak ci powiedziałem. Nie masz innego wyjścia. Nie będę cię dręczyć i po raz kolejny pytać, czy Maria na pewno je odda, bo to kolejny trudny temat. Nie pozwól, by się zbyt do nich przyzwyczaiła po porodzie. Większości kobiet, które donoszą ciążę i urodzą dziecko, włącza się instynkt macierzyński. To tyle psychologii z ust prawnika – zakończył wątek. – A teraz pytam cię, czy mam przedstawić naszą propozycję Janowi? Rozwód bez orzekania o winie, pięć milionów za udziały, milion spłacasz mu ze sprzedaży domu i brak roszczeń co do dzieci?

Miałam mętlik w głowie, ale puzzle zaczęły powoli trafiać na swoje miejsca.

– Zdasz z nim rozmawiać przed naszym spotkaniem? – zapytałam.

– Oczywiście. Jedziemy do firmy! – zarządził, wstając z fotela.

Huczało mi pod czaszką, ale grzecznie pozwoliłam się poprowadzić do auta.

Gdy ujrzałam pewną siebie Arletę za kontuarem recepcji, wstał we mnie duch walki, a nawet pomyślałam, żeby posłać Jaśka z torbami, ale na myśl o dzieciach i spokoju po rozwodzie zacisnęłam usta. Usiadłam za biurkiem w pokoju prezesa i przyjąłam podaną z lekceważeniem kawę.

Pozostawało mi poczekać na wynik rozmów wuja Kazimierza z moim, już niebawem byłym, mężem.

## Rozdział 49

### ALEKSANDRA

Spotkanie obu panów nie trwało długo.

Nie wiem, jakich argumentów użył mój prywatny prawnik, w każdym razie kiedy pojawili się w gabinecie, Jaś nie sprawiał wrażenia pitbulla. Obdarzył mnie nawet grymasem przypominającym uśmiech.

Wobec lekkiej konsternacji małżonków wuj Kazimierz podjął się funkcji negocjatora i w kilku słowach przedstawił mi treść rozmowy sprzed chwili.

– Zapoznałem twojego męża z naszym stanowiskiem dotyczącym rozwodu i oferty sprzedaży firmy. Nakreśliłem również nasze oczekiwania względem dzieci. A teraz pytam was oboje: czy jesteście zdecydowani negocjować dzisiaj, teraz, czy też potrzebujecie więcej czasu na zastanowienie się? – zawiesił głos.

Ja, oczywiście, byłam zdeterminowana. Ciekawiło mnie, co powie Jasiek, bałam się wyłącznie jego odmowy. Na szczęście on myślał podobnie.

– Wszystko wiem, mogę rozmawiać – odparł.

Staralam się ukryć ulgę i zachować twarz pokerzys-ty, ale chyba nie bardzo mi się udało. Odczułam nagły przypływ gorąca, więc sięgnęłam po szklankę z wodą. Gdyby nie obecność wuja Kazimierza, zapewne padłabym na polu walki. Bo nie wątpiłam, że Jasiek łatwo nie odpuści.

– W takim razie pytam przy Aleksandrze, czy przyjmuje pan nasze warunki? Przypomnę: rozwód bez orzekania o winie, oferta nabycia przez pana udziałów w firmie za pięć milionów złotych, milion spłaty za dom i brak roszczeń co do dzieci.

Mój mąż miał minę szczwanego lisa.

– Proponowałem żonie trzy miliony złotych za udziały w firmie i nadal uważam, że to zawyżona kwota. Zgodzę się na rozwód bez orzekania o winie i nie będę się wtrącać do dzieci, ale pięciu milionów nie zaakceptuję. A spłata za dom i tak mi się należy – oświadczył.

Wypowiedź zakończył głębokim westchnieniem zadowolenia.

– Jeżeli to pana ostateczna decyzja, musimy się pożegnać. – Wuj Kazimierz podniósł się z krzesła. – Mamy innego zainteresowanego, który chce zapłacić więcej. Aha, i nie zgodzimy się na szybki rozwód. Tym bardziej, że wina za rozpad małżeństwa leży całkowicie po pana stronie. Jeżeli pan sobie życzy, to jak najbardziej może starać się o zaprzeczenie ojcostwa Władysława i wziąć na siebie obowiązki ojca. Aleksandra w końcu i tak zostanie adopcyjną matką dzieci, a pana pozwie o alimenty. I naturalnie straci pan firmę. Powiem więcej: nasza propozycja sprzed chwili jest już nieaktualna. Nasz oferent chce zapłacić za udziały sześć milionów, a my zaproponowaliśmy panu pięć. Teraz proponujemy sześć. Jeśli pan się nie godzi, wycofujemy się.

Jan zaniemówił. Jego twarz zdradzała poruszenie.

– Olu, czy ty słyszysz, co on mówi? – wykrzyknął i wbił we mnie wzrok. – Chyba nie chcesz mnie puścić z torbami? Czy mogłabyś zabrać głos, a nie tylko wisieć na tym swoim prawniku?

Wuj grał ostro, ale ja mu ufałam. Chodziło o przyszłość moją i dzieci. Żadne teatralne gesty Jaśka nie mogły mnie zawrócić z obranej drogi.

– Tak jak słyszałeś – odparłam. – Sześć milionów za udziały i dam ci rozwód bez orzekania o winie.

Nie wiem, jakim cudem wykrztusiłam z siebie tę kwes-tię. Ale się nie złamałam.

– Nie mam tych pieniędzy! – rzucił w przestrzeń. I jak zwykle w stresie pobiegł do barku po kieliszek koniaku.

– Sięgnij do zaskórniaków na prywatnym koncie. – Wuj Kazimierz wskazał mu źródółko. – Pamiętasz? Na tym, które ukrywałaś przed Aleksandrą. Bo jeżeli je ujawnię, to urząd skarbowy może się zainteresować.

Słowo klucz, zdanie klucz. Mój mąż, aczkolwiek doprowadzony do białej gorączki, opanował furję. Postukiwał palcem w blat stołu, zbijając się, by przedstawić nam jedyną możliwą decyzję.

– Zgoda – wychrypiał. – Sześć milionów i dajesz mi rozwód. A tych twoich dzieciaków i tak nie chcę. Widzę, że byłaś ze mną tylko dla pieniędzy. I tylko one się dla ciebie liczą. – Smagnął oskarżeniem jak pejcem.

– Dość! – przerwał mu wuj. A potem jak gdyby nigdy nic przeszedł do spraw formalnych. – Kiedy możemy podpisać akt sprzedaży?

Wuj Kazimierz wymógł na nas spotkanie u notariusza następnego dnia.

Wychodziłam z firmy kompletnie oszołomiona. Nie wierzyłam, że ten manewr się uda, że niebawem Jan przeleje na moje konto sześć milionów złotych, a ja pozbędę się kłopotu. Gdyby nie Arleta, która żegnała nas zza kontuaru tym swoim uśmiechem pełnym poczucia wyższości, czułabym smak zwycięstwa. Dostrzegłam jej zaokrąglony brzuch i skuliłam się w sobie.

Wysłałam na żonę, która nie potrafiła urodzić dziecka, a jedynie wycisnąć z męża kupę pieniędzy.

– Olka, co ty mówisz? Jeszcze czujesz się winna? – Milena po wysłuchaniu mojej relacji podniosła głos. – Cholerny dziad, nie dość, że cię zdradził w takim momencie, to jeszcze próbował oskubać! A ty wspaniałomyślnie z nim gadałaś! Mogłaś sprzedać udziały komukolwiek i pozbawić go władzy w firmie, tymczasem to dzięki tobie zostanie w niej z tą swoją dziunią! Tylko nie dawaj mu rozwodu, zanim nie zobaczysz pieniędzy na koncie! – ostrzegła.

Dokładnie to samo powiedział mi wuj Kazimierz, kiedy po rozmowie z Jaśkiem poszliśmy na kawę do jednej ze śródmiejskich knajpek.

– Zapłaci. – Mój anioł stróż położył dłoń na mojej dłoni.

Widziałam jego zmęczenie i czułam się za nie odpowiedzialna. Nie powinnam eksploatować go do tego stopnia, zreflektowałam się i obiecałam sobie solennie zrekompensować mu ten wysiłek, kiedy tylko dostanę pieniądze za udziały.

– Dziękuję ci bardzo – powiedziałam. – Truizmem byłoby stwierdzenie, że bez ciebie nic bym nie zdziałała. Jesteś dla mnie ogromnym wsparciem. Niemal jak ojciec.

Spojrzał tak dziwnie, że aż się przestraszyłam. Jezus Maria, czy on coś do mnie czuje?

Idiotyczna myśl odpłynęła równie szybko, jak wpadła do głowy. Przegnały ją słowa.

– A co u mamy? Próbowałam się z nią skontaktować, ale nie odebrała.

Opowiedziałam o chorobie Leopolda.

– Jest w stanie terminalnym – zakończyłam. – Na szczęście mamie pomaga ciotka Waleria. Ja również, wujku, nie mam z mamą kontaktu. Ona przesiaduje u niego bez przerwy.

– Widocznie musi go bardzo kochać. – W głosie wuja Kazimierza zabrzmiała nie tyle melancholia, ile rezygnacja.

Dostrzegłam zaciśnięte pięści i rumieniec na twarzy.

– Nie wiem, wujku – odparłam zgodnie z prawdą. – Nie poznałam dobrze tego pana. A z mamą, od chwili ujawnienia historii Marii, trudno mi się porozumieć. Nie tylko skontaktować.

– Jasne. Jadwiga przeżywa teraz trudne chwile. Gdyby potrzebowała wsparcia, to czy mogłabyś... – Wuj zamilkł.

– Oczywiście, że dam jej znać – powiedziałam szybko.

On kochał ją, a nie mnie, jak przez moment podpowiedziała mi szalona wyobraźnia. Idiotka!, zbeształam się w duchu.

Po negocjacjach z moim mężem życie przyspieszyło. Jasiak zdecydował się nabyć ode mnie udziały, więc spotkanie z Danielem Kowalewskim nie doszło do skutku. A zresztą wuj twierdził, że nie byłby on w stanie dać więcej. U notariusza została podpisana umowa kupna-sprzedaży i nareszcie pozbyłam się problemu, a na moje konto wpłynęła okrągła sumka. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie widziałam aż tylu zer naraz; Jasiak dbał, bym obracała dużo mniejszymi kwotami. Dwanaście tysięcy miesięcznie dla Marii robiło na mnie wrażenie. W tym miesiącu, nie czekając na gest Jaśka, zapłaciłam jej ze swojego konta, obiecawszy sobie, że dołożę do operacji Kaliny, ile będzie trzeba.

Najważniejsze, że Maria dobrze się czuła i świetnie jej się układało z Zofią i Julianem. Zobaczyłam to, kiedy zaprosiła mnie na pierogi i miałam okazję poznać całe jej towarzystwo. Julian przyprowadził syna, niemal w wieku Skelego, a nawet teściową. Zaskakujące, że zajmuje się nią zięć, a córka jest gdzieś daleko. Maria z Julkiem co rusz zerkali na siebie i nie potrzeba było wielkiej

przenikliwości, by dostrzec więź, która łączy tych dwoje. Również Kalina wydawała się w całkiem dobrej formie mimo wyjazdu Krzysztofa, a także pani Zofia, właścicielka domu, gospodyni i wielka fanka Marii.

Wszyscy byli dla siebie mili, a szczególnie sprzyjali Marysi w ciąży. Aż chwilami czułam się nieswojo, bo przecież ona dźwigała moje brzemię. Pozazdrościłam jej, że dotrwała do siódmego miesiąca, co mnie nie udało się nigdy.

Taka ułomność, westchnęłam w duchu. Nawet mój mąż wybrał kobietę, która potrafi mu urodzić dziecko.

Po obiedzie i podwieczorku w miarę szybko zmyłam się do domu. Zwyczajnie miałam dość siedzenia z boku i przypatrywania się rodzinnemu szczęściu Marysi. Wieczorem otworzyłam wino i nie żałowałam sobie kolejnych kieliszków. Jak zwykle po pijaku miałam ochotę do kogoś zadzwonić, by porozmawiać i wyrzucić nagromadzone emocje.

Padło na Janisa.

Na wstępie poinformowałam go o efektach negocjacji z Jaśkiem, potem się poskarżyłam.

– Sama nie wiem, po co tam poszłam – nawiązałam do obiadu na Tulipanowej. – Maria jest gwiazdą, nosi moje dzieci, a ja mogę tylko patrzeć. Ona ma Juliana, ja walczę o kasę z Jaśkiem.

– Ty masz mnie – usłyszałam kojący głos. – Niebawem do ciebie przyjadę. Kocham cię. I zostanę tak długo, jak będziesz potrzebować.

– A Skele? – Włączyło mi się czerwone światelko.

– Jego też ogarniemy. Zna angielski, chyba macie jakieś anglojęzyczne szkoły? Sasza, niczym się nie martw. Niebawem będę przy tobie.

– Tęsknię – wyszeptałam.

I zrobiło mi się ciepło na sercu.

## Rozdział 50

### MARIA

Wobec spływających zewsząd propozycji pomocy finansowej przy zakupie Jesiennej Przystani poczułam się nieco pewniej. Zofia zaoferowała nam miejsce do mieszkania, pani Danuta chciała wynająć, albo wręcz sprzedać, swój gdyński dom, co było kolejnym kołem ratunkowym, a Ola zadeklarowała dopełnienie do kwoty, której życzył sobie pan Wilczyński.

Spotkałam się z nią na obiecaną kawę kilka dni po naszym spotkaniu na Tulipanowej. Nie zamierzałam wspominać o propozycji męża Wiesi, jednak skutecznie pociągnęła mnie za język, zaczawszy od podstawowego pytania.

– Co teraz będzie z domem opieki?

Mimo woli się wysypałam.

– Chce dwieście tysięcy? – zdumiała się. – Dużo, zważywszy, że teren i budynek dzierżawicie od miasta.

– Tyle zażądał.

– Wiesz co? – Wpadła na pomysł. – Do tej pory biznesowo byłam dzieckiem we mgle, ale niedawno sprzedałam Janowi udziały w firmie, więc wiem, że najpierw trzeba wycenić majątek. Podeślę ci biegłego, który robił to u mnie. I zobaczymy, ile w rzeczywistości jest wart. Co ty na to?

Obawiałam się kosztów, ale może naprawdę warto było je ponieść.

Po telefonicznej konsultacji z Julianem przystałam na propozycję. Nie czekałam, aż zmienię zdanie, i w obecności Oli zadzwoniłam do fachowca. Umówiłam się z nim w pracy następnego dnia.

– Marysiu, bez względu na to, ile będziecie musieli wyłożyć, możecie na mnie liczyć. – Moja siostra się uśmiechnęła. – Mam pieniądze. – Położyła dłoń na mojej dłoni.

Wyciągałam już od niej kupę pieniędzy na operację Kaliny. Odmówiłam zdecydowanie.

– Dziękuję, ale to niemożliwe. Poradzimy sobie z Julkiem. Ale pomysł z biegłym jest super. Powinam już dawno na niego wpaść.

Ola nie odpuszczała.

– Marysiu, chcę ci pomóc, jak na rodzinę przystało. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Dołożę się również do operacji Kaliny.

Oczywiście, najłatwiej było wyciągnąć rękę i wziąć kasę. Ale czy życie polega na tym, by wykorzystywać okazje? Jak wyglądałyby wówczas nasze dalsze relacje z Aleksandrą, która czekała na dzieci i pokładała we mnie wszystkie swoje nadzieje? Nie mogłam jej dołować. Wystarczy, że jej mąż zachował się jak ostatni!, przez głowę przemknęło mi wulgarnie słowo na „s”, którym równie celnie mogłam określić Władka.

Bardzo się ucieszyłam, że Ola mimo wszystko się pozbierała i z zyskiem pozbyła się udziałów. Z wujem Kazimierzem, o którym nieraz mi opowiadała, wyszli na swoje, co jednak nie oznaczało, że wolno mi położyć rękę na jej pieniądzach.

Zaproponowałam kompromis.

– Olenko, jeżeli będę w kłopotach, to zwrócę się do ciebie o pożyczkę. I proszę, nie dyskutujmy więcej na ten temat.

I tak byłam wygrana. Rzadko kto ma w dzisiejszych czasach dostęp do nieoprocentowanej kasy pożyczkowej.

Później pogadałyśmy o dzieciach i o wrześniowej wizycie u doktora Witaja.

Na szczęście czułam się dobrze, a ciąża nie dawała powodów do niepokoju. Przez moment nawet miałam przebłysk nadziei co do diagnozy. Przecież nie może dziać się nic złego, skoro dobrze się czuję.

– Przyjadę po ciebie piętnastego. – Ola próbowała ukryć westchnienie. – Mówiłam ci, że przyjeżdża Janis? – zmieniła temat. – Poznam was ze sobą – dodała z iskierką w oku.

Nietrudno było dostrzec jej radość z wiadomego powodu. W końcu sama byłam świeżo zakochaną kobietą.

Wkrótce okazało się, że Aleksandra miała rację. Biegły wycenił wartość majątku Jesiennej

Przystani na osiemdziesiąt tysięcy złotych i taką właśnie sumę odstępnego zaproponowaliśmy panu Wilczyńskiemu. Co było do przewidzenia, nie był zadowolony.

– Tylko tyle chcecie państwo zapłacić? – upewnił się. – To mało. Zwłaszcza że mam innego oferenta. Po rozmowach dam państwu znać.

– Julek, on sprzeda dom obcemu! – panikowałam. – I co wtedy zrobimy?

– Spokojnie, Maryś. Ludzie nie są w ciemię bici i nie zapłacą powyżej wartości. A nawet jeżeli sprzeda, znajdziemy sobie coś innego – uspokajał, chociaż widziałam, że zależy mu równie mocno jak mnie.

Nie sprzedał, ale się potargował; stanęło na dziewięćdziesięciu pięciu tysiącach. W trakcie wizyty u notariusza Julek wyłożył pięćdziesiąt, ja resztę.

Pieniądze pożyczyłam od Oli.

– Zwrócę w ciągu roku – obiecałam.

– Oczywiście. Mnie się nie śpieszy.

Wieczorem świętowaliśmy przejście Jesiennej Przystani z Zofią i panią Danusią. Wprawdzie Julek próbował wyciągnąć mnie do którejś ze śródmiejskich knajpek, ale odmówiłam, oszołomiona szczęściem i pragnieniem dzielenia się nim z najbliższymi.

Żałowałam, że Ola nie mogła przyjść, a Kalina posiedziała z nami tylko przez chwilę. Krzysztof wyjechał poprzedniego dnia, dopadły ją smuteczki.

Każdy kolejny dzień uskrzydlał mnie coraz bardziej. Chodziłam do pracy jak zawsze, a jednak coś się zmieniło. Nie, zmiana nie polegała na ulokowaniu się w fotelu pani Wiesi. Wciąż mi jej brakowało i nawet musiałam zdjąć ze ściany jej ulubiony obraz, ponieważ budził zbyt wiele emocji.

Na razie zostawiłam sobie zdjęcie przedstawiające zmarłą szefową, które trzymała w szufladzie. Wykonano je na przyjęciu z okazji dwudziestolecia domu: pani Wiesia pośrodku, w towarzystwie pensjonariuszy. Ktoś mógłby pomyśleć, że jest pozowane, ale nie. Roześmiane twarze świadczą o autentycznej radości. Ci ludzie ją kochali. Mnie również była bliska.

Następnego dnia poprosiłam Julka o przeprowadzkę.

– Nie potrafię myśleć. Zbyt dużo tu wspomnień. – Zatoczyłam ręką koło po gabinecie.

– Kochanie, odejda. Pani Wiesia życzyłaby sobie, żebyś urzędowała właśnie tutaj – usłyszałam.

Chyba miał rację. Jednak musiałam się tego dowiedzieć u źródła, więc odwiedziłam szefową. Spędziłam wrześnie popołudnie na cmentarzu komunalnym, rozległym, nieco już zarośniętym. Przytulnym, bo udekorowanym jesiennymi liśćmi.

Wiesia leżała w pobliżu moich rodziców. Najpierw zapaliłam znicze na ich grobach.

Wspomniałam o spotkaniu tutaj z Aleksandrą i jej mamą, o wyprawie z Zosią do jej syna Arkadiusza, a potem podeszłam do świeżego grobu. Nikt jeszcze nie sprzątnął wieńców, paliły się pojedyncze znicze. Dostawiłam mój i usiadłam na sąsiadującej ławeczce.

Zapatrzona w płomyki ognia, nie zauważyłam, że obok mnie przycupnęła jakaś starsza kobieta. Natychmiast podniosłam się z ławki.

– Przepraszam, że zajmuję miejsce. Już idę.

Zatrzymała mnie jej dłoń.

– Zostań. Mam na imię Waleria. Wiem, że mnie nie znasz. Jestem siostrą Jadwigi.

Zaszumiało mi w głowie.

Skąd, jak, dlaczego?, pytanie goniło pytanie. Przecież nie mówiłam nikomu, że wybieram się na cmentarz.

Wyjaśnienie nadeszło szybko.

– Mario, przyszedłam na grób Tadeusza. Wiesz zapewne, że był mężem Jadzi i twoim... – odchrząknęła – ...ojcem.

Nie wierzyłam w zbiegi okoliczności, ale kiedy spojrzałam na pobliskie kwatery, zauważyłam, że się zdarzają.

Wiesia leżała tuż obok Tadeusza. Że też nie zauważyłam tego na pogrzebie!

Podniosłam się z ławki i przyglądałam na brzuchu fałdy sukienki. W ciągu ostatnich dwóch tygodni nabrałam ciała, co zawdzięczałam pani Ludmile, naszej kucharce. Wspomagała mnie, jak mogła,



więc kiedyś poczułam potrzebę wtajemniczenia jej w moją ciążę zastępczą, jak to się ładnie nazywało. W rzeczywistości było to tylko wynajmowanie brzucha i w dodatku nie przez wszystkich aprobowane in vitro.

Pani Ludmiła przyjęła wyjaśnienia spokojnie.

– Dobrze robisz, kochana – usłyszałam. – Gdyby za moich czasów pozwalała technika, być może ja także miałabym dziecko.

– Bardzo mi przykro...

– Marysiu, nie musisz mieć do siebie pretensji i się wstydzić – pokrzepiła mnie pani Ludmiła. – Tak naprawdę powiedziała mi kiedyś o tobie nasza szefowa. Tylko nigdy jej nie zdradź, że ci o tym wspomniałam. – Otarła łzę. – Muszę do niej wstąpić – dodała, co zmobilizowało mnie do wizyty na cmentarzu.

Wspomnieniowa gonitwa myśli na moment przysłoniła obecność kobiety na ławeczce. Wystarczyło jednak kilka chwil, żebym powróciła do rzeczywistości, objęła spojrzeniem dość okazałą postać i wejrzała w głębię niebieskich oczu.

Takie same miała Aleksandra.

Dostrzegłam w nich znane mi już łagodność i szczerść. Obok mnie z pewnością siedzi ciotka mojej siostry, pomyślałam i po raz pierwszy poczułam przynależność do rodziny. Mimo że ja miałam piwne tęczówki, jak babcia... Anastazja!, przypomniałam sobie jej imię.

– Miło mi było panią poznać – powiedziałam. – Niestety, muszę już iść.

– Naprawdę nie mogłybyśmy porozmawiać? – zapytała.

Przyrosłam do ławki.

– Trochę się śpieszę. – Spróbowałam ponownie.

– Nalegam.

## Rozdział 51

### ALEKSANDRA

Bardzo się ucieszyłam, kiedy Maria poprosiła mnie o pożyczkę na zakup domu opieki. Oczywiście nie miałam zamiaru egzekwować zwrotu, ale jeżeli ona lepiej się czuła, przyjmując ode mnie pieniądze na swoich zasadach, nie oponowałam.

Gdy zniecka stałam się bogata, miałam ochotę podzielić się tymi pieniędzmi z potrzebującymi członkami rodziny, a już szczególnie z siostrą. Musiałam jednak zrobić to delikatnie, by jej nie dotknąć. W przeszłości została wystarczająco źle potraktowana przez naszych rodziców. A na dodatek mama wciąż unikała rozmowy o dawnych grzechach i nie tłumaczyła niczego. Oczywiście obecnie znajdowała się w niełatwej, wręcz dramatycznej sytuacji: pan Leopold umierał, więc trudno było wymagać od niej zaangażowania na innych polach. Nie zazdrościłam jej związanych z tym przeżyć. Niemniej jednak oddanie dziecka do adopcji zasługiwało według mnie na potępienie. W głębi duszy nie potrafiłam mamie go wybaczyć. A już tym bardziej faktu, że zainteresowani byli głusi na prośby ciotki Walerii.

Ja nie wypuściłabym maleństwa z rąk, choćby nie wiadomo co. I żadne okoliczności, żadni rodzice, żadni faceci nie byliby w stanie tego zmienić. Odrzucałam wszelkie argumenty Mileny, która próbowała zneutralizować moją złość. Usprawiedliwiała krok rodziców „trudnymi czasami”, wiekiem nastoletnich rodziców i „dobrem rodziny”.

– Czy ty siebie słyszysz? – grzmiała. – Oddałabyś Nataszę, Lenkę albo Leona? A najgorsze jest w tym wszystkim to, że matka – nazwałam tak mamę po raz pierwszy – nawet nie poczuwa się, by uderzyć się w piersi! Nie mogę tego zrozumieć i wybaczyć, w głębi duszy uważam, że los ją za to karze. Przykro mi z powodu pana Leopolda, który w niczym nie zawinił, ale ona ma wreszcie okazję poczuć, jak to jest cierpieć.

– Olka, przestań! – Moja przyjaciółka hamowała złe emocje.

Rozumiałam ją, oczywiście. Nigdy nikomu nie należało źle życzyć i cieszyć się z czyjś nieszczęścia.

– Masz rację – spokorniałam. – Nic więcej nie powiem. Nie zmienia to jednak faktu, że rodzice...

– Nie kończ! – przerwała mi. – To mimo wszystko twoja mama.

Po raz kolejny targnęły mną wyrzuty sumienia i napisałam do mamy któregoś tam esemesa z propozycją pomocy.

Dlaczego nie zdziwiło mnie, że nie odpisała?

Na szczęście miałam osobistą domową wtyczkę w postaci ciotki. Waleria trwała na posterunku i informowała o wszystkim. Również o swoim spotkaniu z Marysią. Niespodziewanym, zakończonym szczerą rozmową.

„Widziałam się z Marią na cmentarzu. Odwiedziłam Tadeusza, a ona przyszła zapalić znicz na grobie swojej szefowej Wiesi – napisała. – Poszłyśmy na lunch i spędziłyśmy razem kilka godzin. Z puzzli powoli wyłania się obraz układanki. Oluś, masz bardzo udaną siostrę. Szkoda, że nie dostałam szansy wychowania jej, ale przynajmniej zaznała szczęścia w rodzinie rodziców adopcyjnych. Jestem spokojna o was obie. Uwierz, również Jadwiga znajdzie czas na pojednanie”.

Ciotka Waleria, jak zwykle stonowana, nastawiona na łagodzenie konfliktów, pomyślałam z uśmiechem. Może i ma rację, ale na razie ja mogę tylko czekać na gest ze strony mamy.

„Ciociu, bardzo Ci dziękuję, że jesteś i próbujesz łać oliwę na nasze, hm, nieporozumienia – odpisałam. – Ale według mnie mama zwleka. Niestety, nie odbiera moich telefonów i nie odpowiada na wiadomości. A teraz kończę, bo jutro mamy z Marią wizytę u doktora Witaja. Odezwę się”.

Na drugi dzień nie miałam jednak głowy do informowania ciotki o jej wynikach. A już tym bardziej mamy, która żyła własnymi problemami. Lekarz zmierzył, zważył, oszacował (jakkolwiek to brzmi) szanse mojego synka i zabił mnie diagnozą.

– Pani Aleksandro, dziecko prawdopodobnie nie przeżyje porodu.

Nie słuchałam dalszego ciągu medycznych wywodów, które sprowadzały się do jednego: lekarze na pewno zawalczą o zdrowie i życie jednego z moich dzieci. I nagle przeraziłam się nie na żarty, że

umrą oboje, a ja już nigdy nie zaznam smaku macierzyństwa.

Przeryczałam cały wieczór, zadając sobie pytanie, co takiego złego uczyniłam w życiu, że los tak mnie karze. Może powinnam włożyć zakonny habit i na kolanach popędzić do Częstochowy? Tylko kto mnie tam powita życzliwie, skoro dopuściłam się grzechu i zatrudniłam surogatkę? Zarobiłam kupę pieniędzy na sprzedaży udziałów w firmie? Bogata, więc naznaczona, stwierdziłam sarkastycznie. Nic więcej się jej nie należy!

Oddałabym wszystko, byleby choć jeden z moich maleńkich, kochanych chłopców żyjących w łonie Marii urodził się żywy!

– O Boże, kogo znów licho niesie? – zakląłam pod nosem, usłyszawszy dzwonek do drzwi.

Nie miałam ochoty na żadne wizyty. Przez moment zastanawiałam się nawet, czy nie zignorować dzwoniącego, ale ten nie zamierzał odpuścić.

Powlekłam się do przedpokoju i nie patrząc w wizjer, otworzyłam drzwi, by przegonić domniemanego domokrążcę.

W progu stali Janis i Skele.

Po prostu się rozplakałam.

– Jesteśmy! – usłyszałam i przepadłam w ramionach mojego Łotysza. – Nie w porę?

– Jak najbardziej w porę. – Otarłam łzy i pogratulowałam sobie w duchu, że powstrzymałam się od utopienia smutków w alkoholu.

Pokazałam gościom ich pokoje, wyciągnęłam czystą pościel, ręczniki i inne potrzebne akcesoria. Usiłowałam ruchliwością pokryć podniecenie, ale chyba nie udało mi się ukryć szczęścia. Janis po kątach kradł mi pocałunki, Skele udawał, że tego nie zauważa. Gdy niebawem dojechała zamówiona pizza, wszyscy troje zajadaliśmy ją i cieszyliśmy się sobą. A szczególnie ja, bo Janis zapowiedział się na dłuższy pobyt.

– Znajdziesz dla mnie kącik do pracy? – zapytał, kiedy po Skelego przyjechała Milena.

Porwała młodego do Nataszy, zapewniwszy nam wolny wieczór. Niestety, nie na tyle bez troski, by nie dotknąć poważnych tematów.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Spojrzałam na Janisa bezradnie. Ale wzięłam się w garść i zrelacjonowałam mu wizytę u doktora Witaja. Wspomniałam również o mamie, o chorobie Leopolda, sprzedaży udziałów w firmie i zaplanowanej na połowę października rozprawie rozwodowej, do której pozostał niecały miesiąc.

Mile zaskoczyła mnie jego reakcja.

– Wyremontowałam do końca dom w Jurmale – zaczął z uśmiechem. – Oczywiście oprócz twojego pokoju, którego nie pozwoliłaś tknąć – zastrzegł się natychmiast. – Mam do skończenia jeszcze kilka nowel Krastsa – nie nazwał go ojcem – a resztę roboty zabrałem ze sobą. To jak, znajdziesz dla mnie jakiś kąt?

Miejsca było dość, ale co ze szkołą Skelego?

– Załatwiłem mu przerwę. Może wrócić w każdym momencie. – Janis wszystko przewidział. – Jeśli zechcesz nas przygarnąć, pójdzie do waszej szkoły z językiem angielskim, którą znalazłem w internecie. A potem wyjedziemy.

– Kiedy? – zapytałam z niepokojem.

– Nie wiem. Może gdy ci się znudzę?

Nie miałam zamiaru wypuścić go z rąk.

– Nigdy w życiu! Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę...

Porwana w objęcia, nie miałam okazji dokończyć zdania.

Zaczelśmy żyć jak mąż i żona z trzynastoletnim synem.

Każdy dzień nastrajał optymistycznie. Przedstawiłam Janisa Marii, we dwoje zwiedzaliśmy miasto, zaglądaliśmy do sklepów z artykułami dla niemowląt, które jednak opuszczałam z pustą torbą. Odmówiłam, kiedy Janis chciał pomalować dziecięcy pokój.

– Jeszcze nie teraz. Zobaczymy, co się wydarzy.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniał i wspierał.

Dużo bym dała, żeby miał rację. Bardzo chciałam mu wierzyć, ale było ciężko.

Pod koniec września zmarł Leopold. Kiedy zadzwoniła ciotka Waleria, siedzieliśmy przed telewizorem, oddając się oglądaniu romantycznej komedii, którą oboje widzieliśmy już kilka razy. Tego dnia byłam wyjątkowo senna, więc mimo wartkiej akcji drzemałam przed ekranem.

– Odbierzesz? – zapytałam odruchowo po polsku, usłyszawszy dźwięk komórki.

Podał mi telefon.

– Teraz? Dziś? Już? – zawołałam, poderwawszy się z kanapy. – Jak mama? Może przyjadę? Nie? Ciociu, tak bardzo mi przykro. Gdybyście czegoś potrzebowały...

Pogrzeb odbył się po trzech dniach. Zawiadomiłam Marię, choć nie oczekiwałam jej obecności. Ale nasza trójka stawiała się i w kościele, i na cmentarzu. Przybyła również Milena.

Mama wyglądała na wyczerpaną, ale trzymała fason. Na ceremonię kupiła sobie szykowną czarną garsonkę i kapelusz z tiulowym woalem.

Żałobny orszak prezentował się okazale. Zajęłam stosowne miejsce w którymś z dalszych rzędów i mimo woli rozglądałam się dokoła. Oprócz mamy i ciotki Walerii nie kojarzyłam nikogo, dopóki nie dostrzegłam wuja Kazimierza i Marii. Ulokowali się dyskretnie za którymś z pomników.

Złożyłam mamie kondolencje, Janis również, ale ona zapadła się w siebie. Wychodziłam z cmentarza przygnębiona, tłumacząc sobie ten stan atmosferą właściwą pogrzebom.

Janis zaproponował, żebyśmy poszli do restauracji.

– Niczym się nie martw. Zobaczysz, wszystko się ułoży – zapewnił, czytając w moich myślach.

– Oczywiście – odparłam i pozwoliłam poprowadzić się do lokalu.

Na prywatną stypę, której nie było lub na którą nie zostałam zaproszona, dodałam w myślach.

– Niebawem rozprawa rozwodowa – zagałam.

– Pójść z tobą?

– Nie. Będzie wuj Kazimierz – odparłam, jak gdyby obecność mojego prawnika stanowiła wystarczającą tarczę obronną.

Poszłam jak w dym. Zacisnęłam zęby i wobec majestatu sądu oświadczyłam, że chcę rozwodu bez orzekania o winie. Po prostu rozeszło się nam życie, przestaliśmy się kochać, nie mamy dzieci, nie mamy wzajemnych zobowiązań, pragniemy się rozstać polubownie.

Serce mi się krajało, kiedy wypowiadałam przygotowane kwestie. Miałam ochotę wykrzyknąć, że to Jasiak mnie zdradził, zostawił dla Arlety, bo się zakochał. Bo nie potrafiłam urodzić mu dziecka...

Cóż, *show must go on*. Dla dobra nas obojga, tłumaczyłam sobie.

Strategia się powiodła. Dostaliśmy rozwód na pierwszej rozprawie.

Sąd się nie dowiedział, że Maria nosi nasze dzieci, a ja odetchnęłam i Jasiak pewnie też. Arlety przy nim nie było.

Mój były już mąż, wychodząc z sali, wyminął bez słowa mnie i Janisa. Zapewne nie mógł przeboleć pieniędzy, które musiał wyłożyć na udziały.

– Wolna – powiedziałam i ułożyłam dwa palce w literę V.

Ale czy szczęśliwa?, zadałam sobie w duchu pytanie. Na pewno, bo zakończyłam małżeństwo z Jaśkiem, brzmiała odpowiedź. Niemniej jednak przeszłość musiałam spisać na straty.

Janis rozumiał. Przygotował kolację i nalał nam po kieliszku wina. Wyczerpana zaległam na kanapie i oddychałam głęboko.

– Nie odbieraj – poprosiłam, gdy sięgnął po moją komórkę, której dźwięk nie chciał zamilknąć. – Dzisiaj nie ma mnie dla nikogo.

– To Maria – powiedział.

Z trudem dźwignęłam głowę z poduszki i wysłuchałam, co ma mi do powiedzenia moja siostra. Wieści niemal wyrzuciły mnie z kanapy.

– Tak? Co? Gdzie jesteś? Zaraz u ciebie będę! – mówiłam nieskładnie.

Po chwili stałam na równych nogach i w pośpiechu szukałam kapci.

– Jadę do szpitala. Marii odeszły wody – poinformowałam Janisa.

Do planowego terminu porodu zabrakło miesiąca.

## Rozdział 52

### MARIA

Uległam naciskom pani Walerii i zgodziłam się na rozmowę, mimo że akurat dziś czułam się nieco słabiej i Julian wymógł na mnie wzięcie wolnego. Z drugiej strony właśnie dlatego znalazłam się przed południem na cmentarzu. Dawno minęły miesiące, kiedy z powodu porannych mdłości nie mogłam nawet myśleć o jedzeniu. Jakiś czas temu organizm przestawił się i często wołał o posiłek, również teraz, w porze lunchu. Może i powinnam bardziej dbać o linię, ale nigdy do tej pory nie byłam w ciąży bliźniaczej i obawiałam się, że dozowanie sobie jedzenia pozbawi chłopców koniecznych składników odżywczych. Również Julek dbał, żebym nie przejmowała się zbędnymi kilogramami. Trafiłam najlepiej, jak mogłam, na faceta, który nieustannie mnie komplementował i chwalił mój wygląd, mimo że z drobnego chudzielca przestaczałam się w całkiem okrągłą bułeczkę.

Wybrałyśmy z ciotką Aleksandry lokal, w którym mogłam zjeść coś konkretnego.

Kiedy weszłyśmy do znanej w mieście naleśnikarni, wskazała na przytulny stolik pod oknem i miejsce dla mnie na kanapie, a sama zajęła krzesło naprzeciwko. Okazała się bardzo miłą, bezpośrednią osobą.

– Siadaj, dziecko, wygodnie – sprzeciwiła się, kiedy z uwagi na wiek zaproponowałam odwrotną konfigurację. – Oprzyj plecy i rozprostuj nogi, bo widzę, że trochę spuchły.

Zaordynowałyśmy sobie po solidnym naleśniku. Ja wybrałam farsz z szarpanej wołowiny i warzyw, ona wersję deserową.

– Uwielbiam słodkości! – zachichotała, kiedy kelnerka przyniosła talerz. Wokół zapachniało świeżymi jagodami i śmietaną. – I to mnie pogrąża. – Poklepała się po brzuchu. – Ale co tam! Na konkurs piękności się nie wybieram, męża nie mam, a faceci nie zaczną się nagle za mną oglądać!

Zatem do listy zalet pani Walerii mogłam jeszcze doliczyć dystans do siebie i pogodne usposobienie. To generowało miły nastrój, a ja czułam się coraz lepiej w jej towarzystwie mimo perspektywy poruszania trudnych i drażliwych spraw.

W końcu to siostra mojej biologicznej matki, pokiwałam głową. A może nasze spotkanie na cmentarzu nie było całkiem przypadkowe? Może to pani Jadwiga przysłała pośrednika, żeby nawiązać ze mną kontakt?, rozmyślałam.

– Już dawno chciałam cię poznać, ale nie miałam odwagi poprosić Oli o telefon – przerwała mi to zajęcie pani Waleria. – Jadzia jest teraz w bardzo trudnej sytuacji życiowej – nawiązała do pana Leopolda, o którego chorobie wiedziałam od siostry – i lepiej nie dokładać jej zmartwień. Niemniej wtrącił się los i zetknął nas z sobą, dzięki Bogu! Przepraszam, jeśli ci się narzucam, ale jeśli dzięki niemu wpadłaś w moje sidła, nie wypuszczę cię przynajmniej do końca obiadu – zakończyła wesoło. – A naleśnik jest całkiem pokaźny.

Była bezpośrednia, ale nie namolna. Wyraźnie chciała porozmawiać ze mną o czymś ważnym, lecz na razie nasza rozmowa krążyła wokół spraw bieżących: mojego samopoczucia, Kaliny, domu opieki i śmierci pani Wiesi. Waleria sprawiała wrażenie szczerze zainteresowanej moim życiem, ale nie wypytywała, pozwalała mi mówić. Doskonale wiedziała, gdzie przebiega granica.

Gdy po naleśnikach nie pozostał ślad, zamówiłyśmy kawę, by przedłużyć spotkanie. A Waleria dojrzała, by przejść do konkretów.

Po jej niepewnej minie zorientowałam się, że bardzo się boi. Przez moją głowę przemknęła nawet myśl, że i ona ma coś na sumieniu.

– Kochanie, nie wiem, kiedy ponownie nadarzy się okazja, by szczerze porozmawiać o przeszłości, a jest sprawa, która nie daje mi spokoju. Powiem, co mi leży na sercu, ale proszę: nie wyciągaj wniosków, zanim nie wysłuchasz mnie do końca.

O co jej chodzi?

– Nie wiem, na ile jesteś zorientowana w kwestii twojej adopcji – ciągnęła pani Waleria. – Tak czy siak ja, jako sporo starsza siostra Jadzi, pamiętam tamten czas bardzo dobrze. Postanowiłam ci go przybliżyć, bo uważam, że w rodzinie – podkreśliła – dobre relacje bez szczerości nie istnieją.

Zdecydowałam się zabrać głos.

– Wiem, że trafiłam się parze siedemnastolatków, których rodzice postanowili pozbyć się problemu – bąknęłam. – I to mi wystarczy. Miałam wspaniałych rodziców adopcyjnych, którzy zapewнили mi dobre życie. To, co było wcześniej, nie ma znaczenia.

– Ma, Marysiu – zaprzeczyła pani Waleria. – Wypieramy przeszłość, ale prędzej czy później nas dopada. Jak mnie, gdy dowiedziałam się o waszym spotkaniu z Olą. Zatem pozwolisz mi o niej opowiedzieć...? – zawiesiła głos.

Przyzwalająco skinęłam głową.

– Rzeczywiście, Jadwiga i Tadeusz wpadli, jak to się wówczas mówiło. A nasi i jego rodzice zdecydowali oddać cię do adopcji, mimo że chciałam się tobą zająć. Byłam już dorosła i pragnęłam wychować cię jak własną córkę. No cóż, nie zgodzili się... – westchnęła pani Waleria. – Miałam i mam do nich o to ogromny żal. Przeszło mi przez myśl, by zawalczyć o ciebie wbrew rodzinie, ale twoja przyszła mama... Pokochała cię od pierwszego wejrzenia, błagała, by nie odbierać jej dziecka. Opuściłam, choć być może nie powinnam. Tereska była tak miła, że od czasu do czasu przesyłała mi twoje zdjęcia... Marysiu, możesz nie wierzyć, ale w głębi serca byłam przy tobie przez te wszystkie lata. Dziś błogosławię los za to, że zetknął cię z Olą. Moje dwie dziewczynki są sobie bliskie... – Otarła łzę. – Żeby jeszcze Jadwiga przejrzała na oczy...

Na jej twarzy malowało się ogromne zmęczenie, nasza rozmowa dużo ją kosztowała. Barometr w mojej głowie, nastrojony na emocje starszych ludzi, sygnalizował to wyraźnie.

– Dziękuję ci, ciociu, za szczerość – powiedziałam cichutko.

Ta „ciocia” wypłynęła wprost z mojego serca. I była jak miód na serce siedzącej przede mną kobiety.

– Czy to oznacza, że będziemy się widywać? – Zobaczyłam spojrzenie pełne nadziei.

– Oczywiście, ciociu. – Wstałam i objęłam Walerię.

– Myślę o was obu. I o waszych dzieciach...

Pożegnałyśmy się serdecznie.

Wizyta u doktora Witaja nie podniosła na duchu ani Oli, ani mnie. Lekarz nie zmienił zdania, skupił się na kondycji zdrowego dziecka i zalecał ostrożność. Wspomniał o możliwości porodu przed terminem.

Byłam w stałym kontakcie z ciotką Walerią, którą w głębi duszy nazywałam „drugą mamą”. Podobno gdy Bóg zabiera nam jednego anioła, na jego miejsce zsyła innego, dumałam. Mnie zesłał aż trzy: Zofię, Juliana i Walerię. Ich obecność napełniała mnie szczęściem każdego dnia.

Otworzyłam też serce przed teściową Julką. Pani Danuta zamieszkała na jakiś czas w naszym domu opieki, w pokoju po Barbarze. Przypadły sobie z Zofią do gus-tu do tego stopnia, że stały się nierozłączne. W efekcie weekendy spędzaliśmy w rodzinnym gronie na Tulipanowej.

Niepokoili mnie wyłącznie Kalina. Pożar gasiłam na bieżąco, załatwiłam jej podwózkę do szkoły w ramach przewozu osób niepełnosprawnych. Choć Krzysiek wyjechał, młodzi nie stracili kontaktu, ja jednak z trwogą wyczekiwałam chwili, kiedy ich drogi się rozejdą.

Tymczasem pewnego dnia nadeszła dobra wiadomość od pani Kłoś: matka Krzysia powiadomiła mnie mejlowo, że w szpitalu w Maladze leczy się operacyjnie przypadki takie jak ten mojej córki. Zdeklarowała się wybać teren i dać mi znać. Naturalnie nie spodziewałam się natychmiastowej akcji, niemniej zaświtało światło nadziei, tak dla mnie, zdeterminowanej matki, jak i dla Kaliny, która tęskniła za swoim chłopakiem. Na szczęście nie zaniedbywała szkolnych obowiązków.

– Julek, nie za wcześnie ten remont? – zapytałam, gdy mój ukochany obwieścił mi, co zamierza w Jesiennej Przystani.

– Maryś, wiesz, że uwielbiałem panią Wiesię – odparł – ale dom jest trochę zapuszczony. Sięgnijemy po środki unijne i doprowadzimy go do europejskich standardów. Każdy staruszek będzie miał mikromieszkanie, a nie tylko pokój. Warto dorównać standardem do okoliczności przyrody: za oknem mamy wiślane błonia, spokój i zieleń. Trochę pracy i zmienimy nazwę z Jesiennej Przystani na Wiślaną Zatokę. – Uśmiechnął się. – Myślę o niewielkiej przystani wyposażonej w trochę sprzętu pływającego.

– Kto tu będzie bywał? – powątpiewałam.

– Rodziny naszych pensjonariuszy, młodzi ludzie, amatorzy pierogów pani Ludmiły – wyliczał.

– Ożywilibyśmy to miejsce. Trzeba wykorzystać potencjał terenu nad rzeką, w dodatku z widokiem na szacowną gotycką starówkę.

Mój Julek rozpościerał skrzydła, ja byłam bardziej zachowawcza. Najważniejsze jednak, że uregulowaliśmy sprawy formalne i mogliśmy realizować plany.

Szczęście mąciła nieco świadomość, że zamieszkiwanie w domu Zofii będzie miało swój kres. I nie chodziło o relację ja–ona, a o jej dzieci w Niemczech. Prędzej czy później zainteresuje je, jak matka gospodaruje ich potencjalną schedą, myślałam. Na razie jednak postanowiłam cieszyć się chwilą. Do porodu miałam korzystać z domu i ogrodu przyjaciółki, nie wolno było mi tylko przyzwyczajać się do istniejącego stanu rzeczy.

Pewnego dnia siedzieliśmy z Julkiem w ogrodzie. Wcześniej mój mężczyzna zgrabiał liście i oczyścił sosny z uschniętych gałęzi, mnie pozostało nakroić ciasta i zaparzyć kawę.

– Został mi jeszcze do zrobienia tamten kąć. – Julek otarł spocone czoło. – Moglibyśmy tam zrobić kompostownik.

– Trzeba zapytać Zofii, czy można – odparłam.

– Tam jest cień i sporo miejsca. Jutro się tym zajmę – ciągnął, nie zwróciwszy uwagi na moje słowa.

– W zeszłym tygodniu złożyłam pozew o rozwód – poinformowałam, przerywając sny o potężde ogrodu.

– O! – zainteresował się Julian. – Kiedy będzie po wszystkim?

– Nie mam pojęcia. Ola czekała na termin rozprawy trzy miesiące.

– Na ciebie warto czekać całe życie! – Porwał mnie w ramiona ze śmiechem.

Nie czekał beczynn timer. Wystartował z remontem, a ja nieco odpuściłam obowiązki w domu opieki, by chronić ciążę. Ostatnio nękały mnie bóle w podbrzuszu.

Gdy ciotka Waleria zawiadomiła mnie o śmierci Leopolda, postanowiłam pójść na pogrzeb, mimo że nie znałam człowieka. W kościele stanęłam z dala od ołtarza, na cmentarzu za jednym z nagrobków. Zauważyłam, że Ola również nie pcha się do pierwszego szeregu.

W pewnym momencie podszedł do mnie mężczyzna.

– Kazimierz – przedstawił się.

– Maria – zrewanżowałam się imieniem.

Znałam go z opowiadań mojej siostry. Prawnik mojej biologicznej rodziny, pomyślałam o Kniaziach. I mojej, gdybym nie została oddana do adopcji...

Na cmentarzu znalazłam się z poczucia zwykłej ludzkiej przyzwoitości. I dlatego, by nie popełnić grzechu zaniechania, cokolwiek to oznaczało. Przyszłam, pochyliłam się nad zmarłym, poczułam się dob-rze. I tyle. Bo nawet jeżeli w głębi duszy sądziłam, że moja matka zechce ze mną porozmawiać, to się pomyliłam.

Pierwsze dni października otulały świat piękną pogodą. Nastął najbardziej urokliwy, najwspanialszy czas w roku. Pieściła aura spokoju, drzewa zachwycały paletą różnobarwnych liści.

W ogrodzie Zofii przyszła pora na jesienne porządki. Bo piękno pięknem, ale wciąż zielony trawnik wymagał wygrabienia opadłych liści. Julian robił to z uporem maniaka, usypując je w coraz wyższe sterty.

– Może na dzisiaj koniec? – zaproponowałam.

Naciągnęłam ciepły sweter, bo na dworze zapanował już wieczorny ziąb.

– Zaraz, tylko popracuję jeszcze trochę w kącie przy kompoście! – zawołał, zamasyżuje wywijając grabiami.

Wróciłam do domu i poszłam do kuchni, by przygotować kolację dla naszej czwórki. Trochę kręciło mi się w głowie, ale tłumaczyłam sobie to długim pobytem na powietrzu. Zaniepokoiła mnie dopiero nagła słabość, gdy otworzyłam lodówkę, nie na tyle jednak, by podnieść alarm.

Pokroiłam chleb i posmarowałam go masłem. Zaplanowałam kanapki, ale zanim zdążyłam sięgnąć po resztę składników, poczułam skurcz w podbrzuszu.

Nie powinnam schylać się tyle przy wykopywaniu dali!, skarciłam się w duchu. Julian prosił, ale oczywiście musiałam być mądrzejsza.

Posypanie głowy popiołem nie wystarczyło.

– Julian, czy możesz tu przyjść? – zawołałam przerażona dalszym ciągiem.

Między nogami dostrzegłam kałużę, która mogła oznaczać tylko jedno: natychmiastową wyprawę do szpitala.

W samochodzie sięgnęłam po komórkę i zadzwoniłam do Aleksandry, usiłując zdławić wyrzuty sumienia.

Że przez te cholerne bulwy zaprzepaciłam szansę na uratowanie choćby jednego z chłopców.



## Rozdział 53

### ALEKSANDRA

Gdy wybiła godzina zero, wpadłam w przerażenie, mimo że byłam mentalnie przygotowana. Poruszałam się po mieszkaniu niczym kula po stole bilardowym – w poszukiwaniu torebki, butów i płaszcza – a przed oczami jawiły mi się jak najgorsze wizje.

Do planowego terminu porodu brakowało miesiąca. Czyżby Maria nie posłuchała zaleceń Witaja?, kołatały w mojej głowie oskarżycielskie myśli. A może to ja zawiodłam? Powinnam wziąć ją do siebie, przywiązać do łóżka i pilnować jak żrenicy oka! Nie zrobiłam tego, to teraz zbieram żniwo. Oby choć jeden z chłopców urodził się zdrowy!, błagałam.

Nie byłam dumna, że pogodziłam się ze śmiercią jednego z nich, ale wizja utraty obu doprowadzała mnie do obłądu.

Janis próbował pomóc: pytał, czego mi trzeba, potrząsał kluczykami, deklarując gotowość zostania moim szoferem. Nie zwracałam na niego uwagi.

– Jesteś zbyt zdenerwowana, żeby prowadzić – powiedział wreszcie.

– I tak nie wpuszczą cię na oddział – odparłam. – Zresztą już postanowiłam. Janis, muszę jechać.

– Wyrwałam mu kluczyki. – Będziemy w kontakcie. – Pocałowałam go w policzek.

Kiedy z piskiem opon włączałam się do ruchu, stał na podjeździe.

Do szpitala nie miałam daleko. Minęłam raptem kilka przecznic i znalazłam miejsce na drugim poziomie nowo wybudowanego piętrowego szpitalnego parkingu. Biegiem pognałam stamtąd na izbę przyjęć, gdzie, o dziwo, panował względny spokój.

Zaraz zaczęło się przesłuchanie, jakim prawem dopominam się informacji o pacjentce, przemknęło mi przez myśl, ale mało mnie to obeszło. Pewnym krokiem podeszłam do okienka.

– Kilka minut temu przyjęliście Marię Leśniewską – powiedziałam. – Proszę mnie do niej skierować.

Natychmiast ziścił się przewidywany scenariusz.

– A kim pani jest dla pacjentki?

Powinnam od razu zakomunikować, że siostrą, ale jakoś na to nie wpadłam.

– Ona jest w ciąży, odeszły jej wody, pewnie będzie rodzić – odparłam. – Chciałabym być przy niej...

– Rozumiem. Jako kto?

– Nic pani nie rozumie – zirytowałam się. – Jestem matką dzieci, bo to ciąża bliźniacza – bełkotałam bez sensu.

Pragnęłam jak najszybciej pokonać barierę i zobaczyć Marię.

Pielęgniarka była nieprzejednana.

– Pani jest matką? – Spojrzała na mnie z politowaniem. – Czy to oznacza, że panie jesteście razem? – Miejsce politowania zajęła pogarda. – Proszę zaczekać, zapytam lekarza – dodała, podnosząc się z krzesła.

No, pięknie się popisałam! Nie dość, że omal nie ujawniłam, że Maria jest matką zastępczą, to jeszcze zasugerowałam recepcjonistce, że jesteśmy lesbijkami.

– Moment! – Powstrzymałam ją. – Nie jesteśmy parą. Maria to moja siostra.

Nareszcie trafiłam na właściwy argument! Wprawdzie w dokumentach stało inaczej, ale nie skłamałam.

– To jest pani matką dziecka czy siostrą pani Leśniewskiej? – zapytała.

– Siostrą – odpowiedziałam czym prędzej, skoro zaczęła wykazywać chęć do współpracy. – Powie mi pani, gdzie jest teraz Maria?

Jeden telefon wystarczył, bym nabrała nadziei.

– Sala porodowa – poinformowała mnie recepcjonistka. – Ale tam i tak pani nie wejdzie, co najwyżej poczeka na korytarzu. Trzecie piętro, winda za szklanymi drzwiami, przy kiosku. – Wskazała ręką kierunek.

Jedna przeszkoda wzięta!, ucieszyłam się.

Po chwili stałam już przed wejściem na oddział i odpisywałam Janisowi, żeby nie przyjeżdżał.

„Jestem w szpitalu, przygotowuję się do szturm. Nie będzie łatwo, bo Witaja nie ma, jest na urlopie. Nie pisz do mnie i mnie nie rozprasza. Bardzo się boję, ale dam radę. Sasza”.

Tkwiłam pod tymi cholernymi drzwiami i czekałam na kogoś z personelu. Na kogokolwiek, z kim mogłabym porozmawiać i ubłagać go, żebym została wpuszczona albo choćby poinformowana o stanie Marii. Ale mijały minuty i nic. To znaczy pojawiały się pielęgniarki.

– Nie jestem upoważniona do udzielania informacji – powtarzały jak mantrę.

Wreszcie dopadłam lekarza.

– Panie doktorze, przyjęliście na porodówkę Marię Leśniewską. Bliźniacza ciąża, co z nią? – Uczepiłam się jego rękawa.

– Przygotowujemy pacjentkę do zabiegu – odparł.

– Jakiego znów zabiegu? – Po moich policzkach potoczyły się łzy.

– Do cesarskiego cięcia. Przepraszam, śpieszę się. – Doktor uwolnił rękę z mojego uścisku i zbiegł po schodach.

Znów zostałam sama. W dodatku świadoma własnej bezsilności.

Nie bacząc na późną porę i urlop, wysłałam esemesa do Witaja.

„Panie doktorze, Maria za chwilę będzie mieć cesarkę. Błagam, niech się pan dowie, o co chodzi!”

Miotalam się po kilkumetrowym korytarzu jak lew w klatce, co chwila spoglądając na wyświetlacz komórki. Już niemal straciłam nadzieję, gdy usłyszałam znajomy dźwięk.

„Zabieg trwa. Pani Maria jest w dobrych rękach. Doktor Klonowski z pewnością zrobi wszystko, co w jego mocy”.

Osunęłam się po ścianie na ziemię i rozszlochałam. Łzy jednak wkrótce obeschły, choć wciąż nie byłam w stanie się podnieść. Siedziałam na podłodze i oddychałam głęboko, zrozpaczona i przerażona słowami Witaja. Lekarz na sali operacyjnej miał zrobić wszystko.

Co to znaczy „wszystko”?, zachodziłam w głowę. Bo ja nie mogę zrobić nic. Mogę tylko czekać. I się modlić, choć nie mam pewności, że Bóg mnie wysłucha. Czy On wysłuchuje błagań grzesznicy? A może karze mnie za to, że się poddałam? Że nie podjęłam kolejnej próby zajścia w ciążę? Może właśnie ta by się powiodła?

Nie będę bić się w piersi!, zbuntowałam się nagle. Bo czy można komukolwiek się tłumaczyć z chęci posiadania maleństwa? Nawet Bogu? Udźwignę ten ciężar, byleby tylko choć jeden chłopczyk urodził się żywy i zdrowy! Mogę nawet zgnić w piekle!

Nie mam pojęcia, co zadziałało: modły, złorzeczenia, umiejętności czy zwyczajne szczęście. W każdym razie doktor Klonowski, który wreszcie opuścił oddział, odnalazł mnie w moim przytulisku na korytarzu.

– Dzwonił do mnie doktor Witaj – wyjaśnił. – Jednego z chłopców nie udało się, niestety, uratować, ale drugi żyje i jest w nie najgorszej kondycji. Czeką go kilka tygodni w inkubatorze, ale miejmy nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. Jeżeli pragnie pani zobaczyć się z matką... – Doktor ugryzł się w język. – To jest z panią Marią, zapraszam za piętnaście minut. Pacjentka dostała znieczulenie dooponowe, jest świadoma, wypoczywa. Poleciłem pielęgniarce, by panią wpuściła – zakończył, odwrócił się i odszedł.

Wcześniej osunęłam się na podłogę powodowana rozpaczą, teraz tkwiłam na niej z poczuciem ulgi. Moje maleństwo przetrwało ciążę i przyjście na świat, a ja cieszyłam się z jego istnienia. I tak bardzo pragnęłam je zobaczyć!

Doktor Klonowski mówił prawdę. Po upływie kwadransa zjawiła się pielęgniarka i zaprosiła mnie na oddział.

Weszłam do sali, w której leżała Maria. Obok jej łóżka stał inkubator z moim synkiem.

– Jaki piękny! – Nie potrafiłam powstrzymać zachwytu.

Może i w pierwszej kolejności powinnam zapytać siostrę o jej samopoczucie, ale wygrała miłość macierzyńska.

Maria leżała wymęczona i smutna.

– Ma nawet włoski. – Podziwiałam ciemny meszek na głowie chłopczyka. – A z tobą wszystko dobrze? Marysiu, dziękuję – zreflektowałam się, komu zawdzięczam ten wzruszający moment.

– Tak – odparła lakonicznie. – Niestety, drugiego nie udało się uratować. – Uciekła spojrzeniem za okno.

– Wiem. To niczyja wina – pocieszałam ją z ciężkim sercem.

Wejście pielęgniarki było sygnałem do zakończenia wizyty.

– Marysiu, na mnie już czas – powiedziałam. – Zajrzę do was jutro. Kocham cię. I Olafa. – Niespodziewanie dla siebie samej nazwałam mojego niewiarygodnie pięknego synka.

Przed szpitalem wpadłam na Janisa. Nie miałam pojęcia, od jak dawna czekał, bo w pewnej chwili wyłączyłam telefon.

– I jak? – zapytał.

– Mam syna. A drugi...

Nie byłam w stanie dokończyć.

– Domyślam się, kochanie. Nic nie mów.

Podszedł, przytulił i kołysał, dopóki nie opanowałam łez i nie pozwoliłam poprowadzić się do samochodu.

## Rozdział 54

### MARIA

Zobaczywszy kałużę na podłodze, Julian nie czekał na karetkę pogotowia, ale uruchomił samochód i zawiózł mnie do szpitala. Zanim jednak to nastąpiło, przeleciał po domu i zapakował do torby najpotrzebniejsze rzeczy: wyniki badań, koszulę nocną, butelkę z wodą, jednorazowe chusteczki. Zaprocentowało doświadczenie z poprzedniego życia. Ja byłam tak przerażona, że pozwoliłam się prowadzić jak dziecko. Wykonywałam wszystkie jego polecenia.

W aucie ulokował mnie na tylnym siedzeniu i siłąc się na spokój, chociaż widziałam jego zdenerwowanie, pocieszał i głaskał słowem. Wcześniej poinformował Kalinę i Antka i poprosił ich, by się zajęli sobą. Słyszałam jego kojący głos, że wszystko będzie dobrze i że da znać, kiedy urodzę.

Myślałam, że natychmiast trafię na porodówkę, ale procedura przyjęcia do szpitala ciągnęła się w nieskończoność: wypełnianie papierów, badanie, zabiegi higieniczne, przekazywanie rzeczy osobistych do przechowalni i Bóg wie co jeszcze. Panika mnie nie opuszczała.

– Długo to jeszcze potrwa? – Zaczęłam się niecierpliwić.

– Pani jest pierworódką – bardziej stwierdziła niż zapytała pielęgniarka.

– Jestem matką szesnastoletniej córki, tylko co to ma do rzeczy? Odeszły mi wody, już dawno powinnam znaleźć się na porodówce! – Wbrew swojej potulnej naturze podniosłam głos.

Oni się tu grzebią, a dzieci nie zamierzają czekać!

– Proszę zachować spokój, lekarz zaraz przyjdzie. Właśnie odbiera poród.

Odbiera czyjs poród? A ja? Mam leżeć na izbie przyjęć i modlić się, żeby ktoś się mną zajął?

Odetchnęłam, gdy zobaczyłam, że zmierza w moją stronę. Po chwili dołączył do niego kolejny lekarz i wspólnie przystąpili do badania. Szeptali między sobą, ale tak cicho, że nie docierała do mnie treść rozmowy. W końcu podjęli decyzję.

– Pani Leśniewska, będziemy robić cesarskie cięcie. Siostró, proszę przewieźć pacjentkę na oddział.

– Ten pan, który czeka na korytarzu, pyta, czy może być przy żonie.

Uprzejma pielęgniarka spełniła prośbę Juliana, choć z góry znała odpowiedź. Ale bezradna wobec jego nacis-ków wołała podeprzeć się autorytetem lekarzy.

– Proszę wziąć od niego numer telefonu – odparł jeden z nich. – Zawiadomimy go, gdy pacjentka urodzi.

„Na trzy” zostałam przełożona na łóżko transportowe.

– Dostanie pani znieczulenie dooponowe – poinformowano mnie. – Dzięki temu będzie pani mogła uczestniczyć w porodzie.

Nie wiedziałam, czy tego chcę, ale powodowana ogromnym lękiem o dzieci nie potrafiłam wykrztusić słowa. I właśnie dlatego nie przespałam momentu, w którym pierwszy z chłopców zmarł lekarzowi na rękach, choć zdecydowanie wołałabym go nie oglądać. Zbyt późno odwróciłam głowę, moje ciało opanował niewyobrażalny dygot. Wyobraźnia podsunęła mi obraz drugiego, który kończy tak samo.

Podano mi jakiś zastrzyk, po którym natychmiast zasnęłam.

Ocknęłam się na sali poporodowej. Z trwogą rozejrzałam się dokoła, szukając łóżeczka. A kiedy zobaczyłam inkubator, zaniósłam się szlochem.

Udało się!

Moje serce zalała ogromna tkliwość. Spróbowałam wykonać ruch w stronę maleństwa, ale ciało nie chciało współpracować. Przy świeżych szwach powinnam leżeć nieruchomo.

– Ma pani pięknego synka – dobiegł mnie głos pielęgniarki. Przyszła sprawdzić, co u mnie. – Urodził się kilka tygodni przed terminem, ale trochę go potrzymamy i wkrótce wyjdzie do domu – ćwierkała, poprawiając mi poduszkę i zaglądając przez szybkę do małego.

– Dziękuję. – Na jej ręce złożyłam wdzięczność dla całej ekipy, która sprowadziła na świat chłopca, o którym, wbrew sobie i logice, myślałam jak o własnym dziecku. – A co z drugim maleństwem? – wyszeptałam, przepędzając łzy spod powiek.

Siostra przysiadła na taborecie i ujęła moją dłoń.

– Tak bardzo mi przykro – powiedziała. – Będziecie państwo mogli odebrać ciało i pochować. Czy mam zawiadomić pani męża?

– Sama do niego zadzwonię. – Nie zamierzałam nikogo uświadamiać w kwestii moich małżeńskich relacji. – Raz jeszcze dziękuję.

Gdy pielęgniarka wyszła, mogłam w samotności uporządkować swoje uczucia. Szczęście i smutek. Nigdy dotąd nie przeżywałam jednocześnie dwóch tak skrajnie różnych emocji. Czy jestem potworem, bo radość i ulga po narodzinach zdrowego chłopca wyparły żal z powodu śmierci drugiego z bliźniąt?, dumałam. Nie, w tym momencie nie chodziło mi o wywiązanie się z umowy ani o pieniądze. Na krótką chwilę zapomniałam o celu, który mi przyświecał, gdy dogadywałam się z Olą. Nawet operacja Kaliny, jakże ważna i priorytetowa, zeszła na dalszy plan.

Znajdę tę kasę gdzie indziej, przemknęło mi przez głowę, byleby tylko przytulić do serca tego maleńkiego chłopczyka, którego nosiłam przez osiem miesięcy!

I natychmiast uderzyłam się w piersi. Boże, jak to się stało, że zapomniałam o córce i siostrze? Jestem wstrętna!, buzowały we mnie hormony. Umowa jest umową, a dojrzała kobieta nie powinna ulegać instynktom, choćby i macierzyńskiemu! W końcu wiedziałam, co robię.

Powinnam zadzwonić do Juliana i Oli z dobrą nowiną, ale nagle opuściła mnie energia. Przymknęłam oczy, by zasnąć, kiedy w drzwiach stanęła moja siostra.

Nie przywitała się ze mną, tylko pobiegła do inkubatora.

– Jaki piękny! – zawołała w zachwycie na widok malucha. – Ma nawet włoski!

Po chwili przypomniała sobie o mnie i zapytała, jak się czuję. Podziękowała mi za dziecko.

Co miałam jej odpowiedzieć? Że też je kocham?

Na szczęście w porę opanowałam emocje. Te prawdziwe zamaskowałam żalem, że drugiego chłopca nie dało się uratować.

Ola próbowała mnie pocieszać, ale wyprosiła ją pielęgniarka.

– Zajrzę do was jutro – obiecała. – Kocham cię. I Olafa. – Dostrzegłam na jej twarzy uśmiech.

Zadzwoniłam do Juliana i rozmawiałam z nim tak długo, jak pozwalała mi kondycja. Poinformowałam go, że Ola nadała imię synkowi, chociaż ja wybrałabym inne, i poprosiłam, by pomógł jej w przygotowaniach do pogrzebu drugiego chłopca, wciąż bezimiennego.

Wysłałam ze szpitala po kilku dniach, Olaf został tam nieco dłużej.

Szybko powróciłam do formy. Nocami powracały myśli o dziecku, ale odsuwałam je od siebie skutecznie.

Moja siostra fantastycznie odnajdywała się w roli matki. Ten jej Janis okazał się naprawdę genialnym partnerem, podobnie jak i mój Julian. I nigdy nikomu nie przyznawałam się, że moje uczucia do Olafa wybiegają poza te przystające ciotce. A kiedy Ola poprosiła mnie, żebym została jego matką chrzestną, na co, oczywiście, się zgodziłam, przepłakałam całą noc, ale rano, z suchymi oczami, usmażyłam rodzinie jajecznicę.

Zamiast biegać po psychologach, zajęłam się remontem Jesiennej Przystani, którą wkrótce przemianowaliśmy z Julkiem na Wiślaną Zatokę. I co najważniejsze: pani Kłoś poinformowała, że niebawem mogę się spodziewać zaproszenia Kaliny na operację w Maladze.

Tamtego wieczoru sięgnęłam do starych zdjęć i znalazłam fotografię, którą od zawsze bardzo lubiłam: mama stała oparta o betonowy murek, który oddzielał plażę w Ustce od morza. Rzadko wyjeżdżaliśmy na rodzinne wakacje, dlatego te na Wybrzeżu utkwiły mi w pamięci jako wyjątkowe. Przechadzałyśmy się z mamą po promenadzie, zapatrzona w spokojne, dobijające łądu fale.

– Stań przy murku, zrobię ci zdjęcie! – zawołałam.

– Niecee! Mam rozczochrane włosy – zaprotestowała, ale odruchowo przyglądziła fryzurę.

– Robię! – Zwolniłam migawkę.

Teraz spójrzałam mamie na zdjęciu głęboko w oczy. Była mi tak bardzo potrzebna!

– Mamusiu, czy ja postąpiłam właściwie? – zapytałam.

Nie odpowiedziała, ale na mnie niespodziewanie spłynął spokój.

Podawałam Olafa do chrztu z przekonaniem, że wszystko w moim życiu trafiło na swoje miejsce.

## Epilog

### Dwa lata później

#### ALEKSANDRA

Niebo nad Jurmałą w połowie października było nadzwyczaj pogodne. Słońce nie przestawało świecić. Wprawdzie chłodny Bałtyk nie sprzyjał kąpielom, ale biały pudrowy piasek wabił, żeby zanurzyć w nim stopy i napawać się widokiem spokojnego morza. Grało delikatną muzykę fal, które mimo flauty regularnie dobijały do brzegu, kołysząc nas w rytm swojej niekończącej się pieśni.

Skorzystałam z codziennej drzemki Olafa i przysiadłam na schodkach naszego domu. Mimo że mieszkałam w nim od kilku dobrych miesięcy, bezmiar wody i jej zmienne oblicze wciąż wzbudzały mój podziw. Z równą przyjemnością przyglądałam się tak wygładzonej tafli, jak i zmierzwionej wiatrem kipieli w czasie sztormu.

Październikowa pogoda obdarowała Olafa bardzo szczerze. Pozwoliła przygotować jego drugie urodziny na tarasie.

\* \* \*

Kochałam mojego malca bezgranicznie, każdego dnia dziękując losowi za życie dziecka, którego pełnoprawną mamą zostałam dopiero niedawno.

Moja droga do legalnego macierzyństwa okazała się długa i wyboista, pełna stresów i niepewności. Zanim jednak na nią wstąpiłam, musiałam uporać się ze śmiercią Tadeusza, drugiego synka, który dostał imię po moim tacie. Janis i Julek przeprowadzili mnie przez to doświadczenie za rękę i zorganizowali pogrzeb. Na szczęście maleńki Olaf, który wciąż leżał w szpitalu, trzymał mnie w pionie, a myśl o nim nie pozwalała się rozkleić.

Nie miałam jednak zamiaru zapomnieć o jego bracie. Tadzik już na zawsze pozostał w moim sercu. I tylko ja wiedziałam, jak głęboko. W mojej wyobraźni biegał w pobliżu. Rósł wraz z Olafem, niezamknięty w niewielkim ciele noworodka, które wbrew radom Janisa musiałam zobaczyć przed pogrzebem. Z czasem ból zelżał, pozostał wyłącznie żal i ogromny lęk o żyjącego synka, którego pilnowałam na każdym kroku. Przy rozstaniach z nim, choćby tylko kilkugodzinnych, niemal cierpiałam fizycznie.

Nieoceniony wuj Kazimierz z determinacją przeprowadził mnie przez proces adopcyjny, chroniąc przed zastanawianiem się nad nonsensownością prawa, które nie uznawało mnie za matkę.

Janis bohatercko zniósł pierwsze kilka miesięcy mojej opieki nad Olafem, kiedy uczyłam się chodzić po polu minowym, jakim jest pielęgnacja niemowlęcia. Pomagał mi, jak mógł, ale prawdziwą podporą była ciotka Waleria. To dzięki niej nie przepadłam w gąszczu dziecięcych kupek, kolek i wrzasków, które czasami doprowadzały mnie do rozpacz i wpędzały w poczucie bezsilności.

Maria trzymała się z boku i prawdę powiedziawszy, byłam jej za to wdzięczna. Jej oczy, wpatrzone w malucha, mówiły wszystko.

Była w nich miłość.

Musiałam powściągnąć zazdrość. Rozumiałam ją. Sama kilka razy nosiłam w sobie nowe życie, a poza tym czytałam co nieco o psychologii kobiety i uczuciach, które rodzą się razem z dzieckiem. Mimo to – a może właśnie dlatego? – wybór matki chrestnej Olafa był dla mnie oczywisty.

Maria wyraziła zgodę.

Mijał miesiąc za miesiącem. Matką mojego synka pozostawała formalnie Marysia, która towarzyszyła nam podczas wszystkich wizyt u lekarza czy na szczepieniach. Ja stałam obok, jak opiekunka. Dopiero po upływie pół roku, za radą wuja Kazimierza, wystąpiłam do sądu opiekuńczego o ustanowienie mnie rodziną zastępczą i bez przeszkód wykonałam pierwszy krok na drodze do adopcji. Na szczęście. Sprawdzone mnie, wyważono racje.

W tym czasie wciąż mieszkałam w domu, który zbudowaliśmy z Jaśkiem. Zapłaciłam byłemu mężowi za ten przywilej połowę wartości i byłam bezpieczna. Jednak niekoniecznie szczęśliwa. Zbyt

dużo było tu wspomnień i zbyt mało powietrza, by zacząć nowe życie.

Janis namawiał do przeprowadzki na Łotwę.

Skele chodził do angielskiej szkoły, ale za sprawą licznych kontaktów z Nataszą coraz lepiej władał polskim, czego niestety nie można było powiedzieć o jego ojcu. Widziałam, że mój ukochany się męczy i niezbyt przystaje do tutejszych warunków. Od czasu do czasu latał do Rygi pod pretekstem pozalutowania „najważniejszych spraw”. Wracał stęskniony, ale i w pewnym stopniu nieobecny. Praca nad nowelami Krastsa mu nie szła.

Czas na życiową decyzję nadchodził wielkimi krokami. Dojrzywałam do niej powoli. Nie przyśpieszałam niczego, zresztą nie pozwalały na to przewlekłe procedury prawne. Wymagały od nas cierpliwości i pozostawania na miejscu.

Dążyłam do pełnej adopcji. Do chwili, gdy w akcie urodzenia, w rubryce „matka” zostanie wpisana zamiast Marii. A w miejsce Władka w rubryce „ojciec” pojawi się zupełnie ktoś inny.

– Będzie to możliwe po kilku miesiącach funkcjonowania jako rodzina zastępcza – wytłumaczył mi nieoceniony wuj Kazimierz. – Maria i Władek przyjdą na rozprawę i zrzekną się prawa do chłopca. Jeżeli sąd przychyli się do twojego wniosku, oczywiście po zbadaniu twojej sytuacji, i przeanalizuje dobro dziecka, zgodzi się na przysposobienie, to jest adopcję. I wpisze cię do aktu urodzenia Olafa. Wówczas podasz dane ojca.

– Jaśka?

– Niekoniecznie. Może być nawet „ojciec nieznany”, ale...

Kiedy wuj zawieszał głos, wiedziałam, że dobrze rozeznał temat.

– Ale? – zapytałam.

– Jeśli wyjdiesz za mąż za Janisa, możesz podać jego nazwisko.

– Po co? – Nie mogłam pojąć.

– Nie znam się na psychologii, Oleńko, ale choćby po to, żeby Olaf miał oboje rodziców.

– Nie mogę nagle prosić Janisa, żeby się ze mną ożenił, bo potrzebuję formalnego ojca dla dziecka!

– Twoja decyzja. Ale przemyśl sprawę.

– A Jaś? Jak on się poczuje?

– Jeśli chcesz podać Jana, też możesz. Pytanie, czy będzie on zadowolony, kiedy, jak mówisz, Arleta urodziła mu dziecko...

Boże, co robić?, myślałam w popłochu. Wyprzeć się przeszłości czy zapewnić Olafowi życie niezmacone rodzinną tajemnicą?

Postanowiłam porozmawiać z byłym mężem. Tego wymagała uczciwość, choć nie zawsze doświadczałam jej z jego strony. No i nie potrafiłabym żyć bez wyjaśnienia spraw zasadniczych.

Spotkaliśmy się w kawiarni nieodległej od naszego, do niedawna wspólnego domu. Wyłożyłam, o co mi chodzi.

– Teraz wiesz wszystko – podsumowałam. – Niebawem zostanę matką adopcyjną. Czy mam cię podać jako ojca?

Zareagował alergicznie.

– Po co komplikować? Mam córkę... – zawiesił na chwilę głos – ...i chciałbym żyć w spokoju. Jeżeli ci to nie przeszkadza, zamknijmy nasz rozdział, Olu. A tak na marginesie, jak sobie radzisz?

Nie zapytał o swoje własne dziecko. No i z pewnością miał świadomość, że przyznanie się do ojcostwa rodzi konsekwencje alimentacyjne i spadkowe, a tego, jak go znałam, sobie nie życzył.

– W takim razie wszystkiego dobrego. – Podniosłam się z krzesła.

Gdybym była wredna, pomyślałabym z satysfakcją, że źle wygląda. Zresztą może i byłam, bo naprawdę wyglądał źle, ale mnie to nie obeszło.

Po którymś z wyjazdów na Łotwę Janis wrócił w wyjątkowo dobrym nastroju. Wyprawił Skelego do Nataszy i ofiarował się, że przygotowuje kolację. Wprawdzie mój mały wrzaskun absorbował nas do późnej nocy, ale w końcu się zmęczył i pozwolił na chwilę oddechu.

Padłam na kanapę bez sił, ale kiedy zobaczyłam talerz przygotowanych na łotewską modłę zeppelinów z kwaśną śmietaną i poczułam zapach przypieczonego boczkę, zrozumiałam, że coś się

święci. Pomyślałam, że powinnam sięgnąć po grzebień i szminkę, ale Janis skutecznie mnie powstrzymał.

– Zostań. – Chwycił mnie za nadgarstek. Nie odrywał wzroku od moich oczu. – Niech czekają.

Postawił na stole gorące kartacze, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął czerwone pudełeczko.

Oczywiście wiedziałam, co się w nim kryje. Nie na darmo naoglądałam się romantycznych filmów i naczałam książki. A jednak przeżyć to nie to samo, co obejrzeć na ekranie.

– Sasza, czekałem na ciebie wiele lat – usłyszałam. – A kiedy nareszcie stanąłem tutaj przed tobą, zabrakło mi słów. Powiem wprost: kocham cię. Czy zostaniesz moją żoną?

Nie miałam żadnych wątpliwości. Choćby miał mnie wywieźć na Łotwę. A nawet na koniec świata.

Nastąpiła scena jak z hollywoodzkiej produkcji: ja wpadłam w jego ramiona, a moje „tak” (po łotewsku *taip*, więc podobnie) rozmyło się we łzach, które zawsze miałam pod ręką.

Pobraliśmy się szybko i skromnie. Weselne przyjęcie przerwało nam rozwolnienie Olafa. A kiedy sytuacja została opanowana, usiedliśmy na kanapie, z nogami na fotelach, i popijaliśmy wino.

– Kocham cię, pani Petersons. – Janis przytulił mnie.

– I ja ciebie, mężu. – Obdarzyłam go pocałunkiem.

To mój najwspanialszy wieczór *ever!*, rozkoszowałam się bliskością ukochanego i faktem, że moje drugie szczęście śpi w pokoju obok.

Nie miałam jednak odwagi prosić Janisa, by został ojcem mojego synka. Na szczęście on sam, po zrzeczeniu się praw do Olafa przez Marię i Władka, zaproponował takie rozwiązanie. Po kilku miesiącach byliśmy już pełną rodziną.

Ciotka Waleria już dawno wróciła do siebie, mama od jakiegoś czasu pozwalała się adorować wujowi Kazimierzowi. Milena z Kacprem nareszcie osiedli w domu swoich marzeń. Na myśl o potencjalnym rozstaniu z moją przyjaciółką czułam ucisk w sercu.

Bo Janis co jakiś czas powracał do pomysłu wyjazdu na Łotwę.

A Maria? Na szczęście dobrze ulokowała uczucia, więc byłam o nią spokojna. Po rozwodzie z Władkiem sprzedała mieszkanie, Julian swoje również i kupili większe, własne. Lekarze w Maladze zoperowali Kalinę – jej mama nie musiała wiedzieć, że za fundacją, która dołożyła się do zabiegu, stała jej siostra – i wszystko wskazywało na to, że moja siostrzenica stanie niebawem na nogi. Tęskniła za Krzyśkiem, ale ich miłość trwała; zanosilo się na to, że za niecałe dwa lata, już jako studenci, zamieszkają razem. Państwo Kłosiowie nie przewidywali szybkiego powrotu z Hiszpanii.

A Janis dopiął swego, przy mojej pełnej aprobacie. Sprzedałam dom i cała nasza czwórka Petersonsów przeniosła się do Rygi. Olaf rósł jak na drożdżach, Skele, jak to nastolatek, uatrakcyjniał nam życie właściwymi wiekowi kłopotami. Janis pracował, ja siedziałam w domu przy dziecku. Weekendy spędzaliśmy w Jurmale.

Aż kiedyś zatekniłam za pracą. Na szczęście miałam przy sobie faceta, który właściwie odbierał sygnały. Niebawem założyliśmy wydawnictwo, w którym mogliśmy pracować oboje. Zupełnie jak Maria i Julian w swoim domu opieki.

I wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie mama. Nie zaakceptowała mojej decyzji o wyjeździe i nie dogadała się z Marią.

\* \* \*

– Tutaj jesteś! Wszędzie cię szukam. – Przez szum fal i myśli przebił się głos mojej siostry.

– Położyłam Olafa i wyszłam odetchnąć morskim powietrzem – odparłam z uśmiechem. – Tak się zapatrzyłam na morze, że zaniedbałam gości.

– Ładnie tutaj macie. – Marysia zatrzymała wzrok na linii horyzontu. – A ja się cieszę, że mogę tu być. Na nasz ślub też przyjedziecie? – upewniła się po raz kolejny.

– Oczywiście. A co u pani Zosi i Danki?

– Dobrze. Mieszkają w świeżo wyremontowanej Wiślanej Zatoce w swoich niewielkich gniazdkach. Są nierozłączne. Teściowa Julka wynajęła swoje gdyńskie mieszkanie, ale latem możemy tam jeździć na wakacje. A dom Zosi przejęła córka, która przyjechała na stałe z Niemiec.



– Nie żal ci go?  
– Cóż, nigdy nie należał do mnie. Może z czasem wybudujemy z Julianem własny?  
– Szkoda, że Kalina nie mogła przylecieć – pożałowałam.  
– Dopiero co zaczęła studia – usprawiedliwiła córkę Marysia. – Wynajęli z Krzyśkiem kawalerkę, a my z Kłosiami zrzucamy się na czynsz. Najważniejsze jednak, że Kalina chodzi. Jeszcze słabo, ale coraz lepiej.

Przez chwilę miałam ochotę zapytać o mamę, ale odpuściłam. Czas pojednania musi przecież nadejść, pomyślałam z nadzieją.

– Nie jest ci chłodno? – Wiatr od morza zaczął się wzmaczać, więc przytuliłam siostrę. I wyczułam jej nieco zaokrąglony brzusek.

Nic nie mówiła!

– Marysiu... Pragnę ci o czymś powiedzieć – zaczęłam. – Ale tobie i tylko tobie – zastrzegłam.  
– Bo wiesz, wcale nie musi się udać...

Maria czekała na ciąg dalszy.

– Jestem w ciąży – wyszeptałam.

– Ja też. – Twarz mojej siostry rozjaśnił szeroki uśmiech. – Milczałam, żeby nie zapeszać. Życzmy sobie obie szczęśliwego rozwiązania! – Pogłaskała się po niewielkiej wypukłości.

Nieśpiesznie ruszyłyśmy przed siebie plażą i w tej samej chwili usłyszałyśmy tupot małych nóżek. To Olaf po przebudzeniu znalazł drogę do mamy.

– Chodź, kochanie – powiedziałam. – Mamusia otuli cię kurteczką, żebyś nie zmarzł.

Przepełniona szczęściem przyciągnęłam do siebie synka, który wtulił główkę w moje ramię.

**Koniec**